

DINAH JEFFERIES

*Córka
handlarza
jedwabiem*



Powieść autorki bestsellera
Żona plantatora herbaty

Dinah Jefferies

Córka handlarza jedwabiem

Tłumaczenie:
Hanna Hessenmüller

Historia Wietnamu

Wydarzenia w porządku chronologicznym

1797

Początek infiltracji francuskiej. Król francuski Ludwik XVI zawiera w Wersalu traktat sojuszniczy z wietnamskim księciem Nguyễn Ánh.

Od 1840 do lat dziewięćdziesiątych XIX w.

Kolonizacja Indochin (Wietnamu, Kambodży i Laosu) przez Francuzów, którzy Wietnam dzielą na trzy prowincje: Tonkin, Annam i Kochinchinę.

1927-1930

Na północy kraju powstają dwie partie komunistyczne, które mają stawiać opór Francuzom.

1940

Podczas drugiej wojny światowej Japonia okupuje Wietnam, pozostawiając jeszcze na jakiś czas francuską administrację kolonialną.

1941-1944

Ho Chi Minh, przywódca ruchu oporu przeciwko Japończykom, zakłada Ligę Niepodległości Viet Minh.

1945

Japończycy na krótki czas przejmują rządy od Francuzów. Po kapitulacji Japonii, również przez krótki czas, władzę sprawuje Viet Minh, na czele którego stoi Ho Chi Minh, a potem Francuzi, wspierani przez wojska brytyjskie i Stanów Zjednoczonych, restytuują kolonię francuską.

1946

Viet Minh stawia opór. Wojska francuskie zajmują port

w Hajfongu, co daje początek pierwszej wojnie indochińskiej.

1946-1954

Podczas pierwszej wojny indochińskiej Ho Chi Minh wspierany jest przez Chiny i ZSRR, natomiast sojusznikiem Francuzów są Stany Zjednoczone, którym zależy na powstrzymaniu ekspansji komunizmu.

1954

Viet Minh, popierany przez ogół Wietnamczyków, okrąża miasto Dien Bien Phu, zamienione przez Francuzów w twierdzę. Dwadzieścia tysięcy żołnierzy francuskich wpada w pułapkę. Francuzi poddają się. Na mocy układów genewskich Wietnam zostaje podzielony na dwie strefy, północną i południową. Ustalono też, że za dwa lata odbędą się wybory powszechne.

1955-1956

Popierany przez Stany Zjednoczone Ngo Dinh Diem ogłasza się premierem Wietnamu Południowego, nie godząc się na przeprowadzenie wyborów powszechnych.

1957-1959

W Wietnamie Południowym zaczyna pojawiać się coraz więcej ludzi i broni z Wietnamu Północnego; z inicjatywy komunistów wybucha zbrojne powstanie.

1960

Powstanie Vietcongu, Narodowego Frontu Wyzwolenia do walki z wojskami USA operującymi w Wietnamie Południowym.

1964

Amerykański niszczyciel zostaje zaatakowany przez łódź patrolową z Północnego Wietnamu.

1965

Do Wietnamu przybywają amerykańskie oddziały bojowe i rozpoczyna się wojna amerykańsko-wietnamska. Podczas tej

wojny całkowity tonaż bomb zrzuconych przez Amerykanów był większy niż podczas drugiej wojny światowej.

1973

Zgodnie z postanowieniami układów paryskich, negocjowanych przez Nixona i Kissingera, Stany Zjednoczone wycofują się z Wietnamu Południowego, gdzie walka jednak nadal trwa.

1975

Komuniści zajmują Sajgon. Ostatni obywatele USA zostają ewakuowani. Wietnam jednoczy się, władzę nad całym krajem przejmują komuniści. Sajgon zostaje przemianowany na Ho Chi Minh.

PROLOG

Powoli obraca się w wodzie, zanurzając się coraz głębiej. Długie włosy wirują wokół głowy. Oczy coś dostrzegają. Światło. Sączące się przez wodę złociste światło jest tak urzekające, że zaczyna kopać nogami i ruszać torsem, nakazując ciało przesuwać się do góry, w ślad za bąbelkami powietrza z płuc. Bąbelki płyną w górę, ku powierzchni wody, ona za nimi, i widzi, jak złocista plama słońca rozpryskuje się, rozrzucając po wodzie skrzące się krople. Głowa wynurza się z wody. Odrzuca ją do tyłu i łapie powietrze, i choć słońce oślepia, dostrzega czyjaś twarz. Pojawia się i znika. Twarz siostry.

Sekundy mijają. Widzi już odrobinę lepiej. Podnosi rękę, by pomachać, otwiera usta, by wołać o pomoc, ale bezlitosna woda znów wciąga. Znów grzmi, przetacza się, trzymając ją w mokrych, bezwzględnych objęciach. Nie puszcza, mimo że rozpaczliwie ugniata ją nogami. Chce krzyknąć, ale nie może wydobyć z siebie głosu. Desperacko chce oddychać, choć wie, że to już niemożliwe. Próbuje płynąć, ale sił brak, a opalizująca światłość nad głową zanika. Jest coraz wyżej, ona zaś coraz niżej, w coraz ciemniejszej, lodowatej już wodzie. W górze coś jeszcze błyska, ale słabiej, dalej. A tam, z boku, coś majaczy w wodzie. Drabina? Chyba tak. Widać szczebel. Próbuje złapać się drabiny, postawić stopy na szczeblu, ale siła wody jest przeogromna. Stopy zsuwają się ze szczebli, znów opada. Tak, ale przed oczami ma już nie ciemną, złowrogą toń, tylko coś bliskiego sercu. Jej dom, rodzinny dom, bezpieczną przystań. Ciężkie jak kłody nogi nieruchomieją, bo rzeka odebrała jej resztki sił. Ale już jest dobrze. Wreszcie woda ją unosi, nie wciąga. Płynie!

Nie. Tonie.

I

Jedwabne nici

Maj – początek lipca 1952

Hanoi, Vietnam

Nicole stała w oknie swojego pokoju i patrzyła na ogród, wdychając głęboko powietrze przesycone słodkim zapachem dzikiej gardenii, pięknych krzewów o błyszczących liściach i delikatnych białych kwiatach, posadzonych w zacienionych miejscach. Koło tych krzewów zauważyła swojego ojca – bardzo przystojnego mężczyznę o ciemnych, krótko przystrzyżonych włosach, przyprószonych już siwizną. Wysoki, dystygowany pan przechadzał się po ogrodzie, sprawdzając, czy wszystko w porządku. I to wcale się Nicole nie spodobało, bo świadczyło o tym, że dla ojca przyjęcie z okazji jej osiemnastych urodzin to przede wszystkim okazja, by pochwalić się wspaniałym ogrodem. Musiała jednak uczciwie przyznać, że ojciec postarał się, by nie tylko ogród, lecz także i dom wyglądał pięknie na powitanie gości. We wszystkich francuskich oknach ich willi o ścianach koloru ochry paliły się kadzidła, a w sadzawkach w ogrodzie odbijały się różnokolorowe światła papierowych lampionów, rozwieszonych na sznurach między dwiema gigantycznymi plumeriami.

Podeszła do lustra, by jeszcze raz na siebie spojrzeć i zastanowić się, czy nie warto wpiąć we włosy kwiatu fuksji. Tylko jeden, z boku głowy, będzie pasował do jej chińskiej sukienki ze stójką, bardzo obcisłym stanikiem i szeroką, zwiewną spódnicą sięgającą prawie podłogi. Wpiąć czy nie wpiąć? Hm... Znów podeszła do okna i wyjrzała; w chwili gdy w radiu Edith Piaf zaczęła śpiewać *Hymne à l'amour*, podjęła ostateczną decyzję. Nie, nie wepnie. W tym momencie

zauważyła, że do ojca podeszła Sylvie, jej starsza siostra. Szli teraz razem. Tak jak zwykle, ramię w ramię, nachyleni ku sobie i zajęci rozmową. I jak zwykle Nicole poczuła ukłucie zazdrości. Ojciec i Sylvie byli bardzo ze sobą zżyci, podczas gdy ona odsunięta była na boczny tor. Naturalnie. Oczywiście. Ale cóż... Powinna w końcu się z tym pogodzić. Podobnie jak z innym faktem, równie niemiłym: że choćby nie wiadomo jak długo szczotkowała włosy albo myła zęby, i tak nie ona olśniewać będzie urodą, lecz jej starsza siostra o wijących się kasztanowych włosach, pięknie wyrzeźbionych kościach policzkowych i zgrabnym francuskim nosie. Wysoka, smukła, podobna była do francuskiego ojca, podczas gdy Nicole przypominała zmarłą przed wieloma laty matkę Wietnamkę – jej twarz była śniada jak u Azjatki.

No i dobrze, nie ma sensu tymi głupimi myślami psuć sobie tak ważnego dnia! Wyprostowała się i zdecydowanym krokiem wyszła z pokoju. Kiedy po chwili przechodziła przez inny, wielki pokój, gdzie sufit był tak wysoko, że prawie ginął z oczu, poczuła miły chłód, a to za sprawą dwóch wiatraków z błyszczącymi skrzydłami z mosiądzu. Z tego pokoju, tak jak z całego bardzo eleganckiego, zastawionego cennymi antykami domu wychodziło się do ogrodu. Nicole widziała już przez otwarte drzwi swoje koleżanki ze szkoły, Helenę i Francine. Wyraźnie onieśmielone stały z boku i nerwowo poprawiały coś przy włosach. Naturalnie od razu do nich podeszła. Uściskały się, wyciąłowały i zaczęły gadać o chłopakach i egzaminach, które właśnie pozdawały, a w tym czasie ogród wypełniał się gośćmi. Kiedy Nicole odchodziła już od koleżanek, zauważyła paru Francuzów – stali, pili i palili – oraz kilka bogatych Wietnamek w bardzo eleganckich jedwabnych sukniach, przechadzających się po ogrodzie. Zobaczyła też, że do jej

siostry podszedł wysoki, barczysty mężczyzna w jasnym płóciennym garniturze. Musiał coś w sobie mieć, bo Nicole przez chwilę nie mogła oderwać od niego oczu. Wreszcie przygładziła włosy, wyprostowała się i ruszyła w tamtą stronę.

Sylvie, uśmiechając się, dotknęła ramienia mężczyzny.

– Mark? Pozwól, że ci przedstawię Nicole, moją siostrę.

Mark wyciągnął rękę.

– Miło mi. Jestem Mark Jenson. Wiele o tobie słyszałem, Nicole.

Nicole podała rękę i uśmiechając się uprzejmie, spojrzała na mężczyznę. A zaraz potem w bok. Bo spojrzenie jasnoniebieskich oczu było wyjątkowo przenikliwe.

– Mark jest z Nowego Jorku – powiedziała Sylvie. – Tam go poznałam. Mark podróżuje po całym świecie.

– A dziś jestem na twoich urodzinach, prawda, Nicole? – spytał Mark.

Nicole nie spodziewała się, że z wrażenia nie będzie mogła wydobyć z siebie głosu. Na szczęście uratowała ją Sylvie.

– Przepraszam, ale zauważyłam kogoś, z kim koniecznie muszę zamienić kilka słów.

Pomachała do przysadzistej pani stojącej po drugiej stronie ogrodu, potem odwróciła się do Marka i uśmiechnęła prawie uwodzicielsko.

– Nie potrwa to długo. A w tym czasie Nicole dotrzyma ci towarzystwa.

Odeszła, a Mark uśmiechnął się do Nicole – po prostu uprzejmie, ale jej i tak nagle zabrakło tchu. Speszona przestąpiła z nogi na nogę, potem spojrzała w górę, na Marka, starając się za bardzo nie mrugać.

Oczy Marka były szafirowe, w zestawieniu z ciemną opalenizną był to jasny szafir.

– Tak – wydusiła z siebie.

Mark nie odzywał się, tylko dalej patrzył na nią, a ona poczuła się jeszcze bardziej niepewnie i mimo woli dotknęła swojej brody. Może jest pobrudzona albo siadł na niej jakiś robal?

– Nie spodziewałem się, że jesteś taka ładna, Nicole – powiedział wreszcie.

– Och, na pewno nie jestem – bąknęła coraz bardziej zmieszana. Bo niby dlaczego to powiedział? Właśnie to?

– Sylvie opowiadała mi dużo tobie. – Nicole, ku swemu wielkiemu zadowoleniu, poczuła, że w jej głowie wreszcie zaczyna się przejaśniać i jest już w stanie wyciągać słuszne wnioski. Przecież to nic nadzwyczajnego, że Sylvie wspomniała o niej. Każdy lubi opowiadać o swojej rodzinie, zwłaszcza wtedy, gdy ta rodzina w tym momencie jest bardzo daleko.

Uśmiechnęła się.

– W takim razie już wiesz, że jestem w tej rodzinie czarną owcą.

Mark odgarnął opadający mu na prawe oko kosmyk włosów.

– Tego nie wiem, ale o ile sobie przypominam, Sylvie opowiadała o pożarze, o jakimś daszku czy markizie...

– O nie! – Nicole, teraz przerażona, na moment zasłoniła usta ręką. – Naprawdę ci o tym opowiedziała?

Mark się roześmiał.

– No tak!

– Ale ja miałam wtedy trzynaście lat! I to był wypadek! Nie mówmy już o tym. Lepiej opowiedz coś o sobie. Bo to nie fair, że wiesz o mnie niejedno, a ja o tobie nic.

– Można to naprawić – powiedział Mark. – Proponuję, byś oprowadziła mnie po ogrodzie, a ja opowiem ci wszystko, co

chcesz wiedzieć. Będziemy też popijać szampana. Zgoda?

Oczywiście nie miała nic przeciwko temu. Ruszyła wolnym krokiem, czując, że wreszcie zaczyna się odprężyć. Chociaż nie, miała powód do niezadowolenia. Była średniego wzrostu – zaledwie metr pięćdziesiąt osiem – i przy Marku, który na pewno dobijał do dwóch metrów, czuła się malutka. Bardzo żałowała, że nie włożyła pantofli na wysokich obcasach.

Ubrany na biało kelner podszedł z tacą. Mark wziął dwa kieliszki szampana i oba podał Nicole.

– Nie masz nic przeciwko temu, że zapalę?

Nicole się roześmiała.

– Wiesz co? Wcale nie zachowujesz się jak ktoś z Nowego Jorku!

– Bo ja nie jestem z Nowego Jorku. – Mark wyjął z kieszeni paczkę chesterfieldów, zapalił papierosa i odebrał od Nicole swój kieliszek. Dotyk jego palców zrobił na Nicole piorunujące wrażenie. – Jestem z Maine. Tylko z Maine. Mój ojciec ma tam małą farmę i hoduje bydło mleczne.

– A dlaczego stamtąd wyjechałeś? Co było powodem?

– Na pewno żądza przygód. Poza tym po śmierci matki, choć ojciec bardzo się starał, nic nie było już takie jak dawniej.

– Moja matka też umarła – powiedziała cicho Nicole.

Mark pokiwał głową.

– Wiem. Sylvie mówiła mi o tym.

Na moment zapadła cisza. Potem Mark westchnął i uśmiechnął się, tak jakby coś sobie teraz przypomniał.

– Życie na wsi może być ciekawe. Polowania, łowienie ryb i tak dalej. Ale moją pasją był motocykl. Wyścigi na żużlu. Im bardziej niebezpieczna trasa, tym większa frajda.

– I co? Zawsze wychodziłeś z tego obronną ręką?

– A gdzie tam! Ale nigdy nie było to coś poważnego.

Zwykle złamana kostka albo kilka żeber.

Stał tak blisko, że czuła jego zapach. Było to bardzo przyjemne. W ogóle było w nim coś, co sprawiało, że chciało się z nim być. Ale ponieważ wszystko ma swoje dobre i złe strony, zawsze lepiej zachować ostrożność. Stanęła do niego bokiem i spojrzała na ciemnogrnatowe niebo usiane gwiazdami. Nadstawiła też uszu, by posłuchać cykania cykad i szelestu liści drzewa, na którym siedział jakiś nocny ptak. Mark natomiast przeszedł się tam i z powrotem, krokiem niedbałym, jak aktorzy w filmach amerykańskich. Może dlatego, że był wysoki, choć taki chód świadczy też o tym, że człowiek czuje się swobodnie i jest bardzo pewny siebie.

– W Hanoi w maju dopiero kończy się wiosna, a dziś jest tak gorąco, jakbyśmy mieli już lato. Może wolisz wejść do domu, Mark?

– W taki wieczór jak ten? Nigdy!

Roześmiała się, teraz już w doskonałym nastroju. Poczowała się tak swobodnie, że obejrzała mężczyznę dokładniej. Miał kręcone, krótko ostrzyżone jasnobrązowe włosy i bardzo męską twarz, teraz oświetloną blaskiem ognia pochodni, które ktoś w międzyczasie pozapalał.

– Gdzie się zatrzymałeś, Mark?

– W hotelu Métropole przy Boulevard Henri Rivière.

I w tym momencie pojawiła się Sylvie i zabrała go ze sobą. Nicole została sama, co odczuła jakoś bardzo mocno. Dookoła kłębił się tłum gości, a jej ogród nagle wydał się pusty. A kiedy rozległy się dźwięki żywej melodii, raptem przypomniała sobie jedno z ulubionych powiedzonek Lisy, ich kucharki. *Có công mài sắt có ngày nên kim*. Jeśli będziesz polerował kawałek żelaza wystarczająco długo, możesz zrobić z niego igłę. Lisa była Francuzką, znała jednak wietnamski na tyle, że sama robiła

zakupy na rynku, poza tym, bardzo dumna z siebie, często powtarzała jakieś wietnamskie powiedzonka. Dlaczego Nicole przypominała sobie teraz właśnie to o polerowaniu? Nie wiadomo. Ale skoro już o polerowaniu mowa, to może nadszedł czas wypolerować parkiet i po prostu przetańczyć całą noc?

Następnego dnia rano Nicole zeszła po wąskich schodach do labiryntu pokoi w suterynie, a konkretnie do kuchni. Weszła i rozejrzała się dookoła. Wszystko było na swoim miejscu. Na ścianach białe płytki imitujące cegły, na żelaznym drążku zamontowanym w centralnym miejscu rząd błyszczących miedzianych garnków, na oknie nowe zwijane żaluzje. Zielone. A cztery wielkie arkady, świeżo pomalowane, dzieliły kuchnię na mniejsze strefy.

Lisa siedziała wygodnie w swoim fotelu, ustawionym tuż obok drzwi do szklarni, by mogła sobie popatrywać na ukochane grządki z warzywami. Lisa przebywała w tym domu od zawsze i była taka, jaka powinna być kucharka, czyli pulchna. Była po czterdziestce, siwiejące włosy zbierała w koczek na czubku głowy. Ręce miała czerwone od zmywania. Teraz siedziała sobie wygodnie, opierając stopy na podnóżku, i szperała w kieszeni fartucha, niewątpliwie szykując się do wypalenia pierwszego tego dnia papierosa. Jej jedynym zmartwieniem były króliki, jaszczurki i ptaki albo to, że longany na przetwory mają być zebrane w lipcu.

– Nalejesz sobie sama kawy, Nicole?

– Naturalnie! – Nicole wzięła wielki kubek kawy i rozsiadła się na krześle naprzeciwko kucharki. – O, jak dobrze... Bo tego mi właśnie potrzeba...

– Kac?

– Podejrzewam, że tak.

– Wczoraj widziałam cię w towarzystwie mężczyzny, który wyglądał naprawdę interesująco.

– A o którego dokładnie ci chodzi?

Nicole bardzo starała się powstrzymać uśmiech. Niestety, jak zwykle przed Lisą niczego nie można było ukryć.

– Chyba ci się spodobał, Nicole?

– No wiesz... Dobrze, powiem szczerze, choć pewnie wyda ci się to głupie. Miałam takie uczucie, jakbym poznała kogoś, kto może w sposób zasadniczy zmienić moje życie.

Lisa się uśmiechnęła.

– Kto wie... W każdym razie jest bardzo przystojny. Cieszę się, że go poznałaś. Tańczyliście ze sobą?

– Nie. On zresztą bardzo prędko wyszedł.

Niemniej jednak jego krótka obecność spowodowała, że Nicole, która uważała się za istotę wyjątkowo niedoskonałą, po prostu byle jaką, raptem uznała, że nawet jeśli tak jest, to nie ma to wielkiego znaczenia. Najważniejsze, że poznała kogoś takiego jak Mark i że ma przeczucie, iż to króciutkie spotkanie jest początkiem czegoś nowego, czegoś, z czym nie miała jeszcze do czynienia.

– A czym on się zajmuje?

– Nie pytałam – odparła Nicole. Uśmiechnęła się jeszcze raz do Lisy i wstała z krzesła. – Na pewno jest Amerykaninem.

– Znajomy Sylvie?

I w tym momencie usłyszały jakiś rumor w pokoju gospodyni w głębi korytarza.

Nicole się skrzywiła.

– Bettina?

Lisa pokiwała głową. Lisa i Bettina pracowały razem od lat, ale nie za bardzo się kochały. Może dlatego, że były całkiem inne. Lisa pulchna i łagodna, Bettina chuda jak szczapa i dosyć ostra. Poza tym kością niezgody było ich lokum. Sypialnia i salonik Lisy mieściły się obok kuchni. W końcu kuchnia to było jej królestwo. Pokój Bettiny znajdował się o wiele dalej, na

końcu korytarza, i to nie bardzo jej się podobało.

Oprócz Lisy i Bettiny u Duvalów pracowała jeszcze Pauline, pokojówka. Jej domeną były zmywalnia i pralnia. Poza tym sporadycznie pojawiała się tu pomoc kuchenna, wzywana przez Lisę w razie potrzeby.

Nicole, otulając się szczelniej jedwabnym szlafrokiem, otworzyła drzwi do szklarni, z lubością wciągając w nozdrza świeżą woń wilgotnej ziemi i słodki, korzenny zapach smukłego, podobnego do trzciny imbiru. Kiedy usłyszała skrzypienie rikszy, spojrzała na drugie drzwi, te na końcu szklarni. Teraz były otwarte, widziała więc trawę, a na niej kilka śliwodaktyli, już żółtych i dojrzałych, które spadły z drzewa. Spadły tam, gdzie zdaniem Sylvie pochowano kilka osób. Oprócz śliwodaktyli Nicole zobaczyła też stojącą kawałek dalej riksę, z której właśnie wysiadała dziewczynka z warkoczami. Wstążki w jej czarnych włosach powiewały na wietrze. Była to Yvette, córka piekarza. Kiedy dziewczynka weszła do kuchni, od razu zapachniało świeżymi maślanymi bułeczkami.

Nicole podsunęła dwa krzesła do wyszorowanego sosnowego stołu, na którym Lisa postawiła już dwa talerzyki. Na jednym leżała słodka bułka z czekoladowym nadzieniem dla Nicole, na drugim kromka białego chleba z masłem i miodem dla Yvette. Yvette, mimo że miała dopiero dziesięć lat, sama przywoziła im słodkie wypieki na sobotę. Tych wypieków było niemało. Tarty z kremem angielskim, chrupiące rogaliki z francuskiego ciasta, słodkie bułeczki z czekoladowym nadzieniem, a także bułeczki maślane i chleb, który smarowało się dżemem albo konfiturami. Matka Yvette była Wietnamką, zginęła podczas wojny z rąk Japończyków. Na szczęście Yvette miała kochającego ojca, który bardzo starał się być dla niej i ojcem, i matką.

Nicole bardzo lubiła Yvette, a także jej pieska, jeszcze szczeniaczka, o imieniu Trophy, który naturalnie też przyjechał riksą. Wbiegł do kuchni, przez chwilę węszył i nagle wskoczył na krzesło.

– Niedobry pies, niedobry! – zawołała Yvette, wymachując pięścią, ale Trophy z rogalikiem w pysku zniknął już pod stołem.

Nicole się zaśmiała.

– Dobry czy niedobry, jest śliczny i uroczy.

– Oczywiście! – odparła dumna właścicielka. – Nicole, wczoraj było u was przyjęcie, prawda? Szkoda, że mam dopiero dziesięć lat. Gdybym była starsza, zaprosiłabyś mnie, prawda? I jak było, Nicole? Wytańczyłaś się?

– Prawdę mówiąc, wieczór był taki piękny, że wszyscy woleli siedzieć w ogrodzie. Ale później trochę potańczyliśmy.

Yvette zasadniczo nie wolno było jeść u nich śniadania, ale i tak jadła, bo wszystkie trzy bardzo lubiły posiedzieć razem, porozmawiać. Nie mogło to jednak trwać za długo, przecież na dziewczynkę czekał ojciec i mógłby się niepokoić.

Lisa spojrzała na zegarek.

– Yvette! Lepiej zmykaj już do domu!

Nicole zamierzała zaprotestować, ale Yvette już zerwała się z krzesła. Trophy też poderwał się z podłogi z głośnym szczekaniem.

– Trophy, cicho bądź, bo obudzisz cały dom – skarciła go dziewczynka. Wzięła pieska na rękę, piesek polizał jej buzię i Yvette wybiegła z kuchni. Kiedy znikła z pola widzenia, Nicole cmoknęła Lisę w policzek. Ot tak, po prostu.

– Moja kochana dziewczynka – powiedziała rozczulona Lisa. – Nie mogę uwierzyć, że masz już osiemnaście lat! Jeszcze tak niedawno byłaś malutka...

Nicole się uśmiechnęła.

– Niestety, już nie jestem. Osiemnastka na karku, mam więc wiele ważnych rzeczy do zrobienia.

– Na przykład co?

– Przede wszystkim zastanowić się nad swoim dalszym życiem.

– A... rozumiem! Czyżby to twoje dalsze życie miało być związane z pewnym młodym Amerykaninem?

– Z nim? Przecież ja nawet nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze się z nim zobaczę!

Bo to fakt. Nicole nie wiedziała, jak długo Mark będzie w Hanoi. Mogła tylko mieć nadzieję, że to miasto jezior, stawów i sadzawek, zwane przez Francuzów Paryżem Orientu, zauroczy również tego młodego Amerykanina.

Do kolacji zasiadły tylko trzy osoby, dlatego nakryto w mniejszym pokoju jadalnym. W willi Duvalów były dwa takie pokoje; z okna w tym mniejszym widać było koło sadzawki z wodnymi liliami krytą strzechą altanę. W altanie stał stolik ze szklanym blatem i wyjątkowo duże plecione fotele.

Umeblowanie pokoju jadalnego, oprócz stołu i krzeseł, stanowił pięknie rzeźbiony parawan z laki, za którym ustawiono małe biurko i kanapę. Był to ulubiony kącik do pisania Sylvie.

Nicole, zanim siadła do stołu, przyglądała włosy. Nie miała przecież czasu na czesanie, skoro książka, którą czytała, była tak interesująca. Potem spojrzała w sufit, na którym namalowano białe obłoki i aniołki fruujące wokół wiatraka. Ten sufit nigdy się jej nie podobał.

I nagle usłyszała przeraźliwy krzyk pawi sąsiadki, pani Hoi.

– O, znowu skrzeczą! – sarknął ojciec. – To jest nie do wytrzymania!

– Ale one są śliczne, papo – zaprotestowała Nicole.

– Przede wszystkim głośne! Dlaczego ona trzyma je

w ogrodzie? Szlag mnie trafia, kiedy tak się drą!

– Papa ma rację – powiedziała Sylvie. – One okropnie przeszkadzają.

Potem przez jakiś czas jedli już w ciszy. I w temperaturze stanowczo za wysokiej, mimo że wiatrak, choć powoli, obracał się bez przerwy. Grube jedwabne story były rozsunięte i przewiązane złocistymi sznurami z chwostami, a cienkie muślinowe firanki poruszały się prawie niewidocznie, ale był to dowód, że jakiś wietrzyk jednak wiał.

I co z tego, skoro było piekielnie gorąco. Poza tym pawie po krótkiej przerwie znów zaczęły krzyczeć, w związku z czym ojciec był w coraz gorszym nastroju. Kończyli deser, gdy przesunął wzrokiem po twarzach córek i powiedział:

– Dobrze, że jesteście tu obie.

Siostry wymieniły się spojrzeniami, zaniepokojone, bo to, co ostatnio działo się w tym domu, było niepokojące. Co i rusz pojawiał się jakiś chudy, spięty mężczyzna ubrany w wojskową biel i przekazywał ojcu jakieś wiadomości. Telefon dzwonił bez przerwy, a ojciec był coraz bardziej zdenerwowany. Poza tym do domu nagle zaczęło przychodzić o wiele więcej Amerykanów i Nicole doszła do wniosku, że muszą to być ludzie z Centralnej Agencji Wywiadowczej. Kiedy spytała o to Sylvie, siostra odpowiedziała coś wymijająco, czyli też nie wiedziała, co się za tym kryje.

Ojciec poprawił się na krześle i odchrząknął.

– Nicole, skończyłaś już osiemnaście lat, chciałbym, żebyś i ty wiedziała o moich planach biznesowych. Mogłem z tym poczekać, aż skończysz dwadzieścia jeden lat, ale uznałem, że w związku z zaistniałą sytuacją powinienem to zrobić teraz.

– Co to za sytuacja, papo? – spytała Sylvie.

– Będę pracował teraz u gubernatora, nie mogę więc sam

pilnować naszego interesu.

– A co dokładnie będziesz robił, papo? – spytała Nicole.

– Tego nie mogę powiedzieć, bo to ściśle tajne. Powiem wam tylko, że przydzielono mi pewne zadanie. Wybrano mnie, ponieważ mam liczne kontakty wśród Wietnamczyków. Dla mnie to wielki zaszczyt, że mogę coś zrobić dla Francji.

– Ale będziesz tu, w Hanoi?

– Tak, zasadniczo tutaj. A wracając do naszej firmy, to, jak powiedziałem, nie będę miał czasu jej prowadzić, dlatego ktoś powinien ją natychmiast przejąć. Jedna osoba. Moim zdaniem tak będzie najlepiej. Postanowiłem, że firmę poprowadzi Sylvie, ponieważ jest starsza.

Nicole spojrzała na siostrę. Sylvie miała głowę spuszczoną i skubała serwetkę.

– Z końcem roku wszystko przepiszę na Sylvie, z tym że ty, Nicole, też coś dostaniesz. Poprowadzisz mały sklep z jedwabiem w starej dzielnicy.

– A dlaczego, papo, nie mogę razem z Sylvie zarządzać firmą? Zawsze o tym marzyłam.

– Bo, jak powiedziałem, powinna być to jedna osoba. I będzie to Sylvie, ponieważ jest od ciebie starsza i mądrzejsza, poza tym ma już doświadczenie, zwłaszcza jeśli chodzi o rynek amerykański. Gdybyś w liceum uczyła się tak pilnie jak Sylvie, miałabyś więcej możliwości. Ale jest, jak jest, i musisz się z tym pogodzić.

– Czyli to Sylvie będzie zarządzać Maison Duval?

– Tak.

A więc będzie kierować firmą, którą Nicole uwielbiała. Domem towarowym Duvalów przy Rue Paul Bert, często zwanej Polami Elizejskimi. W imponującym gmachu z pięknym sklepionym sufitem, lśniącoymi schodami z tekowego drewna

i eleganckimi balkonami na piętrach.

– I czym jeszcze będzie zajmować się Sylvie, papo?

– Eksport, import... – zaczął wyliczać ojciec, patrząc gdzieś ponad jej głową. – Centrum handlowe w dzielnicy francuskiej....

Czyli znów porażka. Eksport, import. Tym właśnie zajmowało się ich przedstawicielstwo w Hué i to tam Nicole widziała siebie w przyszłości.

– Ależ tato, miałam nadzieję, że kiedyś ja zajmę się zakupem towaru. Przecież kiedy Sylvie była w Ameryce, zabrałeś mnie do jedwabnych wiosek. Nie pamiętasz?

Ojciec sięgnął do kieszeni, wyjął cygaro i postukał nim o stół.

– Przykro mi, że cię rozczarowałem, *chérie*, ale będzie tak, jak postanowiłem. A ty masz trzy możliwości. Albo będziesz uczyć się dalej, albo przejmiesz sklep z jedwabiem w starej dzielnicy, albo znajdę ci jakiegoś sympatycznego wietnamskiego męża.

Naturalnie był to żart, ale Nicole i tak z trudem powstrzymywała łzy.

– Myślałam, że tego sklepu nie będziemy już otwierać.

I znowu rozległ się krzyk pawia. Ojciec, teraz już wściekły, wydał policzki i zacisnął palce na krawędzi stołu tak mocno, że skóra na kostkach zbieleła.

– Niech szlag trafi te ptaszyska!

Nicole nie odzywała się, przepełniona goryczą. Zawsze tak jest. To Sylvie pojechała do Francji, Nicole oczywiście nie. Co prawda było to zaraz po tym, jak Nicole niechcący podpaliła markizę podczas przyjęcia urodzinowego Sylvie, która kończyła osiemnaście lat.

Ojciec wstał.

– Kończcie jeść, potem Lisa poda wam kawę. Ja wypiję swoją w gabinecie. Nicole, nie rób takiej nieszczęśliwej miny. Powtarzam jeszcze raz. Sylvie jest od ciebie starsza o pięć lat i to już mówi samo za siebie. Poza tym można na niej polegać. I zawsze przykładała się do nauki. A ty? Ty tuż przed egzaminami znikasz na wiele dni, bo raptem zachciało ci się wyjechać z tą twoją równie mądrą przyjaciółką! Szukali was wszyscy policjanci w tym mieście, a wy spokojnie wsiadłyście sobie do autobusu do Sajgonu. I do głowy ci nie przyszło, że będziemy szaleć z niepokoju. Wszystko przecież mogło się zdarzyć.

Nicole spuściła głowę. Czy oni już nigdy jej tego nie wybaczą?

– Wiem. Przepraszam. Bardzo przepraszam. Po prostu nie pomyślałam.

– Więc zacznij już myśleć. Mam nadzieję, że ze swoich błędów wyciągnęłaś jakieś wnioski.

– Oczywiście, papo.

– Zajmiesz się więc teraz sklepem. Jeśli dobrze ci pójdzie, zastanowimy się, co mogłabyś jeszcze robić.

Następnego dnia temperatura podskoczyła do trzydziestu dwóch stopni, a może nawet więcej. Nicole weszła do holu i zatrzymała się na moment, śledząc wzrokiem jaszczurkę z wyłupiastymi ślepkami, która wspięła się po ścianie, wbiegła do pokoju i znikła za jedną z paproci. Czyli mądra jaszczurka. Na dworze upał niemiłosierny, duszno i parno, a tu, w holu, zbawienny chłód, chociażby dlatego, że posadzka z płytek nigdy się nie nagrzewa. Stoją tu wielkie paprocie w donicach, zamiast sufitu jest szklana kopuła, przez którą przedostaje się dzieńne światło, i dlatego hol wygląda jak zacieniony ogród.

Nicole wzięła z tacki inkrustowanej masą perłową swoje klucze, obciągnęła sukienkę i wsunęła stopy w pantofle na wysokich obcasach. Bo co z tego, że gorąco, skoro trzeba się przejść i na spokojnie przemyśleć to, co przekazał ojciec. I nie chodzić tylko wokół domu, lecz iść na porządny spacer, najlepiej do śródmieścia. Kiedy wyszła na ulicę, odwróciła się, by spojrzeć na dom. W jednym z okien zauważyła Lisę podciągającą zielone żaluzje. A cała dwupiętrowa willa, niedawno pomalowana na kolor ochry, błyszczała w słońcu. Szeroki okap dachu stanowił zadaszenie werandy okalającej cały dom. Dom był całkowicie w stylu francuskim, miał tylko jeden akcent indochiński: polakierowane na czerwono panele po obu stronach drzwi na parterze, ozdobione złocistymi listkami.

Ruszyła w stronę śródmieścia. Kiedy minęła kilka przecznic, usłyszała krzyk. Oczywiście zwolniła i zaczęła nasłuchiwać. Było cicho, a więc chyba jej się tylko wydawało. Nie, bo znów rozległ się krzyk, a potem pisk dobiegający z bocznej uliczki, którą właśnie minęła. Cofnęła się więc, ale

niczego podejrzanego nie zauważyła, a więc to na pewno były rozbawione dzieci. Ruszyła znów przed siebie, ale ten ktoś krzychał coraz głośniejszym głosem, więc ponownie cofnęła się do bocznej uliczki. Asfalt był tu popękany, szyby w oknach powybijane, czyli była to jedna z kilku ulic zniszczonych podczas drugiej wojny światowej, a także później, podczas starć z Viet Minhem, które nie zostały jeszcze doprowadzone do porządku.

Zdjęła buty i zaczęła przeskakiwać przez dziury w asfalcie, by dotrzeć do zakrętu, gdzie rosły drzewa zasłaniające dalszą część uliczki. Nie jest łatwo skakać, kiedy ma się na sobie tak obcisłą sukienkę, ale dotarła do celu i zobaczyła tam kilku nastoletnich chłopców, Francuzów, bardzo czymś zaaferowanych. Kiedy podeszła bliżej, przeraziła się, bo chłopcy wyraźnie atakowali stojącą pod murem dziewczynkę w jasnoniebieskiej sukience, niewątpliwie dużo od nich młodszą.

– Metyska, metyska! – zawołał jeden z chłopców. Reszta to podchwyciła, wykrzykując z pogardą: – Metyska! Brudna, śmierdząca metyska! Wynoś się stąd! Wracaj, skąd przyszłaś!

Dziewczynka odwróciła się i Nicole zobaczyła jej zalaną łzami twarz. Na moment zabrakło jej tchu. Przecież to Yvette! Yvette!

W sekundę była przy nich. Chłopcy na jej widok cofnęli się, ale nie wszyscy. Dwóch największych nadal napastowało dziewczynkę. Jeden z nich chwycił za warkocz, z którego wysunęła się niebieska wstążka.

– Puść ją! – zawołała Nicole, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej stanowczo. Była tak zła, że nie docierały do niej dźwięki klaksonów samochodów, skrzypienie riksza i inne odgłosy miasta. Słyszała tylko bicie swego serca.

– Nie słuchajcie jej! – zawołał najwyższy z chłopców. – Przecież ona sama jest metyską!

Nicole poczuła zapach alkoholu. Spojrzała na ziemię i wśród liści i kawałków cementu zauważyła butelki po winie i niedopałki.

– Ale przecież jej ojciec... – zaczął jakiś inny chłopiec, i w tym momencie już ją całkowicie poniosło. Rzuciła się do tego najwyższego chłopaka, chwyciła go za kołnierz i zaczęła walić w niego butami, które na szczęście trzymała w ręku.

– Mój ojciec doniesie na ciebie na policję!

Nie zrobiło to na nim specjalnego wrażenia. Dalej się z nią szarpał, póki nie dostał obcasem w skroń. Wtedy znieruchomiał na moment, a kiedy dotknął ręką skroni i zobaczył na palcach krew, zaczął jęczeć.

Nicole zmrużyła oczy.

– Jeśli jeszcze jej dotkniesz...

Chłopak, owszem, pokazał jej środkowy palec, ale zaczął się wycofywać. A ona tymczasem wrzeszczała:

– Dranie! Nędzne tchórze! Potraficie tylko rzucać się na małe dziewczynki! Rzeczywiście, jesteście bardzo odważni!

Wtedy jeden z nich zaczął do niej podchodzić. Do tej pory trzymał się z tyłu i nie był taki napastliwy. Ten chudy, dobrze ubrany chłopak wydał jej się znajomy. A kiedy zobaczyła, co trzyma w ręku, natychmiast krzyknęła do Yvette:

– Uciekaj, Yvette! Najszybciej, jak potrafisz!

Yvette się zawahała.

– Uciekaj! Słyszysz?! Uciekaj!

Kiedy dziewczynka wreszcie odwróciła się i zaczęła biec, Nicole wyprostowała się, skrzyżowała ramiona i stanęła na lekko rozstawionych nogach. Chłopak, wymachując nożem, najpierw zaśmiał się szyderczo, potem rzucił się na nią. Nicole zrobiła unik. Udało się jej chwycić go za rękę i wykręcić ją do tyłu.

– Ejże! To boli! – krzyknął.

– Rzuć nóż!

Zaczął się szarpać, niestety skutecznie, bo nie tylko się uwolnił, ale drasnął ją też w policzek i pchnął na ziemię. Kiedy zszokowana dotykała poranionej twarzy, zauważyła, że ktoś przebiegł obok niej. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła wysokiego, silnego mężczyznę, który trzymał chłopaka za gardło.

Tym mężczyzną był... Mark Jenson!

– Rzuć nóż, sukinsynu! – krzyknął.

Chłopak, wybałuszając oczy, zacharczał. Nicole też była przerażona, przecież wyglądało to tak, jakby Amerykanin miał zamiar udusić chłopaka. Na szczęście kiedy już otwierała usta, by go powstrzymać – przecież to tylko pogorszyłoby sytuację! – mężczyzna puścił chłopaka, jednocześnie odpychając go od siebie. Ten zachwiał się, ale nie upadł. Przez chwilę mężczyzna i nastolatek mierzyli się wzrokiem. Nicole, patrząc na nich, miała wrażenie, jakby nagle słońce skryło się za chmurami i zrobiło się nieco chłodniej, chociaż niebo nadal było błękitne. Ale to jej zrobiło się zimno i pot pokrył czoło, bo chłopak nadal wymachiwał nożem i była pewna, że jeszcze tylko ułamek sekundy i rzuci się na Amerykanina.

Po chwili napięcia chłopak wreszcie poszedł po rozum do głowy i rzucił nóż. Wtedy Mark zrobił krok w jego stronę i pogroził mu pięścią.

– Znikaj stąd! Już cię tu nie ma!

Chłopak pobiegł. Reszta łobuzów naturalnie uciekła już wcześniej.

Mężczyzna nachylił się nad Nicole.

– Idziemy – powiedział. Kiedy objął ją w pól, by pomóc przy wstawaniu, poczuła przez cienki materiał sukienki ciepło

jego palców.

– Sama wstanę – mruknęła, choć pomoc wydawała się niezbędna. Była przecież zupełnie wykończona. I fizycznie, i psychicznie. Przecież rzucono jej w twarz pogardliwe określenie „metyska”! Tak nazywano dzieci z mieszanych małżeństw. Przedtem, zanim Viet Minh na krótko przejął władzę, tej wrogości nie było, ale teraz dla Francuzów podejrzany był każdy, kto przypominał Wietnamczyka. Sylvie, która wyglądała prawie jak stuprocentowa Francuzka, nie miała takich problemów jak Nicole. Tego dnia nie po raz pierwszy jej urągano, a zawsze, kiedy to się zdarzyło, czuła się zagubiona i niepewna.

Mark starł krew z jej policzka, potem wytarł palce chusteczką.

– Dziękuję – powiedziała cicho i podjęła próbę doprowadzenia rozwichrzonych włosów do porządku, czyli upięcia ich nad karkiem, co nigdy jej nie wychodziło idealnie. Nic więc dziwnego, że tym razem też się nie udało. Kiedy wygładzała spódniczkę, nagle ją olśniło. Przecież ten chłopak z nożem to Daniel Giraud, syn komendanta policji. I bliskiego znajomego ojca Nicole. O nie, gorzej już być nie może!

– Idziemy, Nicole – powiedział Mark. – Teraz oboje musimy się napić. Pomógł jej podczas przechodzenia przez wyrwy w zniszczonym wojnami asfalcie w zaułku i po chwili weszli w Boulevard Henri Rivière, gdzie mogli skryć się w cieniu tamaryndowców. Kiedy zbliżali się już do hotelu, Mark zwolnił.

– Jak się czujesz, Nicole?

– Nie ukrywam, że jestem trochę tym wszystkim wstrząśnięta.

Przystanąła, by przyjrzeć się mu dokładniej. Miał na sobie

jasną koszulę w kratę, lniane spodnie i był ogolony jak Amerykanin. Tak, bo tylko Amerykanie potrafią się ogolić tak starannie, tak gładko. W tym codziennym ubraniu Mark wyglądał równie dobrze jak w wizytowym garniturze. Może nawet lepiej, stwierdziła w duchu Nicole i spojrzała teraz na drugą stronę ulicy, na siedzibę Wysokiego Komisarza Francji. Z nadzieją, że jej ojca tam nie ma.

A potem razem z Markiem weszli przez wielkie przeszklone drzwi do Métropole Hotel. Mark przygładził włosy i wskazał na kawiarniane stoliki w hotelowym holu.

– Siadamy. Herbata czy coś mocniejszego?

Nicole uśmiechnęła się i ona z kolei wskazała na francuskie okna na tyłach sali, za którymi widać było szerokie portyki okalające hotelowy ogród.

– Herbata na dworze, gdzieś w cieniu.

Oczywiście. Jeśli usiądą na werandzie, będą mieli dodatkową przyjemność, bo posłuchają małego bandu, który właśnie ćwiczył kawałki do tańca przeplatane piosenkami Nata Kinga Cole'a.

Weszli na werandę i Mark podsunął Nicole krzesło. Wtedy poczuła ten jego słodko-gorzki zapach, coś jak anyż i cytryny.

Przy sąsiednim stoliku siedziało trzech francuskich oficerów zajętych rozmową. Jeden z nich, śmiejąc się głośno, uniósł cygaro i smużka pachnącego dymu doleciała do Nicole. Taki głupi żar, ale demonstracyjnie pociągnęła nosem, uśmiechnęła się do oficera i szybko odwróciła się do Marka.

– Co sądzisz o naszym mieście? Podoba ci się Hanoi?

– Tak. To fantastyczne miejsce, jeśli chodzi o jedwab.

– Czyżbyś zajmował się właśnie jedwabiem?

– Tak. Przyjechałem tu właśnie na jego poszukiwanie.

– I znajdziesz, bo mamy tu cudowny jedwab, z tym że ja

poszukałabym jedwabiu także w Chinach i Indiach. Byłeś tam kiedyś?

Gawędzili, popijając herbatę, a Nicole zerknęła spod długiej, gęstej grzywki na swego rozmówcę. Mark był bardzo przystojny, choć rysy jego twarzy wcale nie były regularne. Broda wydawała się trochę zbyt kanciasta, ale nos prosty, zgrabny. Koło oczu miał już delikatne zmarszczki, o wiele głębsze, kiedy się uśmiechał. Wodził spojrzeniem po całej werandzie. Czy przyglądał się gościom, żeby się do nich dopasować? Wiedziała coś o tym. Przecież ona zawsze chciała wyglądać jak Francuzka i dlatego starała się przyswoić jak najwięcej charakterystycznych gestów, póz czy zachowań, na przykład podrzucanie głową czy typową dla francuskich kobiet wyniosłość. W praktyce nie bardzo jej to jednak wychodziło – wiadomo, że tak naprawdę trzeba to w sobie mieć i po prostu tym emanować.

Kiedy Mark znów spojrzał na nią, zauważyła, że ma podkrążone oczy, co sprawiało, że wyglądał dojrzałej. Tak, na pewno nie był to chłopak, lecz mężczyzna, i to właśnie było dla Nicole bardzo pociągające.

– A co ty myślisz o Hanoi, Nicole?

– No cóż... Mieszkamy tu dopiero od pięciu lat. Przedtem żyliśmy w Hué i przyjeżdżaliśmy tu tylko na święta Bożego Narodzenia. Teraz mieszkamy na stałe, ale ja bardzo chciałabym jeździć po świecie i oczywiście kupować jedwab. Wcale nie marzę o tym, by mieszkać w Hanoi do końca moich dni!

W tym momencie podszedł do nich jakiś mężczyzna z papierosem w ustach i coś powiedział do Marka w obcym języku, który musiał być dla niego zrozumiały, bo wyjął z kieszeni zapalniczkę i podał mężczyźnie ognia. Potem Mark też powiedział parę słów w tym samym języku – dla Nicole

brzmiał jak rosyjski – i po wymianie jeszcze kilku zdań mężczyzna wzruszył ramionami i odszedł. Nicole nie zrozumiała ani jednego słowa, mimo to odniosła wrażenie, że w tej dyskusji, czy może nawet sporze, Mark zwyciężył.

– Mówiliście po rosyjsku, prawda? – zagadnęła, kiedy tylko mężczyzna z papierosem znalazł się w bezpiecznej odległości. – Skąd znasz ten język, Mark?

– Moja matka była Rosjanką. Białą Rosjanką. Jej ojciec, profesor uniwersytetu, został zabity wraz z żoną podczas rewolucji. Moja matka uciekła wtedy przed bolszewikami do Ameryki.

– A twój ojciec jest Amerykaninem?

– Tak. Wyszła za niego w krótkim czasie po przyjeździe do Ameryki. I bardzo prędko ja pojawiłem się na świecie.

Czuło się, że na te tematy nie lubi rozmawiać, dlatego Nicole spytała teraz o coś innego.

– Mark, jak długo zamierzasz pozostać w Hanoi?

– Jeszcze nie wiem. Tak długo, jak będzie to konieczne.

Do stolika podszedł kelner ze srebrną tacą, na której stały biały czajnik z pachnącą jaśminową herbatą i filiżanki na spodeczkach. Kiedy Mark zamieniał kilka słów z kelnerem, Nicole zerknęła na jego ręce. Nie były to szczupłe, wypielęgnowane dłonie kogoś, kto siedzi za biurkiem, lecz duże, silne ręce, nawykłe do pracy fizycznej.

Herbatę pili w milczeniu. Kiedy skończyli, Mark westchnął, spojrział na zegarek, potem na Nicole i zmarszczki koło jego oczu stały się bardziej widoczne, kiedy się uśmiechnął.

– Bardzo się cieszę z naszego spotkania. Jesteś dla mnie jak powiew świeżego powietrza.

Nicole, trochę speszona, poprawiła się na krześle, starannie unikając spojrzenia Marka. Bo spojrzenie to było bardzo

przenikliwie. Miała wrażenie, że zagląda w głąb jej duszy, a ona wcale nie miała zamiaru tej duszy przed nim obnażyć. Bo i po co? Czy ona, Nicole Duval, jest w stanie wzbudzić zainteresowanie swoją osobą kogoś takiego jak Mark? Raczej nie.

Kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że Mark poprawia krawat i przygląda włosy.

– Musisz już iść?

– Tak. Wybacz, ale mam spotkanie biznesowe. Jestem już spóźniony. Było mi bardzo miło spotkać się z tobą. Powiedz mi jeszcze, jak się czujesz. Doszłaś już do siebie? Może wezwać taksówkę?

Nicole się zaśmiała.

– A wiesz, że ja o tych łobuzach całkiem zapomniałam?

– Świetnie. I jeszcze jedno pytanie. Masz ochotę umówić się ze mną na poranną kawę?

– Czemu nie?

– Może za trzy dni, o wpół do dziesiątej. Spotkajmy się przy fontannie koło tego hotelu.

Długa, ale bardzo przyjemna wędrówka urokliwymi uliczkami, gdzie pachniało imbirem i dymem z węgla, dobiegła końca. Nicole Duval dotarła do samego serca starej dzielnicy wietnamskiej, czyli na targ, miejsce wyjątkowo gwarne, kolorowe i fascynujące. Handlarki bardzo głośno zachwalały swój towar wyłożony na wózkach wymoszczonych słomą i przykrytych brezentową płachtą: na przykład skarpety, szale i szpulki nici. Mężczyźni siedzieli na niziutkich stołkach i grali w kości na chodniku. A w bambusowych klatkach zawieszonych na markizach przed małymi, wąskimi sklepikami rezydowały rozśpiewane kanarki. Cały targ zalany był słońcem, w jego blasku doskonale było widać wirujące w rozedrganym powietrzu pyłki.

Ten miły, kolorowy obrazek wcale nie poprawił Nicole humoru. Była bardzo rozczarowana decyzją ojca, który wyraźnie faworyzował starszą córkę. Młodsza miała tylko poprowadzić sklep, a właściwie sklepik. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że większość osiemnastolatków byłaby z tego bardzo zadowolona, ale ona przecież liczyła na coś więcej. Ale cóż... stało się. Niczego już nie zmieni. I dlatego dziś postanowiła zajrzeć do tego sklepu, od kilku lat zamkniętego na cztery spusty. Był już zamknięty, kiedy po zakończeniu drugiej wojny światowej Japończycy wycofali swoje wojska i Ho Chi Minh ogłosił niepodległość. Wietnamczycy nie cieszyli się nią jednak długo, bo już wkrótce Francuzi, wspierani przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone, odzyskali Indochiny – imperium kolonialne, które stworzyli w dziewiętnastym wieku. Przybyli tu ze swoją *mission civilisatrice*, czyli misją cywilizacyjną,

i dokonali wielkich zmian. Budowali drogi, szkoły, szpitale. Ten czas odcisnął piętno na całym życiu Nicole – córki ojca Francuza i matki Wietnamki. Była zbyt wietnamska, by utożsamiać się z Francuzami, jednocześnie zbyt francuska, by zostać uznana za Wietnamkę. Przed wojną nie miało to wielkiego znaczenia, teraz jednak, w atmosferze wzajemnych podejrzeń, było to ważne.

Spojrzała na kilka młodych wietnamskich dziewczyn w stożkowatych kapeluszach. Sprzedawały smażoną cebulę i rosół, a że klientów było sporo, uwijały się jak w ukropie. Pod kapeluszami dostrzegła niby niebrzydkie, ale takie nijakie, kompletnie pozbawione wyrazu twarze Wietnamek. Ona też miała taką twarz...

Nagle gdzieś z tyłu usłyszała przeraźliwy kwik. Obejrzała się i zobaczyła tłustego prosiaka, któremu udało się uciec z prowizorycznego kojca. Przeleciał przez jezdnię i biegł teraz wzdłuż klatek z kurczakami. Kurczaki zaczęły gdakać, machając skrzydłami. Za prosiakiem biegła jego właścicielka, pokrzykując i złorzecząc. Czyli prawdziwy dramat! Nicole, rozbawiona, wreszcie się uśmiechnęła i poczuła, że robi się jej lżej na duszy. Bo może wcale nie będzie tak źle, skoro już dostrzegła coś pozytywnego. Bardzo dobrze, że ten sklep jest blisko targu, gdzie bez przerwy coś się dzieje. Na pewno nie będzie nudno.

A stara dzielnica to sam urok: gdziekolwiek spojrzysz, widzisz faliste dachy wąskich domów, stłoczonych jak pijane kostki do domina. Nicole kochała te stare uliczki, w sumie trzydzieści sześć; na każdej z nich sprzedawano coś innego. W uliczce Hang Non kapelusze, przy Hang Dong miedziane talerze i tace, a przy Hang Gai, zwanej przez Francuzów Rue de la Soie, mieszkali farbiarze jedwabiu.

Na straganie w uliczce Hang Doung kupiła lukrowaną

drożdżówkę posypaną wiórkami kokosowymi i żując ją powoli, ruszyła dalej, aż doszła do jednego z trzech sklepów w Hanoi należących do Duvalów. Tego najstarszego i najmniejszego.

Nie weszła od razu do środka, tylko usiadła na schodkach. Był maj, samo południe. Parno, ale jednocześnie pięknie, słonecznie. A uliczka tętniła życiem. Zewsząd dochodziły śmiechy, pokrzykiwania, muzyka z radia. Ludzi było mnóstwo, także rowerów i zwierząt, a w powietrzu unosił się słodki zapach lotosu. Tak słodki, że Nicole zrobiło się już prawie lekko na duszy.

W sklepiku obok dwie kobiety – niewątpliwie matka i córka – sprzedawały nici. Jedna z nich, ta młodsza, podeszła do Nicole. Była to drobna dziewczyna o delikatnej urodzie i z pięknym grubym warkoczem.

– Witaj! Czy to twój sklep?

Nicole wstała i skłoniła głowę.

– Tak. Teraz jest to mój sklep.

– Otworzysz go? To dobrze. Nie powinno się na tak długo pozostawiać zamkniętego sklepu.

Nicole spojrzała na bele wyblakłego jedwabiu, nadal wyłożone w oknie wystawowym na piętrze.

– Chyba tak.

Dziewczyna uśmiechnęła się i powiedziała:

– Nazywam się O-Lan. Dasz się zaprosić na kawę?

Była bardzo miła i uśmiechała się tak promiennie, że Nicole po prostu nie mogła jej odmówić.

– Dziękuję. Właśnie marzyłam o kawie, ale najpierw zajrzę do sklepu, dobrze?

– Naturalnie! A więc czekam!

Nicole, zanim weszła do środka, jeszcze raz spojrzała na śliczne ptaki wyhaftowane na wyblakłym jedwabiu w oknie

wystawowym. Wkrótce to się zmieni. Już niebawem półki zaczną uginać się pod ciężarem bel nowego, błyszczącego jedwabiu, a wiatr wydymać będzie nowe firanki. Tak, tak właśnie będzie.

Okazało się, że w środku wcale nie jest tak tragicznie. Owszem, był bałagan, ale na pewno nie taki, jakiego się spodziewała. Zadowolona, pozapalała wszystkie światła, podciągnęła żaluzje w oknach od frontu, potem otworzyła drzwi na tyłach domu, które prowadziły na małe podwórko. Żeby wyjść, najpierw musiała odsunąć na bok pnące obsypane żółtymi kwiatami, które pięło się po wszystkich murach dookoła, zasłaniając do połowy okna na piętrze. Co zobaczyła najpierw? Koty. Okazało się, że podwórko zamieszkuje kilkanaście kotów, wylegających się teraz na kamiennych płytach. Oprócz kotów zobaczyła też wygasły piec ziemny i kilka obtłuczonych glinianych garnków stojących na ławce, a na środku podwórka studnię. Czyli podwórko służyło kiedyś jako kuchnia pod gołym niebem. Zajrzała jeszcze do łazienki, kuchni – tej pod dachem – i do pokoju dla służących. W spiżarni zauważyła zamknięte na zasuwę drzwi. Okazało się, że za drzwiami była wąska alejka. A potem dokonała jeszcze jednego odkrycia. Balkon O-Lan był zastawiony doniczkami chryzantem, pomarańczowych i złocistych. Zainspirowana tym widokiem Nicole podjęła decyzję: u niej też tak będzie. Oczywiście! Jej sklep będzie tonął w jedwabiu i kwiatach!

Po niespokojnej nocy Nicole obudziła się bardzo wcześnie. O wiele za wcześnie, ale znów miała ten sam, powracający uporczywie sen, choć tym razem nie obudziła się zlana potem. Śnił się jej bezwietrzny dzień, a nad rzeką unosiła się liliowa mgła. Nicole powoli opadała w wodzie, oddalając się coraz bardziej od jej liliowej powierzchni złoconej słońcem. W tym śnie obowiązywała zasada, że nie należy z niczym walczyć. Trzeba poddać się temu, co nieuniknione. Czyli niby spokój, ale jednocześnie okropnie cuchnęło rybami, a poza tym na sekundę pojawiła się Sylvie, i to całkowicie zbiło Nicole z tropu. Kiedy się obudziła, dalej czuła się nijako. Słyszała oczywiście, że podobno, kiedy śni nam się nasza własna śmierć, na pewno nie umieramy. Po prostu śnimy o tym. No tak... ale bywa przecież i tak, że ktoś zaśnie i nigdy już się nie obudzi. Czyli śmierć i we śnie, i na jawie zawsze jest zagadką...

Ten sen przybył tu za nią z Hué... Tamtego dnia, kiedy przeprowadzali się do Hanoi, pogoda była piękna. Niebo miało przewspaniały błękitny kolor, poza tym wiał chłodny wiatr z Chin, dzięki czemu nie było parno. Ale co tam pogoda, dla Nicole był to bardzo smutny dzień. Rano poszła nad rzekę i wpatrując się w srebrzystą wodę, o tej porze dnia lodowatą, z trudem powstrzymywała łzy. Wiedziała przecież, że będzie bardzo tęsknić za ich domem na wysadzonym drzewami południowym brzegu rzeki Perfumowej. Tu, w Hanoi, w pobliżu ich domu nie było żadnej rzeki, na którą można by popatrzeć...

Mimo to wcale nie jest tragicznie, wręcz przeciwnie, myślała, schodząc po schodach. Dzień był przepiękny. Nie padało, liście figowców bengalskich i plumerii szumiały na

wietrze. Cały ogród zalany był słońcem, poza tym panowała cisza, ponieważ pawie w ogrodzie sąsiadki jeszcze spały.

W kuchni zastała Lisę, która jak zwykle wstała o piątej, by napalić w bojlerze. Tego dnia bojler okazał się wyjątkowo oporny, bo w kuchni było szaro od dymu, a Lisa cała była ubrudzona węglem.

– A to drań! Stary drań!

– Przepraszam, czyżbyś wspomniała o moim ojcu? – zaśmiała się Nicole.

I szybko otworzyła drzwi na dwór, bo od tego dymu można się było udusić. Lisa w tym czasie wyprostowała się i zaczęła masować obolałe plecy.

– Przecież wiadomo, że chodzi o ten cholerny bojler!

– Liso, proszę, wyrażaj się delikatniej.

– Inaczej go nazwać nie można. A dlaczego ty już wstałaś, kwiatuszku?

– Nie mogłam spać.

– Aha – mruknęła Lisa i wróciła do przerwanej czynności, czyli palenia w bojlerze. Skutecznie, bo po chwili bojler zaczął się nagrzewać. Niemniej jednak kobieta, kiedy podniosła się z kolan i oparła ręce na biodrach, nadal była naburmuszona.

– Wreszcie się zdecydował. Zrobię teraz kawę. A co u ciebie, Nicole? Wydarzyło się coś ciekawego?

Nicole wzruszyła ramionami. Owszem, coś się wydarzyło, ale na pewno nie był to powód do wielkiej radości. Za każdym razem, kiedy myślała o tej niesprawiedliwej decyzji ojca, była bliska łez.

Teraz naturalnie też.

– Ojciec przekazał mi stary sklep z jedwabiem. Tylko to.

Lisa cmoknęła, coś tam wymamrotała pod nosem i zabrała się do wycierania stołu.

– No cóż... – mruknęła po chwili – od czegoś trzeba zacząć. Siadaj, Nicole.

Nicole wysunęła krzesło spod stołu.

– Niektórzy, Liso, wcale nie muszą od czegoś tam zaczynać. Mają wszystko podane na tacy. Tak jak Sylvie. A przecież ja na pewno znam się na jedwabiu o wiele lepiej niż ona. Dlaczego ojciec jest taki niesprawiedliwy?

Lisa wydeła policzki, potem spojrzała na Nicole jakoś tak bardzo ciepło i założyła jej za uszy kilka niesfornych kosmyków.

– Pewne sprawy... Nie, szczerze mówiąc, to sama nie wiem. Ale po śmierci twojej matki...

– O którą ojciec mnie obwinia, prawda? Że to wszystko przeze mnie?

– Już nie.

– Ale kiedyś tak było, prawda?

– Było, jak było, kochanie. Nie ma sensu do tego wracać. Lepiej myśleć o przyszłości. Ciesz się, że masz ten sklep, i udowodnij ojcu, że potrafisz dać sobie radę.

– No tak... A wiesz, Liso, że już tam byłam? Wczoraj.

– Naprawdę?!

– Tak. Poszłam do starej dzielnicy, chociaż słyszałam, że podobno niedawno ktoś tam podłożył bombę. Ale było spokojnie. Nic się nie działo. Mam nadzieję, że tak dalej będzie.

– Ludzie gadają, że Viet Minh jest już blisko Hanoi. Myślisz, że to prawda?

– Moim zdaniem nie. Ludzie często wygadują niestworzone rzeczy. Sama wiesz, jak to jest.

Zapadła cisza.

– Może cię pomasować? – spytała po chwili Lisa.

Nicole skwapliwie pokiwała głową. Lisa ustawiła się za nią i zaczęła ugniatać ramiona Nicole, przy czym, wiadomo, usta jej

się nie zamykały.

– Tak więc to ty, Nicole, przywrócisz ten stary sklep do życia.

– Na to wygląda. I wiesz, kiedy tak sobie wczoraj na to wszystko popatrzyłam, to nawet mi się spodobało.

Ręce Lisy nagle znieruchomiały. Zaskoczona Nicole spojrzała w tył i zobaczyła, że kucharka mieni się na twarzy, a jej oczy podejrzenie lśnią.

– Zawsze bardzo cię kochałam, kwiatuszku – powiedziała wzruszonym głosem. – Wiem, że nigdy nie było ci łatwo. A z tym obwinianiem... Może to twój ojciec jest czemuś winny....

– Tak sądzisz? A dlaczego ojciec miałby czuć się winny?

Lisa westchnęła.

– Ach, nieważne. Dajmy temu spokój. Chciałabym tylko prosić, żebyś nie osądzała zbyt pochopnie swojej siostry. Sylvie też się wycierpiała. Ten jej chłód i obojętność to tylko pozory... A ja... ja starałam się zrobić wszystko, co w mojej mocy, by naprawić to, co się stało.

– Przecież to, co wydarzyło się w Hué, to nie twoja wina!

– Dobrze, dobrze... A teraz najważniejsze, żeby ci się powiodło. Tak bardzo bym chciała... Nicole, chodź tu do mnie, dziecko!

Lisa rozłożyła szeroko ręce i Nicole skwapliwie wsunęła się w jej ciepłutkie objęcia. Naturalnie łzy nie kazały na siebie długo czekać. Lisa głaskała płaczącą Nicole po plecach, głaskała, a kiedy Nicole odsunęła się trochę, by otrzeć łzy, uśmiechnęła się do niej.

– Bardzo dobrze. Jak człowiek czasami sobie trochę popłacze, to na duszy od razu lżej. A poza tym moim zdaniem nie jest tak źle, jak ci się wydaje.

– Naprawdę tak myślisz?

– Oczywiście! Bo kto wie, czy ten sklep nie okaże się strzałem w dziesiątkę!

Nicole zapukała grzecznie do drzwi i weszła do pokoju, gdzie wszystko było jasne. Ściany w najjaśniejszym odcieniu żółtego, brokatowe story też bardzo jasne, a dywany po prostu białe. Weszła, usiadła na atłasowej narzucie na łóżku i wciągnęła nosem dolatujący przez otwarte okno zapach dymu i skoszonej trawy. Cały pokój zalany był słońcem i panowała tu cisza, przerywana od czasu do czasu ocieraniem się gałęzi drzew, kołysanych przez wiatr, o ścianę domu. Sylvie była w jedwabnej piżamie. Jej bujne kasztanowate włosy spływały po plecach. Zapuszczała je od lat i była bardzo dumna, że sięgają już do pasa i są zdrowe i mocne, bez rozdławających się końcówek. Siedziała przy toalecie i zapisywała coś w oprawionym w skórę pamiętniku. Nicole poczęstowała się więc cukierkiem toffi, bezceremonialnie rzucając papierek na podłogę, i siedziała cicho, popatrując na porządnie ustawione na półce książki, szklane ozdoby na drugiej półce na ścianie za łóżkiem, na piękny bukiet żółtych i różowych róż na stole. W tym pokoju każda rzecz miała swoje miejsce i niczego nie wolno było tknąć palcem.

W końcu nie wytrzymała.

– A wiesz, Sylvie, wczoraj spotkałam się z Markiem Jensonem. Poszliśmy do hotelu na herbatę. Siedziało tam dużo oficerów i można było posłuchać muzyki.

– Nicole, nie przeszkadzaj! Muszę się skupić.

– A ten Mark chyba mi się podoba. Ma cudownie niebieskie oczy...

– Nudzisz się, tak?

Sylvie zamknęła pamiętnik i zajęła się teraz piłowaniem

paznokci. Nicole zazdrościła jej tych paznokci. Zawsze były opiłowane idealnie, wszystkie miały taki sam kształt. Paznokcie Nicole nie mogły się z nimi równać, chociażby dlatego, że miały tendencję do rozdwarzania. Teraz jednak będzie musiała zrobić z nimi porządek, ponieważ pierwszy bal tego lata zbliżał się już wielkimi krokami. Pierwszy bal w życiu Nicole.

– Sylvie, a w co ubierzesz się na ten bal?

– Nie powiem. To tajemnica.

Tajemnica? Czyli wiadomo, co trzeba zrobić. Kiedy Sylvie nie będzie w domu, Nicole dokładnie przeszuka jej pokój.

– Wiem, o czym teraz myślisz, Nicole. Ale nie łudź się. Tej sukni tutaj nie ma.

– No proszę... A od kiedy to potrafisz czytać w moich myślach?

Sylvie potrząsnęła głową. Jej piękne orzechowe oczy rozbliły.

– Od zawsze, moja droga! Bardzo łatwo cię rozszyfrować.

Czego o Sylvie nie można powiedzieć. Nigdy nie było wiadomo, co myśli, co czuje. Nigdy. Chyba na całym świecie nie było sióstr, które by tak bardzo różniły się od siebie.

– Sylvie, czy ty nigdy nie miałaś ochoty rozebrać się, wybiec na ulicę i potańczyć pod rozgwieżdżonym niebem?

– Wyobraź sobie, że nie. Nigdy. A ty oczywiście marzysz o tym, prawda?

Nicole milczała, wpatrując się w starszą siostrę. Dlaczego ta Sylvie jest zawsze taka spokojna i opanowana? Teraz też, jakby w ogóle nie zdawała sobie sprawy z zaistniałej sytuacji. Z tej ogromnej niesprawiedliwości, która tak mocno dotknęła Nicole.

– Powiedz mi, Sylvie, dlaczego ojciec przekazał ci praktycznie wszystko?

Sylvie wstrząsnęła buteleczką z różowym lakierem i zabrała się do malowania paznokci.

– Przecież dobrze wiesz dlaczego. Chce teraz skupić się całkowicie na pracy dla gubernatora.

– A może wiesz, na czym dokładnie ta praca ma polegać?

Sylvie poderwała głowę i kropelka różowego lakieru spadła na podłogę. Tę kropelkę Sylvie naturalnie szybko starła serwetką. Przy okazji zauważyła papierek po cukierku toffi i wrzuciła go do kosza na śmieci.

– A więc? – spytała Nicole.

– A więc, *chérie*, wiem tyle, co ty – odparła Sylvie, wracając do malowania paznokci. – Poza tym chciałabym wiedzieć, czy decydujesz się na przejęcie tego sklepu. Bo jeśli tak, to trzeba ci zapewnić jakąś ochronę.

– Ochronę? Po co?

– Ostrożność nigdy nie zawadzi.

Nicole ponownie wlepiła oczy w starszą siostrę. Jej twarz jak zwykle była nieprzenikniona. I – co Nicole odkryła właśnie teraz – idealnie symetryczna. Wszyscy zazdrościli Sylvie nieskazitelnej cery, ślicznie wyrzeźbionych kości policzkowych. Była po prostu piękna. Piękna młoda kobieta, która ma wszystko. Tak przynajmniej uważała jej młodsza siostra.

Sylvie nie odzywała się, tylko też wpatrywała się w Nicole. Przez moment, po czym spuściła głowę i pomalowała ostatni idealnie opiłowany paznokieć.

Następnego dnia niebo nad miastem przesłoniły ołowiane chmury. Powietrze było ciężkie, czas mijał powoli, a Nicole nie mogła się doczekać, kiedy nadejdzie kolejny dzień i spotka się z Markiem Jensonem. Zniecierpliwiona, nie była w stanie usiedzieć w miejscu i przez cały dzień chodziła bez celu po domu i ogrodzie. Bardzo chciała porozmawiać z ojcem

o sklepie, ale ponieważ tego ranka wydał jej się jeszcze bardziej nieprzystępny niż zwykle, postanowiła poczekać. Kiedy poczuła, że dłużej już nie wytrzyma, zajrzała do gabinetu ojca. Była pewna, że jest sam, a tymczasem okazało się, że ojciec ma gościa. Wietnamskiego mandaryna wysokiej rangi, który właśnie mówił o siatce konspiracyjnej w Hajfongu.

Ojciec wyszedł do niej na korytarz i zamknąwszy za sobą starannie drzwi, odezwał się opryskliwie:

– Czego ty znowu ode mnie chcesz? Wchodzisz do gabinetu, kiedy ja prowadzę ważną poufną rozmowę!

– Przecież nie podsłuchiwałam! Przyszłam tylko po to, żeby ci powiedzieć, że poprowadzę ten sklep.

– Tak? Świetnie. O szczegółach porozmawiaj z Sylvie.

– Dobrze – powiedziała Nicole i ruszyła korytarzem w drogę powrotną.

Okazało się, że ojciec, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, idzie tuż za nią. Po kilku krokach odezwał się przyciszonym głosem:

– Dzwonili do mnie ze skargą na ciebie, Nicole. Nie ukrywam, że jestem z ciebie bardzo niezadowolony.

– Ze skargą? A o co chodzi?

Nicole błyskawicznie zrobiła w duchu przegląd swoich ostatnich poczynań, które ewentualnie mogłyby być powodem niezadowolenia ojca.

– Chodzi o Daniela Girauda. Podobno przedwczoraj groziłaś mu nożem. Nożem! Co ci strzeliło do głowy?!

Dziewczynie zrobiło się gorąco. Okazuje się, że ten łobuz nie tracił czasu i naopowiadał swemu ojcu niestworzonych rzeczy.

Drżącymi palcami założyła włosy za uszy.

– Ja groziłam?! Ja?! Przecież to on miał nóż i przeciął mi policzek. O, tutaj! Spójrz!

– Nie wierzę. Przecież to jeszcze chłopiec i wygląda na nieśmiałego.

– Nieśmiały? To tylko pozory. On...

Nie dokończyła, bo ojciec przerwał jej kategorycznym tonem.

– Nie życzę sobie, żeby moja córka zachowywała się jak chuligan. Masz napisać list z przeprosinami.

– Co ty mówisz?! Ja mam przeproszać? Przecież oni pastwili się nad Yvette! Ten chłopak jest rasistą, tak jak jego ojciec.

– Nie szkodzi. I tak masz go przeprosić. Jego ojciec, nawet jeśli jest rasistą, to nowy komendant policji. I gdyby nie był moim znajomym, twoje zachowanie miałyby już daleko idące konsekwencje.

I wskazał na okno.

– A skoro już tak biegle posługujesz się nożem, to zrób przynajmniej coś pożytecznego i poderżnij gardła tym przeklętym ptaszyskom!

Odwrócił się i poszedł z powrotem do gabinetu. Nicole, cała roztrzęsiona, przez długą chwilę nie ruszała się z miejsca. Słyszała, jak ojciec i jego gość wychodzą z gabinetu. Ojciec odprowadził mandaryna do drzwi, potem wyszedł do ogrodu na tyłach domu. Poszła za nim, naturalnie się nie ujawniając.

Widziała, jak usiadł na ławce koło sadzawki, nad którą unosiła się rzadka mgielka. Sadzawka pachniała upojnie, ponieważ rosnące w niej rośliny wodne były teraz w pełnym rozkwicie. Ojciec chyba jednak nie miał świadomości tych zapachów, bo siedział zgarbiony, podpierając głowę rękami. Owszem, po chwili wstał, zerwał różę z krzaka rosnącego tuż obok i powąchał, ale potem rzucił ją na ścieżkę i zgniół obcasem.

Ostatnio był coraz bardziej podminowany. Nicole

doskonale wiedziała dlaczego. Przecież w kraju było coraz bardziej niespokojnie. Ojciec jeszcze nie nazywał tego wojną, ale wszyscy wiedzieli, że nie tak znowu daleko od Hanoi toczą się bitwy, w których ktoś zwycięża, a ktoś ponosi klęskę.

Latających owadów o tej porze roku zawsze było w ogrodzie mnóstwo, tak jak ptaków. Wiał silny wiatr, kołysząc nawet grubymi gałęziami figowca pagodowego.

Nicole zerwała kilka dzikich stokrotek, potem porozmawiała, naturalnie po wietnamsku, z ogrodnikiem, który podlewał żywopłot z hortensji. A później ojciec ją zauważył. Skinął ręką, żeby podeszła, i przesunął się na ławce, robiąc miejsce dla córki.

– Przepraszam, Nicole, że tak wybuchłem. Jestem bardzo zadowolony, że zdecydowałaś się poprowadzić ten sklep.

– A ja przepraszam, że tego nie doceniłam. Tato, czy mogę cię o coś spytać?

– Naturalnie.

– Czy to prawda, że Viet Minh jest coraz bliżej Hanoi?

– A dlaczego o to pytasz?

– Bo krążą takie pogłoski. Lisa też słyszała, jak ludzie mówili, że w starej dzielnicy wybuchła bomba. Poza tym jesteś teraz bardzo zajęty, więc pomyślałam, że w tych pogłoskach coś musi być.

– Nonsens. Viet Minh, nawet jeśli będzie miał wsparcie w kilku wioskach, i tak nie pokona wojsk francuskich – powiedział ojciec i wyciągnął wetkniętą w kieszeń gazetę. – Spójrz, co piszą. Żadnych bomb.

Nicole przeczytała nagłówki. Owszem, uspakajano, że żadnej bomby nie było, podano jednak także informację, że pewien francuski urzędnik został zamordowany przez żołnierzy Viet Minhu, którzy zaczęli się na niego w zagajniku

bambusowym.

– O, proszę, spójrz tutaj, tato. Piszą o morderstwie.

– Niestety, to też się zdarza, ale walka toczy się daleko stąd, w górach i na polach ryżowych, i jeśli ktoś ma na tym ucierpieć, to tylko wieśniacy.

– Ty nienawidzisz Wietnamczyków?

Ojciec sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Oczywiście, że nie! Przecież twoja matka była Wietnamką. Ale to dzięki nam, Francuzom, ten kraj jest taki jak dzisiaj. I tylko my potrafimy nim dobrze rządzić. Ale pogadamy o tym później. Teraz muszę wyjść. Mam spotkanie z Markiem Jensonem.

– Z Markiem? On jest bardzo miły, prawda?

Ojciec sposepniał.

– Tak uważasz? Wolałbym jednak, żebyś trzymała się od niego z daleka.

– Dlaczego? Przecież jest handlarzem jedwabiu.

Ojciec nie odpowiedział.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, jutro zabiorę się za ten sklep – oznajmiła po chwili Nicole. – Przede wszystkim posprzątam.

– Świetnie.

Ojciec poklepał ją po ręku i odszedł. Nicole otuliła się wełnianą narzutką i siedziała dalej, choć było już późno. Słuchała śpiewu ptaków, chyba już tych, co prowadzą nocne życie. Oprócz ich śpiewu słyszeć też było krzatanie się Lisy w kuchni. Ale to nie przeszkadzało Nicole w rozmyślaniu. O tym, że teraz ma wrażenie, jakby znalazła się na granicy dwóch odrębnych światów. Jeden to świat stworzony przez ludzi, do którego czasami niełatwo się dostosować, drugi to świat natury; w każdym z tych światów obowiązują inne prawa.

Tak to już jest...

Kiedy patrzyła, jak pomarańczowe niebo odbija się w wodzie sadzawki, malując ją na żółto, uzmysłowiła sobie, że w jej życiu uczuciowym pojawiło się coś całkiem nowego, nieznanego. Zawsze, gdy chodziło o Marka Jensona, czuła dziwne podekscytowanie. Wprawdzie ojciec ostrzegał ją przed nim – nie miała pojęcia dlaczego – ale postanowiła nie zawracać sobie głowy tymi ostrzeżeniami.

Liście szeleściły. Przybierający na sile wiatr coraz mocniej kołysał gałęziami figowca. Pień trzeszczał. A po chwili przyszła noc i ciemność błyskawicznie spowiła świat. Wtedy przymknęła oczy i wyobraziła sobie, że nie siedzi na tej ławce sama. Ktoś jej towarzyszy. Kto? Wiadomo. Mark Jenson.

Następnego dnia, zanim Nicole wyruszyła do sklepu z jedwabiem, Sylvie pomogła jej owinąć włosy kawałkiem czarnego materiału w taki sposób, by powstało coś w rodzaju tuby. Tak bowiem wyglądało *khan dong*, tradycyjne nakrycie głowy Wietnamek. Zgodnie doszły do wniosku, że Nicole, przebywając w starej dzielnicy, powinna ubierać się jak Wietnamka, i dlatego tego dnia miała na sobie czarne jedwabne spodnie i długą, jaskrawoniebieską tunikę *áo dài*.

Tak wystrojona stanęła przed lustrem i zaśmiewając się, złożyła tradycyjny wietnamski ukłon. Była bardzo podekscytowana, nie tylko tym, że zaczyna pracę w starym sklepie. Także perspektywą ponownego zobaczenia się z Markiem.

– Teraz to już w ogóle nie wyglądam jak Francuzka – powiedziała, zastanawiając się, jak zareaguje Mark, kiedy zobaczy ją w tym stroju.

– Chodzi tylko o sklep. W domu nikt ci nie zabrania być Francuzką. Chociaż nigdy nią nie będziesz.

– Żadna z nas nigdy nią nie będzie, Sylvie.

– No cóż... Masz rację.

Jakiś czas potem Nicole usiadła przy fontannie koło hotelu Métropole. Dookoła miasto tętniło życiem, rozpoczynając nowy dzień. Łagodny wiatr niósł przesycony wilgocią zapach drzew rosnących wokół jeziora. Było jeszcze stosunkowo chłodno, ale wiedziała, że niebawem z nieba zaczną się lać żar. Przyszła trochę wcześniej, dlatego mogła posiedzieć i popatrzeć na ptaki skaczące po żwirze i skrzącą się wodę tryskającą z fontanny. W Hanoi miała wiele ulubionych miejsc, chociażby jezioro

Hoàn Kiém o cudnej zielonej wodzie, ale tutaj, przy fontannie, chyba najbardziej lubiła przesiadywać. Zwłaszcza rano, kiedy na ulicach nie było jeszcze wielkiego ruchu. Teraz siedziała i rozmyślała o ojcu, o tym, że spotyka się z różnymi ludźmi i ma jakieś zadania do wykonania. Wcześniej wcale nie była ciekawa szczegółów, ale teraz, kiedy usłyszała, że ojciec ma spotkać się z Markiem Jensonem, bardzo chciała się dowiedzieć, co jest powodem tego spotkania. Wiedziała tylko, że ojciec już od jakiegoś czasu nawiązuje kontakty z Amerykanami. Była pewna, że zaczęło się to wtedy, kiedy pojechał na kilka tygodni do Nowego Jorku, dokąd Sylvie udała się już wcześniej. Poza tym ojciec wspierał Amerykanów, gdy pomagali Wietnamczykom w walce z Japończykami. Wiedziała o tym, ponieważ podsłuchiwała – była jeszcze dzieckiem! – gdy rozmawiał przez telefon.

Nagle zobaczyła Marka. Stał przed hotelem z rękoma w kieszeniach i rozmawiał z jakimś mężczyzną. Nie trwało to długo – chwilę, dwie – i serce Nicole zabiło, bo Mark już szedł do niej.

– W tym stroju prawie cię nie poznałem – powiedział, a ona uśmiechnęła się, zachwycona, że Mark patrzy na nią z prawdziwą przyjemnością. Zauważyła, że jest pięknie opalony, chyba jeszcze bardziej niż dwa dni temu. Twarz i ręce mężczyzny były ciemnobrązowe, a zęby, kiedy się uśmiechnął, śnieżnobiałe. Ciemne u nasady włosy z wierzchu pojaśniały od słońca.

– Idziemy na kawę, Nicole?

– Idziemy.

I poszli ramię w ramię po chodniku lśniącym w blasku słońca. Nicole, wsłuchując się w miarowe postukiwanie butów Marka, starała się dotrzymać mu kroku. Teraz tak bardzo była

świadoma jego obecności, tego, że jest bardzo blisko niej i emanuje niespożytą energią.

– Wiesz, będę prowadzić sklep z jedwabiem – odezwała się po chwili nieśmiało. – To stary sklep, pierwszy, jaki otworzyła moja rodzina. Mam nadzieję, że dam radę.

Mark przystanął i uśmiechnął się, kładąc ręce na jej ramionach. Jakby chciał wlać w nią tę swoją energię i pewność siebie.

– Oczywiście, że dasz radę. Marzysz przecież o podróżach po całym świecie, prawda?

– Tak.

– A o tym, jakie życie będziesz prowadzić, decydujesz sama, Nicole. Przynajmniej do pewnego stopnia.

Jednocześnie patrzył na nią tymi swoimi błękitnymi oczami tak, że poczuła się nieswojo. Bo czy można się oprzeć człowiekowi o oczach aż tak niebieskich i zniewalającym uśmiechu, który rozjaśnia całą jego twarz? Ona na pewno nie mogła, tylko że nie wiedziała, co myśli ten wysoki, niebieskooki Mark, kiedy patrzy na nią, dziewczynę zdecydowanie niewysoką, o szeroko rozstawionych czarnych oczach.

– Idziemy, Nicole.

Weszli do kawiarni i stanęli w kolejce, po czym Mark złożył zamówienie. Nicole w tym czasie rozglądała się po lokalu, który tego dnia wydał jej się trochę inny. Na pewno było tu dziś jaśniej, bardziej radośnie. Czyżby obecność Marka sprawiała, że wszystko wydawało jej się piękniejsze, bardziej pociągające? To odkrycie tak ją rozbawiło, że zaśmiała się na głos. Mark spojrział na nią przenikliwie i kiedy usiedli przy stoliku, spytał:

– Nicole? Może nie spodoba ci się to, co teraz powiem, ale kiedy tak patrzę na ciebie, odnoszę wrażenie, że nie wszystko

jest w porządku.

Nicole westchnęła.

– Nie sądziłam, że jest to tak widoczne.

– Jest. Może powiesz mi, co się dzieje?

– A... nic takiego. Po prostu nadal boli mnie fakt, że Sylvie dostała praktycznie wszystko, a ja na otarcie łez tylko sklepik.

Na moment zamilkła, wsłuchując się w ciche pobrzękiwanie filiżanek i szmer rozmów. Potem spojrzała na ulicę i pomyślała, że owszem, Mark podoba jej się, ale przecież jest dla niej kimś obcym. Jak dalece więc może otworzyć się przed nim?

– Ja... ja wcale nie zamierzam być tylko handlarką.

– Spokojnie. Wszystko jeszcze przed tobą – odpowiedział Mark z uśmiechem. – Powiedz, gdzie jest ten sklep.

– W starej dzielnicy. Postanowiłam sprostać temu zadaniu. W końcu wyglądam prawie jak Wietnamka. Kocham jedwab, jego zapach i to, że jest tak cudowny w dotyku. A poza tym, co bardzo ważne, on też mnie kocha.

– Od czego zaczniesz?

Nicole się zaśmiała.

– Najpierw trzeba zdezynfekować pomieszczenia, potem chwycić za ścierkę i wszystko umyć. A jak już będzie czysto, zrobić ze sklepu urokliwe miejsce, które przyciągnie klientów. Nie będą mogli oprzeć się chęci zakupu jedwabiu.

– A powiedz mi jeszcze, Nicole, czy to cię w pełni usatysfakcjonuje? Czy chciałabyś robić jeszcze coś innego?

– W szkole bardzo lubiłam śpiewać. I występować.

– O, proszę, to ciekawe. Chętnie kiedyś posłucham twojego śpiewu. A poza tym może spotkamy się jeszcze, żeby popływać łódką? Opłyniemy jezioro dookoła.

Nicole absolutnie nie sprawiała wrażenia zachwyconej.

– Łódką? Ja nie bardzo znam się na łódkach.

– I nie musisz, przecież to ja będę wiosłować. A twoim zadaniem będzie siedzieć w łódce i bardzo ładnie wyglądać.

Nicole znowu się zaśmiała.

– O, to na pewno nie będzie takie łatwe!

– Tak powiadasz? Czyli po prostu nie zdajesz sobie z czegoś sprawy.

– A z czego?

Mark nachylił się i musnął palcem jej policzek.

– Z tego, że jesteś bardzo ładna.

To wystarczyło, by poczuła falę gorąca przepływającą po karku. Speszona, spuściła głowę. Czyżby Mark śmiał się z niej? Za nic w świecie nie chciała być dla niego czymś w rodzaju zabawki. Kimś, z kogo się żartuje, bo nie traktuje się go serio.

Deszcz chyba zamierzał wrócić, choć promienie słońca nadal przenikały przez korony drzew. Był to jeden z tych osobliwych dni, kiedy ciemność i słońce walczą ze sobą, przy czym obie strony mają równe szanse.

– Jak myślisz, Mark, czy dam radę rozruszać ten stary sklep? To w końcu poważne zadanie, a mnie zdarzyło się już narobić w życiu trochę głupstw. Ojciec na pewno nie uważa mnie za człowieka godnego zaufania. Sylvie to co innego. Ona nigdy nie podpaliła markizy, nigdy nie wsiadła do autobusu do Sajgonu, nie mówiąc o tym nikomu. A w szkole to zawsze mnie zamykali w kozie, bo gadałam podczas lekcji i rozlewałam atrament.

– Każdy młody człowiek robi głupstwa.

– Mówisz tak, jakbyś był już starcem. Ile ty masz lat, Mark?

– Trzydzieści dwa...

I w tym momencie zagrzmiało. Nicole poderwała głowę,

a Mark spokojnie dokończył:

– Będzie dobrze. Jestem tego pewien. Udowodnisz ojcu, że potrafisz z powodzeniem prowadzić interes.

Pogadali jeszcze chwilę, Mark wypalił chesterfielda i chyba zamierzał już wstać, co nie bardzo spodobało się Nicole, bo chciała go jeszcze o coś zapytać.

– Mark, ty spotykasz się z moim ojcem, prawda? – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – I nie ma to żadnego związku z jedwabiem. Czy wy pracujecie dla Francuzów?

Spojrzenie Marka nie uległo zmianie, mimo to odpowiedział dopiero po chwili.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Gdyby chodziło o jedwab, współpracowałbyś z Sylvie, bo to ona teraz prowadzi firmę.

– Logicznie rzecz biorąc, owszem. A więc twój ojciec i ja mamy coś ze sobą wspólnego. Obaj nie chcemy, by komunizm rozprzestrzenił się po całej Azji Południowo-Wschodniej.

A teraz wybacz, Nicole, ale muszę już lecieć.

Wyciągnął do niej rękę, ona jednak nie podała mu dłoni i nawet trochę się odsunęła. Mark znowu patrzył na nią tak przenikliwie, że czuła się skrępowana.

– Podjadę po ciebie jutro około szóstej po południu – powiedział mężczyzna. – Popatrzymy sobie na zachód słońca nad jeziorem. Na pewno warto.

Po czym wstał i wymaszerował z kawiarni. A ona, ponieważ tak bardzo chciała zadać mu jeszcze kilka pytań, zerwała się z krzesła i pobięła za nim. Okazało się, że Mark zaraz po wyjściu na dwór zatrzymał się, w rezultacie czego wpadła na niego, a wtedy on ją pocałował. W usta. Bardzo delikatnie, ale to wystarczyło, by poczuła przebiegający po plecach dreszcz. Zakręciło jej się w głowie i zapragnęła, by

zrobił to jeszcze raz. Mark musiał jednak uznać, że ten jeden raz wystarczy, bo uśmiechnął się tylko i poszedł.

Nicole skończyła robić zakupy i ruszyła do swojego sklepu. Wszędzie dookoła czuć było znajomy smrodek dolatujący ze ścieków, z tym że przytłumiał go cudny zapach świeżo upieczonego ciasta. W tym miejscu tak właśnie było: dobro i zło mieszały się ze sobą. Na szczęście nie padało. Chmury odpłynęły, słońce świeciło. Dzieci biegały, wykonując polecenia matek, albo się bawiły nad rynsztokiem, opędzając się od chmar komarów i wyławiając coś z brudnej wody.

Kiedy stała już przed drzwiami sklepu, usłyszała w radiu wietnamską muzykę i spojrzała w górę, w okna na piętrze wąskiego domu naprzeciwko. W tym domu był również sklep, lecz nie tak kolorowy i o wiele mniejszy od sklepu Duvalów. Sprzedawano tu jedwab gorszego gatunku, głównie na zasłony. Jedno z okien nie było do końca zasłonięte i Nicole dostrzegła w nim wdowę po Wietnamczyku, który kiedyś prowadził sklep Duvalów. Kobieta miała zęby polakierowane na czarno, czyli hołdowała starej zasadzie, że białe zęby może mieć tylko pies. Patrzyła na Nicole bardzo nieprzychylnie, a kiedy dziewczyna podniosła rękę, by ją pozdrowić, szybko zasunęła zasłonę.

I wtedy Nicole usłyszała jakieś głosy i poczuła dym. Szybko odwróciła się i odetchnęła z ulgą. Okazało się, że dym leci z ustawionego nieopodal piecyka sprzedawcy sajkonek. Zauważyła też młodego człowieka o twarzy typowej dla Wietnamczyka. Szerokiej, z grubymi brwiami i płytko osadzonymi oczami. Patrzył na nią, więc odruchowo skinęła głową, po czym wsunęła klucz do zamka. Do środka jednak nie weszła, bo młody mężczyzna podszedł do niej.

– Będiesz prowadziła ten sklep? – spytał i wtedy zauważyła szparę między jego przednimi zębami.

– Tak.

Miał sterczące czarne włosy, bose nogi i strój typowy dla wietnamskiego wieśniaka: czarne *áo bà*, czyli jedwabną koszulę i spodnie do połowy łydki.

– Kiedy jesteś tak ubrana, wyglądasz o wiele lepiej – powiedział, dotykając jej rękawa.

Nicole, marszcząc nos, spojrzała po sobie.

– A co, obserwowałeś mnie?

– Może... – mruknął. Spuścił głowę i zaczął skręcać papierosa. Kiedy skończył, poszedł sobie. W sumie było to dziwne spotkanie, ale Nicole przyszło na myśl, czy ten człowiek to przypadkiem nie jest ta „ochrona”, którą miała zorganizować Sylvie. Spojrzała przez ramię. Mężczyzna już zniknął wśród ulicznych sprzedawców z koszykami, oferujących ryżowy pudding.

Kiedy weszła do środka, najpierw obejrzała niewielkie pomieszczenia sklepowe na parterze z podłogami wyłożonymi ciemnymi płytkami, poplamionymi belkami stropowymi i zachowanymi na ścianach starymi płaskorzeźbami. Większość pomieszczeń oddzielona była od siebie tylko ozdobnymi drewnianymi trejżami, co nie pozwalało zachować prywatności. Ta sprawa nie była pierwszoplanowa, niemniej jednak Nicole uznała, że kiedyś trzeba będzie o tym pomyśleć, skoro zamierza w tym sklepie nie tylko pracować, lecz także zamieszkać. Tak, podjęła już decyzję. Naturalnie była pełna obaw, ale dzięki temu wreszcie uzyska samodzielność, o której przecież marzyła. Byłaby wreszcie sama, nie czułaby na karku oddechu Sylvii, nie słyszałaby ojca, który wiecznie ją instruował, jak ma myśleć i co ma robić.

Na piętrze powietrze było stęchłe, natychmiast więc zabrała się do dokładnego przejrzenia zawartości drewnianych,

wyłożonych blachą cynkową skrzyń, w których przechowywany był jedwab. Na szczęście jedwab nie ucierpiał. Zadowolona, z powrotem pozamykała skrzynie na klucz. Cieszyła się, że tylko ona ma klucze do tych skrzyń.

Potem zaczęła po kolei otwierać szuflady starej komody, gdzie, jak się okazało, leżały tylko jakieś niepotrzebne rzeczy ludzi, którzy prowadzili sklep bezpośrednio przed jego zamknięciem. Nicole wszystko wrzuciła do worka – oprócz starej, zakurzonej torebki, która leżała na dnie szuflady. Miała zamiar też ją wyrzucić, najpierw jednak strzepnęła z niej kurz. Było go tyle, że zaczęła kasłać. Stara wietnamska torebka z jedwabiu, ozdobiona haftem, była trochę zniszczona, ale nadal piękna. Haft przedstawiał jakieś mityczne stworzenie. Nicole przesunęła palcami po pięknym ornamencie, świadoma, że trzyma w ręku cząstkę przeszłości. Mogłaby przysiąc, że słyszy głos właścicielki tej torebki.

A kiedy bardzo wzruszona przyłożyła ją do serca, poczuła coś szczególnego. Że jedwab, jego historia i w ogóle historia ludu wietnamskiego to także jej historia. I że to wszystko jest tutaj, w splotach tkaniny, z której uszyto tę małą torebkę.

W życiu Nicole, która miała ojca Francuza, kucharkę Francuzkę i siostrę, również metyskę, choć wyglądała jak Francuzka, Wietnam zajmował niewiele miejsca. Kiedy jej matka wyszła za Francuza, rodzice wyrzekli się jej i dlatego Nicole nigdy w życiu nie widziała swoich wietnamskich dziadków. Nawet nie wiedziała, gdzie mieszkają. A Francuzi od tak dawna rządzą Wietnamem, że Nicole po prostu bała się, że swoim wyglądem może zaszkodzić najbliższymi. Jako jedyna z całej rodziny mówiła płynnie po wietnamsku. Bardzo żałowała, że jej wietnamska matka nie żyje, bo mogłaby z nią rozmawiać w tym języku.

Wysprzątała górną szufladę, potem ucięła kawałek jedwabiu, owinęła nim śliczną starą torebkę i schowała ją do tej właśnie szuflady.

Zamiatanie i machanie ścierką zajęło jej kilka godzin. Doprowadzenie siebie do porządku też trochę trwało. Miała nadzieję, że nie śmierdzi kotami. W sklepie nadal jednak czuć było stęchliznę, dlatego postanowiła, że następnym razem przyniesie listki *shi*, czyli pachnotki, które znakomicie radzą sobie z przykrymi zapachami. Była zgrzana, spocona, ale zadowolona, bo warto było się potrudzić.

Podczas porządków dokonała wielu ciekawych odkryć. Na piętrze natrafiła na stare drewniane meble inkrustowane macicą perłową, a także szeslong obity aksamitem. W chłodnym, mrocznym pokoju na tyłach domu, którego okna wychodziły na podwórko, był ołtarzyk z kadzidełkami i zielonymi mango, naturalnie zgniłymi. Zabrała je i uchyliła okno, by wpuścić świeże powietrze. Potem postąpiła chwilę w oknie. Nie była tak do końca pewna, czy jest osobą wierzącą, mimo to doskonale wyczuwała atmosferę tego miejsca, gdzie modlono się od dziesiątków lat.

Południe minęło i żar lał się z nieba. W Nicole budziła się wielka tęsknota za chłodem wieczoru, za kąpielą z bąbelkami, po której definitywnie już nie będzie czuć od niej kotów. Kiedy tak rozmyślała o bąbelkach i zapachach, nagle gdzieś zapiał kogut. Odruchowo poderwała głowę i wtedy zauważyła, że na podwórku stoi młody człowiek, którego widziała już wcześniej. Ten ze szparą w zębach. Rozluźnił jedwabny szalik, dzięki czemu dostrzegła, że ma na szyi czerwone znamię.

Stał i patrzył na nią. Niby dlaczego? Trochę zdenerwowana, wyszła przed dom i spytała go wprost:

– Przepraszam, a dlaczego ty się tu ciągle kręcisz?

A on na to:

– Dobrze, że na tyłach domu są te pnącza. Lepiej, żeby ludzie jak najmniej widzieli.

Po czym spokojnie wyjął z kieszeni zapalniczki, zapalił papierosa i zaciągnął się.

– Jak masz na imię? – spytała.

– Mów mi... Trần.

– A więc, Trần – zakładając, że tak się właśnie nazywasz – chciałabym, żebyś już sobie stąd poszedł, bo inaczej wezwę policję.

– Tak? A przecież już niebawem będę ci potrzebny – odparł, uśmiechając się, dzięki czemu miała okazję po raz kolejny zobaczyć szparę między jego zębami. – Viet Minh już jest tutaj, w Hanoi.

– A co ty możesz o tym wiedzieć! Na moje oko to najlepiej znasz się na bawołach!

Trần nic nie powiedział. Odgarnął włosy z czoła, skłonił się i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Nicole, mimo że znów poczuła wielką ochotę, by wrócić już do domu i wziąć kąpiel z bąbelkami, pozostała jeszcze przy oknie, obserwując okolice przez szpary w rolcie. Widziała, jak przejeżdżał wojskowy konwój, co w tej starej dzielnicy było rzadkością. Ten konwój wyglądał na francuski, a więc Francuzi wracali do Hanoi. Po drugiej stronie ulicy babcia ciągnęła protestujące dziecko do wanienki, którą ustawiła na wąskim chodniku. Wsadziła je do wody i zaczęła szorować chude plecki. Nicole się uśmiechnęła. Taka jest ta stara dzielnica. Życie toczy się tu przede wszystkim na ulicy, wszystko dzieje się otwarcie. Uczciwie. Teraz na przykład pojawił się chłopiec z herbatą. Na ramionach trzymał bambusową tyczkę, na której zawieszane były malutkie filiżanki, fajki i czajniczki, pobrzękujące przy

każdym ruchu. A potem znowu zobaczyła Tràn. Podszedł do chłopca z herbatą i zaczął coś do niego mówić. Wtedy Nicole, korzystając z okazji, wyszła ze sklepu, zamknęła drzwi i umknęła. Tak na wszelki wypadek.

Kiedy obeszła róg ulicy, minęła starą Wietnamkę, która, jak wiele staruszek, miała ochotę z kimś pogadać. Właśnie zagadnęła drugą Wietnamkę, znacznie młodszą, podążającą w tym samym kierunku.

– Ich nic nie obchodzi, tych Francuzów.

Nicole zwolniła i nastawiła uszu.

– Moi sąsiedzi mówili mi, że tu gdzieś wybuchła bomba – powiedziała ta młodsza Wietnamka. – Podobno przyniósł ją sprzedawca pączków. Słyszałaś, jak wybuchła?

– Nie – odparła staruszka, zniżając głos. – Ale mój krewny mówił mi, że...

Dalej mówiła już bardzo cicho i do Nicole niewiele docierało, ale zorientowała się, że staruszka, podobnie jak ta druga Wietnamka, uważa, że Viet Minh jest już blisko Hanoi, o wiele bliżej, niż wszyscy myślą.

Czyli ludzie znów gadają o tej bombie. A ojciec przecież temu zaprzeczył, pokazał gazetę, w której napisano, że z tą bombą to nieprawda. Ale Nicole i tak poczuła się nieswojo. Wielu Wietnamczyków było nadal lojalnych wobec Francuzów. Ona jeszcze nie wiedziała, kogo będzie popierać, ale w tym momencie istotne było poczucie zagrożenia, bo rozmowa tych dwóch kobiet, a także to, o czym napomknął Tràn, dawało do myślenia. Kto wie, czy istotnie sytuacja nie jest o wiele groźniejsza, niż przypuszczają jej najbliżsi...

Kiedy Mark i Nicole przejeżdżali obok wielkich stawów tuż przy brzegu jeziora, Nicole naturalnie nie mogła przestać się zachwycać łąkami jasnoróżowych i białych kwiatów lotosu zaścieniających ich powierzchnie. Piękny widok znakomicie wpłynął na jej nastrój i kiedy wysiadała z rikszy, wszystkie obawy i wątpliwości związane ze starym sklepem całkowicie zniknęły. Czowała się tak wspaniale, że nawet fakt, iż za chwilę znajdzie się w niewielkiej łódce, nie wydawał się taki straszny.

Zaczęli naturalnie od szukania kogoś, kto zawiaduje łódkami. Najpierw zauważyli tylko ślepego żebraka, który siedział na brzegu i nie zwracał na nich uwagi. Po chwili jednak dostrzegli innego mężczyznę, tkwiącego tuż nad wodą, koło drewnianego pomostu, i popijającego kawę. Kiedy Mark powiedział, o co chodzi, spojrzął znacząco na zegarek, ale dzięki kilku dodatkowym dolarom ten problem udało się rozwiązać.

Mark miał na sobie świeżą białą koszulę, podkreślającą jego opaleniznę, Nicole niebieską szmizjerkę. O kapeluszu zapomniała, a słońce grzało, dlatego Mark pożyczył jej swój słomkowy kapelusz.

Z butami też się nie popisała.

– Te wysokie obcasy to chyba kiepski pomysł. Powinnam była włożyć baleriny – narzekała, sadowiąc się na poduszce, którą dał przewoźnik, żeby było jej wygodniej.

– Nie będzie tak źle! – zaśmiał się Mark.

Wsiadł do łódki, podwinął rękawy i chwycił za wiosła. Odepchnął łódkę od pomostu i zaczął wiosłować. Nicole, popatrując na błyszczące w słońcu złociste włoski na jego przedramieniu, pomyślała, że Marka Jensoną nie chowano pod

kloszem. Był wspaniale umięśniony i bardzo sprawny. Wystarczyło przypomnieć sobie, jak unieszkodliwił Daniela Girauda. Mark na pewno nie mógłby pracować w jakimś biurze, poza tym niewątpliwie był człowiekiem, któremu lepiej nie nadeptywać na odcisk...

Ciekawe, po co ona nad tym wszystkim się zastanawia? Po prostu chce wiedzieć, jaki on jest, zanim za bardzo się zaangażuje w tę znajomość.

Kiedy dotarli na środek jeziora, Mark przestał wiosłować.

– Zadowolona?

Pokiwała głową, wpatrzona w tafłę wody, teraz różowozłocistą.

– Zwykle o tak późnej porze nie wpuszczają nikogo na jezioro.

– A nam się udało. Bardzo chciałem, byśmy znaleźli się właśnie tutaj, choć na parę minut. Kiedyś często po zachodzie słońca wypływałem sobie łódką na środek jeziora.

– Jakie to romantyczne!

– Kiedy masz dwanaście lat, nie widzisz w tym nic romantycznego.

– To dlaczego to robiłeś?

– Bo potrzebowałem. Po śmierci matki zamknąłem się w sobie. Ale kiedy wypłynąłem tu, na środek jeziora, miałem wrażenie, jakbym przenosił się do innego świata. Jakbym był blisko matki.

Inny świat? Tutaj? Chyba coś w tym jest, stwierdziła w duchu Nicole, spoglądając na skrzącą się wodę, rozedrgane w świetle dnia powietrze, zmieniające barwę z jasnożółtego na uwodzicielski róż. Hanoi prawie nie było słychać, cała ta miejska rzeczywistość wydawała się bardzo odległa. Właściwie jakby znikła. Teraz słyszała tylko cichy plusk wody i nocne

ptaki, które pikowały i nurkowały, wydając okrzyki. Wokół jeziora widać było ciemne sylwetki drzew. Wyglądały groźnie i przez głowę Nicole przemknęła myśl, że gdyby była tu teraz sama, czułaby się jednak nieswojo. Na szczęście miała towarzystwo i spokojnie mogła chłonąć każdy szczegół tego świetlistego świata wokół, z którym była w całkowitej harmonii.

Mark co prawda wspomniał o zmarłej matce, ale nie wpłynęło to na jego nastrój. Nadal sprawiał wrażenie człowieka, który całkowicie panuje nad sobą, nad łódką, po prostu nad wszystkim. A kiedy uśmiechnął się do niej, widok jego pogodnej twarzy sprawił, że zachód słońca wydał się jej jeszcze bardziej romantyczny. Choć jednocześnie czuła niepokój. Nigdy przecież nie pozbyła się strachu przed wodą po tych strasznych chwilach, jakie przeżyła, kiedy razem z Sylvie wypłynęły łódką na rzekę Perfumową.

– Pięknie tu, Mark, ale chyba lepiej będzie, jeśli wrócimy na brzeg przed zapadnięciem zmroku.

– Nie martw się. Mamy jeszcze czas. Czy mogłabyś przez chwilę potrzymać wiosła? Mam ze sobą aparat, a chciałbym zrobić ci zdjęcie.

Podał jej wiosła i z niewielkiej torby wyjął aparat fotograficzny. I wstał. Nie miał żadnych problemów z utrzymaniem równowagi, ale Nicole i tak poczuła lęk.

– Nie musisz wiosłować – powiedział Mark. – Po prostu udawaj, dobrze? Bardzo chciałbym zrobić ci zdjęcie właśnie wtedy, kiedy machasz wiosłami. Mogłabyś się trochę pochylić?

– Chwileczkę! – zaśmiała się Nicole. – Uważasz, że nie umiem wiosłować? Jeśli tak, to się grubo myślisz, bo ja to potrafię.

I wykonała rękoma gwałtowny ruch, udając, że wiosłuje. Łódka zakołysała się, a Mark zachwiał się i szybko usiadł.

Nicole odruchowo wyciągnęła do niego rękę, jednocześnie wypuszczając z niej wiosło. Wiosło przechyliło się przez burtę i znikło między kwiatami lotosu. A Nicole poczuła się jak skończona idiotka.

– No to nam się porobiło – powiedział Mark i wybuchnął śmiechem.

– Przepraszam! Przepraszam!

Wiosłowanie tylko jednym wiosłem sprawia, że łódka nie posuwa się do przodu, tylko zatacza koła. Mark próbował wezwać przewoźnika, ale się nie udało. Klęknął więc, wychylił się z łódki i starał się dosięgnąć feralnego wiosła, którego koniec wystawał z wody. Niestety, Mark w jednym ręku trzymał aparat fotograficzny, a poza tym poruszał się zbyt gwałtownie, więc łódka znów się zachwiała, a mężczyzna po raz kolejny stracił równowagę i tym razem wylądował w wodzie. Nicole w pierwszej chwili zamarła, potem wydała z siebie przeraźliwy krzyk, ale odetchnęła, widząc, że Markowi nic się nie stało i bardzo sprawnie wchodzi z powrotem do łódki. Naturalnie zaczął zabawnie potrząsać ociekającą wodą głową, a Nicole, zanosząc się śmiechem, protestowała.

– Ejże! Uważaj! Pryskaż na mnie!

Biała koszula, teraz mokra, zrobiła się prawie przezroczysta, dzięki czemu Nicole widziała doskonale jego klatkę piersiową i ramiona. Poczowała ściskanie w gardle. Nigdy dotąd tak nie pragnęła żadnego mężczyzny. Jej serce biło jak oszalałe, oddech przyspieszył. Patrzyła na niego, on na nią, i żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Trwało to kilka sekund, dopóki Nicole, nagle bardzo skrepowana tą sytuacją, nie odwróciła wzroku. Okazało się, że aparat fotograficzny wcale nie zginął w odmętach wody. Kiedy Mark położył go na ławeczce, porwała ociekający wodą aparat i uśmiechając się,

zrobiła mu zdjęcie.

A potem czekali. Na próżno, bo słońce na horyzoncie było coraz niżej, a po przewoźniku nadal ani śladu. Nicole w towarzystwie Marka czuła się całkowicie bezpieczna, ale i tak pamiętała aż za dobrze, jak to jest w czarnej, lodowatej głębi wody.

– I co teraz, Mark?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– No cóż... Woda jest raczej lodowata!

Nagle zauważyli jakieś światełko na jeziorze, potem rozległ się charakterystyczny plusk wiosła. Okazało się, że to ten żebrak, który siedział na brzegu, płynął do nich. Podobno ślepy, a jednak widział wszystko, bo w jego łódce leżało zapasowe wiosło.

W łazience na piętrze, z której korzystały obie siostry, wzorowy porządek panował tylko z jednej strony. Po drugiej stronie był chaos, czyli wszędzie spinki, wsuwki, opaski na włosy, słoiczki z kremem do twarzy i tym podobne akcesoria. Ściany pomalowano tu na biało i wyłożono lśniącymi niebieskozielonymi płytkami, posadzkę natomiast czarno-białymi. Na jednej ze ścian wisiało wielkie lustro w stylu art déco, a za oknem, w dole, rosły gigantyczne tropikalne paprocie.

Sylvie nalegała, by każda z nich miała osobną bambusową szafkę, żeby móc trzymać swoje rzeczy pod kontrolą. Nicole rzadko zaglądała do szafki siostry, tego dnia jednak, kiedy czekała, aż wanna napełni się wodą, coś ją podkusiło i zajrzała. Na dolnej półce stały kosmetyki Estée Lauder, czyli krem uniwersalny o bogatym składzie, olejek do demakijażu i tonik. Na środkowej – cała kolekcja szamponów i mydeł, a na najwyższej półce perfumy. Nicole, o wiele niższa od Sylvie,

musiała wspiąć się na palce, by sięgnąć po ulubione perfumy siostry, czyli Cœur Joie, zapach Niny Ricci. Delikatnie poperfumowała się za uszami, a kiedy wstawiała flakonik z powrotem na miejsce, jej palce natrafiły na jakieś pudełeczko. Zaintrygowana, przesunęła je na brzeg półki i otworzyła. W środku były dwie fiołki z tabletkami. Deksedryna i benzedryna. Czyli amfetamina. Na nalepkach, oprócz nazwy leku, widniało również imię i nazwisko. Sylvie Duval. Nicole poczuła się bardzo zaniepokojona. Bo skoro Sylvie bierze te leki, musi być na coś chora!

Odstawiła fiołki na miejsce, weszła do wanny i z rozkoszą zanurzyła się w gorącej wodzie. Miała zamiar porządnie się wymoczyć i przy okazji porozmyślać o Marku, który wzbudzał w niej najrozmaitsze uczucia, jak dotąd jej nieznane. Przede wszystkim jednak czuła się szczęśliwa, że ktoś taki stanął na jej drodze, i była tą znajomością bardzo podekscytowana. Teraz, kiedy się namydlała, czuła się jak kobieta, która właśnie się zakochuje, ale jeszcze nie może uwierzyć, że to właśnie się dzieje.

Skończyła wycierać głowę i nadal rozmyślała, bezwiednie zeskrobując z framugi kawałeczki odpadającej farby. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Sylvie.

– Coś się stało? – spytała Nicole.

Sylvie bez słowa podeszła do okna.

– Zamknę żaluzje, dobrze? Nie lubię, kiedy okna są czarne. Zawsze myślę wtedy o śmierci.

Nicole wzruszyła ramionami, ale doskonale rozumiała, o co siostrze chodzi. Przecież podobnie jest, kiedy człowiek zobaczy w wodzie odbicie księżyca. Od razu czuje się nijako i wydaje mu się, że całe jego życie wywróciło się do góry nogami. Czasami też nie mogła patrzeć w ciemność, bała się duchów czających się

za drzewami na końcu ogrodu. Tak, bo szelest dobiegający stamtąd to wcale nie były liście i wiatr, tylko głos śmierci.

– Boisz się duchów, Sylvie?

– Duchy nie istnieją.

– Przecież sama mi opowiadałaś, że w tamtym miejscu Japończycy kogoś pogrzebali.

– Martwe ciało to nie to samo co duch.

– Och, przestań! – Nicole zaśmiała się i zaczęła rozczesywać mokre włosy. – Wiesz co, Sylvie? Ty chyba jesteś całkowicie pozbawiona wyobraźni.

– Przecież wszyscy wiemy, że Japończycy pod koniec wojny zabijali Francuzów. Niewykluczone więc, że niektórzy zostali pochowani właśnie tutaj.

Sylvie zamknęła żaluzje, odwróciła się plecami do okna i na chwilę znieruchomiła, wodząc spojrzeniem po całej łazience. Jakby się nad czymś zastanawiała. Potem podała Nicole biały szlafrok kąpielowy i uśmiechnęła się.

– Chodźmy do twojego pokoju.

Kiedy tam weszły, Nicole przede wszystkim szybko podniosła z podłogi kilka książek. Oprócz książek wiele innych rzeczy nie było na swoim miejscu. Na haczyku przy toalecie wisiały sznury szklanych koralików, w otwartej szufladzie leżała czerwona szminka, odkręcona, żeby trochę wyschła, a słoiczek z pudrem nadal był tam, gdzie wpadł, czyli w umywalce. Poza tym na podłodze przy łóżku leżały jakieś skotłowane ubrania.

Sylvie sięgnęła po słoiczek z pudrem. Zrobiła to dość gwałtownie i nad słoiczkiem pojawiła się chmurka pudru. Sylvie kichnęła, a Nicole naturalnie się zaśmiała.

– Bardzo zabawne – mruknęła Sylvie, ocierając puder z twarzy. – A wiesz, chciałam z tobą pogadać o sklepie. Musimy przecież pomyśleć o twojej przyszłości.

Nicole się skrzywiła.

– Czyli o moim zamążpójściu? Za jakiegoś sympatycznego Wietnamczyka?

– Papa nic o tym nie mówił.

Nicole, wpatrując się w siostrę, miała wielką ochotę opowiedzieć jej o swojej wyprawie na jezioro razem z Markiem. Coś ją jednak powstrzymało i zamiast tego spytała:

– Sylvie, ty zawsze dogadasz się z papą, prawda?

Sylvie zarumieniła się, mimo to stać ją było na uśmiech.

– Pogadajmy o sklepie, dobrze? Mam nadzieję, że podchodzisz do tego serio. Zdajesz sobie przecież sprawę, że jeśli sobie poradzisz, będziesz mogła zarobić niezłe pieniądze.

– Oczywiście. I już się za to wzięłam. To znaczy za porządki.

– I jednocześnie skończysz szkołę?

Nicole pokręciła głową.

– Nie wyobrażam sobie uczyć się i jednocześnie prowadzić sklep.

– Rzeczywiście. Lepiej więc teraz skupić się na sklepie. Papa to zrozumie.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ten sklep otworzę. Sylvie, powiedz mi, dlaczego bierzesz te tabletki, które są w łazience?

Sylvie spochmurniała.

– Myszkowałaś w mojej szafce?

– A tam! Raz zajrzałam! Powiedz mi, po co ci one? Jesteś chora?

– No... Często boli mnie głowa i czuję się zmęczona.

Nicole pokiwała głową ze zrozumieniem. Po spotkaniu z Markiem była w tak doskonałym nastroju, że decyzja ojca odnośnie do podziału biznesu już nie wydawała jej się rażącą niesprawiedliwością. I szczerze współczuła siostrze.

– Wcale mnie to nie dziwi, masz przecież tyle na głowie – powiedziała, spoglądając na otwarte okno, gdzie wiatr rozwiewał muślinowe zasłony. – Sylvie, a co będzie z naszym domem w Hué? Sprzedamy go?

– Nie. W tym domu zamieszka najęty przez tatę człowiek, który będzie kierować zakupami na tamtym terenie.

– Rozumiem. A ja postaram się prowadzić ten sklep w starej dzielnicy jak najlepiej.

– Świetnie.

– Sylvie, a słyszałaś może o tym zamachu w bambusowym zagajniku?

Sylvie pokiwała głową.

– Owszem. I kto wie, czy to się nie powtórzy. Moim zdaniem ci z Viet Minhu nie zawahają się zabić, jeśli uznają to za konieczne.

Tej nocy Nicole też nie mogła zasnąć, odsłoniła więc żaluzje i zdecydowana stawić czoło duchom, wyjrzała przez okno. Była pełnia księżyca; w zaskakująco spokojnym i pięknym ogrodzie każdy listek, każde źdźbło trawy świeciły jak srebro. Raptem przypomniał jej się ten młody Wietnamczyk, który kręcił się koło jej sklepu. Trần. Powiedział, że niebawem Nicole będzie go potrzebować. Jakby z góry zakładał, że Francuzi w walce z Viet Minhem poniosą klęskę! Przecież żołnierzy francuskich było tu o wiele więcej niż rebeliantów. Niemniej jakiś wewnętrzny głos stawiał konkretne pytanie: co będzie, jeśli wszyscy się mylą? Słyszała, jak ojciec rozmawiał z mandarynem o siatce konspiracyjnej w Hajfongu. Hué dzieli od Hanoi pięćset siedemdziesiąt kilometrów, Hajfong niecałe sto kilometrów. Kto wie, czy w Hanoi nie ma już o wiele więcej rebeliantów, niż się przypuszcza. *Ân đén oán trá*. Oko za oko, ząb za ząb. Co się stanie, jeśli świat, w którym żyje Nicole,

zmieni się diametralnie?

Potrząsnęła głową. Mimo że miała powody, by uskarżać się na ojca i siostrę, myśl o tym, że mogłaby ich stracić, była nie do zniesienia. Nigdy! A gdyby miało się zdarzyć to najgorsze... Kto zatroszczy się wtedy o mały sklep z jedwabiem? I o pewną dziewczynę, pół Wietnamkę, pół Francuzkę, która marzy o sukcesie? Nie tylko, marzy przecież też o miłości...

W patelni na piecu kuchennym coś syczało, a Lisa w kłębach pary wyśpiewywała sopranem starą francuską piosenkę, którą właśnie nadawali w radiu. Nicole patrzyła w okno. Od pamiętnej wyprawy na jezioro minęło już kilka dni, a Mark nie dawał znaku życia. Pogoda się zmieniła. Było upalnie i deszczowo, słońce pokazywało się z rzadka. Na dworze było więc szaro i ponuro, adekwatnie do nastroju Nicole, kiedy jednak odwróciła głowę i spojrzała na stół, humor nieco jej się poprawił na widok złocistego bochenka chleba. Odsuwając skórki przy kilku paznokciach, wlepiła oczy w kucharkę, która przestała śpiewać i teraz, kołysząc się już tylko w rytm melodii, krajała na drobno czerwoną paprykę, której świeży zapach czuć już było w całej kuchni.

– Liso, czy ty masz zamknięte oczy?

– No wiesz! Kto kroi z zamkniętymi oczami?! Dlaczego pytasz?

– Bo w zupie czasami pływają bardzo dziwne rzeczy.

– A to bezczelna smarkata!

Lisa zamachnęła się ścierką, Nicole zdążyła jednak zrobić unik i z powrotem zajęła się odsuwaniem skórek przy paznokciach.

– Liso? Co jemy dzisiaj?

– Królika. Sama go złapałam. Powiedz, Nicole, dlaczego jeszcze nie otworzyłaś sklepu?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Bo na to jeszcze za wcześnie. Zrobiłam gruntowne porządki w kuchni, poza tym kazałam pomalować podwórko i za bardzo czuć jeszcze farbą, żeby wpuścić do sklepu klientów.

W tym momencie ktoś załomotał do tylnych drzwi. Lisa poszła otworzyć. Za progiem stał chłopak, który podał coś kucharce.

– To do ciebie, kwiatuszku. Ciekawe, któż to taki pisze do ciebie liściki?

Lisa podała Nicole kopertę i usiadła, żeby skrócić papierosa.

Dziewczyna przeczytała na kopercie swoje imię i natychmiast wstała z krzesła.

– Czyżby randka? – spytała Lisa ze śmiechem.

– Ażebyś wiedziała! Właśnie randka! – Roześmiana, szybko wyszła na korytarz. Rozerwała kopertę, wyjęła kartkę i przede wszystkim spojrzała w dół, tam gdzie był podpis. Mark. A kiedy przeczytała, co napisał, rozpromieniła się: chciał spotkać się z nią tego dnia, o czwartej po południu, w Les Variétés. Napisał, że jeśli znajdzie na to czas, na pewno nie pożałuje.

Oczywiście, że znajdzie! Nicole wydała radosny okrzyk, po czym pomknęła schodami na górę, już zastanawiając się, w co się wystroi na tak ważne spotkanie.

Już za dziesięć czwarta Nicole spacerowała po chodniku przed Les Variétés, najstarszym teatrze w Hanoi, uważanym za teatr nie najwyższych lotów. Przyjechała tramwajem, ponieważ nie chciała zmoknąć, a tymczasem przestało się śnieżyć i zaczęło się przejaśniać. Budynek teatru stał na skrzyżowaniu i dzięki temu mogła zobaczyć, z której strony Mark nadejdzie.

Nigdy nie była w tym teatrze. Ojciec zabrał kiedyś córki do Francuskiego Towarzystwa Muzycznego, czyli Société Philharmonique, i był bardzo rozczarowany, że ten rodzaj muzyki nie przypadł Nicole do gustu. Potem poszli na spektakl francuskiego teatru, który przyjechał do Hanoi ze sztuką

Moliera. Sztukę wystawiono w Teatrze Miejskim, zwanym przez Wietnamczyków Teatrem Zachodnim; mieścił się w wyjątkowo pięknym budynku z kolumnami i arkadami. Nicole chciała więc znaleźć się tu ponownie, ale, niestety, ojciec już nigdy więcej tam ich nie zabrał. Jej ukochanym miejscem, do którego chodziła sama, było kino, czyli Cinéma Palace ze wspaniałym sklepionym wejściem. A jej ulubionymi filmami były *Czerwone trzewiki* i *Trzej muszkietierowie*.

Ojciec bardzo lubił słuchać francuskiej orkiestry wojskowej, która grywała na placu niedaleko jeziora. Nicole nie przepadała za tą muzyką i była bardzo zadowolona, że tego dnia nie grali, bo dzięki temu było cicho i spokojnie. Czekaając na Marka, popatrywała na kwiaciarki ze wsi, które przychodziły tu codziennie, każda z chudym osłem objuczonym dwoma wielkimi koszami z kwiatami. Kwiaciarki zwykle wysiadywały na brzegu drogi wokół jeziora. Zapach kwiatów był odurzający, dlatego Nicole mimo woli odsunęła się parę kroków i wpadła na chłopaka na motocyklu obwieszonym koszykami z parującymi pierogami. Chłopak zaczął usilnie namawiać Nicole, by kupiła u niego parę pierogów, ale ona zaśmiała się i powiedziała, że jest Francuzką i nie tęskni za pierogami. Wtedy on nazwał ją pogardliwie metyską i splunął na ziemię. Nie było to miłe, wiadomo, ale Nicole postanowiła się tym nie przejmować. Bo i po co psuć sobie ten piękny dzień.

Po chwili usłyszała Marka wołającego już z daleka. Kiedy dotarł do niej, natychmiast obwieścił:

– Jestem punktualnie co do minuty!
– Oczywiście! To ja jestem niepunktualna, bo przyszedłam trochę za wcześnie!

Oboje roześmiali się i Mark bardzo ostrożnie odgarnął jej włosy z czoła.

– Wyglądasz pięknie, Nicole. Lubię, kiedy masz włosy rozpuszczone.

Uśmiechnęła się, bo jego słowa sprawiły jej wielką przyjemność, tym bardziej że na to spotkanie naprawdę długo się szykowała. Przebierała się kilkakrotnie, zanim w końcu zdecydowała się na obcisłą czerwoną sukienkę tuż za kolana i kremowy słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Kapelusz trzymała teraz w ręku i tak w ogóle czuła się bardzo elegancka. Poza tym, co istotne, w tej sukience wyglądała na starszą.

Kiedy Mark wyciągnął do niej rękę, czuła, jak rozpiera ją wielka radość. Bo znowu byli razem! Ona i Mark!

– Wchodzimy? – spytał. Skinęła głową, podała mu rękę i razem weszli do teatru. Dopiero po krótkiej chwili, kiedy wzrok się przyzwyczaił do mroku, zobaczyła, że znajdują się w sali teatralnej z minionej epoki. Krzesła były obite czerwonym aksamitem, a na ścianach wisiały lampy naftowe. Kiedy przyjrzała im się lepiej, dostrzegła, że zostały przerobione na elektryczne. Poza tym pachniało szminką aktorską, potem i perfumami. Ta mieszanka zapachów wydała się Nicole bardzo pociągająca. Coraz bardziej podekscytowana, szła z Markiem środkiem sali do pierwszego rzędu, gdy jakiś mężczyzna tam siedzący krzyknął:

– Pospiesz się! Masz ze sobą nuty?!

W tym momencie gdzieś w kulisach ktoś zaczął postukiwać młotkiem, w sali też zrobiło się głośno, bo raptem pojawiły się sprzątaczkę i zabrały się do roboty.

– Przepraszam, czy pan mówił do mnie? – spytała niepewnym głosem Nicole.

– A niby do kogo? Oczywiście, że do ciebie! Mam nadzieję, że głos masz lepszy niż mózgownicę!

W tym momencie Mark, wyraźnie rozbawiony, wkroczył

do akcji.

– Jerry, to jest Nicole, ta dziewczyna, o której ci wspominałem. Zwabiłem ją tu podstępnie, bo powiedziała, że potrafi śpiewać. Czy nie jest za późno na przesłuchanie?

Nicole nie wierzyła własnym uszom.

– Przesłuchanie?!

– Twoja znajoma? A więc na pewno jest mile widziana – powiedział Jerry, teraz uśmiechnięty. – Powiedz, kochanie, jakie znasz piosenki.

– Mów, Nicole – zachęcił ją Mark, nie odrywając od niej niebieskich oczu. – Nic gorszego od milczenia nie może ci się teraz przytrafić.

– Owszem. Mogę umrzeć, prawda? – powiedziała, wysuwając rękę z jego dłoni. Była bardzo wystraszona. A jeśli zawiedzie i oni zareagują na jej śpiew głupim śmiechem?

– To twoja wielka szansa – szepnął Mark. – Nie możesz jej zmarnować. Ten teatr zamierzają z powrotem przekształcić w teatr muzyczny, rozumiesz?

Nicole była coraz bardziej zdenerwowana. Dłonie jej zwilgotniały, wszystkie dźwięki otaczającego ją świata przestały docierać do jej uszu. Wcale nie była pewna, czy będzie w stanie wydobyć z siebie głos. Ale się przemogła. Podała Markowi kapelusz, pokonała trzy schodki prowadzące na scenę i zaczęła śpiewać „Będę z tobą, gdy zakwitną jabłonie”, naturalnie bez akompaniamentu. Wielka sala, światła i rzędy krzeseł zlały się w jej oczach w jedną barwną plamę. Słyszała tylko i wyłącznie swój głos, wzbijający się w powietrze i przenikający je jak światło. Czowała się wspaniale. Miała wrażenie, jakby właśnie dokonywał się w niej przełom. Koniec z syndromem młodszej, często niezauważanej siostry. Teraz jest sobą, u szczytu swoich możliwości, tu, gdzie powinna być. W jak najbardziej

właściwym miejscu. Tyle działo się w niej, tyle było w niej uczuć, że kiedy skończyła śpiewać, była bliska łez.

Jerry zaczął klaskać, Mark również; nawet stolarze w kulisach bili brawo. Nicole ukloniła się nisko.

– Na to jeszcze trochę za wcześnie – rzucił żartobliwie Jerry, ale widać było, że jest pod wielkim wrażeniem.

– No i jak? Dasz jej rolę? – spytał Mark.

– Jasne. Na pewno coś dla niej znajdę.

– Świetnie. Tu jest numer jej telefonu.

Podał Jerry’emu kartkę, a potem, rozpromieniony, wszedł na scenę i szeroko rozłożył ramiona. Nicole, tak bardzo mu wdzięczna, natychmiast rzuciła się w jego objęcia. Złapał ją, obrócił się dokoła i z powrotem postawił na podłodze, nie wypuszczając jednak z ramion. Nicole na moment oparła się o jego pierś. Ręce mężczyzny delikatnie przesunęły się w górę jej pleców, potem puścił ją i cofnął się o krok. Trwało to sekundę, ale ona i tak czuła, że stało się coś ważnego.

Zapowiedź czegoś, od czego nie ma odwrotu: pocałunków.

Nigdy dotąd się nie całowali, ale teraz była pewna, że stanie się to niebawem.

– Dziękuję, Mark. Bardzo ci dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. A teraz konkrety, Nicole. Muszę wyjechać. Nie będzie mnie przez kilka tygodni, dlatego powinnaś sama wszystkiego dopilnować. Pamiętaj, jeśli Jerry nie odezwie się do ciebie w ciągu dwóch, trzech dni, masz tu przyjść i mu się przypomnieć.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się, żeby nie zdradzić, jak bardzo jest rozczarowana tym jego wyjazdem. Nawet jeśli ma wrócić niebawem.

– Poza tym chyba powinnaś powiedzieć o tym ojcu – dodał Mark.

– Jemu? Powiedzieć o tym? Nigdy w życiu!

Minał tydzień. Nadchodził lipiec i pierwszy bal w sezonie letnim w Métropole Hotel. Nicole, uznając, że nie ma co już dłużej czekać, podczas nieobecności siostry zakradła się do jej pokoju z nadzieją, że znajdzie tu coś, co pomoże jej rozwiązać pewną zagadkę: w co ubierze się Sylvie na ten bal. Przede wszystkim zajrzała do wielkiej dębowej szafy, w której wisiały suknie i bluzki, pogrupowane według kolorów. Pogłaskała miękkie jedwabie, szare i te w kolorze szampana, stwierdzając, że Sylvie nie kłamała. Balowej sukni rzeczywiście tu nie było. Patrząc na tyle eleganckich ubrań o różnych fasonach, Nicole nie mogła oprzeć się pokusie i przymierzyła kilka haftowanych bluzek. W każdej z nich przeparadowała przed lustrem, obracając się na wszystkie strony, ale stwierdziła, że, niestety, bluzki po prostu na niej wiszą, ponieważ jest o wiele drobniejsza od starszej siostry. Potem zajrzała do szuflady z bielizną, gdzie, jak się okazało, schowany był pamiętnik Sylvie. Odruchowo przekartkowała go i raptem spomiędzy kartek wysunęła się fotografia. I co było na zdjęciu? Suknia! Wiadomo, że właśnie ta na bal! Sylvie, gustująca w klasycznych fasonach, jednocześnie zawsze była na bieżąco z nowinkami w modzie i dlatego na ten wieczór wybrała suknię strojną, o fasonie zgodnym z najnowszymi trendami. Nicole postanowiła więc coś niecoś zmienić w swojej balowej kreacji.

Kiedy wracała od krawca, zauważyła łopoczące na wietrze ulotki, wsunięte pod drzwi prawie wszystkich sklepów. Zaintrygowana, przyjrzała im się dokładniej. Okazało się, to ulotki Viet Minhu. Oprócz tekstu były na nich rysunki wykonane ołówkiem, przedstawiające uśmiechniętych wieśniaków, którzy nieśli broń i prowiant na pole bitwy albo transportowali rannych na prowizorycznych noszach. Jedną z tych ulotek Nicole wzięła

ze sobą, żeby pokazać ojcu.

Drogę do domu przez urokliwą starą dzielnicę w kształcie trójkąta zwykle pokonywała tymi samymi, dobrze znanymi ulicami. Tym razem jednak zapragnęła odmiany. Weszła w nieznaną jej ulicę i ruszyła szybkim krokiem, popatrując w górę, na wyłożone płytkami dachy domów, teraz jasnopomarańczowe w blasku zachodzącego słońca. Mijała jeden stragan za drugim, osłonięte przed deszczem brezentową plandeką rozpiętą na czterech tyczkach. Lampy na straganach już zapalono, ogień w koksiażkach płonął. Z jednego z kramów unosił się kuszący zapach smażonych kurczaków. Nicole zatrzymała się i po chwili odbierała z rąk sprzedawcy w luźnej koszuli i wypchanych na kolanach spodniach dwa kawałki kurczaka z przyprawami, prosto z patelni, podane w miseczce wyłożonej liśćmi.

Był pyszny. Kiedy skończyła jeść, poszła dalej, rozmyślając o swojej balowej sukni, która miała być wzorowana na sukni Sylvie. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie ją przymierzy po tych wszystkich zmianach, jakich dokona krawiec. Suknię Sylvie uszyto z perłowszarego szyfonu na satynowym spodzie. Na fotografii widać również było, że ozdobiona jest draperią w różę. Suknia Nicole, tak samo długa jak suknia Sylvie, była z jedwabiu w kolorze limonki. Krawiec, który miał jak najwięcej skopiować z sukni Sylvie, zamierzał przyszyć na ramieniu pas szyfonu w kwiaty, a dół spódnicy obszyć różyczkami. Nicole pragnęła, aby ta obcisła, podkreślająca kształty suknia zrobiła na Marku wrażenie.

Szła przed siebie żwawym krokiem, lekka i radosna, gdy nagle stanęła jak wryta. I wcale nie zdumiał ją widok ciemnoskórej kobiety w wyzywającej sukni z rozcięciem z boku i wyjątkowo głębokim dekoltem, która opinała jej wydatne

pośladki, lecz towarzyszącego kobiecie mężczyzny.

Jej ojciec obejmował wpół czarnoskórą kobietę. Nachylił się, by pocałować do połowy obnażoną pierś, potem przyciągnął kobietę do siebie i pocałował w usta. I w tym momencie Nicole zrobiła w tył zwrot. Postukując obcasami, ruszyła biegiem. Była przerażona. Rozumiała doskonale, że ojciec, od tylu lat wdowiec, ma prawo być z jakąś kobietą, ale czy musi to być kobieta, która wygląda na prostytutkę?

Nicole i O-Lan przez dłuższą chwilę stały w zalanym porannym słońcem sklepie i podziwiałały wyłożony na półki nowy towar. Potem O-Lan zaproponowała kawę. Niezwykłą, bo z mlekiem skondensowanym i jajkiem. Nicole potraktowała tę propozycję z wielką rezerwą, a tymczasem okazało się, że nigdy dotąd nie piła lepszej kawy. Była bardzo gęsta, miała cudowny smak karmelu przyprawionego kofeiną i Nicole już wiedziała, że będzie od tej kawy po prostu uzależniona.

Rozmyślała o ojcu, który przebywał teraz poza Hanoi. Wezwano go na północ, na miejsce niedawno rozegranej bitwy, w której wielu Francuzów odniosło rany. Ciągle miała przed oczami obraz ojca całującego ciemnoskórą kobietę. Na szczęście musiała oderwać się od tych przykrych myśli, ponieważ sklep po odmalowaniu został już otwarty i należało skupić się teraz przede wszystkim na klientach.

O-Lan, zajęta robieniem kawy, była w kuchence na tyłach sklepu, więc Nicole wyszła na zalane słońcem podwórko, na którym pachniało słodko gorącym mlekiem. Po kilku minutach na podwórko wyszła również O-Lan z dwoma kubkami aromatycznej kawy.

– Bardzo proszę! Twoja kawa.

– A do kawy ciasteczko!

Nicole podsunęła jej torebkę z kruchymi ciasteczkami i O-Lan od razu wzięła dwa.

Usiadły na niskim murku wokół studni i w ciszy delektowały się kawą, ciasteczkami i ciepłym dniem. W powietrzu unosił się miły zapach mięty, a nad dachami okolicznych domów widać było żółtawą mgiełkę. O tej wczesnej

porze wielu mieszkańców starej dzielnicy nadal przebywało jeszcze w pościeli.

Po chwili O-Lan zaczęła cicho nucić jakąś piosenkę. Wietnamską, całkowicie Nicole nieznaną i śliczną, dlatego kiedy dziewczyna skończyła śpiewać, spytała:

- A co to za piosenka?
- Jedna z naszych ludowych. Podobała ci się?
- Bardzo! Całkiem inna niż francuskie piosenki. Nauczysz mnie?
- Oczywiście.
- Możesz już teraz? Jeśli oczywiście masz trochę czasu, bo ja nie muszę jeszcze otwierać sklepu.

Poszły do pokoju nad sklepem, ustawiły się jak najdalej od otwartego okna i zaczęły lekcję. Nicole potrzebowała trochę czasu, by wyuczyć się niełatwych, ostrych dźwięków. Wcale nie była pewna, czy dobrze jej to wychodzi. Może gdyby ktoś ją teraz usłyszał, ryczałby ze śmiechu. Nie wiedziała, że rzeczywiście kilka osób, które stały na dole, pod ścianą, słucha jej śpiewu. Dotarło to do niej dopiero wtedy, kiedy po zakończeniu występu usłyszała gromkie brawa.

Następnego dnia Jerry zatelefonował do sklepu i przekazał, że Nicole dostała rolę w przedstawieniu wystawianym w Les Variétés. W pierwszej chwili naturalnie wpadła w euforię, zaraz jednak radość przygasła, kiedy pomyślała, że musi powiedzieć o tym ojcu i Sylvie. Będzie przecież miała próby i ojciec oraz siostra zauważą, że często nie ma jej w domu.

Podeszła do okna i spojrzała w górę, na kłęby chmur podobnych do bitej śmietany. Między nimi widać jeszcze było kawałki błękitnego nieba, ale dalej błękit już znikł. Szare chmury szczelnie zasłoniły niebo i niewątpliwie zanosilo się na deszcz. Klientek będzie jak na lekarstwo, więc może zamknąć

wcześniej sklep. I wpaść do O-Lan, żeby spytać, czy nie miałyby ochoty razem z nią zjeść bardzo apetycznie wyglądającej karmelizowanej kukurydzy, którą sprzedawano po drugiej stronie ulicy. Sprzedawca kukurydzy właśnie usiłował zapalić papierosa, co nie bardzo mu się udawało, bo wiatr przybierał na sile. Mijała go przygarbiona, pomarszczona staruszka. Kiedy uśmiechnęła się do sprzedawcy, Nicole zauważyła, że jest również bezzębna. Ze sklepu obok wyszło kilka rozchichotanych dziewczyn, wszystkie szczuplutkie, ładne i ślicznie ubrane. Aż trudno sobie wyobrazić, że ta bezzębna staruszka kiedyś była do nich podobna.

Zgodnie z postanowieniem zamknęła sklep i zajrzała do sklepiku O-Lan. Przy kasie nie było nikogo, pchnęła więc rzeźbione wahadłowe drzwi i weszła do środka. Przeszła przez pierwszy pokój, wołając głośno O-Lan, i weszła do drugiego, gdzie na środku stał stół, a na nim wazonik z jednym kwiatem lotosu. Na stołach pod ścianami leżały ozdoby z gliny i kamienia. Pod sufitem powoli obracał się gigantyczny wiatrak z czterema mosiężnymi ramionami. Łagodny wiatr poruszał delikatnie cienkimi, przezroczystymi firankami. Tutaj również nie było nikogo, z tym że teraz coś usłyszała. Szybko wyszła na podwórko. Ściany domu O-Lan pokrywały kwitnące pomarańczowe pnącza, tak bujne, że drewniana ściana była niewidoczna. Kiedy Nicole bezwiednie wyciągnęła rękę, by dotknąć pięknej rośliny, z nieba spadły pierwsze krople. Od razu rozpadało się na dobre, zerknęła więc jeszcze tylko raz na niebo, już szczelnie przykryte chmurami, i weszła z powrotem do domu. I znieruchomiała, bo znów usłyszała te dziwne dźwięki podobne do miauczenia, była jednak pewna, że to nie kot, tylko człowiek. Dźwięki dobiegały z małego pokoju obok kuchni.

Matka O-Lan, Kim-Ly, drobna Wietnamka w tradycyjnym

áo dài, z włosami upiętymi w koczek, siedziała skulona na krześle z kredowobiałą twarzą. Przerazona Nicole szybko chwyciła chudą, żyłastą rękę i zbadła puls. Na szczęście był wyczuwalny, choć ledwo, ledwo. Nicole wiedziała, że Kim-Ly ma problemy z poziomem cukru we krwi. Zbyt wysoki był zagrożeniem, zbyt niski również, bo mogła stracić przytomność.

Wszelkie próby obudzenia kobiety spełzły na niczym, Nicole poszła więc do kuchni, gdzie na kontuarze, obok małej figurki Buddy z brązu, stał słoik z miodem. Nicole nigdy przedtem nie zastanawiała się, czy O-Lan jest buddystką, czy nie. Sądząc po tej figurce, była, jak zresztą większość Wietnamczyków. Wystarczy rozejrzeć się dookoła i zobaczyć, ile tu jest buddyjskich świątyń.

Widziała kiedyś, jak O-Lan próbowała zmusić matkę, by przełknęła coś słodkiego, i postanowiła zrobić to samo. Nabrała miodu na łyżeczkę i odrobinę wlała Kim-Ly do ust. Miód spływał po brodzie, ale w końcu Kim-Ly przełknęła raz i drugi; wyraźnie zaczynała odzyskiwać przytomność.

Po chwili spytała słabym głosem:

– O-Lan?

– O-Lan na pewno niebawem tu się zjawi. A teraz, proszę, niech pani wstanie. Trzeba się ruszać. Proszę oprzeć się na mnie.

Jakoś udało jej się zmusić kobietę, by wstała z krzesła. Niestety, staruszka zrobiła tylko kilka kroków, a potem Nicole prawie ją zaniósła do pokoju za sklepem, gdzie stał szezlong. Twarz kobiety nabrała nieco koloru, więc Nicole uznała, że Kim-Ly może się już położyć. Potem siedziała koło niej i zabawiała ją rozmową, aby Kim-Ly nie zasnęła, podając jej miód.

Kim-Ly była bardzo osłabiona, wydawała się jeszcze bardziej krucha niż zwykle. Gdzieś po dwudziestu minutach

zasnęła, a Nicole zaczęła zastanawiać się gorączkowo, czy biec na sąsiednią ulicę, do zielarza, czy zadzwonić po lekarza domowego Duvalów. Ponieważ w domu nie było telefonu, wyszła na dwór i zaczęła się rozglądać.

Nadal lało jak z cebra i mężczyźni w stożkowatych kapeluszach z bambusa i liści palmy chowali się w osłoniętych miejscach między sklepami i malowanymi bramami do świątyń. Stali po kilku, podjadając gotowane fistaszki. Kobiety pozostały przy ulicznych straganach, nadal oferując herbatę i kapuśniak z makaronem. Po krótkiej chwili Nicole zobaczyła wreszcie O-Lan. Stała kawałek dalej, w bramie domu, z jakimś młodym Wietnamczykiem. Dziwnie znajomym. Nicole wyteżyła wzrok. Tak, przecież to ten Trần ze szparą w zębach, który kręcił się koło jej sklepu!

On pierwszy ją zauważył. Dotknął ramienia O-Lan i wskazał na Nicole, a ta zaczęła machać rozpaczliwie, przywołując ich do siebie. Nie bacząc na strugi ulewnego deszczu, natychmiast wbiegli do domu. O-Lan sprawdziła matce puls, położyła rękę na jej czole i stwierdziła:

- Wszystko w porządku.
- Chwała Bogu! – wykrzyknęła Nicole, czując wielką ulgę.
- Nie miałam pojęcia, co dalej robić!
- Nicole, spisałaś się na medal. To prawdziwy cud, że akurat wtedy byłaś tutaj. Nie wiem, jak ci dziękować.
- Ach, daj spokój. Powiedz mi, czy twojej mamy nie powinien obejrzeć lekarz?
- Jutro zawiozę ją do szpitala. Teraz przede wszystkim powinna wypocząć.

A potem stało się coś, co dla Nicole było wielkim zaskoczeniem. Młody Wietnamczyk podsunął sobie krzesło bliżej szezlonga, usiadł i zaczął głaskać Kim-Ly po głowie.

– To Trần, mój kuzyn – wyjaśniła O-Lan.

– Aha... O-Lan, bardzo się cieszę, że twoja mama czuje się lepiej. A teraz już pójdę. Pamiętaj, jeśli będę mogła ci w czymś pomóc, daj znać.

– Dziękuję. Proszę, zostań, Nicole. Zjemy coś razem. Pokażę ci, jak jest u nas na górze...

Nicole uśmiechnęła się, bardzo zadowolona, bo to wielki zaszczyt być zaproszonym do najbardziej prywatnej części domu.

– Dziękuję. Nie chciałabym być intruzem.

Trần został z Kim-Ly, a O-Lan i Nicole poszły na piętro, gdzie Wietnamka pokazała przede wszystkim stary ołtarzyk, przy którym jej rodzina modliła się od wielu pokoleń, a potem przeprowadziła Nicole przez kilka pokoi w amfiladzie, między którymi nie było ścian, tylko drewniane przepierzenia rzeźbione w geometryczne wzory. Potem wyszły na zewnętrzne schody, podobne do tych, które były u Nicole. Przestało padać i unoszący się w powietrzu zapach był tak silny, jakby rosło tu co najmniej milion kwiatów. Nicole oddychała teraz bardzo głęboko, pragnąc utrwalić w pamięci tę magiczną chwilę.

– Nicole? – zagadnęła O-Lan. – Mam nadzieję, że lubisz *bánh xèo*.

– Nigdy o tym nie słyszałam.

– To coś w rodzaju kruchego naleśnika. Podajemy go z *rau sông*.

– Przepraszam, z czym?

– Między innymi z kwiatami bananowca i liśćmi guawy.

– O! To brzmi zachęcająco!

Nicole postanowiła, że jeszcze tego samego dnia wręczy ojcu znaną ulotkę i powie mu o swoim występie w przedstawieniu, tymczasem nadszedł wieczór, a ojca nadal

w domu nie było. Nicole niby na niego czekała, jednak czuła ulgę. Trudno jej było sobie wyobrazić, że będzie w stanie zachowywać się wobec niego normalnie, skoro widziała go z tamtą ciemnoskórą kobietą! O nie, najchętniej w ogóle by nie pokazywała mu się na oczy!

Spojrzała przez okno na ogród i zauważyła Lisę siedzącą z lampką wina i papierosem. Pewnie zamierzała się odprężyć. Skoro tak, będzie miała towarzystwo!

Nicole zeszła do ogrodu i od razu na wstępie się pochwaliła:

– Dziś jadłam *bánh xèo*.

– No proszę! I jak? Smakowało?

– Było pyszne.

– Ja, niestety, tego wietnamskiego jedzenia nie trawię.

Nicole spojrzała na ogród. Piękny. Na brzegach trawnika kwitły dzikie kwiatki. Krzewy też kwitły, dlatego uwijało się wśród nich mnóstwo latających owadów. Łagodny wiatr kołysał gałęziami drzew, słońce złociło zielone liście; miejsca, gdzie słońce nie docierało, wydawały się niezwykle mroczne.

– Lubię nasz ogród. Ten w Huế też był piękny. Pamiętasz, Liso, jak ciągle spadałam z huśtawki zawieszanej na figowcu pagodowym?

Lisa uśmiechnęła się, potem oczy jej rozbłysły, kiedy śledziła wzrokiem pięknego czarnego ptaka, który poderwał się do lotu i przysiadł prawie na samym czubku figowca.

– A pamiętasz, jak porwałam swoją sukienkę wizytową?

– Pamiętam, pamiętam... Pamiętam też, jak złamałaś nogę w kostce i musieliśmy zawieźć cię do doktora.

– A potem przez całą noc siedziałaś przy mnie.

– No tak... – Lisa westchnęła. – Był z ciebie niezły urwis. Ciągle poobijana, podrapana...

Przez chwilę milczały.

– Liso, a co będzie, jeśli Viet Minh zwycięży i będziemy musieli stąd wyjechać?

– Nie słyszałaś, co mówił twój ojciec? Viet Minh nigdy nie pokona wojsk francuskich.

– Oby... – mruknęła Nicole, czując się, nie wiadomo dlaczego, nagle bardzo samotna, zagubiona. Bo ta wojna, ojciec z taką kobietą... Nie, nie jest dobrze. Na pewno byłoby inaczej, gdyby matka żyła. – Wiesz, Liso, szkoda, że tak mało wiem o swojej matce. Właściwie nic.

– To dlaczego nie porozmawiasz z ojcem?

– Ojciec nie chce ze mną o niej rozmawiać.

– No to ja ci coś powiem. Twoja matka była bardzo dobrym człowiekiem. Po prostu miała złote serce. Bardzo ją kochałam. A ty jesteś do niej podobna.

Nicole się uśmiechnęła.

– Naprawdę?

– Tak. Pod wieloma względami. Na przykład tak jak ona jesteś pełna życia. Sylvie w ogóle nie jest do niej podobna.

– Może kiedyś uda mi się coś wyciągnąć z ojca.

Wietnamczycy mówią, że jeśli nie wiesz, kim są twoi przodkowie, to jesteś niewiele lepszy od złodzieja.

– A niby dlaczego właśnie od złodzieja? – Lisa wybuchła głośnym śmiechem. – No proszę! Czego to ci Wietnamczycy nie wymyślą!

Już trzecia wsuwka wysunęła się z palców i poleciała na podłogę. Nicole przykucnęła, by ją podnieść, i wtedy zahaczyła palcem o deskę. Cholera, paznokieć złamany. Właśnie teraz!

Był początek lipca i jak zawsze o tej porze gorąco i parno, bo codziennie padało. Ale było też pięknie na ulicach, kwitła bowiem poinciana królewska, zwana również ognistym drzewem, bo jej niezwykle piękne pomarańczowo-czerwone kwiaty tak właśnie wyglądały. Jak ogień. Nicole powiedziała ojcu o przedstawieniu. Nie był zachwycony, ale udało jej się jakoś go przekonać i w końcu się zgodził. A kiedy dała mu ulotkę Viet Minhu, którą znalazła na ulicy, od razu ją podarł.

Miała się zobaczyć z Markiem po raz pierwszy od czterech tygodni i dlatego była teraz tak podekscytowana, że nic jej nie wychodziło. Złamanym paznokciem postanowiła zająć się później. Najpierw trzeba zrobić coś z włosami. Przysiadła więc na stołku, czując, jak od tego wszystkiego robi jej się gorąco. No, pięknie. Jest czerwona jak burak, ma złamany paznokieć, a włosy są wyjątkowo odporne. Gęste, mocne i, niestety, proste jak drut, tymczasem Nicole stanowczo wolałaby mieć na głowie loki albo fale. Próbowwała je upiąć, tak jak to robiła Sylvie, ale one za nic nie chciały się poddać, i w końcu Nicole dała sobie spokój, tylko wyszczotkowała je porządnie. Nałożyła na policzki trochę różu i pomalowała usta jasnoróżową szminką. A potem wyszła na korytarz, gdzie koło schodów wisiało duże lustro, w którym mogła się przejrzeć. Spojrzała sceptycznie, wcale nie taka pewna, czy dobrze wygląda. Bo czy te różyczki naszyte na suknię w kolorze limonkowym nie wyglądają trochę cudacznie? A ta różowa szminka? Okropność!

Kiedy ją ścierała, usłyszała pukanie do drzwi i do pokoju weszła Sylvie.

– Gotowa? Samochód już podjechał.

Nicole na widok siostry ze wszystkich sił starała się powstrzymać okrzyk zdumienia. Sylvie miała na sobie suknię ze srebrzystego jedwabnego szyfonu, prostą, a jednocześnie bardzo elegancką. Wyglądała tak, jakby wyszła z kart francuskiego „Vogue’a”. Oczywiście sukni nie zdobiły żadne różyczki ani wzorzysta draperia.

– A więc jak? Możemy jechać? – spytała Sylvie.

– Tak. Ale...

Sylvie naturalnie udawała niewiniątko.

– Ale co?

– Twoja suknia. Byłam pewna, że...

Wtedy się zaśmiała. A Nicole poczuła, że ma oczy pełne łez. Oczywiście wiedziała, że płacz nic tu nie pomoże.

W porównaniu z powściągliwą elegancją Sylvie ona wygląda na kompletne bezguście.

– Dlaczego chcesz koniecznie zrujnować mi życie, Sylvie?

Sylvie wdzięcznym ruchem odgarnęła kosmyk z czoła.

– Och, nie bądź taka melodramatyczna. To był tylko żart.

A wyglądasz nieźle.

Nicole zacisnęła pięść, wbijając złamany paznokieć w ciało. Jej siostra potrafiła naprawdę ją zdołować. Bo kto chciałby wyglądać tylko nieźle?

– A więc? Idziemy?

– Ja nigdzie nie idę.

– Nicole, proszę. Będą wszystkich fotografować. Bardzo chcę, żebyś ty też była na tych zdjęciach!

– Oczywiście! Bo w porównaniu z tobą będę wyglądać beznadziejnie!

Sylvie odrzuciła głowę w tył i wybuchła głośnym śmiechem.

– Nie bądź śmieszna, Nicole. Przecież powiedziałam, że to był tylko żart.

Nicole poderwała głowę. Sylvie nadal się uśmiechała się. Oczywiście! Wiadomo, że nie ustąpi. Będzie czekać godzinę, dwie i dłużej, by dopiąć swego. To znaczy by Nicole zrobiła z siebie idiotkę.

– Sylvie? Ty zawsze uważałaś, że to ja jestem winna, prawda?

– Winna? A z jakiego powodu?

– Nie udawaj. Dobrze wiesz, co mam na myśli.

– Nicole, przecież ja byłam wtedy pięcioletnią dziewczynką, która straciła matkę.

Po chwili Nicole rzekła, nie podnosząc głosu:

– Idź już sobie.

– Ależ, Nicole, przecież ty naprawdę nie wyglądasz źle. Tylko z twoimi włosami warto by coś zrobić.

Nicole nie odzywała się i Sylvie wreszcie wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. A Nicole poczuła, że opadły jej skrzydła. I nie chodziło tylko o zazdrość. Przede wszystkim odżyło z całą siłą to okropne poczucie niepewności, zagubienia.

Podeszła do okna i spojrzała w niebo, na aksamitną czerń srebrzoną księżycem. To miał być taki cudowny wieczór...

W pamięci ożył tamten dzień, kiedy razem z Markiem pływali łódką. Dzień, na którego wspomnienie nie mogła się nie uśmiechnąć, i na duszy zrobiło jej się jakoś lżej. Postanowiła, że ten wieczór nie będzie jednak stracony. W końcu sama jest sobie winna, bo chciała skopiować suknię Sylvie. Chwyła za nożyczki i przystąpiła do przerabiania limonkowej sukni, co nie było łatwe, ponieważ suknię uszyto z cieniutkiego jedwabiu.

I stało się. Chwila nieuwagi i nożyczki przebiły materiał. Nicole z pasją oderwała różyczkę i cisnęła nią o ścianę. Była wściekła i na Sylvie, i na siebie. I nie chodziło tylko o zniszczoną suknię. To była sprawa drugorzędna. Najbardziej bolało ją to, co dzieje się między nimi, siostrami.

Ktoś znowu zapukał do drzwi.

– Idź sobie! – krzyknęła, pewna, że to Sylvie.

– Nie idziesz na bal, *chérie*?

W progu stała zatroskana Lisa. Szybko podeszła do Nicole i objęła ją, a dziewczyna z trudem powstrzymywała łzy.

– Otrzyj oczy, kochanie – powiedziała Lisa. – Jedziemy tam. Razem. Ty i ja.

– Ale nie mogę iść na bal w tej sukni!

– Naturalnie, że nie. Znajdziemy coś innego, coś bardziej odpowiedniego. Najwyższy czas, Nicole, byś w końcu zrozumiała, że aby prezentować się pięknie, wcale nie musisz wyglądać jak Francuzka.

Nicole uśmiechnęła się, chociaż do tej teorii Lisy jakoś nie była przekonana.

Po niecałej godzinie Nicole przekroczyła próg sali balowej i przystanąła, wpatrując się w rozjarzone żyrandole i lustrzane ściany. Pachniało pięknie, drogimi perfumami i różami, ponieważ kolumny opleciono girlandami z bluszczu i białych róż. Przez tłum przemykali zwinni kelnerzy, każdy z tacą z szampanem. Orkiestra zaczęła grać tango.

Było fantastycznie i Nicole z wrażenia w pierwszej chwili zastygła, zaraz jednak się ożywiła, niebywale podekscytowana. Niespiesznie, krokiem niemal dostojnym, ruszyła w głąb sali, gdzie zabawa trwała już w najlepsze. Patrzyła jak urzeczona na kobiety wyglądające zjawiskowo w sukniach z połyskujących materiałów, wyszytych cekinami, perłami i kryształami

góorskimi. Wytworność i bogactwo. Feeria światel i barw. Natychmiast zapomniała o wszystkich kłopotach, bo przeżywała cudowne chwile, kiedy wśród zapachu róż oglądała francuski świat kolonialny. Czuła, że ten wieczór, ta noc mimo wszystko będą dla niej niezwykle. To będzie noc jej życia.

A przedtem, zanim tu przyjechała, Lisa zaprowadziła ją do swego pokoju i wyjęła z szafy suknię. Przepiękną. Nicole nigdy w życiu nie widziała tak pięknej sukni.

– Suknia twojej matki – powiedział Lisa. – Od Chanel.

– Naprawdę?

– Tak. Mam nadzieję, że będzie dobrze na tobie leżeć.

– Ale dlaczego przechowujesz tę suknię?

– Twój ojciec przywiózł ją z Paryża, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie. Twoja matka miała ją na sobie tylko raz. Po jej śmierci ojciec nie chciał przechowywać jej rzeczy, zanim jednak ich się pozbył, kazał mi coś sobie wybrać na pamiątkę. Wzięłam tę suknię. Gdyby twój ojciec nie sprzedał całej jej pięknej biżuterii, wybrałabym naszyjnik. Niedawno kazałam tę suknię trochę przerobić, zgodnie z obecną modą. Miałam zamiar podarować ci ją na Gwiazdkę.

Nicole, stając przed lustrem, przeżyła szok, widząc siebie ubraną tak elegancko. Suknia ze szkarłatnego jedwabnego rypsu łączonego z czerwonym jedwabiem leżała na niej idealnie. Była bez rękawów, uszyta pod samą szyję, i zapinana z przodu na haftki, a spódnica z czerwonego szyfonu tworzyła piękne fałdy. Nicole, obracając się przed lustrem, nie wierzyła własnemu szczęściu. Sukna wyglądała przepięknie. Prosty fason był ponadczasowy.

– Ten kolor znakomicie pasuje do twojej karnacji – powiedziała Lisa. – Wyglądasz pięknie. Pomalujesz jeszcze usta czerwoną szminką, no i tusz na rzęsy. A ja upnę ci włosy

w chińskim stylu i ozdobie jedną różyczką z tamtej okropnej sukni, którą miałaś przedtem na sobie.

Potem jeszcze tylko pantofle na wysokich obcasach i Nicole była gotowa. We francuskiej sukni wyglądała zdumiewająco orientalnie.

Orkiestra przestała grać. Zamiast muzyki słyszeć było ciche pobrękiwanie kieliszków z szampanem i szmer rozmów przerywanych wybuchami śmiechu.

Spojrzała w wysokie okna, sięgające aż do sufitu i wychodzące na dziedziniec. Widać było dziesiątki pochodni płonących w ogrodzie. Ich drżące płomienie odbijały się w sadzawkach na środku ogrodu. Ten urzekający widok sprawiał, że Nicole jeszcze mocniej odczuwała magię tych chwil.

Nagle dostrzegła Marka. Rozmawiał z jakimś mężczyzną. W czarnym smokingu wydał jej się jeszcze bardziej barczysty. Włosy miał przystrzyżone, ale niesforny lok nadal opadał na prawe oko i Nicole poczuła nieprzepartą chęć podbiec do niego i go odgarnąć. Rozmówca Marka musiał powiedzieć coś zabawnego, bo ten odrzucił głowę w tył i wybuchnął głośnym śmiechem. Nicole nagle poczuła się bardzo niepewnie. Bo może ona tylko sobie wyobraziła, że podoba się Markowi...

Mężczyzna ją zauważył i przestał się śmiać. Przez chwilę patrzyli na siebie. Potem Mark poklepał swojego rozmówcę po ramieniu i ruszył w stronę Nicole, która czekała z bijącym sercem.

– Pozwól, że ci się przyjrzę – powiedział. Zmierzył ją wzrokiem, uśmiechnął się i wyciągnął ręce. – Wyglądasz oszalamiająco!

– Naprawdę?

Podawała mu obie ręce, a kiedy spojrzała w jasnoniebieskie,

błyszczące oczy, poczuła po prostu uniesienie. Bo w tych oczach był podziw i uczucie. Tak, na pewno nie widziała tego tylko w wyobraźni!

– Bałem się, że nie przyjdiesz, Nicole.

Bał się?! Aż tak? Nicole z wrażenia omal nie zaniemówiła.

– Ja... ja miałam mały problem z suknią.

– Tak? Bardzo się cieszę, że został rozwiązany – odparł Mark z uśmiechem i ucałował ją w oba policzki. – Zatańczymy?

Niemal odurzona, na moment przymknęła oczy. Otworzyła je, kiedy wziął ją pod ramię, i wtedy zauważyła Sylvie. Stała po drugiej stronie sali, roześmiana, i rozmawiała z jakimś jasnowłosym oficerem, całym w bieli i złocie, ale kiedy dostrzegła siostrę, natychmiast ruszyła w jej stronę.

– No proszę! Nasze kaczątko zmieniło się w pięknego łabędzia! – powiedziała z szerokim uśmiechem. – Prawda, Mark?

– Dla mnie zawsze była pięknym łabędziem – odparł Mark i w tym momencie pojawił się koło nich fotograf z lokalnej gazety i zrobił im zdjęcie. Sylvie naturalnie od razu przybrała odpowiednią pozę, uśmiechając się promiennie, a kiedy było po wszystkim, szepnęła do siostry:

– Wyglądasz cudnie. Przepraszam za ten głup żart. Nie mogę sobie wybaczyć, że tak cię zdenerwowałam.

– Nic się nie stało – odparła Nicole. Szczerze. – To ja zrobiłam z siebie idiotkę.

Wsunęła palce w ciepłą dłoń Marka, on położył drugą dłoń na jej plecach i poprowadził ją na środek sali. Kiedy tylko zaczęli tańczyć, Nicole z wrażenia zakręciło się w głowie i musiała przylgnąć do jego silnego ciała. Przedtem też zdarzyło jej się być bardzo blisko niego, ale tylko na moment, jak przed chwilą, kiedy całował ją w policzki. Teraz ta bliskość trwała

zdecydowanie dłużej i sprawiała, że czuła się spięta. Tańczyli walca wiedeńskiego, wirując po parkiecie w rytm pięknej melodii. Twarze otaczających ich ludzi zlewały się w jedną całość – Nicole nie widziała nawet Sylvie i po chwili miała wrażenie, jakby sala balowa całkiem opustoszała. Byli w niej tylko oni. Kiedy dotarło do niej, że nogi same odruchowo wykonują prawidłowe kroki, pomyślała, że warto było chodzić na nudne lekcje tańca. Bo teraz czuła się rewelacyjnie, lekka jak piórko, wolna jak ptak.

Po wykonaniu trzech kawałków orkiestra ucichła. Zatrzymali się i Mark, nie odrywając oczu od Nicole, delikatnie zdmuchnął z jej oczu kosmyk włosów.

– Twoje włosy odzyskały wolność – powiedział z uśmiechem i Nicole również się uśmiechnęła. Kiedy palce Marka musnęły jej nagi kark, poczuła, że jeszcze moment i roztopi się jak воск.

Potem Mark obrócił ją, odsunął od siebie i spytał:

– Napijemy się teraz czegoś?

Nicole nie miała nic przeciwko temu. Bardzo chciało jej się pić i czuła się taka lekka po tańcu, a może bardziej przez to, że była w ramionach Marka. Mark oznajmił, że idzie po szampana, a Nicole stanęła pod ścianą i czekała, wspominając każdą sekundę ich wspólnego tańca, by na zawsze zachować go w pamięci. Po chwili minęła ją jedna ze znajomych francuskich dziewczyn. Szła z matką. Nicole uśmiechnęła się do nich, ale Francuzki ani drgnęły. Nie przejęła się tym jednak. Przecież ona zachowała się jak należy, prawda?

Mark podejrzanie długo nie przychodził, dlatego postanowiła go poszukać. Kiedy rozglądała się, przechodzący obok kelner podał jej kieliszek szampana. Wypiła porządny łyk i ruszyła dalej. Najpierw zajrzała do palarni, gdzie w fotelach

siedziało kilku starszych panów i pachniało dymem z cygar i brandy, potem do kilku innych pomieszczeń. Marka nigdzie nie było, wróciła więc do sali balowej, gdzie zrobiło się trochę luźniej. Wreszcie go dostrzegła: otwierał boczne drzwi do sali. Ruszyła tam biegiem, ale przeszkodziła jej Francine, koleżanka szkolna, która chciała z nią pogadać. Nicole musiała zamienić z nią kilka słów, naturalnie nie spuszczać oczu z drzwi, za którymi zniknął Mark. Po kilku minutach udało jej się wreszcie uwolnić od Francine i dotrzeć do owych drzwi, którymi wychodziło się do chłodnego korytarza o gołej podłodze. Była pewna, że ten korytarz to takie dyskretne przejście do pokoi gier, tymczasem dotarła do kamiennych schodów prowadzących w dół. Zawahała się, ale tylko na moment, po czym zdecydowanym krokiem weszła na schody. Przecież Mark musiał iść właśnie tędy, innej możliwości nie ma.

Trzymając się żelaznej poręczy, Nicole zeszła do podziemi, konkretnie do piwnicy na wino. W dwóch otwartych niszach widziała beczki z winem i stojaki wypełnione butelkami. Ruszyła przed siebie, po chwili jednak zatrzymała się, słysząc jakieś przyciszone głosy. Kiedy ucichły, poszła dalej. W podziemiach nie słyhać było żadnych odgłosów z sali balowej. Słyszała tylko swoje kroki, odbijające się echem w tych przepastnych wnętrzach. Szła i szła i w końcu dotarła do końca piwnicy, gdzie stał rząd regałów. Jeden z nich odsunięto na bok, dzięki czemu widać było metalowe drzwi z małym wizjerem. A zza tych drzwi dochodziło szuranie krzeseł, a potem stłumiony krzyk. Dłonie Nicole natychmiast zwilgotniały. Może ta wyprawa do podziemi to nie był najlepszy pomysł. Tam, na górze, było jasno i bezpiecznie. I tam powinna czekać na Marka.

Znów usłyszała stłumiony krzyk i zadrżała, przerażona. Jak mogło w ogóle przyjść jej do głowy, żeby schodzić na dół?

Cofnęła się o krok, czując, że ze strachu włosy jeżą jej się na głowie. Wytarła wilgotne ręce o suknię i uznała, że najlepiej będzie, jeśli stąd zniknie. Jak najprędzej. Niestety, coś ją od tego powstrzymywało. Czowała, że powinna spojrzeć przez wizjer, choć wcale tego nie chciała.

Spojrzała i w tym momencie czas może i nie stanął w miejscu, ale na pewno zwolnił. Zobaczyła młodego Wietnamczyka przywiązanego do krzesła. Nie miał charakterystycznej szpary między zębami, ale od razu go rozpoznała. To Trần, kuzyn O-Lan.

W gardle ją ścisnęło, ale patrzyła dalej jak zahipnotyzowana. Nie słyszała, co mówił, ale miał przerażone oczy i miotał głową na wszystkie strony. A więc na pewno ktoś mu groził. Potem zobaczyła jeszcze jednego mężczyznę, który wynurzył się z mroku. I nogi pod nią się ugięły.

To był jej ojciec.

Przechadzał się, bo na moment zniknął jej z pola widzenia, po czym znowu się pojawiał. A ona nagle poczuła bardzo niemiły zapach, myszy, może szczurów, i zaraz potem usłyszała gdzieś w górze piski. Odruchowo spojrzała na wąskie rury przymocowane do sufitu, potem znów przez wizjer. W zachowaniu ojca było coś, czego przedtem nigdy nie widziała. W prawym ręku coś trzymał. Pistolet?!

Z całej siły zacisnęła powieki, by tego nie widzieć. Bo to nie może dziać się naprawdę.

Półprzytomna, zmusiła się do uchylenia powiek i po plecach przebiegł jej lodowaty dreszcz. Ojciec właśnie celował. Krzyknęła, ale bezgłośnie, tak że ten krzyk wypełnił jej czaszkę. Trwało to kilka sekund. Drżała, widząc, jak oczy Wietnamczyka robią się coraz większe, jak nagle jego ciało wiotczeje i głowa opada na piersi. Czarne włosy zakrywające twarz przypominały

złamane skrzydło ptaka. Z kącika ust mężczyzny wypłynęła strużka krwi. Zacharczał. Czy możliwe, żeby to usłyszała? Może tylko wydawało jej się, że słyszy ten dźwięk?

Ciemna plama na jego piersi była coraz większa. Na piersi kuzyna O-Lan, nowej przyjaciółki Nicole, która widziała, z jaką czułością Trần głaskał po głowie chorą ciotkę. O-Lan i jej matka kochały go, a ojciec Nicole odebrał mu życie.

Po drugiej stronie żelaznych drzwi zrobiło się teraz głośno; starała się wyodrębnić z tych dźwięków głos ojca, ale bezskutecznie. Znikł też z pola widzenia. Gdzie jest? I dlaczego tu jest? Jedna myśl za drugą przelatywały przez jej głowę, jednocześnie rozum podpowiadał, że powinna stąd uciekać. Ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Nic dziwnego, skoro była tak bardzo wstrząśnięta.

Jej ojciec, rodzony ojciec, zabił człowieka.

Dopiero kiedy za metalowymi drzwiami zaczął się ruch, przemknęła do najbliższej piwniczki na wino. Tam, skulona, drżąca, przycupnęła w najciemniejszym kącie.

Drzwi otwarły się, zapachniało krwią. Pierwszy wyszedł ojciec, za nim dwóch mężczyzn. Jeden w ubraniu kelnera, ale wyglądał na policjanta, drugim natomiast był jasnowłosy oficer, z którym rozmawiała Sylvie. Ojciec zamienił z nimi kilka słów i cała trójka odeszła. Na ubraniu ojca nie było widać żadnych śladów krwi. Czyżby zdążył się przebrać?!

Nicole, skulona w najciemniejszym kącie piwniczki, nagle zapragnęła rozpaczliwie, by była teraz przy niej Lisa. Po chwili znowu usłyszała kroki. Poderwała głowę i zobaczyła jeszcze jednego mężczyznę: ojca Daniela Girauda. Zwalistego, o wyjątkowo odpychającym wyglądzie. Miał bardzo jasne oczy, rzadkie siwe włosy, grube brwi i wielkie usta. Nicole wiedziała, że ten człowiek nienawidzi Wietnamczyków.

Kto ma usunąć ciało? – pomyślała Nicole. Nie, nad tym nie wolno się teraz zastanawiać, tylko trzeba stąd jak najprędzej uciekać. I nie patrzeć przez otwarte drzwi na nieruchome ciało. Bo niezależnie od tego, kto to zrobił i dlaczego, jej nie powinno tu być. Nikt nie powinien wiedzieć, że była świadkiem morderstwa.

I nagle znieruchomiała. Z tego straszego pokoju wyszła... Sylvie! Z kredowobiałą twarzą, bliska łez. Zaraz potem pojawił się Mark, równie jak ona wstrząśnięty.

– O Boże... O Boże... – wyszeptała Sylvie. – To było straszne.

Żadne z nich nie mogło zauważyć ukrytej w ciemnościach Nicole. Ona natomiast widziała ich dokładnie. Widziała, że Sylvie cała drży.

– Dlaczego on chciał, żebyśmy przy tym byli? – spytała załamującym się głosem.

– Moim zdaniem po to, byś wiedziała, w co wchodzisz – odparł Mark, biorąc ją za obie ręce. – Ale zimne! Myślałem, że to będzie tylko przesłuchanie. Nie miałem pojęcia, że tak się stanie. Mam nadzieję, że jest to dowód, iż postępujemy słusznie.

– To było straszne, straszne...

– Może więc teraz zrozumiesz nastawienie Amerykanów do metod Francuzów?

Sylvie oparła się o ścianę i ukryła twarz w dłoniach.

– I dlatego musimy sfinansować kolejne przyjęcie, by sprowokować Viet Minh.

Sylvie odsłoniła twarz.

– Bez wiedzy Francuzów?

– Tak.

– Ale co z moim ojcem? Przecież on wie. Czy to nie osłabi jego pozycji, nie wpłynie negatywnie na jego współpracę

z gubernatorem?

I Sylvie zalała się łzami. Nic dziwnego. Oglądanie tego koszmarnego wydarzenia przez wizjer w drzwiach było strasznym przeżyciem. A co dopiero być w środku, w pokoju, gdzie dokonano egzekucji.

Mark objął Sylvie ramieniem, drugą ręką delikatnie otarł łzy z jej policzków. Potem przesunął się, stając plecami do Nicole i całkowicie zasłaniając Sylvie. Pochylił się i wszystko wskazywało na to, że ją pocałował.

– Idziemy stąd – powiedział. Sylvie kiwnęła głową i odeszli. Mark nadal obejmował ją ramieniem. Kiedy dochodzili do schodów, słodki zapach krwi stał się jeszcze bardziej wyczuwalny. Nicole czuła, że traci resztki sił. Wszystko to, co dotychczas w jej życiu było stabilne, bezpieczne, nagle rozsypało się w proch.

Słońce już wstało, jego blask zalewał wszystko. Nicole patrzyła w okno, dopóki oczy nie rozbolały jej od tego spoglądania w jeden punkt. Była kompletnie rozbita. Po przerażającym wydarzeniu w podziemiach udało jej się niepostrzeżenie wymknąć z sali balowej, a potem przez prawie całą noc leżała zwinięta w kłębek, pojękując cicho. Czuła, że się dusi, że cały świat się kołysze, i wszędzie widziała krew. Przycisnęła pięści do oczu, ale nadal widziała tylko krew i czuła okropny ból duszy. Wreszcie wstała z łóżka i z całej siły uderzyła pięścią w ścianę. I to nic nie pomogło. Ani odrobiny ulgi, więc chociaż na dworze było gorąco i parno, postanowiła wyjść z domu.

Ochlapała twarz zimną wodą, ubrała się w to, co miała pod ręką, i zeszła na dół, do kuchni. Lisa stała przy piecu kuchennym, odwrócona plecami do drzwi, i mieszała coś w garnku. Kiedy usłyszała, że ktoś wchodzi, odwróciła się. Nicole milczała. Nie wiedziała, co miałyby teraz powiedzieć, jak się zachować. Stała nieruchomo, przygarbiona, z opuszczonymi rękoma. Nie powinna była zaglądać do kuchni, bo kto jak kto, ale Lisa od razu zorientuje się, że z nią coś nie tak.

– Na litość boską, dziecko, jak ty wyglądasz! – wykrzyknęła kucharka. – Okropnie! Na piecu stoi kawa. Nalej sobie.

Nicole wzięła filiżankę i podeszła do kuchennego pieca, ale ręka tak jej drżała, że kawa z dzbanka zamiast do filiżanki wylała się na rozgrzaną kuchenną płytę.

– A co tu się dzieje? Usiądź, Nicole. Podam ci kawę.
Nicole potrząsnęła głową.

– Nie. Wychodzę. Wypiję kawę na mieście.

– Wykluczone! Nigdzie nie idziesz. Jesteś blada jak ściana. Twój ojciec nigdy by mi nie wybaczył, gdybym pozwoliła ci w takim stanie wyjść z domu.

Nicole miała teraz tylko jedno pragnienie: żeby Lisa ją przytuliła, a ona jej opowie, co widziała. Wszystko. Zdawała sobie jednak sprawę, że nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. A poza tym... chyba nigdy w życiu nie będzie w stanie o tym rozmawiać.

W całej kuchni zapachniało teraz kawą, ponieważ Lisa zmieliła i zaparzyła świeżą. Nalała kawy do dwóch kubków i usiadła obok Nicole.

– Powiedz, co się stało. Wyglądasz bardzo nieciekawie. Może wypijaś wczoraj za dużo szampana?

Nicole upiła łyk kawy. Tak gorącej, że poczuła w gardle ogień, ale to naprawdę było nieistotne. Otarła usta wierzchem dłoni i dalej milczała.

– Z wami, dziewczętami, nie dojdiesz do ładu – mruknęła Lisa. – Teraz przede wszystkim powinnaś zjeść porządne śniadanie. Zrobię ci jajka w koszulce.

– Nie chce mi się jeść.

– To może chociaż rogalika?

Nicole zerwała się na równe nogi.

– Przepraszam... ale muszę już iść – wymamrotała i bojąc się, że może się rozkleić, szybko wyszła z kuchni. Kiedy znalazła się na dworze, przyspieszyła kroku, a po chwili już biegła. Nie było to łatwe, bo głowę miała dziwnie ciężką, ale chciała biec, bo wtedy nie myślała o krwi.

Nie padało, Rue Paul Bert była więc zatłoczona, ale ona biegła ze spuszczoną głową, klucząc między przechodniami. Na rogu ulicy, na której stał ich dom towarowy, Maison Duval,

spozrzegła pod wystającym okapem ojca. Zauważył ją i pomachał. Ona nawet nie spojrzała na niego. Było to ponad jej siły. Miała patrzeć na ojca, który całował się na ulicy z ciemnoskórą kobietą z piersiami na wierzchu, a teraz zrobił coś o wiele gorszego, bez porównania gorszego?

Kiedy przebiegała obok Cercle Nautique, klubu wioślarskiego tuż nad wodą, zatrzymała się, by złapać oddech, i wtedy minęła ją trupa wędrownych aktorów. W przerwach między opadami często można było spotkać wędrujących przez miasto aktorów i grajków. Ludzie mówili, że to wysłannicy Viet Minhu, ale Nicole się tym nie przejmowała. Bardzo lubiła ich występy. Tego dnia jednak nawet na nich nie spojrzała, bo przed oczami cały czas miała przerażony wzrok Trâna, kiedy błagał, żeby go nie zabijali. Potem wyraz jego oczu się zmienił, kiedy pojął, że nie ma ratunku. Czy zawsze tak jest, gdy nadchodzi śmierć? Człowiek czuje się bezbronny w obliczu tego, co nieuniknione?

Biegła teraz przez starą dzielnicę, klucząc między straganami z herbatą rozstawionymi na chodnikach. Włosy miała mokre od deszczu i potu. Po jakimś czasie zwolniła, ale i tak wpadła na szewca, który ją zwymyślał, bo przewróciła jego koszyk z butami.

Po jakimś czasie musiała się zatrzymać, żeby przepuścić mężczyznę, który ciągnął za sobą riksę.

Bolała ją okropnie głowa. Lipiec był duszny i parny, a na dodatek nurtowały ją pytania: dlaczego Sylvie tam była? Dlaczego ojciec z zimną krwią zastrzelił młodego Wietnamczyka?

O tym, że Mark całował się z Sylvie, wolała nie myśleć. Przecież wszystko jest jasne. Jak mogła być tak naiwna, sądząc, że Mark się nią zainteresuje, kiedy może zdobyć Sylvie? Teraz

na pewno wyśmiewają się z niej. Ale cóż... Nie ma co się dziwić, że Mark woli starszą siostrę Duval, która przewyższa młodszą i urodą, i inteligencją.

Kiedy skręciła w następną ulicę, zauważyła wybiegającą z piekarni dziewczynkę z przewieszonym przez ramię wielkim koszem z lukrowanymi bułeczkami. Była to Yvette. Jej długi czarny warkocz podskakiwał na plecach. Na widok Nicole rozpromieniła się i pomachała do niej w przelocie. Nicole też się uśmiechnęła. Ta słodka dziewczynka zawsze jest jak promyczek słońca. To oczko w głowie jej ojca, Yvesa, który jest bardzo dobrym człowiekiem.

Pomachała do dziewczynki i poszła dalej, do swojego sklepu.

Tego dnia lało jak z cebra, klientów można więc było policzyć na palcach jednej ręki, ale Nicole i tak wróciła do domu już po zmierzchu. Ledwo weszła do swego pokoju, kiedy pojawiła się Sylvie, oznajmiając, że kolacja już na stole. Siostra była w popielatym jedwabnym kostiumie, na głowie miała biały kapelusz z czarną woalką. Niewątpliwie też pracowała przez cały dzień. Czyli dzień jak co dzień, jakby nic się nie wydarzyło. Życie toczy się dalej, choć tej nocy zabito człowieka.

Ale Sylvie wydawała się wtedy równie wstrząśnięta jak Nicole, dlatego postanowiła teraz z nią szczerze porozmawiać. Dowiedzieć się, dlaczego to właśnie ich ojciec musiał pociągnąć za cyngiel i dlaczego Sylvie musiała być tego świadkiem.

Kiedyś potrafiły przecież ze sobą rozmawiać szczerze. Kiedyś....

– Sylvie? Ja...

– Co?

Nicole milczała przez chwilę, wpatrując się w siostrę.

– Ja... ciebie widziałam – powiedziała i natychmiast

przypomniała sobie przerażającą scenę zabijania.

– Widziałaś mnie? Kiedy? Gdzie? – spytała spokojnie Sylvie.

Nicole błyskawicznie podjęła decyzję: ani słowa o pistolecie, o strzelaniu, o krwi.

– Powiedz, Sylvie, dlaczego Mark cię pocałował? – spytała, a ponieważ siostra była tym pytaniem bardzo zaskoczona, dodała: – Byłam w piwnicy i widziałam was razem.

Sylvie najpierw spojrzała na swoje buty, potem powoli uniosła głowę i popatrzyła na siostrę. Uśmiechnęła się, ale był to uśmiech wymuszony.

– Mam nadzieję, że niczego więcej nie widziałaś – powiedziała spokojnym głosem. Za bardzo spokojnym.

Nicole się nie odzywała.

– Nicole?

– A... tak. A więc... widziałam was. Ciebie i Marka. A ja spotkałam się z Markiem. Niejeden raz.

– No cóż... Znam Marka trochę dłużej niż ty. Nie wiem, co miałabym jeszcze powiedzieć.

– Naprawdę nie wiesz?

Sylvie wskazała ręką na drzwi.

– Przyszłam tu tylko po to, by powiedzieć, że kolacja na stole. Mam poprosić, żeby przynieśli ci do pokoju? A jeśli chodzi o Marka i o mnie, postaraj się spojrzeć na to jak człowiek dorosły. Przykro mi, że to, co zobaczyłaś, tak cię zdenerwowało. Czy dlatego wyszłaś wcześniej z balu?

– Nie udawaj niewiniątka. Dobrze wiesz, że coś takiego musiało mnie zdenerwować.

Sylvie wyraźnie nie miała zamiaru dłużej dyskutować, bo odwróciła się w stronę drzwi, gotowa do wyjścia. I wtedy rozżalona Nicole straciła panowanie nad sobą. Chwyliła książkę

i cisnęła nią w siostrę. Ta zrobiła unik i książka upadła na podłogę. W pokoju zapadła cisza. Sylvie spojrzała w lustro, odgarnęła lok z czoła i pomalowała usta szminką. Nicole patrzyła na książkę, na kartki odwracane przez wiatr wpadający otwartym oknem.

W końcu powiedziała:

– Moim zdaniem to ty namówiłaś ojca, żeby dał mi tylko sklep.

– A ty znowu o tym – mruknęła Sylvie, nadal wpatrzona w lustro. – Powtarzam ci, że do niczego go nie namawiałam. Sam tak postanowił. Uważa, że lepiej, by jedna z nas miała całkowitą kontrolę nad firmą.

– Czyli ty, bo jesteś ideałem?

– Przestań histeryzować. Ojciec ma przede wszystkim na względzie dobro firmy. Aha, tak przy okazji. Utnij mi, proszę, osiem metrów brokatu. Pośpiechu nie ma, ale wolę go już mieć, bo nie wiadomo, kiedy będzie potrzebny.

Po wyjściu siostry Nicole padła na łóżko, kryjąc twarz w poduszcze, i zaczęła obgryzać skórkę wokół paznokcia. Szarpała ją zębami, póki nie poczuła krwi. Zawsze bardzo chciała być idealną francuską córką i dlatego tak przeżywała fakt, że praktycznie została wyłączona z rodzinnego biznesu. Ale to było nic w porównaniu z tym, że jej siostra i Mark byli naocznymi świadkami morderstwa. Jak to na nich wpłynęło? Jak wpłynęło na nią, bo przecież też wszystko widziała? Jak ojciec mógł z zimną krwią zabić człowieka, jakby był zwierzęciem podlegającym ubojowi?

Im dłużej o tym myślała, tym silniejsze było uczucie wszechogarniającej pustki. I bezradności. Bo jak to teraz będzie dalej? Czy oprócz Lisy istnieje jeszcze choć jeden człowiek, któremu mogłaby zaufać?

II

Księżyc w wodzie

Koniec lipca – październik 1952

Po tragicznych wydarzeniach w podziemiach hotelu Nicole zaczęła unikać siostry i ojca. Naturalnie chciała się dowiedzieć, dlaczego Sylvie i ojciec znaleźli się w celi za metalowymi drzwiami i co kryje się za tym morderstwem, instynkt samozachowawczy jednak podpowiadał, że najlepiej niczego nie dociekać i starać się jak najszybciej o tej bolesnej sprawie zapomnieć. Czy to możliwe? Czy można coś takiego skutecznie wymazać z pamięci? Czy to wspomnienie nie będzie nadal żywe i pewnego pięknego dnia Nicole pod wpływem emocji w najmniej odpowiednim momencie nie wyrzuci z siebie wszystkiego?

O, nie! Przerazona tą perspektywą milczała jak grób, ale koszmarne obrazy prześladowały ją w snach.

Ojciec niewątpliwie zdumiony był tą zmianą jej zachowania. Sylvie też, dlatego postanowiła porozmawiać o tym z siostrą. Przyszła do Nicole z samego rana, ubrana już do wyjścia. Weszła, zamknęła za sobą drzwi i opierając się o nie plecami, oświadczyła:

– Musimy pogadać, Nicole.

Minę miała surową, lecz głos łagodny, jakby czegoś żałowała. Ale Nicole tylko spojrzała w okno, bo wcale jej się nie podobało, że Sylvie jest w jej pokoju. Czowała się osaczona i dlatego wołała teraz patrzeć nie na siostrę, lecz na jaszczurkę wspinającą się po pniu drzewa.

– Chciałam ci coś wyjaśnić w związku z rozmową, którą może usłyszałaś przypadkiem w tej piwnicy. – Oczywiście Nicole natychmiast skierowała na nią wzrok. – Doszłam do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli dowiesz się tego ode mnie.

Potem Sylvie przerwała, jakby potrzebowała chwili namysłu.

– Powstaje nowa, alternatywna partia wietnamska, finansowana przez Amerykanów. Nie jest to partia komunistyczna, jej celem będzie zwalczanie Viet Minhu. Może więc zrobić się bardzo niebezpiecznie, dlatego utrzymywane jest to w tajemnicy. Chciałabym więc, żebyś to, co ci powiedziałam, zachowała dla siebie.

– A dlaczego Amerykanie nie pomogą po prostu Francuzom?

– Myślę, że uważają, iż dni Francuzów tutaj są już policzone.

– Ty też tak uważasz?

– Naturalnie, że nie – oświadczyła Sylvie, prostując się dumnie. – Ale fakt, że powstanie alternatywa dla Viet Minhu, jest dla nas bardzo korzystny.

– Czy papa jest w to wtajemniczony?

– Tak. I o tym też chciałam ci powiedzieć. Jest w to włączony, ale gubernator o niczym jeszcze nie wie. Ani o tym, że powstaje nowa partia, ani że będzie miała swoją armię. Dlatego nikt nie może się dowiedzieć o działalności ojca, bo to zaszkodzi jego pozycji.

– Rozumiem... – Nicole zmrużyła oczy. – Czyli Mark wcale nie handluje jedwabiem, prawda? Wszyscy jesteście w to włączeni. Papa, ty i Mark.

– Tak. Dla dobra Francji. Wiesz, że dla ojca nie są to tylko puste słowa.

Nicole nie odezwała się, tylko bezradnie potrząsnęła głową.

Tego dnia Nicole, idąc do sklepu, podjęła decyzję: teraz tylko praca, żadnych rozmyślań, bo to ją wykończy. I poskutkowało, bo pod koniec dnia, choć oczy ją piekły i cała

była obolała od dźwigania ciężkich bel jedwabiu, psychicznie czuła się trochę lepiej. Następnego dnia też wzięła się ostro do roboty i pomalowała ściany w sklepie na niebieskozielono, taki łagodny odcień, podobny do koloru kaczych jajek. A potem w ciągu kolejnych dni nazbierała kwiatów lotosu na wystawę i zaczęła porządkować piętro, żeby można było tam wreszcie zamieszkać. Nabłyszczyła meble pszczelim woskiem i umyła podłogę, dodając do wody mydło o zapachu cytrynowym. Poza tym szyła, wyczarowując ze ścinków jedwabiu połyskliwe zasłony, powłoczki na poduszki i pasujące do nich narzuty. Nauczyła się też robić abażury z frędzlami i piękne ptaki z jedwabiu, które powiesiła w oknie wystawowym. A potem zaczęła szyć szale i apaszki, naturalnie na sprzedaż, i niebawem do sklepu poczęło zaglądać mnóstwo wietnamskich dziewcząt skuszonych właśnie tymi apaszkami. I wtedy to Nicole poczuła, że sklep staje się treścią jej życia. Miejscem niezwykle ważnym, gdzie czuje się potrzebna i bezpieczna; tu może być jej miejsce na ziemi.

Któregoś dnia wieczorem, kiedy wyszła ze sklepu, wpadła na O-Lan. Od razu zaczęła zastanawiać się gorączkowo, jak rozmawiać z przyjaciółką, żeby przypadkiem nie zdradzić, że wie o śmierci jej kuzyna.

– Witaj! – zawołała O-Lan. – Przepraszam, że nie dawałam znaku życia, ale byłam bardzo zajęta matką.

– Witaj. – Nicole, coraz bardziej zdenerwowana, przestępowała z nogi na nogę. – Ja też ostatnio byłam bardzo zajęta.

– Masz wolną chwilę? Może pośpiewamy? Teraz mogę, bo matka śpi.

– Szczerze mówiąc, jestem trochę zmęczona.

– Och, nie daj się prosić, Nicole. Jak pośpiewasz, od razu

poczujesz się silniejsza. Ja zawsze sobie śpiewam pod koniec dnia.

Nicole już się nie opierała i obie poszły na piętro, gdzie O-Lan przede wszystkim obejrzała i pochwaliła zmiany, jakie poczyniła Nicole.

– Bardzo ładnie tu teraz. Masz prawdziwy talent do urządzania wnętrz.

Zaczęły śpiewać, ale nie bardzo im to wychodziło, ponieważ O-Lan wydawała się bardzo smutna, a Nicole trapiły wyrzuty sumienia. Szybko więc zrezygnowały z popisów wokalnych i Nicole otworzyła butelkę piwa imbirowego.

– Proszę, O-Lan – powiedziała, podając ją dziewczynie. – Usiądziemy sobie teraz na kanapie i pogadamy.

O-Lan milczała, wpatrując się w butelkę, którą trzymała w ręku. Nicole była już pewna, że zaraz usłyszy, iż kuzyn Tràn nie żyje. Czekwała w napięciu, czując w ustach dziwny kwaskowaty smak. Czyżby kłamstwo też miało swój smak?

– Jak się czuje twoja matka, O-Lan?

– Coraz gorzej.

A więc to jest powodem przygnębienia! W tym momencie Nicole poczuła wielką ulgę, co oczywiście nie miało nic wspólnego z matką O-Lan.

– Była u lekarza?

– Tak, ale niewiele może jej pomóc.

– O-Lan... – Nicole nachyliła się ku przyjaciółce i przykryła dłonią jej dłoń. – Pamiętaj, gdybyś potrzebowała pomocy, nie krępuj się. Jestem zawsze do twojej dyspozycji.

O-Lan uśmiechnęła się blado, potem na kilka chwil zapadła cisza. Siedziały, każda zajęta swoimi myślami. Nicole myślała, jak to dobrze, że dostała rolę w musicalu w teatrze Les Variétés, bo podczas prób trzeba się skupić, nie ma czasu na smutne

myśli. A problemów nie brakuje. Chociażby ta ciągła huśtawka. Fakt otrzymania roli potęgował w niej świadomość, że jest metyską. A wczoraj, kiedy włożyła różową, sięgającą do połowy łydki szmizjerkę i czarny skórzany pasek, poczuła się jak szykowna Francuzka. Z kolei w ciągu dnia, kiedy pracowała w sklepie, była stuprocentową Wietnamką i miała poczucie, że oddała się od swojej francuskiej rodziny.

Załóżmy, że naprawdę od nich odejdzie... Jak by to było? Miała wielką ochotę porozmawiać o tym z O-Lan, choć teraz zeszło to na drugi plan, przecież głowę miała zajęta czym innym: wciąż przeżywała egzekucję w podziemiach hotelu.

Pierwsza odezwała się O-Lan.

– Wiesz, Nicole, coraz lepiej śpiewasz.

Nic dziwnego, przecież chodziła na próby, dużo ćwiczyła i coraz lepiej operowała głosem. Nawet Jerry powiedział kiedyś, uśmiechając się szeroko, że jego zdaniem Nicole na pewno porwie publiczność.

– No to może spróbujemy jeszcze raz? – zaproponowała.

– Dobrze. Zaśpiewajmy.

O-Lan wstała, rozpromieniona, a Nicole pomyślała, że tak właśnie powinno być. Nie wolno rozpamiętywać w nieskończoność jakichś okropności. Trzeba skupić się na tym, co dobre, i wtedy z czasem te tragiczne wspomnienia zblakną, a może i całkowicie pójdą w niepamięć.

A co z Markiem? O nim też przecież myśli bez przerwy. No cóż... Tu można zrobić tylko jedno: po prostu przyjąć do wiadomości obecny stan rzeczy i zaakceptować. Tak, tylko to.

Tego dnia w sklepie nie było dużego ruchu i dlatego Nicole postanowiła, że poukłada towar inaczej, według kolorów. Zaczęła od chłodnych odcieni niebieskiego i zieleni, skończyła na pomarańczowym, purpurowym i kolorze fuksji. Każdy kolor

coś jej mówił. Niebieski i liliowy budziły wspomnienia z Hué, czerwony oznaczał gniew, a żółty kojarzył się z latem i ogrodem wygrzanym słońcem. Kochała jedwab. Bardzo lubiła całkowicie poddać się tej najszlachetniejszej tkaninie, zapominając o całym świecie. Często owijała się w nią, wyobrażając sobie, że jest jedną z kobiet cesarza. A kiedy głaskała jedwab, od razu robiło jej się lżej na duszy.

Większość jedwabiu sprzedawanego przez Duvalów dostarczano z okolic Hué i Nicole nieraz zastanawiała się, czy nie znaleźć dostawcy gdzieś bliżej; przecież niedaleko Hanoi jest wioska, której mieszkańcy trudnią się wyrabianiem jedwabiu. Miała już sporą wiedzę na ten temat (na przykład że nie jedwabna może być tak cienka, że prawie niewidoczna, a może też być gruba, i to z niej tkany jedwab jest gorszego gatunku, taki na zwyczajne, codzienne ubranie).

– Jeszcze tu jesteś? – usłyszała.

Odwróciła się natychmiast i poczuła, jak cała krew odpływa jej z twarzy na widok znajomej szpary między zębami. Przecież to niemożliwe! To nie może być Trần, kuzyn O-Lan, którego zabili w piwnicy hotelu!

– To ty? Ale jak to?! Myślałam, że...

– Że nie żyję?

– Ja... Ja...

– A więc wiesz, że ktoś strzelał!

Nicole potarła nerwowo kark.

– Ja o niczym nie wiem!

Żałowała, że zabrzmiało to tak wyniośle, zwłaszcza kiedy Trần zrobił kilka kroków w jej stronę. Szybko schowała się za ladę, zastanawiając się gorączkowo, co teraz powiedzieć. Niestety, Trần poszedł za nią i złapał ją za ramiona. Był niewiele wyższy, ich oczy były prawie na tej samej wysokości. Nie miała

więc wyboru. Musiała w nie patrzeć i wytrzymać jego świdrujące spojrzenie. Z nadzieją, że w jej wzroku nie ma niczego, co potwierdziłoby jego przypuszczenia.

– Naprawdę? – prychnął.

– Tak! – odpowiedziała. Patrzyła na niego, a przed oczami miała nieruchome ciało martwego człowieka. Od tego wszystkiego okropnie piekło ją pod powiekami i dlatego, starając się wytrzymać jego spojrzenie, prawie bez przerwy mrugała oczami.

– Coś nie tak z twoimi oczami? – spytał Tràn.

Pokręciła głową i w tym momencie gdzieś w pobliżu zatrzymał się samochód. Hamulce zapiszczały, ktoś wysiadł i głośno zamknął drzwi. Te odgłosy obudziły w Nicole pragnienie uwolnienia się z żelaznego uścisku palców Tràna i ucieczki. Niestety, było to niewykonalne, dlatego postanowiła coś powiedzieć, co być może rozładuje atmosferę.

Na szczęście coś przyszło jej do głowy.

– Ostatnio jakoś cię tu nie było widać. Jedna z sąsiadek mówiła, że chyba wróciłeś do swojej wioski.

– Tak mówiła? – warknął i uśmiechnął się tak, że jej dłonie natychmiast zwilgotniały. – A która to sąsiadka?

– Ach, już nie pamiętam. Chyba... twoja kuzynka O-Lan.

Wtedy złapał ją za rękę i wykręcił do tyłu, a potem napał na nią twardym ciałem, zionąc jej prosto w twarz śmierdzącą cebulą i octem. Cud, że powstrzymała się od krzyku.

– Tràn, proszę, nie rób mi niczego złego. Ja naprawdę nic nie wiem.

– Nie? Ale kiedy mnie zobaczyłaś, byłaś zszokowana!

Ale ją puścił. Odchrząknęła i spojrzała mu prosto w twarz, świadoma, że musi coś powiedzieć. Naturalnie coś, co go nie rozjuszy jeszcze bardziej.

– Dlaczego tu jesteś, Tràn?

Na moment spuścił głowę, a kiedy ją poderwał, jego wzrok znów płonął. I walnął pięścią w stół.

– Byliśmy pewni, że mój brat wrócił do wioski. Do jedwabnej wioski, z której wszyscy pochodzimy. Ale jego motocykl nadal stoi w szopie za sklepem O-Lan, bak jest pełen. Nie mieliśmy pojęcia, dlaczego go tam zostawił. Teraz wiemy. Jego ciało znaleziono koło rzeki. Musiałem o tym powiedzieć O-Lan. Zwierzęta naruszyły już ciało, ale i tak to oczywiste, że strzelono mu w pierś. Mój brat był bardzo do mnie podobny, z tym że trochę niższy. Wszyscy brali nas za bliźniaków. No i co? Dalej twierdzisz, że o niczym nie wiesz?

Spojrzała na podłogę, potem na Tràna.

– Ja...

– Francuz strzelił mu w pierś!

– Bardzo ci współczuję, Tràn. Straciłeś brata. Ale skąd wiesz, że strzelał Francuz?

– A kto inny mógłby to być? Mój brat był wcześniej notowany przez policję z powodu agitacji nacjonalistycznej. Ale za coś takiego policja raczej nie zabija, prawda?

– Może popełnił jakieś przestępstwo? Czy był w Maison Centrale?

– Chodzi ci o Hoa Lo?

– Tak nazywacie to więzienie?

– Tak. Piekło.

– Przecież wiem, co to znaczy.

– Z tego, co wiadomo, brata nie zamknęli w tym więzieniu.

Nicole wzięła głęboki wdech. Czuła się poruszona, bo w groźnym spojrzeniu Tràna był też wielki ból.

– Bardzo mi przykro, Tràn, ale nie rozumiem, dlaczego sądzisz, że ja coś o tym wiem.

- Po twojej reakcji na mój widok.
- Przecież mówiłam. Po prostu mnie zaskoczyłeś...

Powiedz, co masz zamiar teraz zrobić?

- Dowiedzieć się, kto go zabił.
- Nicole spojrzała w dół, na ladę.
- Masz rację.

Trần potrząsnął głową.

– Mój brat był takim dobrym człowiekiem. Naszym zdaniem jego śmierć to odwet za zabicie francuskiego urzędnika. A przecież on tego nie zrobił.

– Zabili urzędnika? Dlaczego Viet Minh znowu prowokuje Francuzów? Myślałam, że walka już się skończyła.

– Nie. Jest wojna. Wojna, która skończy się dopiero wtedy, kiedy my zwyciężymy. Przepędzimy Francuzów. Cała ta wasza gospodarka polega przede wszystkim na eksporcie naszych surowców.

– A co z misją cywilizacyjną? Francuzi uczynili ten kraj bogatym!

– Tak? – Trần splunął na podłogę. – Ku chwale Francji!

Nie, to, co powiedział, nie było fair. Nicole wiedziała przecież, że Francuzi kształcili tubylców, naprawdę starali się przyczynić do rozwoju kraju.

– Czy ty wiesz, Nicole, jak było, kiedy pojawili się tu Japończycy?!

– Coś niecoś wiem.

– No to może też wiesz, że z Francuzami obeszli się łagodnie. Z nami, niestety, nie. Wietnamczycy mieli zdechnąć z głodu!

Ostatnie słowa wysyczał, znów rozjuszony, a Nicole poczuła, że strach ściska ją za gardło, i zapragnęła uciec. Niestety, Trần mówił prawdę. Wiele razy słyszała, że

Japończycy rekwirowali Wietnamczykom całe zapasy ryżu i że panował potworny głód. Słyszała o stosach rozkładających się ciał na ulicach Hanoi.

Zagryzła wargę, zerkając na drzwi. Tak, koniecznie trzeba podtrzymać rozmowę, po prostu go zagadać, i w dogodnym momencie wymknąć się stąd.

– Trần, ale dlaczego traktujesz mnie jak Francuzkę? Przecież w połowie jestem Wietnamką! A poza tym, kiedy Japończycy ponieśli klęskę, strzelali i do Francuzów!

Trần skręcił papierosa i sięgnął do kieszeni po zapalki.

– I dobrze... – mruknął. – Dość już obcego panowania. To nasz kraj, nasza ziemia. A wy, Francuzi, dzięki pomocy swoich sojuszników wróciliście tu i już na wstępie dokonaliście w starej dzielnicy i w Cité Universitaire straszliwego spustoszenia...

Zamilkł, wpatrzony w podłogę. Nicole była pewna, że Trần mówi to z pełnym przekonaniem, ale też trudno jej było sobie wyobrazić, żeby jej ojciec bez konkretnego powodu zastrzelił brata Trầna.

Trần zapalił papierosa.

– A dlaczego wy, Duvalowie, jesteście jeszcze w Hanoi?

Nicole wzruszyła ramionami i zaczęła składać kawałek jedwabiu, który leżał na ladzie.

– Twój ojciec jest teraz ważną osobą – powiedział Trần i zaciągnął się papierosem. – Myślę, że mogłabyś się nam na coś przydać.

Poczuła, jak cierpnie jej skóra. Nie miała pojęcia, do czego Trần zmierza.

– To miasto już niebawem będzie obleżone. A ty mogłabyś nam pomóc.

– Dlaczego ja?

– Przecież powiedziałaś, że w połowie jesteś Wietnamką! –

rzucił, zaglądając jej w oczy. Były tak samo czarne jak jego. – Może chciałabyś się dowiedzieć czegoś więcej, jak to naprawdę jest? Mogę niejedno ci pokazać. Jutro zamkniesz sklep i spotkamy się na rogu.

– Dobrze... – Nicole powoli pokiwała głową. – A nie boisz się, że powiem o tym ojcu?

Trần się uśmiechnął.

– Nie. Coś mi mówi, że ty, mała metysko, na pewno tego nie zrobisz.

Wychodząc wieczorem ze sklepu, Nicole miała nadzieję, że nie spotka O-Lan. Stanowczo wołała tego uniknąć. Bo Trần, kuzyn O-Lan, żyje, ale jego brat, także kuzyn O-Lan, stracił życie.

W domu też nie bardzo miała ochotę kogokolwiek widzieć. Chciała spokojnie sobie wszystko przemyśleć, poukładać w głowie, bo jej uczucia teraz można było określić tylko jako mieszane. Weszła więc ukradkiem, zamierzając od razu przemknąć do swego pokoju. I, niestety, od razu w korytarzu natknęła się na ojca.

– O, już jesteś, *chérie*! – zawołał z uśmiechem i dał znak ręką, by szła za nim. Nie miała wyboru. Poszli do salonu, w którym była już Sylvie, cała w uśmiechach, i Mark. Stał za rzeźbioną sofą w stylu art déco. Sylvie właśnie wyciągnęła do niego rękę. Mark co prawda nie wziął jej za rękę, ale sam gest Sylvie był wystarczająco wymowny.

– Jak wiesz, Nicole, Marka i Sylvie łączy wspólny interes – powiedział ojciec. – Duże zamówienie na jedwab.

Nicole – już zdenerwowana, bo przecież to, co powiedział ojciec, było ewidentnym kłamstwem – usiadła jak najdalej, na twardym krześle koło kominka, i poczuła, że od odurzającego zapachu żółtych róż, ulubionych kwiatów Sylvie, robi jej się

niedobrze. Spojrzała na Marka. Uśmiechnął się do niej. Był to ten sam ciepły uśmiech, który kiedyś rozjaśnił jej dzień. Niestety, teraz nie miał tak zbawiennego wpływu. Nie odwzajemniła uśmiechu. Po prostu odwróciła się, rozdarta, zniechęcona, bo to wszystko razem było bez sensu, beznadziejne i dlatego zamiast na Marka wołała popatrzeć na biało-niebieską porcelanę wietnamską z piętnastego wieku ustawioną na gzymsie kominka.

Salon, jak wiele innych pokoi w tym domu, urządzone był w stylu kolonialnym. Lśniąca posadzka z wzorzystych płytek, na których widniał *fleur-de-lis*, czyli stylizowany kwiat lilii, na środku przykryta była starym wietnamskim dywanem. W świetle lamp pokój wyglądał pięknie i przytulnie, jednak Nicole wcale nie czuła się tu teraz dobrze. Absolutnie nie! Za dwoma wielkimi oknami widać było ciemniejące niebo. Monsun jeszcze się nie skończył, znów zaczęło padać i słychać było, jak spływające z okapu strugi wody spadają na werandę. W tym momencie najgorętszym pragnieniem Nicole było wybiec na dwór i stać tam, póki deszcz nie zmyje z niej wszystkiego, co ją dręczy, co jest tak bolesne.

– Chciałem, byście przyszli tu wszyscy, ponieważ zaczynają krążyć pogłoski o tym, że Viet Minh zbliża się już do Hanoi – powiedział ojciec. – Może je słyszeliście, dlatego chciałem was uspokoić. Dowodów na to żadnych nie ma, nie ma więc zagrożenia.

– Czyli życie toczy się dalej – stwierdziła Sylvie i uśmiechnęła się.

– Tak.

Nicole zauważyła, że Mark w tym momencie skwapliwie pokiwał głową. Jednocześnie przechwycił jej spojrzenie i ponownie uśmiechnął się do niej. Ona, tak jak przedtem,

spojrzała w bok. Nie mogło być inaczej, bo pewnych faktów nie da się już zmienić. Oni wszyscy byli w celi w piwnicy hotelu. Każde z nich ma więc coś wspólnego ze śmiercią brata Tràn.

Każde, czyli Sylvie też. Niestety. Przez jedną krótką chwilę Nicole pragnęła z całego serca, by móc cofnąć czas. Przecież mimo że między siostrami bywało różnie, zawsze kochała Sylvie. No tak, ale to przecież ona razem z Markiem wyszli z tamtej celi. Kiedy ten obraz pojawił się przed jej oczami, zeszywniała. Wszystko wskazuje na to, że piękna, elegancka Sylvie nie tylko przejęła rodzinny interes. Przejęła również pewnego bardzo atrakcyjnego mężczyznę.

– Słyszałam, że niebawem zaatakują Hanoi – powiedziała, żeby przerwać ciszę; czuła, że wszystko się w niej teraz gotuje.

– A kto ci to powiedział? – spytał ojciec.

Wzruszyła ramionami.

– Ach, już nie pamiętam...

– To nonsens – przerwała jej Sylvie. – Papo, słyszałeś coś o tym?

– Po co się wtrącasz? Z tobą nie rozmawiam – burknęła Nicole.

– Na litość boską, Nicole! Zachowujesz się jak dziecko!

– Daruj sobie – odgryzła się i demonstracyjnie zwróciła się do ojca: – Powiedz mi, papo, czy podczas wojny światowej panował tu głód?

– Francuzom nie wiodło się najgorzej.

– A jak było z Wietnamczykami?

– Tragicznie.

– Słyszałam, że na ulicach leżały stosy trupów.

– Tak. Leżały.

– A więc nie sądzisz, że mają powód, by czuć do nas żal?

– Wojna światowa dawno się skończyła, *chérie*.

Powinniśmy teraz patrzeć w przyszłość i dalej budować francuskie Indochiny, coraz silniejsze i bogatsze.

Nicole uniosła znacząco brew, ale nic już nie powiedziała, tylko spojrzała na ręce ojca. Ręce mordercy. Czy dalej będzie go kochała? Chyba tak, bo teraz, kiedy w głowie i w sercu miała taki zamęt, czuła, że nie potrafi przestać go kochać. Bo co innego zaufanie, a co innego miłość.

A ten Mark... Dlaczego, skoro przez cały czas tak naprawdę pragnął Sylvie, był dla niej taki miły, życzliwy? Nie prosiła go o nic, on niczego jej nie obiecywał, ale była pewna, że coś się w niej budziło. W nim też. I coś z tego mogło być. Ale teraz nic nie będzie, bo to nie ma sensu.

Mark był świadkiem morderstwa. Może nie wiedział, że to właśnie się stanie? Może musiał tam iść, nieświadomy, co się za tym kryje? Niestety, za każdym razem, gdy próbowała go usprawiedliwić, przed oczami pojawiał się ten sam natrętny obraz: Mark całujący Sylvie. Przecież widziała, jak pochyla głowę, jak włosy opadają mu na czoło...

I widziała głowę martwego Wietnamczyka. Przechyloną, nieruchomą. Na zawsze.

Dlaczego mimo to nadal zależy jej na Marku? Bo tak jest, nie ma co się oszukiwać. I dlatego to wszystko jest takie bolesne, dlatego ma już oczy pełne łez. Ale nie będzie płakać, o nie. Przy nich? Nigdy!

Wstała i ruszyła przed siebie sztywnym krokiem, po drodze niechcący strącając wazon z żółtymi różami na podłogę. Słyszała brzęk szkła, ale się nie zatrzymała. Wyszła na korytarz i nabrała głęboko powietrza. Słyszała dobiegające z salonu podniesione głosy, a po chwili w korytarzu pojawił się Mark.

– Nicole, co się stało? Dlaczego jesteś taka zdenerwowana? Była zbyt poruszona, by cokolwiek teraz powiedzieć, a co

dopiero spojrzeć mu w twarz. Nadal patrzyła w bok, ale kiedy Mark dotknął jej ramienia, drgnęła i raptem odzyskała mowę.

– Nie dotykaj mnie!

– Nicole, co się stało? Zrobiłem coś nie tak?

Teraz spojrzała. Prosto w jego twarz.

– Ty to powiedziałaś!

– Jesteś bardzo zdenerwowana. Powiesz mi, o co chodzi?

Może to ma jakiś związek z twoją matką? Niebawem są jej urodziny, tak?

– Skąd wiesz?

– Od Sylvie. Wiem też, że twoja matka nie żyje. Bardzo mi przykro... – Na moment zamilkł. Chyba zastanawiał się, co jeszcze powiedzieć. Schował ręce do kieszeni i potrząsnął głową. I wyraźnie posmutniał. – Moja matka też umarła i to bardzo wpłynęło na dalsze moje życie. Wiem, co czujesz, Nicole.

Wtedy wybuchła.

– Niczego nie wiesz! Bo twoja matka nie umarła wtedy, kiedy przychodziłeś na świat. Moja dała mi życie, a sama umarła. I o tym nigdy nie wolno mi zapomnieć!

– Nicole...

Wyciągnął rękę, ale cofnęła się o krok, odwróciła i popędziła schodami na górę.

Nicole nie potrafiła wymazać tego balu z pamięci. Wspomnienie o tragicznym wieczorze powracało bez przerwy. Zwieszona głowa umierającego człowieka, jego przerażający charkot, którego nie da się porównać z żadnym innym dźwiękiem. Zwiotczałe ciało. Te koszmarnie obrazy pojawiały się nieustannie w te sierpniowe noce, wyjątkowo upalne, kiedy Nicole i tak miała kłopoty ze snem. Tej nocy dręczący ją koszmar też się ukazał i zdesperowana, machnęła rękoma, jakby chciała go od siebie odpędzić. Najchętniej krzyknęłaby jeszcze rozpaczliwie:

– Proszę, proszę, idź już sobie! Na zawsze! Przestań mnie wreszcie dręczyć!

Okazało się, że krzyknęła przez sen, bo obudził ją własny krzyk. Przed sobą zobaczyła pobladłą twarz Sylvie.

Kiedy siostra usiadła na łóżku i objęła ją ramieniem, mimo woli drgnęła.

– Nicole, co z tobą? Jest środek nocy. A ty wyglądasz tak, jakbyś zobaczyła ducha.

– Ty też nie wyglądasz najlepiej – wymamrotała Nicole, spoglądając na wypielęgnowane dłonie siostry. Dłonie o długich, smukłych palcach pianistki i delikatnych paznokciach. Były piękne, dlatego Nicole odruchowo wsunęła swoje zaniedbane ręce pod kołdrę. Wielka szkoda, że lęku też nie można po prostu schować. Lęku i – co chyba jeszcze gorsze – coraz większych wątpliwości. Na początku były niewielkie, niesprecyzowane, ale czas robił swoje i raptem okazało się, że są wielkie, dokładnie sprecyzowane i zawładnęły już jej umysłem.

Czy istnieje ktoś, komu mogłaby zaufać? I po prostu mu

o tym wszystkim powiedzieć?

Spojrzała siostrze prosto w twarz.

– Powiedz, jak ci się udaje teraz przetrwać?

Sylvie uśmiechnęła się do niej bardzo ciepło.

– Wcale nie jest mi tak łatwo, jak myślisz.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie tylko ty masz złe sny. Mnie też dręczą w nocy koszmary i kłopotów mi nie brakuje.

– Może powiesz mi o nich? O tych kłopotach?

Widziała przecież, że ręce siostry drżą, czyli faktycznie jest jej ciężko. A skoro tak, to mogłaby podzielić się z nią swoimi troskami. Powiedzieć wszystko, jak siostra siostrze.

Sylvie na moment znieruchomiała.

– Po prostu nie czuję się dobrze. Jakbym miała obsesję...

Ach, nie ma o czym gadać!

Nie zabrzmiało to szczerze i przed oczyma Nicole znów przesunęły się straszne obrazy. Czyżby siostra, kiedy wieczorem zamyka oczy, widziała to samo?

– Masz ochotę na ciepłe mleko z odrobiną brandy? – spytała Sylvie. Było to bardzo miłe z jej strony i Nicole nie zamierzała odmówić, niemniej jednak było jeszcze coś, o co koniecznie chciała spytać. Jak najprędzej.

– Sylvie, czy ty spotykasz się teraz z Markiem?

– Dobrze wiesz, że tak.

Następnego ranka, kiedy pierwsze ostre promienie słońca przebiły się przez ciemności, Nicole wstała z łóżka, starając się zrobić to jak najciszej. Na szczęście udało jej się nie nastąpić na skrzypiącą deskę pod dywanem i na palcach podeszła do okna. Otworzyła je, wychyliła się i oparła o wymyślną balustradę, która zdobiła tył domu. Nie była w dobrym nastroju, niemniej spojrzała na otaczający ją świat z przyjemnością. Na ptaki

fruwające nad domem, na skrzącą się wodę w sadzawkach. Patrzyła i oddychała głęboko. Było już bardzo ciepło i parno, ale przynajmniej nie padało.

Włożyła bawełniane spodnie, bluzkę z krótkimi rękawami i zeszła na dół, do kuchni, gdzie naturalnie krzątała się już Lisa, która zawsze wstawiała pierwsza.

– Dzień dobry, Nicole. Właśnie zastanawiałam się, co chciałabyś na kolację.

– Myślisz o tym już teraz?

– Tak, bo dziś idę na targ. Napijesz się kawy?

– Oczywiście!

Gorący kubek przyjemnie grzał palce i bardzo pozytywnie wpływał na nastrój.

– Liso? Chyba nie będę dziś na kolacji.

Lisa pokiwała głową i podeszła do tylnych drzwi. Kiedy je otworzyła, natychmiast w kuchni zrobiło się głośno od porannego świergotu i trelu ptaków. Nicole wyciągnęła szyję, by spojrzeć na urzekającą plamę najprzeróżniejszych odcieni zieleni, czyli ogród, teraz skąpany w porannym słońcu. Wiał wiatr i kołysał gałęziami drzew, liście szeleściły, a kwiaty, które przetrwały ulewne deszcze, były cudnie kolorowe i radosne. Ten widok sprawił, że Nicole doszła do wniosku, iż nie ma sensu zamartwiać się w nieskończoność. Sylvie jest z Markiem. Stało się i trzeba z tym się pogodzić.

Lisa podsunęła sobie krzesło, usiadła i odgarnęła z czoła przyprószone siwizną włosy.

– Czyli wychodzisz wieczorem, tak? Mam nadzieję, Nicole, że miło spędzisz czas. Bo nie wyglądasz teraz radośnie. Jesteś taka blada.

– Miałam zły sen.

– Ale nie o tym, jak topiłaś się w rzece?

– Nie, nie.

– W takim razie powiedz mi, dziecko, co cię gnębi.

Przecież widzę, że od jakiegoś czasu nie jesteś sobą, i bardzo mnie to martwi.

Nicole potrząsnęła tylko głową. Komu jak komu, ale Lisie nie wolno o tym powiedzieć. Absolutnie nie. Poza tym przecież postanowiła, że horror tej nocy wyrzuci z pamięci i będzie się starała myśleć o czymś bardzo pogodnym.

– Dobrze. Powiem ci, co mnie gnębi – powiedziała, sadowiąc się na krzesło. – Z rozkoszą zjadłabym na deser tartę z jabłkami, ale, jak powiedziałam, wrócę do domu na pewno już po kolacji. Stąd moja gorąca prośba: czy mogłabyś uratować dla mnie choć odrobinę tej tarty?

Nicole uśmiechnęła się i wyciągnęła do niej rękę.

– Naturalnie! W spiżarni czekać będzie na ciebie tak duży kawałek tarty, że na pewno cię usatysfakcjonuje. Czy ma być z bitą śmietaną?

Nicole leciutko uściśnęła ciepłą dłoń Lisy.

– Tak. Z bitą śmietaną. Koniecznie!

I w kuchni zapadła cisza. Nie na długo, bo Nicole nagle pociągnęła nosem.

– Ojej! Czy przypadkiem coś się nie przypaliło? Chyba camembert!

– Wielki Boże! – Lisa natychmiast zerwała się z krzesła. – Camembert! Na śniadanie!

Camembert... Nicole uśmiechnęła się, bo zapach tego właśnie sera budził w niej bardzo miłe wspomnienie. O tym, jak w Hué razem z Lisą go zapiekały.

– Liso, dlaczego mi nie powiedziałaś, że robisz camembert? Mogłam ci pomóc!

– Czyli jeszcze bardziej przypalić... – mruknęła Lisa,

pochłonięta akcją ratunkową.

– Po co? Przecież jest już wystarczająco przypalony! – rzuciła żartobliwie Nicole. Lisa spojrzała na nią niby groźnie i obie wybuchły głośnym śmiechem.

Kiedy Nicole była mała, zawsze patrzyła zafascynowana, jak Lisa ostrożnie odcina z wierzchu skórkę sera, wtyka w kilku miejscach kawałeczki gałązki rozmarynu i wsuwa ser do piekarnika. Potem kraje kromkę chleba na niewielkie kawałki i wreszcie nadchodzi chwila, na którą mała Nicole czekała z największą niecierpliwością: Lisa pozwalała jej oberwać listeczki z dwóch zdrewniałych gałązek rozmarynu i nadziać na nie kawałki chleba skropionego oliwą i posypanego solą. Potem zajadały się obie tym serem, siedząc przy kuchennym stole, tuż koło otwartego okna, za którym widać było rzekę Perfumową. Rzeka pachniała, pachniał też ser, smak zanurzanego w nim chleba był po prostu boski. Do dziś zapach pieczonego camemberta, rozmarynu i słony zapach rzeki były ulubionymi aromatami Nicole.

Pogłaskała Lisę po rękę.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też. Ale zmykaj stąd, dzieciaku! Nie przeszkadzaj mi!

Nicole czuła się już zmęczona ciągłym przeganianiem komarów nawiedzających sklep. Wciąż była ich cała chmara, bo chociaż wielki wiatrak pod sufitem kręcił się bez przerwy, w sklepie i tak było wilgotno. W takie duszne, parne dni Nicole kompletnie była pozbawiona energii i już sama nie wiedziała, co zrobić, żeby choć trochę się ożywić. Tego dnia zapaliła kadzidełko, z nadzieją, że ładny zapach wpłynie na nią pozytywnie, potem spojrzała w okno, za którym stała znajoma handlarka. Pomachała do Nicole ręką, w której trzymała

ciasteczko. Temu widokowi Nicole nie potrafiła się oprzeć. Wyszła na ulicę i kupiła ciasteczko, a kiedy je jadła, po raz kolejny zastanawiała się nad propozycją Tràn. Wcale nie miała ochoty z nim się spotkać, jednocześnie była bardzo ciekawa, co takiego chce jej pokazać. Zdawała sobie sprawę, że wystarczy, iż spojrzy na Tràn, i znów będzie miała przed oczami ten koszmar. Wszystko, o czym chce zapomnieć, błyskawicznie ożyje w jej pamięci, a więc absolutnie nie powinna się z nim spotykać. To już postanowione.

A więc dlaczego po zamknięciu sklepu nie ruszyła do domu, lecz w przeciwną stronę?

Tràn spóźnił się, ale dosłownie kilka minut.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – powiedział, wyciągając rękę do Nicole.

– Czyli wiedziałeś to, czego ja sama nie byłam pewna – odparła, ściskając jego dłoń.

– Czułem, że mi się nie oprzesz! – zaśmiał się.

Tym razem był miły, uśmiechnięty, ale Nicole i tak zachowywała czujność. Najpierw szli zatłoczonymi ulicami, klucząc między kobietami, które pakowały swój towar do wielkich koszy. Co chwilę kręcili głową, gdy ktoś proponował im na przykład pączka i malutką filiżankę herbaty. Nicole naturalnie przez cały czas skręcała się z ciekawości, ale kiedy znaleźli się w alejce, gdzie już nie było tłumu i tylko czasami przemykała jakaś ciemna postać, poczuła się bardzo nieswojo. A kiedy weszli w jeszcze większą ciemność, poczuła lęk. Bo w takich ciemnościach nikt by nie zauważył, gdyby okazało się, że Tràn ma jednak złe zamiary...

Zatrzymała się.

– Zmieniłam zdanie, Tràn – oznajmiła, starając się, by zabrzmiało to beznamiętnie.

– Za późno – powiedział, biorąc ją pod łokieć, i wtedy usłyszała z tyłu kroki. Natychmiast zrobiła w tył zwrot. Okazało się, że to jakiś staruszek, Wietnamczyk. Szedł powoli, nierównym krokiem.

– Dlaczego tu jest tak mało ludzi? – spytała, kiedy wreszcie ich minął.

Trần się nie odezwał.

– Pytam...

– Przecież słyszałem. Idziemy, Nicole.

– Chcę wracać do domu.

– Wrócisz w swoim czasie.

Nie puszczał jej. Próbowwała się oswobodzić, ale on dalej trzymał ją za łokieć.

– Chcę już wracać – powiedziała z naciskiem.

– Przecież niczego złego ci nie zrobię – odpowiedział też z naciskiem i Nicole zmroziło, bo w tym momencie zdała sobie sprawę, że człowiek o takich poglądach politycznych jak Trần nie jest odpowiednim towarzyszem dla dziewczyny z francuskiej rodziny. A poza tym wiadomo, że właśnie tu, w starej dzielnicy, ukrywają się dysydenci, że tu jest źródło wszystkich zamieszek. Co jej strzeliło do głowy, żeby zaufać takiemu człowiekowi jak Trần?!

– Nie zrobię ci niczego złego – powtórzył, tym razem tak jakoś miękko, że poczuła się trochę pewniej. – Nie bój się, na pewno wrócisz do domu cała i zdrowa. O odpowiedniej porze.

Poszli dalej. Kiedy mijali dom, w którym światła na piętrze były zapalone, Nicole zerknęła na Trầna. A on uśmiechnął się do niej bardzo ciepło. W jego spojrzeniu nie było cienia fałszu, dlatego poczuła się jeszcze pewniej.

– Powinnaś mi zaufać, Nicole.

– Może i tak... A może ty powiesz mi, jak się nazywasz?

Jak brzmi twoje nazwisko?

– Dla ciebie jestem Trần. Na razie to wystarczy.

Mimo obaw Nicole czuła dreszczyk emocji, bo przecież nigdy dotąd nie była w tej dzielnicy o tak późnej porze. Skręcili w wąską uliczkę, gdzie nad każdym oknem wystawowym świeciły żółte i czerwone latarnie. I czuć było dziwny, słodkawy zapach.

– Opium – powiedział Trần. – Wytworzone francuskie Hanoi to nie wszystko. Istnieje jeszcze druga strona medalu.

– Słyszałam coś o tym.

– A dzieje się to przy pełnej akceptacji Francuzów, którzy wprowadzili monopol państwowy na handel opium.

Po jakimś czasie minęli kilku Wietnamczyków, którzy stali i przypatrywali się skąpo ubranym wietnamskim dziewczynom, uwieszonym na ramionach francuskich oficerów w białych mundurach. Nicole naturalnie starała się być w tym momencie jak najmniej widoczna, przecież któryś z Francuzów mógł ją rozpoznać. Na szczęście oficerowie i prawie półnagie Wietnamki weszli do jakiegoś domu.

– Poszli potańczyć? – spytała Nicole.

– Nie tylko – odpowiedział Trần i skrzywił się.

– Ale ty nie chcesz zabrać mnie na tańce?

– Nie. Ja nie tańczę.

– Nie tańczysz? Nie wierzę. A może w ogóle nie uznajesz rozrywek?

Nie odpowiedział, ale zauważyła, że kąciki jego ust drżały, jakby powstrzymywał uśmiech.

Skręcili w następną ulicę, gdzie pełno było obskurnych barów, a zapach opium wydawał się jeszcze mocniejszy.

– Wchodzimy tutaj – powiedział Trần, zatrzymując się przed jednym z takich barów.

Nicole zawahała się, bo w pamięci ożyły okropne historie o uprowadzonych dziewczętach, które opowiadał ojciec. Zawsze uważała, że ojciec te historie zmyśla, żeby ją postraszyć, bo wtedy będzie posłuszniejsza, teraz jednak wcale nie miała pewności, czy te historie nie były prawdziwe.

W środku zeszli po wąskich schodach, potem szli korytarzem, aż Trần otworzył jakieś ciężkie drzwi. Nicole krzyknęła, bo zapach w niewielkiej sali, pełnej niebieskiego dymu, był już odurzający.

– To *fumerie*. Palarnia – wyjaśnił Trần.

Na początku niewiele mogła dostrzec, po chwili jednak oczy przyzwyczyły się do półmroku. Zauważyła niewielkie plamy rozproszonego światła lamp naftowych, no i klientów. Głównie Wietnamczyków. Leżeli na drewnianych leżankach przykrytych matami. Ich mętny wzrok mówił sam za siebie. Przy jednym z palaczy przykucnęła bosa Wietnamka. Na stoliczku obok leżały wszystkie niezbędne akcesoria, czyli długie czarne fajki, bambusowy czajnik, także coś w rodzaju strzykawki ze srebrną rączką. Kobieta wzięła tę strzykawkę i zaczęła nią obracać, by znajdujące się w niej wysuszone opium było jak najbliżej źródła ciepła, czyli lampy naftowej.

Była tu też inna Wietnamka, która chyba zawiadywała wszystkim, bo kiedy Trần schylił przed nią głowę, wskazała na sklepione przejście. I wtedy Nicole poczuła się już bardzo nieswojo.

– Może pójdziemy już stąd? – wyszeptała, chwytając go za ramię.

– Za chwilę. Chcę ci jeszcze coś pokazać.

Przeszli przez sklepione przejście i znaleźli się w szerokim korytarzu wysłanym miękkim dywanem w kolorze rubinowej czerwieni. Po obu stronach korytarza było coś w rodzaju kabin,

oddzielonych od siebie grubymi zasłonami z brokatu.

I pachniało tu tanimi syntetycznymi perfumami. Bardzo mocno, jakby ściany były przesiąknięte tym zapachem. Nicole zatkała palcami nos i rozejrzała się dookoła. Jedna z zasłon była zasunięta tylko do połowy i Nicole natychmiast odwróciła wzrok. Wcale nie miała ochoty patrzeć na to, co kryło się tam w mroku.

– Trần, proszę, chodźmy już stąd.

– Strach cię obleciał? Wytrzymaj! To nie potrwa długo.

Poszli dalej i po chwili zapachniało inaczej – alkoholem. Nicole, robiąc kolejny krok, spojrzała tam, gdzie zasłona była całkowicie odsunięta. Na tapczanie przykrytym aksamitną narzutą leżała jakaś para. Kobieta i mężczyzna, pogrążeni w głębokim śnie. A na półce nad nimi siedział wielki szary kot. Hm... I to wszystko? Nie, nie wszystko, o czym świadczyły dźwięki dochodzące z dalszych kabin. Podeszła do jednej z nich, spojrzała przez szparę między zasłonami i natychmiast się cofnęła. Bo tego to już naprawdę nie chciała oglądać.

Poszli korytarzem do końca, zeszli wąskimi schodami na dół i znaleźli się w małym pokoju oświetlonym tylko jedną lampką z abażurem ozdobionym frędzlami. Pachniało naftą i kadzidłami, odurzająco.

Trần położył palec na ustach, drugą ręką jednocześnie dając znać, żeby Nicole podeszła do aksamitnej zasłony, za którą słychać było głośny śmiech i męskie głosy. Mówiono po francusku. Nicole nie ruszyła się jednak z miejsca. Dopiero kiedy Trần ponownie wskazał na zasłonę, zrobiła krok do przodu. Podłoga zaskrzypiała przeraźliwie i Nicole zamarła. Nic się jednak nie działo, ruszyła więc dalej.

– Zajrzyj tam – szepnął Trần, wskazując na szparę między zasłonami.

Zajrzała więc i zobaczyła wielki pokój zastawiony meblami z ciemnego drewna. Na łóżku przykrytym jedwabną narzutą leżała naga dziewczyna. Wietnamka. Nicole spojrzała na jej nieruchomą, pozbawioną wyrazu twarz i w pierwszym odruchu chciała krzyknąć do niej, żeby uciekała stąd jak najszybciej. Ale oczywiście nie krzyknęła, wiedziała przecież, że dziewczyna stąd nie ucieknie.

Wszystko wskazywało na to, że trzech francuskich oficerów zabawia się tu na zmianę z dwoma Wietnamkami. Tą na łóżku i drugą, która nalewała im właśnie brandy. Jeden z nich, kiedy go mijiała, złapał ją z tyłu i zmusił, by się pochyliła i wzięła do ust przyrodzenie innego oficera. Nicole, wystraszona, zniesmaczona, niechętnie pociągnęła za zasłonę, odsuwając ją nieco. I dokładnie w tym momencie ten drugi oficer poderwał głowę. Nicole zadrżała. Nie, nie dlatego, że mógł ją zauważyć, bo oczy miał zamknięte, ale dlatego, że zobaczyła jego spoconą twarz o rozchylonych grubych wargach. Twarz człowieka, którego obowiązkiem było czuwanie nad porządkiem w mieście: ojca Daniela Girauda.

Na jego widok zrobiło jej się niedobrze.

– Wystarczy? – spytał szeptem Trần, wyciągając do niej rękę.

Pokazała, żeby do niej się nie zbliżał, i na moment zamknęła oczy.

– Idźmy już stąd.

Poprowadził ją z powrotem wąskim korytarzem i przez palarnię opium. Kiedy wreszcie znaleźli się na ulicy, Nicole głęboko nabrała powietrza.

– To jeden z wielu burdeli – powiedział Trần. –

W prostytutkę zaangażowanych jest tysiące ludzi. Wiele burdeli jest przy ulicy Meteorologicznej, ale nie są takie porządne jak te

tutaj.

Była zszokowana. Jeszcze więcej takich miejsc? Jeszcze gorszych? Czy to możliwe? Przecież gorzej niż tutaj być nie może!

Och, Boże, co za dzień! A zaczął się tak optymistycznie. Podjęła przecież decyzję o całkowitym odcięciu się od tego, co było złe, i znów poczuła nadzieję. A teraz była wykończona nerwowo i wściekła, widząc, że Francuzi są tak haniebnie dwulicowi i wykorzystują wietnamskie dziewczęta.

– W mieście jest też mnóstwo szulerni – powiedział Tràn, spoglądając na nią z niepokojem. – Nicole, dobrze się czujesz?

Pokiwała głową, starając się wyciszyć i odzyskać równowagę.

– To, co widziałam, jest gorsze niż hazard – wykrztusiła wreszcie.

– Hazard jest równie szkodliwy. Wietnamczycy są nałogowymi hazardzistami, wpadają w długi i z tego powodu dochodzi do wielu samobójstw. Bardzo byśmy chcieli, żeby to się zmieniło.

– Sądziłam, że przede wszystkim chcecie, by Francuzi sobie już stąd poszli.

– Oczywiście. Ale to dopiero początek, bo trzeba będzie też reedukować Wietnamczyków... Nicole, lepiej już chodźmy.

Ruszyli przed siebie. Nicole czuła, że jej ubranie i włosy przesiąkły obrzydliwym zapachem opium. Nigdy dotąd nie czuła się tak brudna. Po prostu zbrukana.

– Tràn, dlaczego mi to wszystko pokazałeś?

– Żebyś zrozumiała, że my, Wietnamczycy, wcale nie jesteśmy źli, tylko działamy dla wspólnego dobra.

– Ale przeciwko Francuzom.

– A czy może być inaczej? Chcemy, żeby nasz naród

powstał, żeby nie cierpiał ubóstwa. Chcemy dać Wietnamczykom nadzieję na lepszą przyszłość. Chcemy sami sobą rządzić. Nie widzisz tego?

Nicole pokiwała głową i przypomniała sobie, jak widziała na rzece w Hué łodzie biedaków. Gotowali ryż w glinianych naczyniach. Czy byli szczęśliwi, prowadząc tak skromne życie? Może tak, może nie. Może marzyło im się inne, lepsze życie.

– Ja wiem, Nicole, że od razu tego nie zrozumiesz. Ale zastanów się. Na przykład opium. Tylko Francuzi, którzy mówią o misji cywilizacyjnej, kontrolują uprawę, przetwarzanie i handel opium. Jest ono również szmuglowane z Chin i Francuzi walczą ze spekulantami tylko dlatego, żeby nie stracić tego rynku.

– I dlatego zabito twojego brata?

Trần wzruszył ramionami.

Kiedy Nicole wreszcie dotarła do domu, poczuła wielką ulgę, choć musiała przemyśleć to, co widziała. Dlaczego Trần jej to wszystko pokazał? Czyżby wyczuł jej rozterki i uznał, że nadszedł czas, by z nią porozmawiać? Bo jego zdaniem więzy łączące Nicole z rodziną uległy rozluźnieniu? Jeśli tak myśli, to się myli. Bo i co z tego, że Nicole wygląda jak Wietnamka i że ojciec od wielu lat utwierdzał swoje córki w przekonaniu, że w ich żyłach płynie przede wszystkim francuska krew?

Ulewne deszcze i porywisty wiatr coraz bardziej dawały się we znaki. Było wciąż szaro, smutno i Nicole nie mogła się doczekać się, kiedy nadejdzie wrzesień, a potem październik, bo wtedy w Hanoi zawsze jest sucho i chłodno. Była to jej ulubiona pora roku, a poza tym na początku września miała się odbyć premiera przedstawienia, na którą też czekała z niecierpliwością.

Tego dnia miała próbę. Podczas przerwy siedziała w swojej garderobie i starała się uporządkować myśli. Bardzo było jej żal tych dziewcząt, które widziała poprzedniego dnia wieczorem, ale była też zła na siebie, że poszła tam z Trànem, tym bardziej że i tak nie była w stanie im pomóc. Doszła też do wniosku, że brat Tràna został zabity, gdyż szmuglował opium. Naturalnie, nie było to żadnym usprawiedliwieniem dla oprawców, ale, niestety, chłopak złamał prawo, ponieważ to Francuzi mają monopol na opium. Zresztą cały ten handel opium, bez względu na to, czy legalny, czy nie, był dla niej czymś odrażającym.

Postanowiła więc już o tym nie myśleć, zwłaszcza że nie chciała, aby Tràn wciągał ją w te sprawy. Nie da się już do niczego namówić. Bo i co z tego, że znów otworzy jej na coś oczy? Przecież i tak widziała już za dużo.

Nagle drgnęła, bo ktoś zapukał do drzwi. To Jerry wołał, że ma już wyjść z garderoby. Zrobiła to z duszą na ramieniu, bo tego dnia ze śpiewaniem była na bakier i czuła, że Jerry nie zostawi na niej suchej nitki.

Tymczasem mężczyzna spytał:

– Jak się czujesz, Nicole?

– Tak sobie. Jestem trochę zmęczona. Przepraszam, że dziś nie dałam z siebie wszystkiego.

– Nic się nie stało. Wszyscy mamy gorsze dni.

A przyszedłem, bo zachorowała Simon, a do otwarcia teatru pozostał niecały miesiąc. Potrzebne jest zastępstwo.

Nicole wpatrywała się w niego pustym wzrokiem.

– A więc jak? – spytał Jerry. – Myślisz, że dałabyś radę?

Wtedy jego słowa do niej dotarły. To niemożliwe! Jerry proponuje jej zastępstwo. Główną rolę!

Czuła, że jej policzki płoną z podekscytowania i satysfakcji.

– Dasz radę nauczyć się wszystkich piosenek Simon?

– Znam je wszystkie, Jerry.

– Świetnie. W takim razie sprawa załatwiona.

Twarz Nicole pojaśniała.

– Kiedy zaczynam?

– Zaraz. Robimy teraz drugi akt.

– No tak... ale co ze scenariuszem?

Jerry uniósł brwi.

– Powiedziałaś, że znasz piosenki.

– Ale chodzi o libretto.

– A, jasne. Mam nadzieję, że nauczysz się migiem.

– Oczywiście.

Nicole skwapliwie kiwnęła głową i ruszyła na scenę.

Musical napisany został przez pół Francuzkę, pół Wietnamkę. Po francusku. Była to opowieść o tym, jak pewien Francuz – podobnie jak ojciec Nicole -zakochał się w Wietnamce, z tym że jej ojciec się z nią ożenił. Ponieważ mieszane małżeństwa były w Wietnamie rzadkością, nikt nie chciał musicalu wystawić. Dopiero Jerry uznał, że może jednak warto to zrobić.

Kiedy Nicole wchodziła już na scenę, nagle pomyślała o Marku. O tym, że bardzo chciałyby mu powiedzieć, iż relacje między nią a Sylvie są teraz bardzo nieciekawe. Kłóćą się,

rywalizują ze sobą, i on, Mark, jest czymś w rodzaju trofeum, które zdobyła starsza siostra. A jeśli chodzi o zabójstwo, Nicole zaczynała wierzyć, że Mark jest niewinny. Bo teraz, kiedy emocje już opadły, kiedy noce miała spokojne, była w stanie na chłodno ocenić sytuację. Mark na pewno był tylko świadkiem zbrodni. Nie znalazł się tam z własnej woli. A co z Sylvie? Postanowiła dać sobie z nią spokój.

Mimo przeciwności losu Nicole starała się bardzo, by jej życie toczyło się dalej tak jak dotychczas. W niedzielę, jeśli nie padało, zawsze szła na daleki spacer. Czasami ze znajomymi, czasami sama, tak jak tej niedzieli. Mijając powszechnie znaną salę taneczną o dumnej nazwie Hollywood, zatrzymała się na chwilę. Przez wielkie przeszklone drzwi otwarte na oścież zobaczyła, że w środku jest niebiesko od dymu papierosów. Ludzie wchodzili i wychodzili. Nicole bardzo chętnie też by weszła, zwłaszcza że ubrana była odpowiednio: miała na sobie swoją ulubioną czarną sukienkę z bawełny z rozkloszowaną spódnicą i okrągłym dekoltem. Gęste czarne włosy upięła w kok. Były nadal długie, choć nieraz już się zastanawiała, czyby ich nie obciąć na modną chłopczycę. Chociażby po to, by poczuć się kimś innym. Decyzji jednak jeszcze nie podjęła, bo na tak radykalną zmianę jakoś brakowało jej odwagi.

Nie miała pojęcia, jak długo tam stała, patrząc w lewo i w prawo, gdy nagle zobaczyła Marka. Był całkiem niedaleko, czyli na pewno zaraz ją zauważy. Spojrzała w górę, na ptaki szybujące po błękitnym niebie, żeby sprawiać wrażenie osoby, której widok Marka Jensa wcale nie wzrusza. Niestety, nawet jej samej było bardzo trudno w to uwierzyć.

Dopiero kiedy usłyszała swoje imię, spojrzała w jego stronę.

– A, to ty? Dzień dobry!

– Witaj, Nicole. Co tu robisz?

– Po prostu przechodziłam tędy – odparła swobodnie, choć z nerwów zacisnęła pięść tak mocno, że paznokcie wbiły się w ciało.

Mark oparł się o ścianę.

– Wyglądasz bardzo ładnie, Nicole.

– Dziękuję. Ty też.

Istotnie, miał na sobie granatowy garnitur, którego kolor podkreślał błękit jego oczu, przez co wydawały się jeszcze jaśniejsze niż zwykle. Jednocześnie Mark wyglądał jakoś inaczej, nie był taki pewny siebie. Musiał być bardzo zmęczony, bo miał podkrążone oczy. Nicole, poruszona tym widokiem, najchętniej pogłaskałaby go po policzku i szepnęła do ucha kilka ciepłych słów.

– Bardzo długo cię nie widziałem, Nicole. Stęskniłem się – powiedział Mark i uśmiechnął się.

Nicole uniosła znacząco brwi.

– Na pewno nie z mojej winy. Sylvie nie powiedziała ci dlaczego?

– A co konkretnie miałyby mi powiedzieć?

Zawahała się, bo była to odpowiednia chwila, by wyrzucić to z siebie. Powiedzieć, że widziała, jak całował Sylvie. Ale duma nie pozwalała jej na takie wyznanie. Nie, nie zamierzała wracać do tego, co wydarzyło się w podziemiach hotelu.

– Ach, nieważne... Powiem ci coś o wiele ciekawszego. Simon jest chora i ja ją zastępuję, czyli dostałam główną rolę.

Mark uśmiechnął się bardzo ciepło.

– Od samego początku wiedziałem, że masz talent.

– Dzięki. Przyjdiesz na premierę?

To pytanie jakoś tak samo wymknęło jej się z ust i poczuła, że się rumieni. Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu, patrząc

sobie w oczy. Spojrzenie Marka było tak wymowne, że w oczach wzruszonej Nicole prawie zakręciły się łzy.

– Pójdziemy się czegoś napić? – spytał w końcu Mark, wyciągając do niej rękę. Nie podała mu swojej. Dalej stała nieruchomo, w milczeniu, wpatrując się w nią, dopóki nie udało jej się zapanować nad wzruszeniem, a nawet zmusić się do uśmiechu. Mark odebrał to jako zgodę, też się uśmiechnął i ruszyli przed siebie. Mężczyzna szedł tak blisko niej, że kilka razy na niego wpadła. Ale ta bliskość była cudowna. Kiedy odsunął się na moment, żeby zepchnąć nogą porzucone pudełko po papierosach na jezdnię, boleśnie odczuła jej brak.

– Wreszcie zmiana pogody – powiedział po chwili. – Już nie wierzyłem, że te upały kiedyś miną.

– Nie ciesz się. Jeszcze będzie gorąco.

Doszli do barku, gdzie stoliki wystawione były na chodnik.

– Siadamy? – spytał Mark.

Kiwnęła głową, a on podsunął jej krzesło. Nie musiał pytać, na co ma ochotę, bo Nicole od razu złożyła zamówienie.

– Z chęcią napiłabym się białego wina.

Wszedł do środka, po chwili wrócił z kieliszkiem wina dla Nicole i piwem dla siebie. Usiadł i zapalił papierosa, wypuszczając okrągły obłoczek niebieskiego dymu.

– Oczywiście, że przyjdę. Bardzo chętnie obejrzę to przedstawienie. Mam nadzieję, że twój ojciec i Sylvie również tam będą.

– A dlaczego mieliby być?

– Nie chcesz, żeby usłyszeli, jak dobrze śpiewasz?

Wzruszyła ramionami. Niestety, dalej była skępowana. Bardzo chciała czuć się w jego towarzystwie swobodnie, tak jak przedtem, ale to, co zobaczyła, zmieniło wszystko. Mimo że mówił miłe rzeczy, i tak było oczywiste, że coś się między nimi

popsuło. Mark też był spięty, i to bardzo, w rezultacie wydawał jej się obcy. A ona sama sztuczna, jakby nie była sobą, tylko odgrywała rolę jakiejś Nicole.

– Nicole? Między nami coś jest nie tak, prawda? – spytał.

Nie wierzyła własnym uszom. Spytał ją wprost, uważnie się w nią wpatrując. Widziała, jak żyłka na jego skroni pulsuje, a spojrzenie jest jasne i szczere.

– Spotykasz się z Sylvie.

W końcu to wydusiła z siebie. A niełatwo było, dlatego wyczuwało się napięcie w jej głosie.

Mark spochmurniał.

– Naturalnie, że się z nią widuję. Od czasu do czasu.

Przecież się znamy. Kiedy była w Stanach, umawialiśmy się. Nie mówiła ci o tym?

– Ona tak, ale ty mi nie powiedziałeś.

– Bo spotkaliśmy się zaledwie kilka razy i nie było to nic poważnego. Poza tym, kiedy była chora, pomogłem jej dojść do siebie.

– Chora? Sylvie była chora? Nic o tym nie wiem.

– To było dawno temu. A teraz łączą mnie z twoją siostrą tylko sprawy zawodowe. Czyli jedwab.

– Czyżby? Bo mnie się jednak wydaje, że nie tylko jedwab – powiedziała, zniżając głos. Była gotowa rzucić mu prosto w twarz, że widziała na własne oczy, jak całował Sylvie. W ostatniej jednak chwili ugryzła się w język. Nie powinna mu tego mówić, skoro między nimi wyrósł mur. Zabrzmiałoby to po prostu dziecinnie.

Mark, bardzo teraz posępny, wziął ją za rękę, odwrócił wnętrzem do góry i zaczął delikatnie wodzić po niej palcami. Gniew Nicole zniknął. Najchętniej objęłaby dłońmi jego twarz i scałowała z niej smutek, ale oczywiście zrobiła coś innego;

choć dotyk jego palców był po prostu elektryzujący, szybko cofnęła dłoń.

I dodała:

– Przecież wiem, że pracujesz dla trzeciej armii.

– Powiedziała ci?

Pokiwała głową i wypła jednym haustem wino.

– Czyli jesteś w wywiadzie?

Mark nie odpowiedział, ale dwie pionowe zmarszczki między brwiami zdecydowanie się pogłębiły. Jednocześnie w powietrzu zapachniało różami. Ten delikatny zapach rozsiewany przez przechodzącą kobietę ożywił w pamięci Nicole wspomnienie o balu. Natychmiast wszystkie uczucia w niej przygasły, zostały tylko ból i gorące pragnienie, by wreszcie stąd pójść, bo dalsze przebywanie w towarzystwie Marka jest nie do zniesienia.

– Muszę już iść, Mark. Miło było cię spotkać – wyrzuciła z siebie jednym tchem i po prostu uciekła. Kiedy tylko skręciła za róg, przystanęła, opierając się plecami o ścianę. Wreszcie zaczęła oddychać swobodniej, niestety w głowie nadal miała zamęt. Mimo wszystko nadal jej na Marku zależało i to ją doprowadzało do pasji, tak samo jak fakt, że Mark udaje, iż nie spotyka się z Sylvie. Przecież na pewno udaje, to oczywiste, a potrafi to robić, skoro jest oficerem wywiadu.

A może jednak nie udaje? Sama już nie wiedziała, czy mu wierzyć, czy nie.

Jakby tego było jeszcze mało, w pamięci ożyło bardzo niemiłe wspomnienie z dzieciństwa i łzy, które udawało jej się powstrzymać, popłynęły po policzkach.

Obie siostry były wtedy w ogrodzie. Sylvie pokazywała przyjaciółce najnowsze zdjęcia w rodzinnym albumie, a mała Nicole, podśpiewując, huśtała się na huśtawce. Dookoła było

cicho, spokojnie. Owady brzęczały, po drugiej stronie rzeki Perfumowej wietnamskie dzieci puszczały latawce: papierowe smoki i pięknie pomalowane ryby. Był luty, a więc sucho i bardzo przyjemnie. Nikt ich nie pilnował, bo tego dnia u Duwałów zawsze pieczono ciasto, Lisa była więc bardzo zajęta.

Duża wrona wielkodzioba, bijąc skrzydłami o nogi Nicole, przysiadła koło huśtawki. Nicole w pierwszym odruchu machnęła ręką, ale tylko raz, bo widok tego ptaka z bliska był fascynujący. Wrona zakrakała, po czym znów wzbiła się w powietrze i przysiadła na najwyższej gałęzi figowca, obok drugiej lśniącej wrony. I siedziały tam, czujne, jak dwóch strażników.

Tak, to był bardzo miły dzień, dopóki przyjaciółka Sylvie raptem nie wybuchła śmiechem.

– Spójrz no, Sylvie, na to zdjęcie. Ty wyszłaś bardzo dobrze, ale popatrz na Nicole!

Sylvie spojrzała i również się roześmiała.

– Moja siostra, niestety, nie jest zbyt fotogeniczna. Prawda, Nicole?

Nicole szybko zeskoczyła z huśtawki, spojrzała na zdjęcie i skrzywiła się. Gorszego zdjęcia Sylvie nie mogła wybrać. Nicole miała na sobie starą, znoszoną sukienkę, jej włosy były brudne i uśmiechała się jak głupia, szczerząc zęby. Sylvie natomiast wyglądała idealnie.

– Dlaczego akurat to zdjęcie włożyłaś do albumu? – spytała rozżalona. – Nie było lepszego?

Siostra wzruszyła ramionami.

– Przecież zwykle jest ci wszystko jedno, jak wyglądasz.

W sumie nic takiego wielkiego się nie stało, ale Nicole była bardzo rozgoryczona i zła. Bo prawdę mówiąc, zawsze czuła, jakby istniała jakaś niewidzialna linia, której nigdy – mimo

największych starań – nie udawało jej się przekroczyć. Przecież zależało jej na tym, żeby dobrze wyglądać, wcale jej nie było obojętne, jak widzą ją ludzie. Była tak zła, że jeszcze tego samego dnia zakradła się do pokoju Sylvie i zabrała stamtąd jej ulubioną lalkę. Najpierw obcięła jej włosy, a potem utopiła ją. W rzece Perfumowej.

Następnego dnia rano, kiedy Nicole otwierała sklep, rozsadzało jej głowę. W sumie nic dziwnego, skoro wieczorem z piwniczki ojca znikło niemało brandy, dzięki czemu miała okazję się przekonać, że alkohol istotnie pomaga zapomnieć. Niestety, tylko chwilowo, bo rano pamięć wróciła, poza tym bolała ją głowa i w ogóle czuła się jakoś nieciekawie. Ale i tak zabrała się ostro do roboty. Zamiotła podłogę, odkurzyła meble, a kiedy zaczęła myć okno, zauważyła po drugiej stronie ulicy Yvesa. Szedł z córką. Yvette uśmiechnęła się do niej, po czym ojciec i córka przeszli przez jezdnię, w ostatniej chwili omijając zabłąkaną kurę, która przebiegała między ich nogami.

– Zaglądałem tu wcześniej – powiedział Yves – ale sklep był jeszcze zamknięty.

– Potrzebujesz czegoś ode mnie?

– Tak. Chciałem spytać, czy Yvette nie mogłaby zostać tu z tobą na kilka godzin. Idę do szpitala.

– O! Coś poważnego?

– Nie, tylko badania kontrolne. Yvette może śmiało iść ze mną, ale wolałbym...

– Naturalnie, Yves. Niech zostanie ze mną – powiedziała szybko Nicole, zachwycona, że pobędzie z tą cudowną dziewczynką, której radość życia była po prostu zaraźliwa. – Jeśli nie będzie dużego ruchu, nauczę ją, jak ciąć jedwab.

– Naprawdę może zostać? Nie będzie ci przeszkadzać?

– Ależ skąd! Cała przyjemność po mojej stronie.

– Dziękuję, Nicole. Proszę, tu masz nasz klucz. Bo skoro jesteś taka miła, to może wzięłybyście też Trophy'ego. Po co ma siedzieć sam w domu.

– Oczywiście!

Nicole, zachwycona, wzięła Yvette za rękę, obie pomachały Yvesowi na pożegnanie i od razu poszły po pieska. Trophy został wypuszczony na podwórko na tyłach sklepu, żeby sobie pobiegał, a obie dziewczyny wzięły się do mycia okien. Dzień był piękny. Powietrze przesycone zapachem limonek, niebo czyste, błękitne, a łagodny wietrzyk orzeźwiający. Wcale im nie przeszkadzało, że po myciu okien obie były mokre od potu. Usiadły na schodkach i patrzyły na ulicę, gdzie zawsze coś się działo. Teraz też, bo przed pomalowaną na jaskrawe kolory bramą pagody zebrały się tancerki. Kawalek dalej stał mężczyzna w złocistej szacie i grał na bębnie. Tancerki zaczęły się kołysać, potem obracać, coraz szybciej i szybciej, a kilka stojących nieopodal kobiet towarzyszyło im śpiewem. Yvette, zachwycona pięknym zmysłowym tańcem, złapała Nicole za rękę i mocno ją ścisnęła.

– Tańczą tak samo pięknie jak twoja mama – szepnęła jej do ucha Nicole. – Pamiętasz ją?

– Nie.

Matka Yvette była wietnamską tancerką i prawdziwą pięknnością, niestety podczas wojny zainteresował się nią japoński komendant. Oczarowany urodą tancerki i jej tańcem, zmysłowym, a jednocześnie niewinnym, zażądał, by tańczyła tylko dla niego. I na tańcu się nie skończyło.

Patrzyły, syciły wzrok, a kiedy tancerki znieruchomiały, Nicole zaproponowała:

– Zabieramy się do cięcia jedwabiu. Pokażę ci niezwykle nożyce. Tak wielkich na pewno jeszcze nigdy nie widziałaś. Jaki kolor jedwabiu wybierasz?

– Może... kremowy?

– Bardzo proszę. Kremowy.

Niestety, nie zdążyły rozpocząć lekcji, bo w sklepie raptem zaczęły się pojawiać jedna klientka za drugą. Między innymi starsza, pomarszczona pani, prawie bezzębna, która kupowała jedwab dla wnuczek. Bardzo miła osoba. Choć na pewno była już zmęczona życiem, oczy miała błyszczące, a na twarzy zawsze gościł uśmiech.

Kiedy w sklepie znów zrobiło się pusto i cicho, Yvette stanęła na stołku i zaczęła rozkładać lśniący jedwab najlepszego gatunku, bo przetykany złotem, na wielkim arkuszu cienkiego papieru, a potem przykryła go drugim arkuszem.

– A po co ten papier? – spytała Yvette.

– Jedwab włożony między arkusze papieru zachowuje się jak papier, dlatego łatwiej go ciąć. Najpierw utniemy metr jedwabiu, który zabierzesz do domu, a potem osiem metrów dla Sylvie. Prosiła mnie o to jakiś czas temu, ale kompletnie o tym zapomniałam.

– Osiem metrów to dużo, prawda?

– Prawda.

Yvette przez chwilę wyraźnie nad czymś się zastanawiała i raptem jej oczy rozbłysły.

– Nicole? Kiedy będę już duża, mogłabym pracować u ciebie?

Nicole, wzruszona tym pytaniem, objęła dziewczynkę ramieniem.

– A nie chcesz pracować w piekarni ze swoim tatą?

Yvette znów pomyślała chwilę i zaśmiała się.

– Już wiem! Będę pracować i tu, i tu, chociaż jedwab bardziej mi się podoba. Tylko nie mów o tym tacie!

Potem obie przystąpiły do cięcia materiału, przy czym Nicole opowiadała dziewczynce o zaletach jedwabiu, między innymi o tym, jak jedwab, kiedy jest zimno, zatrzymuje ciepło,

a z kolei podczas upału chłodzi.

– I jest bardzo mocny. Jedwabna nitka jest cieńsza od ludzkiego włosa, ale mocna jak drut.

– I jest taki piękny! – zachwycała się dziewczynka. – Tak błyszczący...

Widać było, że Yvette naprawdę interesuje się jedwabiem. Nicole miło było przekazywać jej wiedzę, ale niestety lekcja nie trwała długo, bo dzwonek u drzwi dał znać, że ktoś wszedł do sklepu.

– Dzień dobry! – zawołał Tràn już od progu. – No proszę, cóż takiego moje oczy widzą! Dwie metyski zajęte robotą.

Nicole poderwała głowę.

– Wołałabym, żebyś tak mnie nie nazywał!

Zaśmiał się.

– *O, pardon, mademoiselle!*

I pochylił się w pięknym ukłonie, wykonując prawą ręką szeroki gest. Trudno więc było zachować powagę. Nicole uśmiechnęła się, dochodząc do wniosku, że Tràn wygląda dzisiaj jakoś inaczej. On w ogóle za każdym razem, kiedy go widziała, sprawiał wrażenie, jakby przybywał z innej rzeczywistości. Tego dnia przypominał... studenta.

Podał Yvette rękę, żeby pomóc jej zejść ze stołka, i spytał:

– Masz ochotę na lody?

Oczy dziewczynki rozbłysły. Spojrzała na Nicole, a ona pokiwała głową, i wtedy Tràn wziął dziewczynkę za rękę i ruszył do drzwi.

– Nie, nie! – zawołała Nicole. – Niech mała zostanie tutaj. A ty idź po lody.

Tràn spochmurniał.

– Nie ufasz mi?

– Powiem szczerze. Nie mam podstaw, żeby obdarzać cię

zaufaniem.

Wzruszył ramionami i puścił rękę dziewczynki. Kiedy wychodził ze sklepu, Nicole już nie pierwszy raz zauważyła purpurowe znamię na jego odsłoniętej szyi. Wcale nie była pewna, czy Trần wróci tu z lodami, ale on przyszedł. Zawołali wtedy O-Lan i cała czwórka rozsiadła się na schodkach. Nicole przypadły lody z mango i owoców męczennicy, pozostali delectowali się lodami kawowymi z czekoladą. Później zaśpiewali kilka wietnamskich piosenek. Nicole śpiewała pełnym głosem, Trần wtórował, a Yvette nuciła. Trần, człowiek surowy i o radykalnych poglądach, był bardzo miły dla Yvette i to podobało się Nicole.

Potem O-Lan wróciła do siebie, a Yvette pobiegła na podwórko do Trophy'ego. Trần i Nicole zostali na schodkach sami.

– Zastanowiłaś się już, Nicole?

– Nad czym?

– Nad tym, czy chcesz nam pomóc.

– A.. i stąd te lody? Chciałeś mnie przekupić?

– Na pewno nie! – Trần zaśmiał się i zaraz spoważniał. –

Chcę przede wszystkim, żebyś zdała sobie sprawę, że twoje poczucie bezpieczeństwa jest tylko złudzeniem. Ruch oporu rośnie w siłę. Mamy już po swojej stronie wieśniaków.

– A ty nie jesteś wieśniakiem? Mówiłeś, że wszyscy pochodzicie z jedwabnej wioski.

– Zgadza się, ale dzięki hojności mego wuja zdobyłem wykształcenie i potrafię pracować głową.

– A co z twoim bratem? Czy zabili go dlatego, że zamordował francuskiego urzędnika, czy dlatego, że był przemytnikiem?

– Nie ma żadnych dowodów, że to on pozbawił życia tego

Francuza. I nie trudnił się przemytem. Był znanym agitatore, więc zabili go z zemsty za śmierć Francuza. Taka demonstracja siły, rozumiesz.

– Skąd wiedzieli, że jest agitatore?

– A stąd, że szpiedzy są po obu stronach. My też zbieramy informacje o operacjach wojskowych Francuzów i działaniach interwencyjnych Amerykanów.

Nicole się skrzywiła.

– W takim razie chyba zwariowałeś, jeśli masz nadzieję, że wam pomogę.

– Jesteś przecież zaprzyjaźniona z Amerykaninem.

– Raczej byłam. A poza tym on handluje jedwabiem, nie jest więc dobrym źródłem informacji.

– Tak uważasz?

Nicole spojrzała w bok.

– Powiedziałam, że już się z nim nie przyjaźnię. A poza tym ja na pewno nie będę waszym szpiegiem.

– *Bất cá hai tay*. Nie możesz jednocześnie biec z zającem i polować z psami. Pewnego dnia będziesz musiała zdecydować, czy jesteś Wietnamką, czy Francuzką.

Nicole zmrużyła oczy, przyglądając się bacznie swojemu rozmówcy.

– Jesteś pewien? Bo ja uważam, że po prostu jestem i Francuzką, i Wietnamką. I nic tego nie zmieni.

– Zmieni. To tylko kwestia czasu. Wystarczy rozejrzeć się dookoła. Na pewno widziałaś, w jakiej nędzy żyją robotnicy. I jest ci to absolutnie obojętne, tak?

Wstał, wyraźnie szykując się już do odejścia.

– Pewnego dnia otworzę ci oczy, Nicole. Jeszcze szerzej.

Po jego wyjściu Nicole poszła na górę i wyjęła z szuflady małą torebkę, którą znalazła, kiedy po raz pierwszy krzątała się

po sklepie. Wróciła na schodki i czekała na Yvette, przez cały czas tuląc torebkę do serca. Zawsze tak robiła, kiedy czuła się smutna albo zagubiona, a teraz przecież Trần porządnie namącił jej w głowie. Ten bardzo jeszcze młody człowiek, dziś tak schludnie ubrany, o gładkich lśniących włosach, miał w sobie coś nieujarzmionego. Czy był przystojny? Owszem. Jego ładnie wykrojone usta i błyszczące czarne oczy mogły się podobać, tak jak jego młodzieńczy idealizm. Ale przede wszystkim Trần był człowiekiem namiętnym. I ta jego pasja była inspirująca, choć mogło się to wydawać bezsensowne.

Tego dnia, kiedy Sylvie przyszła do sklepu po jedwab, drzwi od frontu były otwarte. Nicole otworzyła je, by przewietrzyć sklep, a sama zabrała się do składania pociętego na kwadraty jedwabiu.

– Jestem w biegu, bo zaraz mam ważne spotkanie – oznajmiła siostra już na wstępie. Wyglądała bardzo elegancko w białej, prostej i niedługiej sukience, kapelusiku ozdobionym piórkami, szarych pantoflach z krokodylej skóry i krótkich rękawiczkach. Jedną z tych rękawiczek zdjęła, by przeciągnąć palcem po ladzie.

– O, jak tu u ciebie czysto.

– Tam gdzie tnie się jedwab, musi być czysto.

– Naturalnie.

Nicole czuła się przy szykownej siostrze jak szara myszka. Bardzo żałowała, że tego dnia ubrała się byle jak, w stare wietnamskie robocze ciuchy.

– Czy chciałaś jeszcze czegoś? – spytała, nie przerywając składania jedwabiu.

Sylvie rozejrzała się dookoła i wtedy Nicole zauważyła, że jej siostra nie jest tak jak zwykle chłodna i opanowana.

Przeciwnie, była cała roztrzęsiona.

– Żeby mieć pełny obraz, musiałabym też zajrzeć do ksiąg. Ale widzę, Nicole, że ze sklepem wszystko w porządku. Więcej, zrobiłaś z niego prawdziwe cacko.

Nicole przerwała składanie jedwabiu i spojrzała na siostrę.

– Dziękuję.

– Ten sklep chyba bardzo wiele dla ciebie znaczy.

– Jest dla mnie wszystkim.

– No proszę! Nie spodziewałam się, że podejdziesz do tego tak poważnie.

Porozmawiały jeszcze chwilę o domu towarowym Duvalów przy Rue Paul Bert, o tym, że zyski maleją. Sylvie zdradziła, że ma pewne dalekosiężne plany, które zamierza zrealizować, kiedy tylko poprawi się obecna sytuacja. Mówiła to z taką pewnością, jakby już się poprawiła.

A potem powiedziała jeszcze:

– Wiesz, Nicole, bardzo bym chciała cofnąć czas, byśmy mogły zacząć wszystko od początku.

– To znaczy?

– No... cofnąć się do dzieciństwa.

Nicole westchnęła. Och, gdyby to rzeczywiście było możliwe...

– Pamiętasz, Sylvie, jak opowiadałaś wszystkim, że zostałam adoptowana?

– O Boże... Wiem, byłam okropna.

Nicole się uśmiechnęła.

– Tylko czasami.

– Ale ty też nie byłaś święta. Kiedyś włożyłaś mi do łóżka zdechłą mysz.

– A ty i twoje koleżanki zawsze mnie lekceważyłyście.

– No tak... To może spróbowałybyśmy...

– Co?

– Po prostu naprawdę się polubić.

Nicole zaczęła sobie uświadamiać, że przecież siostra nie zawsze była okropna. Nieraz wstawiała się za nią, a poza tym pomagała jej w odrabianiu lekcji z matematyki i uspokajała, kiedy Nicole budziła się przerażona w nocy, bo znów miała koszmarne sen o tym, jak topiła się w rzece Perfumowej. Ogólnie rzecz biorąc, relacje między siostrami były bardzo

skomplikowane, głęboko zakorzenione w przeszłości, w wydarzeniach z dzieciństwa, niby prawie zapomnianych, a jednak nadal istotnych.

– A wiesz, jutro wybieram się do wioski, gdzie robią latarnie. Jutro jest Święto Latarni. Może pojedziesz ze mną?

Nicole nie odezwała się, bo właśnie kucała za ladą. Kiedy wstała, trzymała w ręku paczkę owiniętą ciasno sznurkiem.

– Proszę. Twój jedwab. Osiem metrów kremowego jedwabiu, najpiękniejszego. Powiesz mi, na co ci ten jedwab?

– A... może do mojej skrzyni posagowej?

A więc o to chodzi? Czyżby Sylvie miała nadzieję, że Mark jej się oświadczy?

Czuła, że ogarnia ją gniew. Serce zabiło niebezpiecznie szybko, odczekała więc moment i spojrzała na siostrę dopiero wtedy, kiedy była pewna, że nie zdradzi się ze swoim stanem ducha. Bo poczuła się tak, jakby otrzymała cios w żołądek. Jeśli istotnie Sylvie i Mark są sobie tak bliscy, jak siostra sugeruje, to ona nie ma już o czym marzyć.

– A co tam u Marka? – spytała niby mimochodem, choć tak naprawdę umierała z ciekawości.

Sylvie postukała palcem w zegarek.

– Mark jest bardzo zajęty. Tak samo jak ja. Prawie cały czas przebywa w Sajgonie. A więc jak, Nicole, wybierzesz się ze mną na Święto Latarni? Jeśli masz ochotę, spotkajmy się o czwartej nad jeziorem Hoàn Kiếm.

Uroczystości związane ze Świętem Latarni miały się odbyć wieczorem, ale Sylvie zaproponowała, by pojechały wcześniej, żeby popatrzeć, jak się robi latarnie. Nicole zgodziła się tylko dlatego, że miała nadzieję, iż uda jej się wyciągnąć z siostry coś jeszcze na temat Marka. Żeby mieć moralne wsparcie, postanowiła zabrać ze sobą O-Lan.

– Ci, którzy robią te latarnie, przybyli tu kiedyś z Hoi An – objaśniała im O-Lan, kiedy wysiadły z samochodu i szły przez wioskę obwieszoną z okazji święta latarniami. Niektóre były w kształcie głowy smoka, inne wyglądały jak zwyczajne pudełka udekorowane wstążkami.

– Ramę robi się ze starego bambusa. Przedtem bambus moczy się w słonej wodzie przez kilka godzin.

– A po co? – spytała Sylvie, która teraz znowu była sobą, czyli idealnie spokojna, bez śladu zdenerwowania.

– Żeby zabezpieczyć przed robactwem i molami.

– Ten jedwab jest piękny – powiedziała Nicole, ostrożnie dotykając czerwonej latarni w kształcie mitycznej bestii, którą przed chwilą ktoś powiesił.

– Cały jedwab, który tu widzicie, pochodzi z mojej rodzinnej wioski – pochwaliła się O-Lan.

– No proszę. – Nicole pokiwała z uznaniem głową i spojrzała na siostrę. – Sylvie, może kupimy jedną z tych latarni, powiesimy w ogrodzie i wydamy przyjęcie, na przykład z okazji Święta Pełni Księżyca?

– Nie wiem, czy papa się zgodzi. Ale na pewno pięknie by wyglądała w naszym ogrodzie. Te latarnie są o wiele większe od lampionów, które mamy w domu. – Sylvie się uśmiechnęła. – Wiesz co? Kupmy kilka latarni. Jedną z nich możesz powiesić w swoim sklepie.

Weszły do sklepiku, którego właściciel właśnie zajęty był robieniem lampy. Palące się w kącie kadzidło pachniało tak intensywnie, że Sylvie zaczęła kaszleć, musiały więc wyjść na dwór.

– O Boże... – jęknęła Sylvie. – O-Lan, z czego robią te kadzidła?

– Z co najmniej piętnastu gatunków ziół.

– Dla mnie stanowczo za dużo tych gatunków. O-Lan, powiedz, jak się czuje twoja matka? Słyszałam, że była chora.

Sylvie słyszała o tym? Nicole była bardzo zaskoczona, bo nie przypominała sobie, żeby mówiła o tym siostrze.

– Dziękuję, czuje się już o wiele lepiej – odpowiedziała Wietnamka.

Kiedy zapadł zmierzch i zrobiło się chłodniej, zapalono wszystkie latarnie. Błyszczały w ciemnościach, a niebo w górze wydawało się niemal czarne. Nicole, Sylvie i O-Lan szły główną drogą przez wioskę – zwyczajną, piaszczystą, udeptaną i suchą. Doszły do skrzyżowania, gdzie ustawiono niewielką scenę, oświetloną o wiele mniejszymi latarniami zawieszonymi na sznurach rozciągniętych między drzewami. Wokół sceny biegały podekscytowane dzieci, nawołując się i umykając dorosłym, którzy próbowali przywołać je do porządku. Razem z dziećmi biegało kilka psów.

Niebawem na scenie pojawiło się paru grajków i rozległ się ogłuszający dźwięk bębnów. Nicole tak jak wszyscy kołysała się w rytm melodii, niby zasłuchana, ale w środku czuła niepokój. Po chwili na scenie zjawili się trzech tancerzy i wykonali taniec z ogromnym czerwono-złocistym jedwabnym smokiem. Każdy z tancerzy miał dwa kije, na których opierał się ów potwór, i poruszali nimi, dzięki czemu smok wykonywał najrozmaitsze ewolucje. Wielki łeb bestii, jej wyłupiaste ślepia i papierowe płomienie buchające z paszczy robiły wielkie wrażenie. Były wręcz hipnotyzujące.

Starsi Wietnamczycy nadal wierzyli, że wszystko ma swojego ducha, także jeziora, rzeki i drzewa. Podczas tego rocznego święta składano cześć duchom światła, a robiono to jak najpiękniej, jak najbardziej uroczyście, bo dzięki temu słońce miało świecić znów przez cały rok. Wierzono, że jeśli ludzie

postępują należycie, duchy będą im przychylne.

Nicole wiedziała, że smok symbolizuje siłę i powodzenie, i ten papierowy potwór znakomicie to oddawał. Chciała porozmawiać o tym z Sylvie, ale kiedy odwróciła się do niej, okazało się, że ta znikła. Była tylko O-Lan wpatrzona w porywające widowisko. Nicole ruszyła na poszukiwanie siostry. Nie musiała długo przebijać się przez tłum, bo już po chwili natknęła się na nią; Sylvie, pękając z dumy, niosła dwie latarnie w kształcie smoczych łbów.

– Kupiłam je! Obie! Udało mi się wynegocjować niższą cenę. Prawda, że piękne? Kiedy wstawi się do nich światełka, będą wyglądały jeszcze piękniej!

Nicole ostrożnie powiodła palcami po śliskim jedwabiu.

– Są niezwykle.

– Oczywiście! Proszę, weź tę. – Sylvie podała siostrze jedną z latarni, a potem wzięła ją pod ramię. – Miło tak razem spędzać czas, prawda? Niestety, nie zdarza nam się to zbyt często. Może pójdziemy coś zjeść?

– Powinnyśmy poczekać na O-Lan.

– Naturalnie. Bez niej nie odjedziemy.

– To może ty poczekaj na O-Lan, a ja zaniósę latarnie do samochodu. Jak będziemy z nimi chodzić, możemy je zniszczyć.

Sylvie, zanim podała Nicole latarnię, dotknęła jej ramienia.

– Nicole, powinnam była wcześniej to zrobić. Bardzo cię przepraszam za to, co się wydarzyło w związku z balem.

– Chodzi o Marka?

– Nie. O suknię.

– Tak?

– Z tym że o Marka też. Nie zdawałam sobie sprawy, że z Markiem łączyło cię coś więcej niż tylko przyjaźń.

– Ależ oczywiście, że to była tylko przyjaźń –

odpowiedziała Nicole. Naturalnie kłamała, ale nie miała zamiaru dać Sylvie satysfakcji, zdradzając, jak bardzo czuje się teraz pogwałbiona.

– No tak... ale na pewno miałaś nadzieję na coś więcej. Jestem tego pewna i bardzo bym chciała jakoś to... wyprostować.

Nicole zajrzała siostrze w oczy, oświetlone blaskiem latarni wiszącej na gałęzi nad jej głową. Oczy Sylvie błyszczały podejrzenie, dlatego nie zadawała już żadnych pytań, choć czuła się po prostu podle.

Już następnego dnia po wspólnej wyprawie na Święto Latarni humor Nicole znacznie się poprawił, a to za sprawą pogody. Bo upał wreszcie odpuścił, ustępując miejsca wiatrowi i kojącej wilgoci. Podobnie jak wielu mieszkańców Hanoi Nicole kochała wrzesień, kiedy było chłodno, sucho, pogodnie, a drzewa rosnące wzdłuż ulic z dumą prezentowały swoje żółte teraz i czerwone liście. Niebo było chyba jeszcze bardziej błękitne, a woda w jeziorach bardziej zielona niż podczas deszczu i skrzyła się przepięknie. Wielkie białe stokrotki i żółte słoneczniki panoszyły się wszędzie. Były śliczne, ale Nicole najbardziej kochała kwiaty hoa sua na drzewach pulai. Małe, białe jak mleko i dlatego zwane mlecznymi kwiatami, pachniały upojnie, zwłaszcza w chłodny wieczór. A drzewo pulai w ogrodzie Duvalów właśnie kwitło, podobnie jak pulai na ulicy. Na razie było ich tylko kilka, ale mówiono już, że ponieważ pachną tak pięknie, po zwycięskiej wojnie z Viet Minhem posadzi się ich o wiele więcej.

Powiał wiatr, białe kwiatki sfrunęły na ziemię jak płatki śniegu. Zdaniem Nicole właśnie tak wyglądały. Była urzeczona tym widokiem, który ostatecznie wprowadził ją w dobry nastrój; kiedy szła do swojego sklepu, wspominała dawne życie w Hué. Kiedyś ojciec zabrał ją za miasto, ale nie do którejś z okolicznych wiosek, tylko znacznie dalej. Pojechali do wioski, której mieszkańcy zajmowali się wykonywaniem odlewów z brązu. Ojciec chciał kupić prezent urodzinowy dla Sylvie. Nicole na próżno usiłowała sobie przypomnieć, co konkretnie kupić. Pamiętała natomiast doskonale, że następnego dnia byli w wiosce, gdzie wyrabiano jedwab, i miała okazję przyjrzeć się

dokładnie całemu procesowi. Pierwszy etap to uprawa morwy, drugi – hodowla jedwabników i wyciąganie jedwabnej nici z kokonu. Gąsienice jedwabników karmione były liśćmi morwy, a kiedy zmieniały się w poczwarki, zabijano je, zanurzając we wrzątku. Nicole było trochę szkoda tych biednych, malutkich poczwarek, które po wytworzeniu kokonu stawały się bezużyteczne. Gotowano je potem i zjadano, natomiast z kokonu wyciągano niezwykle mocną jedwabną nitkę i następował trzeci etap, dla Nicole najbardziej fascynujący, a mianowicie tkanie jedwabiu.

Ulicę zastawiono straganami, ponieważ był to dzień targowy. Nicole, nadal w świetnym humorze, szła szybkim krokiem, wymachując rękoma. A dookoła ludzie kupowali – naturalnie targując się, przecież każdy to lubi – przy okazji spotykając znajomych, z którymi można było uciąć sobie pogawędkę. Było gwarno i wesoło, co chwilę rozlegał się głośny śmiech. Temperatura rosła, dlatego Nicole zatrzymała się koło chłopca z bambusową tyczką na plecach, na której wisały małe filizanki. Potem postąpiła chwilę, popijając gorącą herbatę i oczywiście popatrując na tłum. Po chwili w tłumie mignęła znajoma postać: Yvette, z którą niedawno tak miło spędzały czas w sklepie Nicole. Dziewczynka zauważyła ją, uśmiechnęła się, pomachała. Nicole również podniosła rękę, by pomachać...

I w tym momencie rozległ się ogłuszający huk i w niebo wystrzeliły odłamki. Pofrunęły w górę na wysokość co najmniej dwudziestu metrów i opadły, zaścielając całą jezdnię. Przerażona Nicole odruchowo zasłoniła rękoma uszy i cofnęła się szybko w głąb alei. A na pogodnej ulicy wybuchła panika. Zapłakane dzieci biegly do matek. Ludzie krzyczeli, nawoływali się albo stali jak sparaliżowani. Nie widziała dokładnie, co się dzieje, bo dookoła gęsto było od dymu, ale zauważyła, że dwa samochody

stanęły w ogniu. Kiedy była już na końcu alejki, ulicą wstrząsnęła następna eksplozja. Najpierw zobaczyła wielką kulę ognia, zaraz potem huknęło.

Spanikowana, zamknęła oczy przed oślepiającym, prawie białym blaskiem i zaczęła się krztusić, czując w ustach popiół. Była przerażona, bo gdzieś tu, w pobliżu, widziała przecież Yvette. Zdesperowana, pobiegła przed siebie, nie zważając na odłamki szkła i metalu. Dookoła słyszała krzyki, nawoływania, zaczęły też ujadać psy. Dym nieco się przerzedził i było nieprawdopodobnie gorąco, ale biegła, mijając leżących na ziemi poranionych ludzi. Nie zatrzymała się przy żadnym z nich, półprzytomna ze strachu, owładnięta tylko jedną myślą: odnaleźć Yvette.

Wreszcie ją zobaczyła i stanęła jak wryta, wydając z siebie zduszony krzyk. O, nie! Tylko nie Yvette! Przecież to dziecko nikomu niczego złego nie zrobiło!

Jezdnią płynęła woda i zbierała się w zagłębieniu. Yvette leżała tuż obok gigantycznej kałuży. Lewa noga dziewczynki przygnieciona była cegłami i kawałkami tynku. Obok Yvette stał skomlący Trophy. Nicole szybko rozejrzała się dookoła. Niestety, na niczyją pomoc nie mogła liczyć. Przykucnęła i zaczęła jak najszybciej usuwać gruz z nogi dziewczynki. Kiedy skończyła, na lśniącej tafli wody w kałuży wypłynęła krew.

Na ulicy nadal było bardzo głośno, ale słyszała dobiegające z radia w piekarni dźwięki francuskiej melodii...

Uklękła i jak najdelikatniej ułożyła głowę dziewczynki na podółku. Potem ją objęła i z największym trudem powstrzymując łzy, kołysała w ramionach, ostrożnie ścierając ciepłą krew i brud z policzków. Głaskała małą po głowie, cichutko szeptała jej imię, próbowała zanucić jej ulubioną piosenkę, którą w niedzielę rano zawsze śpiewały razem

w kuchni.

Kiedy podniosła głowę, zobaczyła nadchodzącego Yvesa. Miał stężałą, szarą jak popiół twarz. Prawie martwą.

Spojrzała w dół, na swoją sukienkę splamioną własną krwią, bo w dłoni ścisnęła odłamek szkła, który poranił jej palec. Yves podszedł i podniósł córeczkę z ziemi, Nie odezwał się, Nicole też milczała. Zacisnęła zęby, szybko wyciągnęła szkło z rany i urwała kawałek spódnicy, by owinąć krwawiącą rękę. Potem wzięła szczeniaczka na ręce i ruszyła do piekarni w ślad za Yvesem.

Yves usiadł na krześle i tuląc do siebie córeczkę, rozplakał się.

Nicole zajęła miejsce po drugiej stronie stołu. Nadal miała tak ściśnięte gardło, że nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Bo to, co miała teraz przed oczami, to nie jedna z tych czarno-białych fotografii zamieszczanych w gazetach, będących świadectwem zwycięstw Francuzów gdzieś tam, wśród odległych wzgórz i dolin na północy kraju. Nie, tutaj krew była czerwona, niewyobrażalnie czerwona. I było jej tak wiele. Było też poszarpane ciało jeszcze małego dziecka.

Była śmierć. Realna. W zasięgu ręki.

Czas stanął w miejscu, osadzając Nicole w rzeczywistości, w której w ciągu sekundy można odebrać życie dziecku. Było jej zimno, lodowato jak nigdy dotąd. Po chwili znów zaczęły do niej docierać odgłosy ulicy. Słyszała gniewne, podniesione głosy, jednocześnie czuła, jak w jej sercu i głowie coś ulega diametralnej zmianie.

Potem pojawiła się wreszcie policja. Zawyły syreny. To właśnie zapamiętała. Wycie syren, płacz ludzi i ten zapach na ulicy. Mdlący zapach krwi i karmelu.

Policjanci zadali jej kilka prostych pytań. Co widziała? Czy

były jakieś sygnały ostrzegawcze? I tym podobne. Była zaskoczona, kiedy następnego dnia wczesnym rankiem ojciec przyszedł po nią, ponieważ policjanci chcieli jeszcze raz z nią porozmawiać. Szła za ojcem do jego gabinetu, ubrana tylko w jedwabny szlafrok. Ledwo żywa, zrozpaczona. Przez całą noc opłakiwała Yvette. Lisa była razem z nią. Tuliła ją do siebie, a ona szlochała. Przecież kochała małą Yvette jak siostrę.

Kiedy ojciec zamknął za nimi drzwi, próbowała jakoś wziąć się w garść, usunąć z głowy koszmarnie obrazy, ale, niestety, na próżno. Miała je wciąż przed oczami, a w głowie tylko jedną myśl: nic, absolutnie nic nie usprawiedliwia zabójstwa dziecka.

W szarym od dymu papierosów gabinecie czekał na nią inspektor Paul Giraud; jego korpulentne ciało zajmowało bardzo dużo miejsca. Stał pod ścianą z rozstawionymi nogami i skrzyżowanymi na piersi ramionami. Kiedy Nicole stanęła twarzą w twarz z inspektorem, wlepił w nią swoje wodniste oczy. Ona uniosła brwi i spojrzała na ojca pytająco.

– *Monsieur* Giraud chciałby, żebyś odpowiedziała mu na kilka pytań, Nicole. Tylko to – wyjaśnił bardzo łagodnie ojciec.

Zrobiła krok do przodu i położyła ręce na oparciu krzesła.

– Papo, nie spałam całą noc – powiedziała drżącym głosem.

– Nie możemy odłożyć tego na później?

Ojciec spuścił głowę, a Giraud podszedł do Nicole. Stanął tak blisko, że kiedy podniósł rękę, by przygłodzić włosy, drgnęła, pewna, że chce się na nią rzucić. Widziała każdy czarny włoszek wystający z jego nosa, czuła nieświeży oddech. I znów zadrżała, teraz z obrzydzenia. Przecież pamiętała doskonale, w jakiej sytuacji go widziała, kiedy Tràn pokazywał jej nocne życie Hanoi.

– Zajmę ci tylko kilka chwil, nie dłużej – powiedział

Giraud, nadal przyglądając włosy. – Chciałem cię zapytać o tego młodego Wietnamczyka, z którym ostatnio spędzasz sporo czasu.

Mówił cicho, prawie pomrukiwał, i to Nicole bardzo się nie podobało. Musiała nastawiać uszu, a to sprawiało, że gorzka prawda stawała się jeszcze bardziej oczywista: przy tym obrzydliwym człowieku ona jest nikim. On tu rządzi. Niestety.

A poza tym wszystko jest możliwe. Może jednak widział ją w burdelu, dlatego spięta do granic możliwości, odezwała się wcale nie cicho i łagodnie:

– Ale to nie jest niezgodne z prawem, prawda? !

– Nicole! – skarcił ją ojciec.

– Dobrze wiesz, że możesz mi zaufać! – powiedział Giraud, podnosząc rękę. – Ty ufasz mnie, ja tobie. Na tym polega nasza współpraca. A wracając do tego Wietnamczyka, widziano was razem przed twoim sklepem. Siedzieliście na schodkach i jedliście lody.

– Czy to przestępstwo?

– Nicole! Przestań się zachowywać jak rodowita Wietnamka! – wtrącił się znów ojciec.

– Prawie go nie znam. Wiem, że jest studentem – powiedziała.

– A jak się nazywa? A raczej jak ci się przedstawił? – spytał Giraud.

– Nie wiem, jak się nazywa.

– Nicole, proszę... – To znowu ojciec. – Staramy się odnaleźć zabójców Yvette. Chyba tobie też na tym zależy.

– Oczywiście, że tak.

Zacisnęła szczęki tak mocno, że aż zaboląło. Prawdę mówiąc, to przede wszystkim chciała teraz usiąść i dalej opłakiwać małą Yvette.

Zamknęła oczy. Boże, spraw, żeby ten Giraud przestał zadreć ją pytaniami i poszedł sobie!

– Jakieś imię musiał ci podać, prawda?

No cóż... Nie mogła zrobić inaczej.

Otworzyła oczy.

– Wiem, że nazywają go Trần.

– Oni wszyscy mają na imię Trần albo Nguyễn. Więcej nie wiesz? Zastanów się. Każda twoja informacja może okazać się bardzo pomocna.

Po chwili ciszy ojciec uśmiechnął się do córki.

– *Monsieur* Giraud o nic cię nie obwinia, Nicole. Przecież wiemy, że nie masz z tym nic wspólnego.

Nic wspólnego ze śmiercią małej Yvette? Boże wielki, jak ojciec mógł w ogóle coś takiego powiedzieć?! Dalsze powstrzymywanie łez było już ponad jej siły. Spłynęły po policzkach, a ona poczuła złość na siebie, że płacze w obecności odrażającego Girauda.

Mężczyzna podsunął jej usłużnie krzesło.

– Może usiądziesz, moja droga? Poczujesz się lepiej.

Wcale nie chciała siadać, ale co robić? Usiadła, a Giraud zwrócił się teraz do jej ojca.

– Édouardzie, mógłbym dostać szklankę wody? Albo lemoniady?

Ojciec mógł oczywiście zadzwonić na kogoś ze służby, ale nie zrobił tego, tylko wyszedł z pokoju. Kiedy znikł za drzwiami, uśmiech z twarzy Girauda też znikł.

– Obserwujemy tego Trầna.

– Przyszedł pan tutaj, by przesłuchać mnie w sprawie Trầna?

– Przede wszystkim chodzi o Yvette, a głównym podejrzanym jest ten właśnie twój chłopak i jego spiskowcy.

Wczoraj wieczorem znowu widziano was razem. Możesz mi to wyjaśnić?

– A dlaczego? Czy ma to jakieś znaczenie? Poza tym to wcale nie jest mój chłopak. On stu...

Giraud nie dał jej dokończyć.

– Nadeszła pora mówić prawdę. Dotyczy to nas obojga. Na moment zapadła cisza.

– A więc, Nicole? Opowiedz, jak to między wami jest.

– Między nami niczego nie ma.

– W takim razie dlaczego się z nim spotykasz? Nicole, zdobądź się na szczerłość. Przecież w tej konkretnej sprawie oboje stoimy po tej samej stronie. Chcemy tego samego, prawda?

Oczywiście. Ale Trần na pewno nie ma nic wspólnego z tą okrutną zbrodnią. Był taki miły dla Yvette. Ale mówił też, że wkrótce zaatakują Hanoi. Czyżby to było ostrzeżenie? Może. Co jeszcze mówił? Że otworzy jej szerzej oczy na wszystko. A poza tym...

– Mówił mi, że jego brat został zastrzelony przez Francuzów.

– O, czyli coś już wiemy!

– Poza tym... był bardzo miły.

– Każdy potrafi być miły, kiedy chce! – zaśmiał się Giraud.

– A teraz posłuchaj mnie uważnie, Nicole. Dzięki temu Trầnowi otarłaś się o inny, nieznany ci świat. Ale nie obawiaj się, pomogę ci się w nim poruszać. A ty pomożesz mnie. Tak to działa. Następnym razem, kiedy on przyjdzie do twojego sklepu, zadzwoń pod numer, który ci podam. Masz w sklepie telefon?

– Owszem. Przez jakiś czas był odłączony, ale teraz działa już normalnie.

– W takim razie umowa stoi? Zadzwoń. Nie musisz niczego

mówić. Po trzech sygnałach odłóż słuchawkę. Odczekaj chwilę i zrób to jeszcze raz.

Nicole, wpatrzona w podłogę, nieznacznie kiwnęła głową. Świadoma, że jest coś, o czym nigdy w życiu nie powie Giraudowi. O tym, że kuzynką Trânà jest O-Lan.

Giraud położył rękę na jej ramieniu i lekko uściskał.

– Grzeczna dziewczynka. Chciałbym bardzo, byśmy się dobrze rozumieli.

W tym momencie do pokoju wszedł ojciec. Ze szklanką lemoniady.

– Nicole się zgodziła – powiedział Giraud, odchodząc na bok, by zapalić papierosa.

– Jesteś pewien? – spytał ojciec. Podał mu lemoniadę, potem pogłaskał Nicole po ramieniu. – Nie chcę narażać swojej córki na niebezpieczeństwo. W obecnej sytuacji wolałbym, żeby w ogóle nie chodziła do sklepu.

– Nie martw się. CIA już tu rozmieszcza swoich agentów. Za kilka dni będą gotowi. Poza tym wszyscy będziemy mieć oko na Nicole.

Nicole spojrzała na ojca ze złością.

– Papo, kto powiedział *monsieur* Giraudowi, że rozmawiałam z Trânem? Kto?!

– Spokojnie, Nicole. Za bardzo się denerwujesz.

– Niestety, nie ujawniamy naszych źródeł informacji – wtrącił Giraud. – Dziękuję, Nicole, że zgodziłaś się współpracować.

– Współpracować będzie tak długo, jak długo zapewnisz jej ochronę – powiedział ojciec. – Mam dwie córki i obie bardzo kocham.

Nicole zerknęła na ojca. Jego oczy podejrzenie lśniły.

Przez kilka następnych dni Nicole nie widziała się z Trànem i wcale tego nie żałowała. Bo kiedy przemyślała sobie wszystko na spokojnie, doszła do wniosku, że kto wie, czy Tràn istotnie nie jest zamieszany w śmierć Yvette. I to ją przeraziło. Tym bardziej że dziewczynka nie była jedyną ofiarą. Zginęło jeszcze kilku niewinnych ludzi, między innymi chudziutka staruszka z polakierowanymi na czarno zębami. Poza tym wiele osób zostało rannych. Całe miasto było wzburzone. Mówiono tylko o tym i nie zamierzano tej masakry puścić płazem. Sytuacja nabrzmiewała z dnia na dzień. Wszyscy byli przekonani, że za zamachem stoją Francuzi, nic dziwnego więc, że Nicole, wiedząc doskonale o tych nastrojach, ubierała się teraz wyłącznie po wietnamsku.

Nie, nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z Trànem, ale zdawała sobie sprawę, że powinna to zrobić. Spotkała go przypadkiem, kiedy postanowiła pójść na spacer wokół jeziora i jeszcze raz to i owo przemyśleć. Siedział na brzegu, zapatrzony w dal. W pierwszej chwili trochę się wystraszyła, potem miała ochotę wykrzyknąć mu wszystko prosto w twarz. Wszystkie zarzuty, wszystkie podejrzenia. Ale powstrzymała się, bo teraz, sam na tym brzegu, sprawiał wrażenie osoby całkowicie bezbronnej. Czy ktoś taki może być zamieszany w morderstwo? Chyba nie...

Ale gdy Tràn odwrócił się, w uszach zadźwięczały słowa oskarżenia wypowiedziane przez ojca i *monsieur* Girauda. I wtedy się w niej zagotowało.

– Jak mogłeś... – wysyczała.

Cały świat raptem zaczął dziwnie pulsować. I zieleń drzew,

i srebrzyste jeziora, i samotna postać tuż nad wodą. Nicole nie była w stanie zrobić ani jednego kroku. W żadną stronę. Była świadoma, że ma dwie opcje do wyboru: albo będzie mówić dalej, albo nie powie już ani słowa i ucieknie.

Trần westchnął.

– Wiedziałem, że tak pomyślisz.

– A dlaczego nie? Powiedzieli mi, że to ty.

– Oni? To znaczy kto?

– Giraud i mój ojciec. Twierdzą, że jesteś w to zamieszany.

– Uwierzyłaś im? Naprawdę sądzisz, że miałem z tym coś wspólnego?

Jego spojrzenie stwardniało. Wstał i zrobił w jej stronę kilka kroków.

Nicole wyciągnęła przed siebie rękę.

– Nie podchodź do mnie!

– Dobrze, nie podchodzę. A ty, zanim mnie osądzisz, zastanów się, czy mógłbym zabić swoich rodaków.

– Czemu nie? Po to, żeby zdyskredytować Francuzów.

– Tak? A nie sądzisz, że są na to inne sposoby? – Spuścił głowę i kopnął kupkę zeschniętych liści. – Nicole, przysięgam na życie mojej matki, że żaden z nas tego nie zrobił. Nigdy bym nie skrzywdził dziecka.

Dziecka... Przed oczyma Nicole natychmiast pojawiła się słodka twarzyczka małej Yvette. I te jej czarne warkocze podskakujące na plecach, kiedy biegła...

Poczuła ból w sercu i zadrżała.

– Ja... ja po prostu tego nie zniosę. Przecież to dziecko nikomu niczego złego nie zrobiło!

– Ja też nie potrafię się z tym pogodzić, Nicole.

Nicole powoli podniosła głowę i popatrzyła na ptaki przefruwające nad jeziorem.

– A dlaczego mam ci uwierzyć, skoro wszyscy mówią, że tych ludzi zabił Viet Minh?

– Masz moje słowo, Nicole.

Spojrzała mu w twarz, szukając na niej jakichś oznak kłamstwa. Trần patrzył jej prosto w oczy, śmiało, z determinacją. Potem zamrugał oczami, jakby chciał powstrzymać łzy. Wyglądał teraz bezradnie, prawie żałośnie, ale ona nadal nie wiedziała, czy ma mu wierzyć. Chociaż... przecież widziała na własne oczy, jak jej ojciec z zimną krwią zabijał człowieka. Może więc to sprawka Francuzów, bo są oni do takich rzeczy zdolni...

– Trần? W takim razie kto to był?

– Prawdopodobnie Amerykanie. Wiemy, że CIA już tutaj węszy. Naszym zdaniem współpracują z niektórymi Francuzami na kluczowych stanowiskach w celu utworzenia w Wietnamie trzeciej armii.

– Do walki z Viet Minhem?

– Tak. I próbują nas zdyskredytować.

O tej trzeciej armii Nicole już słyszała, ale nie miała zamiaru z tym się zdradzić.

Coś jednak chciała mu przekazać.

– Trần, oni chcą, żebym przekazywała im informacje o tobie. Mam im mówić o każdym naszym spotkaniu.

Widziała, jak jego oczy znów załśniły od łez. Poruszona tym, wyciągnęła do niego rękę. Był taki młody, wrażliwy i to swoje młode życie marnował na beznadziejną walkę. Wcale jej się to nie podobało.

– Trần, czy nie lepiej by było, gdybyś zapomniał o walce i wrócił na studia? Przecież Viet Minh nigdy nie pokona Francuzów!

Trần wziął ją za rękę i lekko ścisnął jej palce. A ona

poczuła się teraz bardzo niepewnie; nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć. Trần niewątpliwie wierzył w słuszność sprawy, był pełen zapału, ale też chyba trochę naiwny. Poza tym czy mówił jej prawdę, tylko prawdę? Skąd miała to wiedzieć?

Wzięła go za drugą ciepłą dłoń i na chwilę zamknęła oczy, wsłuchując się w cichutki plusk wody poruszanej wiatrem. Otworzyła je, kiedy Trần zakasłał. Potem uśmiechnął się i w tym momencie coś między nimi zaskoczyło, bo niby skąd to wrażenie, jakby znała go od zawsze. Jakby był jej bratem, wietnamskim bratem, którego chciała bronić przed nim samym. Mimo wszystko. Podobnie było z ojcem. Widziała, co zrobił, ale nadal go kochała.

– Przymierz się, że zawsze będziesz mi mówił prawdę, dobrze?

Ona jednak nigdy mu nie powie, co naprawdę wydarzyło się w piwnicy hotelu.

Trần położył dłoń na swej piersi, tam gdzie bije serce, potem na piersi Nicole, dokładnie w tym samym miejscu, a potem poprowadził ją do gęstych zarośli i rozsunął gałęzie, aby odsłonić małą polankę.

– Nie miałam pojęcia, że coś takiego tu jest – powiedziała Nicole, sadowiąc się obok niego na miękkiej trawie pod zielonym baldachimem z liści. Oparła głowę na jego ramieniu i przez chwilę tak trwali, słuchając śpiewu ptaków i szelestu liści poruszanych wiatrem. Czasami słyhać było przejeżdżający w pobliżu samochód albo rower, a promienie słońca przenikające przez liście malowały na śniadej skórze Trầna jedyne w swoim rodzaju wzory. Po chwili zmienili pozycję na półleżącą, podpierając się na łokciu.

– Już nie jesteś dla mnie jedną wielką tajemnicą, Trần. Wiesz, na początku myślałam, że przepelnia cię nienawiść.

Uśmiechnął się.

– Nie ma żadnej tajemnicy, nie ma nienawiści. Po prostu chcę, żeby moi rodacy wiedli takie życie, do jakiego mają prawo.

– Żeby nie rządili nimi obcy?

– Tak. O to właśnie chodzi.

– A jeśli przegracie? Zdajesz sobie sprawę, jakie będą konsekwencje?

– Przecież już biorą na nas odwet. Dlatego właśnie mój brat zginął.

Nicole potrząsnęła głową, starając się usunąć z myśli przerażający obraz zabijanego człowieka. Jak stara się wyprostować, potem nagle się pochyła... I ten wyraz oczu na ułamek sekundy przed tym, nim dosięgła go kula...

Dopiero po dłuższej chwili znów wydobyła z siebie głos:

– Wiesz, zawsze lubiłam patrzeć na rzekę Perfumową w blasku księżyca. Podczas wojny nie wolno było otwierać okien. Dla mnie to było nie do zniesienia. Miałam wrażenie, jakby odebrano mi wolność. Jeśli jej nie odzyskam, to umrę.

– Czyli rozumiesz, co czuję.

Nicole pokiwała głową.

– Chyba tak. I nie ukrywam, że ta myśl jest dla mnie zatrważająca.

– W takim razie pomóż nam.

– Ale jak?

– Powiem ci, ale musisz obiecać, że nie zdradzisz tego nikomu. Bo to niebezpieczne.

Nicole wciągnęła głęboko w płuca powietrze przesycone zapachem ziemi i wody. Była poruszona żarliwością Trâna, ale i wystraszona. Czy on nie rozumie, że Francuzi nie przegrają? Była o tym głęboko przekonana, jednocześnie czuła też coś

w rodzaju uniesienia, że już jest związana ze sprawą Wietnamczyków. Miała świadomość, że w ten właśnie sposób zdradza swoją francuską rodzinę, a z tych spotkań z Trànem mogą wyniknąć naprawdę poważne problemy.

– Teraz robimy coś w rodzaju sieci ukrytych przejść – powiedział Tràn. – Przez sklepy w starej dzielnicy.

– Pod ziemią?

– Nie, na parterze budynków. Przebijamy ścianę i robimy otwór takiej wielkości, by jeden człowiek mógł szybko tamtędy przejść. Oczywiście przejścia będą odpowiednio zamaskowane.

Nicole sposepniała.

– Chcecie coś takiego zrobić także w moim sklepie?

– Tak.

– Rozumiem... A co z jedwabiem? Przecież ktoś zawsze może się skusić.

– Nikt ci niczego nie ukradnie, jeśli będzie wiadomo, że jesteś z nami. Dopilnuję tego. Przyrzekam.

– A co z moją rodziną?

– Nicole, oni są Francuzami. Naszymi wrogami.

Wrogami! Nicole wyprostowała się, podciągnęła nogi i ukryła twarz w dłoniach. Nie, tego, co powiedział teraz Tràn, nie chciała słuchać. Myśleć o ojcu, o Sylvie w taki właśnie sposób? To zbyt bolesne, zbyt brutalne. Przecież niezależnie od wszystkiego nadal ich kocha!

– Bardzo mi przykro, Nicole, ale taka jest prawda. Najlepiej by było, gdybyś przekonała ich, żeby wyjechali do Francji. Dni francuskich rządów są policzone.

Nadal leżał na trawie, teraz na plecach, podłożywszy ręce pod głowę. Żeby spojrzeć mu w twarz, musiała też się przekręcić i podeprzeć rękoma.

– Jeśli przyłączę się do was, stracę rodzinę!

Pokiwał głową.

– Tràn, jesteś tak pewny swego!

– Oczywiście, że jestem. Tysiące wieśniaków dołączyło już do nas. Dostarczają nam prowiant, przenoszą broń i sprzęt, opiekują się rannymi. Wojska Viet Minhu są coraz bliżej. Widziałas, ile francuskich czołgów jest na ulicach? Szykują się do decydującej bitwy, którą na pewno przegrają.

– Tràn, ale na pewno nie masz nic wspólnego ze śmiercią Yvette?

– Oczywiście, że nie. Proszę, uwierz mi w końcu – powiedział stanowczym głosem, zmuszając ją, by spojrzała mu prosto w oczy. – Nicole, nigdy nie nadużyję twojego zaufania. Nigdy! A wracając do naszej sprawy. Jak już ci mówiłem, Amerykanie próbują utworzyć trzecią armię do walki z Viet Minhem.

– Przecież Amerykanie nienawidzą francuskiego kolonializmu.

– Jeszcze bardziej nienawidzą komunizmu.

– A Viet Minh to naprawdę komuniści?

– Jesteśmy nacjonalistami, Nicole, ale wspierają nas kraje komunistyczne, Chiny i Rosja, z czego Amerykanie są bardzo niezadowoleni. Cały Zachód odwrócił się do nas plecami.

– Ale dlaczego koniecznie musi być wojna? Czy nie można jakoś się dogadać i spokojnie żyć dalej razem?

– Dobrze wiesz, że to niemożliwe, bo my, Wietnamczycy, nie jesteśmy wolni na swojej ziemi. Jesteśmy innym narodem, z własną kulturą, całkiem odmienną niż francuska.

– Mój ojciec kocha ten kraj. Przecież nawet ożenił się z Wietnamką, moją matką.

– Ale twój ojciec jest za dominacją Francuzów. – Tràn na moment zamilkł. – Nicole, chciałbym ci jeszcze niejedno

powiedzieć, abyś wszystko zrozumiała, ale odłożymy to na później, bo muszę już iść. Wyjeżdżam na północ. Nie będzie mnie kilka tygodni, ale wrócę. Na pewno.

– A co będzie, jeśli jednak nie zechcę wam pomóc?

– Wtedy nigdy się już nie zobaczymy. I jeszcze jedno chciałem ci powiedzieć. Prawdziwa rodzina to wcale nie muszą być ci, z którymi łączą cię więzy krwi. Moją rodziną teraz są towarzysze walki.

Ta jego determinacja budziła coraz większy niepokój Nicole. To może skończyć się bardzo smutno. Na pożegnanie miała wielką ochotę pogłaskać go po policzku. Chyba to wyczuł, bo nieznacznie poruszył głową. Jakby go dotknęła.

– Przemyśl to, Nicole. Jeśli wybierzesz Francję, nie będziesz już w swoim sklepie bezpieczna. Znajdą się ludzie, którzy zaczną podejrzewać, że wiesz o tych ukrytych przejściach, że powiedziałaś o nich swojej przyjaciółce O-Lan. Ci ludzie nie zawahają się przed niczym. Po prostu będziesz ryzykować życie, Nicole.

– Szantażujesz mnie!

– To nie szantaż, lecz twarda rzeczywistość. Chcemy odzyskać swój kraj. Za wszelką cenę.

Nicole zmrużyła oczy.

– Będę w swoim sklepie całkowicie bezpieczna, dopóki ty komuś nie powiesz, że wiem o tych przejściach!

– To rozumiałe. A ty? Komu o nich nie powiesz?

– Wiadomo, policji.

Ulice Hanoi zasłane były liśćmi datury czerwonej. Nadeszła jesień, a wraz z nią dzień premiery przedstawienia. Pierwszy występ Nicole. Była zdumiona, że w jej życiu tyle się dzieje. Tyle dobrych chwil, choć złych i smutnych też nie brakowało, o biednej Yvette myślała prawie codziennie. A teraz, kiedy w swojej maleńkiej garderobie robiła makijaż, rozmyślała o Tràn, dochodząc do wniosku, że spotkanie z kimś takim było w jej życiu prawdziwym kamieniem milowym. Zapoczątkowało przecież wielkie zmiany. Nieodwracalne. Wstrząsnęło nią, podobnie jak tragiczne chwile w piwnicy, kiedy jej rodzony ojciec zastrzelił brata Tràn, i zaczęła wątpić w swoje francuskie życie. Pewna była tylko jednego: którąkolwiek drogę wybierze, ta druga będzie dla niej stracona. Jeśli odwróci się plecami do najbliższych, znikną z jej życia na zawsze. Także Lisa. Ale jednocześnie budziła się w niej wietnamska tożsamość. Tràn mówił o nadziei na lepszą przyszłość żarliwie, a jednocześnie tak logicznie, że nie można było nie przyjąć tego do wiadomości. Musiała się zastanowić, po której stronie się opowiedzieć, chociażby dlatego, że Tràn mógł mieć rację, twierdząc, że to prawdopodobnie Francuzi przyczynili się do śmierci małej Yvette.

Tràn chciał przyjść na przedstawienie, ale mu to wyperswadowała. Przecież prawdopodobnie będą obecni ojciec i Mark.

Skończyła się malować – zmieniając się teraz w kobietę lekkich obyczajów! – i mocno pociągnęła nosem. Kiedy po raz pierwszy wzięła do ręki owiniętą w złocistą folię szminkę od Leichnera, poczuła, że w tych szminkach jest coś, co przyspiesza

bicie jej serca.

Westchnęła. Włożyła kostium, wyszła z garderoby i stanęła w kulisach, czekając na swoją kolej. Grała złożoną postać: kobietę uważaną za niedobrego człowieka, która w istocie miała złote serce. Nicole podobała się ta rola. Człowiekowi, który nie zawsze czuje się dobrze we własnej skórze, miło jest być kimś innym nawet przez krótki czas.

Na scenie miała się pojawić dopiero w połowie pierwszego aktu, dlatego mogła przez szparę w kurtynie spokojnie popatrzeć na widownię. W pierwszej chwili trudno jej było cokolwiek dostrzec, ale już po kilku minutach, kiedy oczy przywykły do mroku, spostrzegła ojca siedzącego w trzecim rzędzie. Z jego lewej strony siedziała Sylvie. Obok niej jasnowłosy francuski oficer, a z drugiej strony Mark. Kiedy Sylvie nachyliła się ku niemu, Nicole zrobiło się przykro. Ale wzięła się w garść, bo nic nie powinno zepsuć tych jakże ważnych chwil, jej jedynej szansy na odniesienie sukcesu. Tym bardziej że chociaż zastanawiała się poważnie nad tym, o co prosił ją Tràn, nadal zależało jej na zrobieniu wrażenia i na ojcu, i na Marku.

Kiedy usłyszała pierwsze dźwięki melodii, wyszła na scenę i zaczęła śpiewać. I od razu cały świat zniknął, istniał tylko jej głos wypełniający całą salę i rozpierająca ją radość. Liczyła się tylko muzyka, nic więcej. Była po prostu w euforii. Kiedy skończyła, zerwała się burza oklasków. Naturalnie zerknęła na ojca. Rozpromieniony, wyraźnie pękał z dumy. Zaraz potem dostrzegła Tràna; stał pod ścianą z tyłu sali, tuż pod lampą. Poczowała niepokój. Dlaczego przyszedł? Przecież nie może czuć się tutaj całkiem bezpiecznie.

Podczas antraktu zauważyła, że Mark wyszedł z sali, jasnowłosy oficer też. Sylvie i ojciec zostali na swych miejscach. Lampa, pod którą stał Tràn, zgasła i nie widziała, czy nadal tam

jest. Miała wielką nadzieję, że już się stąd wymknął.

Przedstawienie, choć nie obyło się bez kilku potknięć i sporadycznej pomocy suflera, okazało się wielkim sukcesem. Po jego zakończeniu Nicole zmyła makijaż, przebrała się i poszła do kawiarenki, gdzie zbierali się aktorzy, ich najbliżsi i osoby zaprzyjaźnione. Była tam już Sylvie w towarzystwie jasnowłosego oficera. Na widok siostry uśmiechnęła się promiennie i zaczęła bić brawo.

– *Chérie*, byłaś cudowna! Jestem z ciebie nieskończenie dumna!

– Dziękuję.

– Wiedziałam, że potrafisz śpiewać, ale dziś śpiewałaś zadziwiająco dobrze. Jak anioł! Pozwól, że ci przedstawię. To André.

Nicole uniosła znacząco brwi, a Sylvie dokończyła szeptem, puszczając do siostry oko:

– Tylko znajomy...

Potem podszedł ojciec, ucałował Nicole w oba policzki i żartobliwie zwichrzył jej włosy.

– Wspaniale, kochanie!

Nicole rozejrzała się dookoła.

– A gdzie Mark? Przecież widziałam, że był!

Sylvie nadal była uśmiechnięta, Nicole wyczuła jednak lekkie zdenerwowanie, kiedy siostra zaczęła nerwowo skubać kolczyk.

– Musiał wyjść, bo miał bardzo pilną sprawę do załatwienia.

– To nie mogło poczekać? – Nicole czuła się rozczarowana i zaniepokojona.

– Widocznie nie mogło. Ale nieważne, mówmy o tobie. Jesteśmy zachwyceni, że aż tak się usamodzielniałaś, prawda,

papo?

Ojciec skwapliwie pokiwał głową i wziął Nicole pod ramię.

– Jesteś naszą gwiazdą, Nicole! A teraz wybacz, musimy razem z André wyjść na chwilę i koniecznie zamienić z kimś kilka słów.

Odszedł razem z jasnowłosym oficerem, a Nicole, odprowadzając go wzrokiem, pokiwała tylko głową w odpowiedzi na słowa siostry:

– Wiesz, przejrzałam twoje rachunki. Bardzo dobrze sobie radzisz.

Cieszyła się, że ojciec przyszedł. Nie powiedział zbyt wiele, ale był. Kiedyś, podczas świąt Bożego Narodzenia, Nicole miała w szkole zaśpiewać kolędę. I wtedy Sylvie nagle zachorowała i ojciec nie mógł przyjść do szkoły, a Nicole nie mogła oprzeć się wrażeniu, że siostra właśnie dlatego zachorowała, żeby ojciec nie mógł przyjść.

Widziała, jak ojciec podszedł do Girauda i klepnął go po ramieniu. Policjant spojrział przez ramię i uśmiechnął się do Nicole. Porozumiewawczo, jakby byli spiskowcami.

– Sylvie, a co on tutaj robi?

– Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie chciał zobaczyć twój występ. I było co oglądać i czego posłuchać. Jestem z ciebie bardzo dumna, ale mam nadzieję, że woda sodowa nie uderzy ci do głowy.

– Jestem pewna, że nie!

– Mam też nadzieję, że ten mały problem z Markiem należy już do przeszłości. – Sylvie wpatrywała się bacznie w siostrę. – Nigdy nie chciałam ci zrobić przykrości, Nicole. A teraz... teraz Mark bardzo często wyjeżdża, ale ja... ja i tak jestem zadowolona z życia.

Nicole zmusiła się do uśmiechu. Nie zamierzała zdradzić

się przed Sylvie, jak bardzo zaboląły ją jej słowa.

– Wracasz razem z nami, prawda? – spytała Sylvie. Nicole tylko pokiwała bez słowa głową. Poczwała dławiący strach, kiedy zdała sobie sprawę, że w teatrze jest – lub był – Trân i nie wiadomo, czy ta ważna sprawa, którą miał załatwić Mark, nie ma związku z Trânem. Przecież konsekwencje ich spotkania mogą być tragiczne.

Nicole, wprowadzając się do mieszkania nad sklepem, chciała wreszcie być u siebie i mieć spokój. I rzeczywiście była u siebie, ale o spokoju nie było mowy. Nadal nie mogła przestać myśleć o Marku – dni mijały, a każdy wydawał jej się długi jak cały tydzień. Jeśli chodzi o Trànà, to nie była jeszcze zdecydowana, czy się do niego przyłączy. Martwiła się też, czy nic złego mu się nie stało. A poza tym czuła wielki smutek z powodu nagłej śmierci małej Ivette. Na szczęście miała się czym zająć. Praca była teraz dla niej prawdziwym błogosławieństwem.

No i stało się jeszcze coś bardzo ważnego. Kiedy przez otwarte okno dolatywał zapach zupy pho z wołowiną albo krewetek z makaronem, czuła, że z każdym mijającym tygodniem jej wietnamska tożsamość zwycięża. Francuska skorupa, w której tkwiła przez tyle lat, zaczynała pękać.

Zamówiła nowe jedwabie, jeszcze bardziej kolorowe, klientek jednak nie przybywało; przeciwnie, ich liczba zdecydowanie spadła, w związku z czym miała sporo czasu na czytanie. Czytała wszystko, co wpadło jej w ręce. Wieczorem występowała, ale niestety po wystawieniu musicalu tyle razy, ile zaplanowano, przekazano wszystkim, że nowego przedstawienia nie będzie, ponieważ sytuacja w Hanoi jest coraz bardziej napięta i ludzie wolą wieczorem nie ruszać się z domu. Niewielu otwarcie przyznawało się do strachu, ale Nicole знаła parę osób, które zamierzały wyjechać do Paryża albo Sajgonu. Ona sama starała się nie myśleć o zagrożeniu, poza tym znalazła sobie zajęcie na wieczór: robiła abażury z jedwabiu i mobile z motylami i ptakami. Dotykanie leciutkiego szlachetnego

materiału cudownie ją uspokajało.

Ale i tak ciągle wracała myślami do tego, co powiedział jej Tràn, idealista wierzący głęboko w sprawę Viet Minhu. Kto wie, czy nie miał racji, twierdząc, że nie wiadomo, jak to wszystko się skończy. Czy Francuzi utrzymają się w Indochinach, czy też nie. Jasne było tylko to, że nie ustąpią bez walki. Nicole mieszkała teraz sama, gdyż bardzo pragnęła samodzielności, często jednak czuła się samotna. Miała też dużo czasu na rozmyślanie. Po zamknięciu sklepu zwykle szła na miasto i przez długie godziny przemierzała ulice, zastanawiając się, jak powinno wyglądać jej dalsze życie. Niestety, nie potrafiła jeszcze na to pytanie odpowiedzieć.

Dzięki tym wędrownikom bardzo dobrze poznała miasto; uderzyło ją, że urbaniści tak skutecznie odseparowali Francuzów od Wietnamczyków. Wyburzaniu starych domów i świątyń towarzyszyło budowanie miasta od nowa. W rezultacie w dzielnicach zamieszkałych przez Francuzów ulice były szerokie, stały tam wielkie wille i okazałe gmachy rządowe, natomiast w dzielnicach wietnamskich, nawet jeśli Francuzi dokonali przebudowy, domy były wąskie i rzadko miały fasady w stylu francuskim.

Pewnego dnia, kiedy klucząc między rowerzystami, szła przez starą dzielnicę, wydało jej się, że widzi Tràna. Poszła za nim. Po chwili znikł jej z oczu przed wejściem na targ. Spojrzała przez szeroko otwartą bramę, z nadzieją, że będzie mogła sobie kupić na przykład pączek i kawę z mlekiem. Targ był bardzo słabo oświetlony. Tuż koło wejścia pachniało papryką chili, a więc być może znalazła się na targu, na którym sprzedawano przyprawy.

Weszła do środka i po chwili zapachniało już inaczej: suszonymi figami, a zaraz potem rybami. Nie znosiła zapachu

ryb – od tego smrodu po prostu ją zatykało – dlatego szybko minęła kobiety ustawione w kolejce po żywe ryby, jeszcze pluskające się w wiadrach z wodą, ale niestety nie to było najgorsze, bo kawałek dalej czekała na nią wielka, ułożona na kawałkach lodu ryba, wokół której fruwała cała chmara much. Na ten widok skóra jej ścierpła, na szczęście niedaleko zobaczyła stoiska z warzywami, chociaż były też takie, które oferowały nogi wieprzowe, żaby i węże, wszystko wrzucone do jednego worka. Kiedy wreszcie doszła na sam koniec targowiska, okazało się, że tu wyjście zamknięte jest na kłódkę, musiała więc zawrócić. Gdy dotarła do swojego sklepu, była przemoczona do nitki i przesiąknięta odorem ryb. Szybko się rozebrała, pognęła do maleńkiej łazienki i umyła wyjątkowo gruntownie.

Zapach ryb budził piękne wspomnienia o rzece w Hué, zwłaszcza te związane z Lisą, ale także przypominał te koszmarne, mgliste, sprzed wielu lat, których nie dawało się wymazać z pamięci.

Najpierw zawsze w uszach brzmiał głos Sylvie:

– No, ruszaj się. Najpierw ty, potem ja.

Śmiała się i śmiała. A więc śmiech i woda. Wielka, bezkresna.

A potem raptem budziła się w szpitalu i słyszała przyciszony głos Lisy, a także inne dźwięki, na przykład pchania czegoś na kółkach. Były tak bardzo uporczywe, że chciało jej się krzyczeć...

Nakazała sobie powrócić do rzeczywistości. Ale ręce nadal drżały. Z tamtego feralnego dnia niewiele pamiętała, natomiast utrwaliło jej się w pamięci to, co było potem: tygodnie, jeden za drugim, kiedy to słońce odbijające się w wodzie tak bardzo ją raziło, że prawie oślepiało, a ptaki dziobały, fruwały i kłóciły

się, jakby nic się nie wydarzyło. Minęło wiele tygodni, zanim odważyła się znowu zbliżyć do wody, nigdy jednak nie pozbyła się awersji do zapachu ryb.

Czas mija, wszystko się zmienia. Kiedyś bała się wody, teraz, jak się okazuje, trzeba się bać wszystkiego. Kiedy przejrzała na oczy? Czy przedtem widziała tylko to, co chciała widzieć? Wierzyła w to, co nie burzyło jej spokoju? Oczywiście, choć przecież nie brakowało wydarzeń świadczących niezbicie o tym, że nie jest dobrze, jak choćby ci chłopcy, którzy znęcali się nad Yvette. A przedtem ta ich przeprowadzka do Hanoi. Czy ojciec kłamał, mówiąc, że Viet Minh już się kończy i że nie ma czym się przejmować? Czy też przeciwnie, świadomy zagrożenia, wywiózł swoją rodzinę do Hanoi? Potem śmierć brata Tràn, którego zastrzelono w podziemiach hotelu. I śmierć małej Yvette, dla Nicole kolejny wielki wstrząs. Miała wrażenie, jakby cały jej świat, w którym wyrosła, pęka i tworzą się złowrogie szczeliny. Jedna z nich stale ją wciąga i to już tylko kwestia czasu, kiedy zniknie w niej bezpowrotnie.

Przecież widziała w lustrze, jak zmieniała się jej twarz.

– Kim jesteś? – pytała dziewczynę w lustrze. – Nie znam ciebie.

Inne było chociażby spojrzenie jej smutnych oczu, pozbawionych wesołych iskerek. I wcale już jej nie zależało, by upodobnić się do starszej siostry. Bo i po co? Do domu zaglądała, ale rzadko, głównie po to, by zobaczyć się z Lisą.

Tego dnia rano była w rodzinnym domu. Pili kawę w mniejszym pokoju stołowym, z którego okien widać było niewielką altanę i oczko wodne zarośnięte liliami wodnymi. Sylvie nie było. Do stołu zasiedli ojciec, Lisa i Nicole, wszyscy przejęci informacją podaną wieczorem przez radio. O tym, że Francuzi podczas walk na północy kraju ponoszą coraz większe

straty.

– Powinien pan koniecznie wyjechać z Hanoi. Koniecznie – powiedziała Lisa.

Ojciec milczał, a Nicole, słysząc gdzieś w oddali warkot samolotów, odruchowo spojrzała w górę, na sufit ozdobiony amorkami i białymi obłoczkami unoszącymi się wokół żyrandola. Miły obrazek, jakże niepasujący do obecnej rzeczywistości! Popatrzyła na ojca. Lisa miała rację. Ojciec powinien wrócić do Francji. Jego czoło teraz prawie bez przerwy było zmarszczone, twarz blada, napięta. Na pewno martwił się, bo niezależnie od wyniku wojny nie wiadomo, jak będzie wyglądać życie tutaj. Czy warto tu zostać na stare lata.

– Ty także powinnaś wyjechać, Nicole – ciągnęła Lisa. – Koniecznie. Tak bardzo się zmieniłaś. Nie poznaję ciebie. Jeśli będziesz chciała, też wyjadę. Zatrzymam się u swojej siostry w Langwedocji.

Ale Nicole energicznie pokręciła głową. Nie, ona wcale nie zamierza stąd wyjeżdżać.

– A gdzie Sylvie? – spytała.

Zauważyła, że ojciec i Lisa wymienili się spojrzeniami. I żadne z nich nie odpowiedziało na pytanie.

– Nikt nie musi stąd wyjeżdżać – oświadczył ojciec. – Nie ma takiej potrzeby. Trochę więcej wiary w nasze siły. Francuzi zawsze przecież byli górą i tym razem też tak będzie.

– A te straty, o których mówiono wczoraj wieczorem? – spytała Nicole.

– Były straty, ale jak zwykle podano zawyżoną liczbę.

– Ale... Zaraz! Zaraz! Słyszeliście? Czy to przypadkiem nie był odgłos wystrzałów?

– Spokojnie. Różne dźwięki dolatują tu z wiatrem.

– No tak... A co z Sylvie? Gdzie ona jest?

– Twoja siostra wyjechała. Chciała mieć jeden dzień tylko dla siebie.

– Ale dlaczego?

Ojciec skrzywił się nieznacznie, potem podrapał w brodę.

– A... czuje się nieszczególnie. Ma zmienne nastroje. To wszystko.

– Ona bierze jakieś tabletki, papo. Wiem o tym, chociaż mi nie powiedziała, na co te tabletki.

– Już ich nie bierze. Źle je znosiła.

– A co właściwie jej jest?

– Twoja siostra jest wyjątkowo delikatna i wrażliwa, o czym nie wiedziałaś. Ja zresztą też nie zdawałem sobie z tego sprawy. Ale nie mówmy już o tym. Wracamy do polityki. A więc zapewniam cię, że Wietnamczycy tej wojny nie wygrają. Nie mają żadnych szans.

Kiedyś Nicole mu wierzyła. Teraz już nie, a przynajmniej nie tak bezgranicznie. Lisa też miała wątpliwości.

– Nie byłabym tego taka pewna, papo – powiedziała Nicole. – Przecież widzisz, że sytuacja w Indochinach ulega zmianie. I tego się nie powstrzyma.

Ojciec bez słowa wstał i podszedł do okna.

– Wiele osób już wyjechało, papo. Stracili serce do tego kraju. Czy ty tego nie widzisz?

Kiedy ojciec odwrócił się, jego twarz była nieskończenie smutna.

– Ale ja nie straciłem, Nicole. Zawsze kochałem Hanoi i nie mam zamiaru stąd wyjeżdżać.

Niezależnie od jego deklaracji wszyscy obecni w pokoju zdawali sobie sprawę, że właśnie w Hanoi robi się coraz bardziej niebezpiecznie.

Oczy Lisy podejrzenie lśniły. Była bliska łez. Nicole

przykucnęła przy niej i starała się ją uspokoić, powtarzając cicho, że na pewno wszystko będzie dobrze. Ojciec przez chwilę patrzył na nie, potem znów odwrócił się do okna. Kiedy wszystko wskazywało na to, że kucharka doszła już trochę do siebie, Nicole wstała, podejmując w duchu decyzję, że nie ma zamiaru dłużej o tym wszystkim myśleć. Zeszła razem z Lisą na dół, do kuchni; w tym miejscu zawsze czuła się wspaniale. Niemal z radością spojrzała na białe kafelki i rząd miedzianych garnków wiszących na metalowym drążku. Bardzo tego znajomego widoku potrzebowała, zwłaszcza teraz, kiedy z niecierpliwością czekała na powrót Trâna, a jednocześnie miała poczucie, że jest pozbawiona korzeni. Nie ma ich ani we francuskim, ani w wietnamskim świecie. A ona tak bardzo chciała, by istniało coś, czego mogłaby być najzupełniej pewna. Przebywanie razem z Lisą właśnie w tej kuchni zawsze podnosiło ją na duchu. Przynajmniej na jakiś czas.

Usiadły przy stole, blisko siebie. Lisa, wierna sojuszniczka Nicole, nadal była posepna. Chyba jeszcze nigdy dotąd Nicole nie widziała u niej tak ponurej miny. A w ogóle to miała wrażenie, że w całym domu jest coś nie tak. Nawet w kuchni nigdy dotąd nie było tak gorąco i duszno. Żaluzje podciągnięto tylko do połowy, nic się nie gotowało, nic więc nie pachniało smakowicie.

– Co się dzieje? – spytała Nicole. – Gdzie Bettine?
I dlaczego wszystkie okna i drzwi są pozamykane?

– Bo zapomniałam otworzyć. A Bettine odeszła – odparła Lisa, wzruszając ramionami. – Nie tęsknię za nią, ale roboty mam teraz więcej. Trudno znaleźć kogoś na jej miejsce.

– Nie podoba mi się to!

– Masz jakieś rozwiązanie?

– Owszem. Otwieramy okna i pieczemy camembert!

– Świetnie. I coś na słodko. Co powiesz na clafoutis z wiśniami?

Podczas kiedy Lisa buszowała po szafkach w poszukiwaniu składników do deseru, Nicole otworzyła okna i drzwi na tyłach kuchni; natychmiast zrobiło się o wiele chłodniej.

– Liso, powiedz, co się dzieje tam, na górze? – spytała Nicole, unosząc znacząco brwi. – Domyślasz się, o kogo mi chodzi.

– Naturalnie. Twoja siostra ostatnio jest bardzo niespokojna. W zeszłym tygodniu pojechała razem z Markiem do Hué – odparła kucharka i skrzywiła się.

– Mark ci się nie podoba, Liso?

– Ależ skąd! Lubię go, ale nie o to chodzi. Kiedy Sylvie wróciła, to... No, może powiem tak: nawet w raju nie wszystko toczy się gładko. Owszem, szkoda mi jej, ale...

I w tym momencie serce Nicole wyjątkowo mocno zabiło.

– Zaraz, zaraz! Czy to znaczy, że Mark jej nie kocha?!

I dlatego teraz wyjechała?

– Była trochę przygnębiona. To wszystko, co wiem.

– Wszystko? Nie wierzę. Przecież kto jak kto, ale ty, Liso, zawsze wiesz, co w trawie piszczy.

Atmosfera w mieście była coraz gorsza. Co jakiś czas słycać było odgłosy wystrzałów. Chociaż kury nadal wysiadywały na ulicach, a koty wygrzewały się w słońcu, Hanoi stało się miastem ponurym. Nicole wolny czas spędzała głównie w swoim mieszkanku nad sklepem, przesiadując na małej drewnianej sofie i zastanawiając się, co by tu zrobić. Czasami patrzyła w dal, nadstawiając uszu, czy przypadkiem nie słycać głosów żołnierzy i tupotu ich żołnierskich butów. Miała wielką nadzieję, że Trần zadzwoni, ale ani razu się nie odezwał. Prawdopodobnie uważał, że wszystkie telefony są na podsłuchu i należy komunikować się tylko osobiście. W ich przypadku było to niemożliwe, skoro przebywał gdzieś daleko, na północy kraju.

Nikt nie przyszedł do niej, by porozmawiać o sieci ukrytych przejść, a z Trầnem zobaczyła się dopiero po kilku tygodniach – po południu, kiedy spuściła już żaluzje i stała z kluczami w ręku przy drzwiach, by zamknąć sklep. Wyglądał okropnie. Wychudzony, zmaltretowany, z ogoloną głową. Ściągnął szalik, odsłaniając czerwone znamię na szyi, otarł nim twarz i objął Nicole. Ona go też przytuliła i poczuła napływające do oczu łzy.

Uczucie wielkiej ulgi sprawiło, że zapomniała, iż ktoś może przecież ich zobaczyć. Na szczęście Trần zachował zdrowy rozsądek.

– Wejdźmy do środka – powiedział, delikatnie ją popychając.

Błyskawicznie oprzytomniała i otworzyła drzwi, ale zanim weszli, Trần wyjął coś z kieszeni i podał Nicole. Okazało się, że to tabliczka czekolady.

– Czekolada?! Dziękuję! Trần, powiedz, gdzie ty właściwie

byłeś? Nie dawałeś znaku życia, a ja tak martwiłam się o ciebie!

– Byłem w Bac Can, to jeden z ośrodków ruchu oporu.

Powinnaś to zobaczyć.

Nicole rozejrzała się uważnie wokół.

– Wchodzimy, Tràn. Opowiesz mi wszystko w domu.

Ale on, nie ruszając się z miejsca, mówił rozentuzjasmowany dalej. O intelektualistach, którzy przyłączyli się do wspólnej sprawy, o aktorach i aktorkach, śpiewakach, śpiewaczkach i muzykach. Powiedział, że Viet Minh zgromadził i ukrył w górach ogromne ilości ryżu. To żelazny zapas, do wykorzystania tylko w razie największej potrzeby.

A w jaskiniach są fabryki, które produkują wszystko, od mydła po amunicję.

W rezultacie wzięła go za rękę i wprowadziła do środka.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, kiedy Francuzi zbombardowali Bac Can, ukryliśmy się w górach – mówił dalej Tràn. – Francuzi sądzili, że jeśli złapią naszych przywódców i zniszczą nasze wojsko, to będzie po nas. Ale my przetrwaliśmy.

– A teraz co się dzieje?

– Po prostu wojna. Wieśniacy są po naszej stronie. Francuzi niebawem poniosą druzgocącą klęskę.

– Ale dlaczego nie dawałeś znaku życia? Martwiłam się o ciebie.

– Nie mogłem się z tobą kontaktować. To było zbyt niebezpieczne dla ciebie, przecież Amerykanie cię obserwują.

– Masz na myśli Marka?

– Tak. Czy wiesz, że CIA współpracuje teraz z Francuzami? Przekazują sobie nawzajem informacje o ruchach naszych wojsk. CIA uczy innych szpiegowskiego rzemiosła. Nicole, nie ufaj Markowi. A najlepiej zamknij ten sklep na

cztery spusty i chodź ze mną.

– Ja? Ja... przecież nie potrafię walczyć... – wyjąkała, teraz wystraszona. Bo jakże to tak? Jeden po jednej stronie, drugi po drugiej, ona zna ich obu, żaden z nich nie jest jej obojętny. W rezultacie miała wrażenie, jakby jej życie uległo nagle rozdzieleniu. I to było straszne.

– Jeśli tu zostaniesz, zaczną tobą manipulować. Chodź z nami, Nicole. Pięknie śpiewasz, mogłabyś występować. Mamy kilka wędrownych trup, które swoimi występami budzą świadomość narodową i wskazują ludziom, jaką drogą powinni iść.

– Czyli propaganda?

– Możesz to nazwać, jak chcesz. Ja bym to nazwał nauczaniem mas. A nic tak nie inspirowało wieśniaków jak muzyka. Zastanów się, Nicole, czy warto marnować sobie życie, próbując być kimś, kim nie jesteś. Lepiej przyłącz się do nas!

– Chwileczkę! Czy tylko dlatego przyszedłeś na premierę? Żeby przekonać się, czy istotnie potrafisz śpiewać?

– Co do tego nie miałem żadnych wątpliwości. Przyszedłem tam z kimś, komu chciałem cię pokazać. To kompozytor, pisze piękne piosenki na podstawie naszych bajek i legend. A nasze trupy teatralne podróżują po całym kraju, występując w jednostkach wojskowych, a także w wioskach. Jak kiedyś wędrowni muzykanci, z tym że nasi artyści mają przekazywać ważne przesłanie.

– Wzbudzać nienawiść do Francuzów? – Nicole potrząsnęła głową. – Nie zapominaj, że w połowie jestem Francuzką!

– A w połowie Wietnamką. Mówiłem ci już, że kiedyś będziesz musiała wybierać.

– A jak ty to sobie wyobrażasz? Mam wybrać wietnamską tożsamość i odwrócić się plecami do swoich najbliższych,

których kocham? A poza tym to bez sensu, bo Viet Minh nigdy mnie nie zaakceptuje.

– Mylisz się.

Weszli do pokoju na piętrze, gdzie pachniało słodko jaśminowym sprayem. Nicole zaproponowała Trànowi, by się położył i odpoczął. Nie protestował. Zdjął buty, ułożył się na plecach i zamknął oczy. Nicole przez chwilę zerknęła na niego, a kiedy była pewna, że Tràn już zasypia, ostrożnie położyła się obok. Wciąż była sama i bardzo potrzebowała bliskości drugiego człowieka. Owszem, czuła się trochę niezręcznie, ale jednocześnie było jej przyjemnie.

Po chwili okazało się, że Tràn wcale nie zamierza zasnąć, bo wziął ją za rękę i odwrócił się do niej twarzą. Potem ją objął, przyciągnął do siebie i zaczął rozpinąć jej bluzkę. Jeden guzik za drugim, nie odrywając od niej oczu. Było w nich tak wielkie pożądanie, że odruchowo usiadła i sama zdjęła halkę. Tràn chciał ją znowu objąć, ale zażądała, żeby też się rozebrał. Potem przez chwilę wpatrywali się w swoje nagie ciała. Ciało Tràna było poobijane i podrapane. Nicole delikatnie przesunęła palcami po jego żebrach, wzięła go za rękę i spojrzała na czarne, połamane paznokcie. Tràn nachylił się ku niej i musnął palcami jej kark. Wtedy pomyślała, że to wszystko dzieje się chyba zbyt szybko, ale to była tylko przelotna myśl.

I stało się. Tràn był wyjątkowo delikatny. Kiedy mu się oddawała, czuła, jak bardzo potrzebowała, żeby ktoś ją tulił, ktoś jej pragnął. Nie był to gwałtowny wybuch dzikiej namiętności. Kochali się wolno, delikatnie, jak para przyjaciół.

– To mój pierwszy raz – szepnęła, kiedy było już po wszystkim, i musnęła palcami znamię na jego szyi. – Oboje jesteśmy naznaczeni, prawda?

Potem przeciągnęła się i ułożyła obok niego.

– Jak towarzysze broni – powiedział Trần, uśmiechając się do niej. Poleżeli trochę, potem Nicole wstała i zrobiła coś do jedzenia. Coś bardzo nieskomplikowanego z ryżu i kurczaka, co Trần pochłonął w mgnieniu oka.

– Jesteś taki wychudzony, Trần.

– No cóż, nie jest łatwo.

– Ciągłe się zastanawiam, co mam zrobić. Jeśli pójdę z tobą, na pewno będą mnie szukać. Poza tym dlaczego powinnam stąd zniknąć, skoro nie zrobiłam niczego złego?

– Zrobiłaś, bo widziano cię ze mną. Jeśli tu zostaniesz, będą cię ciągle obserwować. Zastanów się, Nicole. Ja muszę już lecieć.

– Proszę, zostań.

– Nie mogę. Tu nie jest bezpiecznie. Ale wrócę za tydzień. Przyjdę wieczorem, kiedy będziesz już zamykała sklep. Do tego czasu musisz podjąć decyzję. Jeśli postanowisz, że nie idziesz ze mną, nigdy więcej już się nie zobaczymy. Tymczasem lepiej, żebyś wróciła do domu na te kilka dni. Posłuchasz, co mówią twój ojciec i Amerykanie, i zadecydujesz, po czyjej stronie się opowiadasz. Przy okazji może uda ci się dowiedzieć, co Francuzi planują w najbliższym czasie.

– Od kogo? Od Marka? Przecież on nie ma nic wspólnego z Francuzami.

– Przejrzyj wreszcie na oczy, dziewczyno! – zaśmiał się Trần. – On dalej węszy, na pewno jest w zмовie z Francuzami. I bądź ostrożna, oni wszyscy chcą nas zniszczyć. Jeśli staniesz im na drodze, przejdą po tobie i zdeptają.

Nie minęła godzina od jego wyjścia, a Nicole już zaczęła żałować tego, co się stało. Przecież go nie kochała. Oddała mu się tylko dlatego, że czuła się przeraźliwie samotna. Oczywiście to wcale nie oznaczało, że jej na nim nie zależy, ale nie w taki

sposób!

W rezultacie czuła się coraz bardziej zagubiona. Bo gdzie w końcu jest jej miejsce? Co ma zrobić? Wrócić do domu? Nie, tego sobie w ogóle nie wyobrażała. Iść z Trànem? Nigdy w życiu. Przecież to, co on jej proponuje, to skazanie siebie na wygnanie!

Kiedy następnego dnia w sklepie niespodziewanie pojawił się Mark, jej serce szybko zabiło. Przypominał tego Marka, w którym zakochała się od pierwszego wejrzenia. Wyjątkowo atrakcyjnego, uroczego i bardzo swobodnego, prawie nonszalanckiego. Wystarczyło, że się uśmiechnął, a ona już poczuła, że chce właśnie tego mężczyzny.

Mark obszedł sklep dookoła, cicho pogwizdując. Niby był rozluźniony, ona jednak czuła, że coś jest nie w porządku.

– Chcesz wybrać jakiś szczególny jedwab? – spytała, dziwnie pewna, że wcale nie o jedwab chodzi.

Nie odpowiedział, tylko dalej przystawał przed każdą półką i delikatnie przesuwiał palcami po lśniąącym materiale. Tego dnia było wyjątkowo duszno i parno, wielki wiatrak pracowicie obracający się pod sufitem niewiele mógł tu pomóc. Czas włókł się w nieskończoność, a Marek dalej chodził od beli do beli. Nicole była bardzo poruszona jego widokiem i zadowolona, że w jej sklepie nie ma jeszcze żadnych potajemnych przejść. Bardzo chciała, by Mark Jenson pozostał tu jak najdłużej.

– O co więc tak naprawdę chodzi, Mark?

– O twoje bezpieczeństwo. Słyszałem, że od jakiegoś czasu widzisz się z pewnym młodym Wietnamczykiem.

– I co z tego?

Mark, nadal odwrócony do niej plecami, wzruszył ramionami.

– Mark! Proszę, powiedz!

Wtedy się obrócił. Patrząc na tego wysokiego, dobrze zbudowanego, niezwykle męskiego i takiego bardzo amerykańskiego mężczyznę, Nicole nie mogła uwierzyć, że on i Trần mogą aż tak bardzo się od siebie różnić.

– Podobno wpakowałaś się w coś, czego potem będziesz gorzko żałować. Czy to prawda, Nicole?

Milczała.

– Martwię się o ciebie. Nie widzisz tego? A jeśli przy okazji dowiedziałaś się czegoś o planach Viet Minhu, powiesz mi, prawda?

– Zajmuję się tylko i wyłącznie sprzedawaniem jedwabiu, a nie zbieraniem informacji.

Mark uniósł znacząco brwi, ale nie skomentował jej słów.

– A co tam u Sylvie, Mark? Czy wróciła już do domu? Rozmawiałam z ojcem. Z tego, co mi powiedział, wynikało, że Sylvie nie czuje się dobrze.

– Już wróciła. Ona po prostu ma pewne problemy emocjonalne. Nic poza tym.

Wyciągnął do niej rękę, ale ona nawet nie drgnęła, więc cofnął dłoń i wyraźnie posmutniał.

– Nicole, chcę, żebyś wiedziała, że miałaś rację. Ja nie handluję jedwabiem. Ale na pewno nie mam nic wspólnego ze śmiercią małej Yvette.

– W takim razie kto? Kto jest sprawcą?

– Mam pewne podejrzenia, ale nie mogę o tym mówić.

– A ja podejrzewam, że ten, kto to zrobił, nie poniesie żadnych konsekwencji.

– Prawdopodobnie nie. A zginęło tylu niewinnych ludzi. Tragedia. Niestety, w czasach takich jak te wszyscy nadstawiamy głowy.

– A czy nigdy nie pomyślałeś, o co ty właściwie walczysz?

Na chwilę zapadła cisza. Patrzyli sobie w oczy. Oczy Marka niczego nie zdradzały.

– Wracaj do domu, Nicole – powiedział wreszcie. – Twój najbliżsi tęsknią za tobą.

– Ty też za mną tęsknisz, Mark?

Z bijącym sercem czekała na odpowiedź. Także z nadzieją, że z jej twarzy nie można wyczytać, jakie uczucia teraz nią miotają.

– Nie wyobrażasz sobie jak. – Na moment zawiesił głos. – Nicole, jest wojna. A ja mam problemy ze snem i trudno mi się skupić na pracy. Nie powinno tak być, zwłaszcza teraz, ale martwię się o ciebie, o twoje bezpieczeństwo. Pytasz, czy jestem świadomy, o co właściwie walczymy. Odpowiem szczerze: właśnie zaczynam się nad tym zastanawiać... – Znow zamilkł na sekundę. – Nicole, proszę, daj sobie spokój z tym sklepem. Zamknij go i wracaj do domu. Lepiej, żebyś była teraz z rodziną.

Westchnęła głęboko. Tràn też mówił, żeby lepiej wrócić do domu. Ale prosił nie tylko o to. Także o informacje o Marku. O Marku! Czy ona będzie w stanie coś takiego zrobić?!

– Dobrze, wrócę do domu, ale tylko na jakiś czas, i sklep nadal będzie czynny. Mark ponownie wyciągnął do niej rękę. Tym razem podała mu dłoń, a on przyciągnął ją do siebie, jakby chciał objąć. Mimo że wcale nie była temu przeciwna, zeszywniała i Mark ją puścił.

– Wrócę do domu na jakiś czas – powtórzyła.

Mark milczał. Stał w dobrze jej znanej pozycji, czyli na lekko rozstawionych nogach, i patrzył na nią, a ona na niego. Oboje milczeli. Trwało to kilka sekund, wreszcie Mark powoli nabrał powietrza.

– Och, Nicole...

W jego oczach było teraz coś takiego... No właśnie, co?

Jak powinna to rozumieć, skoro nie ma pewności, że tego mężczyznę zna jak własną kieszeń i jego reakcje są dla niej całkowicie zrozumiałe?

Co tam pewność! Najważniejsze, że to, co dostrzegła, poruszyło ją i uzmysłowiło, że pragnie tylko jednego: żeby Mark Jenson należał do niej. Był jej mężczyzną. Nie zamierzała jednak poddać się temu uczuciu, wciąż miała w pamięci te okropne oskarżenia wobec Marka, jakie usłyszała od Trana.

– Nicole, jeśli to z powodu Sylvie...

– O czym ty mówisz?

– O tym, jaka teraz jesteś dla mnie. Nicole, nigdy nie byłem z twoją siostrą tak naprawdę blisko.

– Ale ona powiedziała...

– Przykro mi to mówić, Nicole, ale twoja siostra nie zawsze jest wobec ciebie szczerą. Poza tym zaczyna do mnie docierać, że ona, z powodów dla mnie kompletnie niezrozumiałych, uważa, że między nami jest coś więcej, niż naprawdę kiedykolwiek było.

Nicole bardzo chciała mu uwierzyć, ale po tym wszystkim, co się stało, jakaś blizna w sercu pozostała.

– Bardzo lubię być z tobą, Nicole. Nie czujesz tego? Przy tobie odzyskuję spokój.

– A ja uważam, że powinieneś już iść – powiedziała, starając się, by zabrzmiało to bardzo stanowczo, choć jednocześnie zdawała sobie sprawę, że ten właśnie mężczyzna, któremu każe odejść, jest w pewnym sensie kluczem do poznania samej siebie.

Mark wyraźnie posmutniał, ale nie powiedział już ani słowa i odszedł, a Nicole zamknęła sklep i poszła na górę. Zamknęła żaluzje, zasunęła zasłony, zapaliła świecę zapachową. Potem położyła się na łóżku, na którym jeszcze tak niedawno kochała

się z Trànem. Nic dziwnego więc, że miała w głowie chaos. Tràn bardzo jej się podobał, ale fakt, że z nim była, sprawił, że jej uczucie do Marka stało się jeszcze silniejsze. Ale czy może mu zaufać, mieć pewność, że jest wobec niej bezwzględnie uczciwy?

Zamknęła oczy i zaczęła marzyć. Leży tu naga, przytulona do nagiego Marka... Naturalnie próbowała przekonać samą siebie, że z Markiem łączy ją tylko bliska znajomość. Nic więcej.

Może i tak, ale... ale zawsze można mieć nadzieję na coś więcej.

Rozebrała się, wsunęła pod kołdrę i dalej rozmyślała. O Tràn. Był naiwnym idealistą, ale się z nim zgadzała. Wietnamczycy od dziesiątków lat byli wykorzystywani i uciskani przez Francuzów, a Mark przecież wcale nie jawił się jako orędownik spraw Wietnamczyków, dlaczego więc tak bardzo jej na nim zależało? Może dlatego, że był Amerykaninem, a nie Francuzem. Chwilami wydawał się kompletnie oderwany od rzeczywistości. Rozumiała, że to śmierć matki wycisnęła piętno na jego życiu, gdyż z nią było podobnie: nigdy nie przeboleła śmierci matki i nosiła w sercu wielki smutek, który często dochodził do głosu, kiedy przebywała z Markiem. W jego towarzystwie czuła się sobą i, co bardzo ważne, była spokojna. A Tràn? Nie wiedziała, czy tym młodym mężczyzną, właściwie chłopakiem, bezgranicznie oddanym swojej partii, kierują jeszcze jakieś inne uczucia. Na pewno partia była dla niego ważniejsza od rodziny i ludzi z jego wioski, ważniejsza od Nicole.

Jeśli pójdzie z Trànem, prawdopodobnie nigdy więcej nie spotka Marka. Nigdy więcej nie zamieni z nim ani słowa...

Położyła jedną rękę na piersi, drugą wsunęła między uda.

Jak by to było, gdyby Mark teraz z nią był? Czy po wspólnej nocy przestałby ją pociągać? A jaka byłaby ta noc? Czy leżeliby obok siebie, nie odzywając się ani słowem, czy też przeciwnie, mieliby sobie bardzo wiele do powiedzenia?

Mark... Oczyma wyobraźni zobaczyła, jak jego wargi zbliżają się do jej szyi, poczuła jego ciepły oddech. To wystarczyło, by rozkoszny dreszcz przebiegł jej po plecach...

Dźwięki ulicy, zawsze hałaśliwej, nie docierały do niej. Wśród myśli przelatujących jedna za drugą przez głowę pojawiła się też taka, która po prostu zmroziła jej krew w żyłach. Uzmysłowiła sobie, że jej dotychczasowe życie, złożone jakby z dwóch połówek, już nigdy nie będzie takie samo, gdyż w sferze uczuć zapanował istny galimatias. Przekroczyła pewną granicę i być może zmuszona będzie dokonać wyboru. Wyboru, którego wcale nie chciała, którego skutki mogą być fatalne. Nie tylko utraci część siebie, lecz będzie również musiała wybrać jednego z dwóch mężczyzn, którzy są dla niej teraz najważniejsi. A wybranie jednego oznaczać będzie dopuszczenie się zdrady wobec drugiego.

Kiedy Nicole otworzyła drzwi rodzinnego domu, od razu owionęły ją dobrze znane zapachy: pomidory, grzyby i jeszcze coś. Zamknęła za sobą drzwi i pociągnęła nosem, czując, jak ślinka napływa jej do ust. Bo tak cudownie może pachnieć tylko przyrządzony przez Lisę kurczak w sosie chasseur. Nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni jadła takie pyszności.

Nagle znieruchomiała, widząc w holu Sylvie. Była jak zwykle zwykowna. Miała na sobie czarną sukienkę i czerwone pantofle o spiczastych noskach. Stała koło drzwi do salonu. Na widok Nicole uśmiechnęła się i podeszła parę kroków, wyciągając do siostry rękę.

– Zostaw walizkę. Pokojówka zanieś ją na górę.

– O, Sylvie! Całe wieki cię nie widziałam. Papa powiedział, że wyjechałaś, bo chciałaś na jakiś czas oderwać się od wszystkiego.

– Zgadza się, ale już wróciłam i wszystko u mnie w najlepszym porządku.

– Cieszę się.

Starsza siostra wydała się Nicole trochę szczuplejsza, ale wyglądała dobrze. Nie było więc powodu do niepokoju i Nicole ruszyła w stronę schodów, oznajmiając:

– Idę na górę się przebrać.

– A może najpierw zajrzysz do salonu? Wypijesz koktajl, a przede wszystkim pokażesz się papie. Będzie zachwycony.

– Najpierw zajrzę do swojego dawnego pokoju.

Sylvie uśmiechnęła się, sięgnęła po dzwonek i zadzwoniła na służącą.

– Nie wygłupiaj się, Nicole. Potem się przebierzesz.

Przecież ostatnio prawie w ogóle cię nie widzujemy. Idź do salonu. Papa tam jest.

Nicole westchnęła zrezygnowana i postawiła walizkę na podłodze. W salonie oprócz ojca był jeszcze jasnowłosy oficer o imieniu André. Ojciec na jej widok wstał z krzesła i wyciągnął obie ręce, aby ją uściskać. Tym serdecznym powitaniem, co prawda bardzo krótkim, sprawił jej wielką przyjemność. Potem zagadnął do Sylvie i w tym momencie w drzwiach pojawił się jeszcze ktoś. Na jego widok uśmiech natychmiast znikł z jej twarzy.

Giraud. Skinął głową Sylvie i przeszedł na środek pokoju, wlepiając oczy w Nicole.

– Miło cię widzieć – powiedział, nie wyjmując papierosa z ust.

Nicole tylko uniosła brwi. Bo i co miała powiedzieć? Że też jej miło, czyli skłamać? O nie. Nie będzie kłamać, bo niejedną raz słyszała w dzieciństwie, że jest kłamczuchą, właśnie wtedy, kiedy powiedziała coś, co może miało się z prawdą, ale co naprawdę należało powiedzieć, bo wymagała tego sytuacja.

– *Monsieur* Giraud chciałby ci zadać kilka pytań, Nicole – powiedziała Sylvie.

Giraud wyjął papierosa z ust i zakaszłał, zasłaniając ręką usta.

– Chcielibyśmy wiedzieć, czy nadal kontaktujesz się z tym swoim wietnamskim przyjacielem.

– Przepraszam, o kim pan mówi?

Giraud uśmiechnął się i podszedł do marmurowej popielniczki, żeby strzepnąć popiół.

– Myślę, że oboje dobrze wiemy, o kogo chodzi.

– Papano, czy tylko dlatego prosiłeś, żebym wróciła do domu? Chodziło o tę rozmowę? – spytała Nicole, starając się

zyskać na czasie.

– Ależ skąd! – zaprotestował ojciec. – Bardzo się za tobą stęskniliśmy.

Nicole splotła mocno palce. Doskonale zdawała sobie sprawę, że teraz nie wolno jej milczeć. Musi coś powiedzieć. Cokolwiek.

– Tràn wpadł do mnie, żeby się pożegnać.

– Miałaś nas informować o każdym waszym spotkaniu.

Zapomniałaś o tym?

– A czy to takie ważne?

Giraud z ponurą miną wsunął palec za kołnierzyk koszuli i podrapał się po szyi.

– Wszystko jest ważne, jeśli służy sprawie najwyższej wagi, czyli zwycięstwu – wygłosił patetycznie.

Na co Nicole odparła niemal żartobliwie:

– Czego życzę panu z całego serca.

– *Chérie*, bądź poważna – odezwał się ojciec. – Możesz się znaleźć w naprawdę niebezpiecznej sytuacji.

– Oczywiście – zawtórowała mu Sylvie. – A my nie chcemy, by spotkało cię coś złego.

Nicole, zgodnie z zaleceniem ojca, spoważniała.

– Jestem pewna, że nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

Giraud zmrużył oczy, potem cmoknął znacząco.

– Musimy wiedzieć, gdzie on teraz jest.

– Ale ja nie wiem, bo mi tego nie powiedział.

– Nicole!

To ojciec. I Sylvie, prawie jednocześnie, stąd reakcja Nicole.

– A ty co? Jesteś echem papy?

Giraud westchnął, na pewno już znecierpliwiony, ale nie spieszył się, nie zasypywał jej gradem pytań. Był wręcz

flegmatyczny i to budziło w Nicole jeszcze większy lęk.

– Papo, on naprawdę powiedział mi tylko, że wyjeżdża z Hanoi i już tu nie wróci.

– Nicole... – zaczął Giraud, spoglądając teraz na nią bardzo przenikliwie. – Poinformowano nas, że on wcale nie wpadł do ciebie na chwilę, tylko został na dłużej. Czyżby ten Wietnamczyk nie był ci obojętny?

– Nie rozumiem, o co panu chodzi.

Giraud podszedł bliżej i pogroził palcem.

– Rozumiesz doskonale. Nicole, czy ty nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo się od nich różnisz?

Powiedział to, zniżając głos i takim tonem, że Nicole ścisnęło w gardle i nie była teraz w stanie niczego z siebie wydusić.

Giraud spojrział na jej ojca.

– Powiesz jej? Czy ja mam to zrobić?

Ojciec nieznacznie pokręcił głową i Giraud mówił dalej:

– Zapomniałaś już o tym wszystkim, Nicole? – spytał, wskazując ręką na elegancki pokój. – Zapomniałaś, że twoi najbliżsi to Francuzi? Nie ukrywam, że bardzo mnie rozczarowałaś. Sądziłem, że zawarliśmy umowę, a okazuje się, że ty wcale nie chcesz współpracować. I to niedobrze, bardzo niedobrze, chociażby ze względu na pozycję twego ojca.

Nicole, teraz bardzo już wystraszona, odruchowo cofnęła się w stronę okna. A Giraud uśmiechnął się lodowato i zapalił kolejnego papierosa. Rozglądając się po eleganckim pokoju, Nicole żałowała bardzo, że tego dnia miała na sobie najstarsze, najbardziej znoszone *áo dài*. W tym ubraniu czuła się po prostu od nich gorsza.

W ogóle to wszystko było już nie do wytrzymania. Wzięła głęboki wdech i ruszyła zdecydowanym krokiem do drzwi,

mijając starszą siostrę, która stała nieopodal, wpatrując się w podłogę.

Chwyciła za klamkę. Klamka ani drgnęła, czyli drzwi zamknięte były na klucz.

– Sylvie! Daj klucz!

– Bardzo mi przykro, Nicole. Naprawdę bardzo mi przykro...

– Daj mi ten cholerny klucz!

Teraz to już czuła, że wpada w panikę. Czyżby mieli zamiar ją uwięzić?!

– Papo, czy to ty wpadłeś na ten genialny pomysł?!

Ojciec milczał. Minę miał bardzo niewyraźną.

– *Monsieur* Giraud, żądam, żeby pan mnie wypuścił!

– Niestety, tak się składa, że przedtem muszę uzyskać od ciebie pewne informacje.

– A... Czyli to pan wszystko zaplanował!

Giraud spojrział w bok. Potem znowu na nią.

– Uznałem, że możesz znaleźć się w niebezpiecznej sytuacji. Nie chcemy, żeby dziewczyna z francuskiej rodziny spoufalala się z Wietnamczykami. Choć ty właściwie jesteś jedną z nich....

– Chwileczkę, Giraud! – zaprotestował ojciec.

Ale inspektor nie dał mu dojść do głosu.

– Znasz moje poglądy, Éduardzie. Nie powinno się krzyżować ras!

Powiedział to ze złością. Miał rozdęte nozdrza, twarz mu się świeciła. Był odrażający.

Sylvie wysunęła się o krok do przodu.

– Nicole, to ja wezwałam policję i poprosiłam Marka, by namówił cię do powrotu do domu. Pomyślałam, że jeśli nam się nie uda, może jemu dasz się przekonać. Bardzo chcieliśmy,

żebyś wróciła, bo tu będzie dla ciebie o wiele bezpieczniej.

– A dlaczego ty chcesz decydować o tym, co mam robić?

– Bo się o ciebie martwię. Boję się, że wplątałaś się w coś, co obróci się przeciwko tobie.

Nicole prychnęła, bardzo niezadowolona, że Mark też brał udział w tej znowie. W sprowadzeniu jej z powrotem do domu, gdzie traktuje się ją jak zwyczajną kryminalistkę.

– Zawsze brakowało ci rozsądku, Nicole – ciągnęła Sylvie.

– I poczucia przyzwoitości. Czy nie rozumiesz, że zrobiliśmy to dla twojego dobra? Papo, powiedz coś!

Ojciec pokiwał głową.

– To prawda, co mówi twoja siostra. Oboje bardzo martwimy się o ciebie.

– Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo! – wtrąciła się znowu Sylvie. – Proszę, Nicole, nie denerwuj się. Wszystko będzie dobrze.

Nicole spojrzała na nią wręcz wyzywająco.

– Niepojęte! Powiedz, co takiego ci zrobiłam, że jesteś taka wredna?!

– Wystarczy! – przerwał im Giraud. – Nicole, daję ci jeszcze jedną szansę. Albo zaczniesz mówić...

– Albo?

Na moment zapadła cisza.

– Albo będziesz w areszcie domowym – oznajmił ojciec. – Bardzo mi przykro, *chérie*.

Nicole wydała z siebie cichy, zduszony krzyk.

– Na jak długo?

– Do odwołania.

Czyli nie wiadomo dokąd. A za tydzień przecież pojawi się Trần i ma mu powiedzieć, jaką decyzję podjęła.

– A jeśli ja naprawdę niczego nie wiem bądź nie pamiętam?

– Jeszcze się zastanowimy.

– Papo...

Ojciec wzruszył bezradnie ramionami.

– I jeszcze coś – powiedział Giraud. – Taki drobny szczegół. Będziesz zamknięta w swoim pokoju.

Nicole wyprostowała się i spojrzała po kolei na całą trójkę. Ojciec nadal sprawiał wrażenie bardzo przygnębitego. Sylvie miała minę obojętną, natomiast w oczach Girauda widać było coś w rodzaju rozbawienia. Trzy osoby, z których każda miała swój udział w pozbawieniu życia pewnego młodego Wietnamczyka. Kto wie, do czego jeszcze są zdolni. Być może mają na sumieniu śmierć małej Yvette...

Ta myśl ją poraziła, ale tylko na ułamek sekundy. Jeśli oni wyobrażają sobie, że będą trzymali ją pod kluczem, to się grubo mylą. Miała wielką ochotę opowiedzieć teraz, co Giraud wyrabiał w burdelu. Widziała go przecież na własne oczy! Ale oczywiście się powstrzymała. Nikt by jej nie uwierzył, a poza tym tego rodzaju wystąpienie tylko by pogorszyło sytuację. Giraud jest obrzydliwy. To Francuz tego rodzaju, co patrzy na Wietnamczyków z góry, ale nie ma żadnych hamulców, jeśli chodzi o seksualne wykorzystywanie wietnamskich kobiet.

A Giraud mówił dalej:

– Przykro mi, ale drzwi będą zamknięte na klucz. Jeden z policjantów zostanie odkomenderowany do sprawowania nadzoru nad tobą, także André będzie pojawiał się tu od czasu do czasu. Czyli, jak widzisz, będzie cię pilnować i policja, i wojsko. Wolno ci się kontaktować tylko z kucharką, która otrzyma szczegółowe instrukcje, między innymi o tym, że możesz wychodzić z pokoju tylko do łazienki.

I wtedy Nicole, niezdolna dłużej powstrzymać gniewu, podeszła do Sylvie i uderzyła ją z całej siły w twarz. Potem

patrzyła z satysfakcją, jak na zdumionej twarzy siostry pojawia się czerwona plama. Oczywiście po tej małej demonstracji wcale nie poczuła się lepiej, ale dobrze, że to zrobiła. Bo jeśli oni spodziewają się, że będzie posłuszna jak baranek...

Na moment odwróciła się do drzwi, starając się stłumić okropny ból upokorzenia i gniew, który ją rozsadzał. Potem spojrzała na Girauda.

– Chciałam o czymś wspomnieć, bo może pan, *monsieur* Giraud, raczył o tym zapomnieć. Otóż moja siostra Sylvie jest również w połowie Wietnamką! – A potem już możliwie jak najspokojniej, jak najbardziej obojętnie dodała: – Może pójdziemy już do mojego pokoju?

Kiedy Nicole znalazła się w swoim pokoju i usłyszała zgrzyt klucza w zamku -bojowy duch momentalnie ją opuścił. Jak Mark mógł jej coś takiego zrobić? A więc Trần miał rację, ostrzegając, że będą nią manipulować, bo to właśnie zrobił Mark. Namówił ją do powrotu do domu, wykorzystując fakt, że skoro podobają się sobie, Nicole niewątpliwie mu ulegnie. Tak, tak właśnie było, i dlatego teraz czuła się po prostu zdradzona. Łzy płynęły jej z oczu przez dobrą chwilę, ale potem udało jej się jakoś wziąć w garść i rozejrzała się po pokoju. Nic tu się nie zmieniło, może tylko powietrze było inne, czyli pokoju od dawna nie wietrzono. Podeszła do łóżka i położyła się na brzuchu, kryjąc twarz w poduszce. Z nadzieją, że jej miły zapach kojarzący się ze snem przyniesie spokój. Niestety, poduszka pachniała lawendą i o spokoju nie miała co marzyć. Znow się rozplakała, więc aby się wyciszyć, zaczęła jeszcze raz rozglądać się po pokoju, patrzeć na dobrze znane przedmioty, których nie zabrała do sklepu. Było coraz bardziej duszno, tak bardzo, że w końcu nie wytrzymała. Zerwała się z łóżka i podbiegła do okna. Niestety, okno było zamknięte na cztery spusty, czyli

o świeżym powietrzu też nie miała co marzyć.

Spojrzała w górę, na słońce, i serce jej zatrzepotało. Potem zabiło normalnie i po dłuższej przerwie ponownie zaczęło bić szybciej, bo czuła coraz większy strach. Prawie półprzytomna, po raz kolejny zaczęła rozglądać się po pokoju, by na czymś skupić wzrok i odzyskać równowagę.

Niestety, pamięć zaczęła podsuwać jej obrazy z dawnych lat, tak żywe jak nigdy dotąd, i takie, od których powietrza zrobiło się jeszcze mniej. Znowu miała osiem lat i topiła się. Woda nie była zimna. Przeciwnie, Sylvie powiedziała, że jest ciepłutka jak w wannie. Powiedziała jeszcze: Zrób to, na co czekasz? Potem mówili, że wcale tak nie było, że Nicole tylko to sobie wyobraziła. A przecież Sylvie, cała w uśmiechach, zapewniała ją, że woda jest ciepła, a więc może skoczyć. Czyj to był pomysł? Sylvie przyznała się, że jej. Czy wepchnęła Nicole do wody? Nie wiadomo, ale na pewno powtarzała, żeby Nicole skoczyła i sobie popływała. A zaraz potem, po sekundzie, zaczął się koszmar. Gdzie była wtedy Sylvie? W łodzi czy też w wodzie?

W uszach Nicole dźwięczały wypowiedziane wówczas przez siostrę słowa. Przed oczyma miała ośmioletnią Nicole, która skacze do wody i pogrąża się w lodowatym, mokrym zimnie, w ciemnościach, gdzie szumi złowrogo, prawie huczy....

Zadrżała. Podbiegła do drzwi i zaczęła łomotać w nie pięściami, dopóki ból w rękach stał się nie do zniesienia. Była coraz bardziej przerażona.

– Sylvie! Papo!

Nikt się nie pojawił.

– Sylvie! Przecież wiesz, że nie wytrzymuję zamknięcia! – wołała co siłą. – Papo! Przecież ja mam klaustrofobię!

Była zlaną zimnym potem, mokre włosy kleiły się jej do

karku. Próbując złagodzić to okropne uczucie uwięzienia, zaczęła zdzierać z siebie ubranie. Głowę rozsadzało jej od nieustannie przesuwających się obrazów z przeszłości. Znów woda, znów promienie słońca przenikające przez jej powierzchnię. Mimo woli podniosła rękę, jakby chciała te natrętne obrazy odgonić od siebie, i nagle znieruchomiała. Nasłuchiwała, jednak nie wyłapała żadnego dźwięku. W całym domu panowała dziwna cisza. Słyszała tylko szum w uszach, prawie łoskot.

Starła się przekonać samą siebie, że nic się nie dzieje, że to tylko wytwory jej wyobraźni. Ale kiedy zabrakło jej powietrza i zaczęła się dusić, padła na kolana. Była pewna, że pogrąży się w wodzie, że płuca wycisnęły z siebie resztki powietrza. Znów była na dnie rzeki, słyszała, jak woda huczy zgodnie z rytmem jej serca.

Pochyliła się, zgięła w pół i oparła czoło o chłodną podłogę. W głowie pojawiła się tylko jedna myśl, nadzwyczaj klarowna: ojciec może nie zdaje sobie sprawy, jak córka panicznie boi się zamknięcia, ale Sylvie wie. Wie o tym bardzo dobrze. Kiedy Nicole była już pewna, że dłużej tego nie wytrzyma, do pokoju weszła Lisa i chlusnęła lodowatą wodą prosto w jej twarz. Potem podtrzymywała, kiedy dziewczyna krztusiła się, pluć i kaszłała. Dzięki lodowatej wodzie, która spowodowała szok, Nicole zaczęła się uspokajać.

– Wielki Boże! Jak mogło do tego dojść? – jęknęła Lisa i ruszyła z powrotem do drzwi, ale Nicole złapała ją za rękaw, zrozpaczona, że ta pachnąca papierosami i jedzeniem istota, jedyna, która wpływa na nią kojąco, chce już odejść.

– Liso, proszę, zostań jeszcze. Proszę, proszę!

– Tylko chwilę. Jeśli zostanę dłużej, będą się na mnie wydzierać.

Objęła Nicole i zaczęła leciutko ją kołysać, a po chwili odsunęła ją trochę od siebie i spojrzała jej w twarz.

– Co tu się dzieje? Co oni z tobą wyrabiają?

– Och, Liso! Ja już sama nie wiem, komu mam wierzyć! Myślałam, że Markowi można zaufać, a wyobraź sobie, że to on mnie namówił, bym wróciła do domu. Po to, żeby oni mogli mnie zamknąć! Wiesz, jak to boli? Jak bardzo boli?

Powiedział też, że nigdy nie był związany z Sylvie. I co? Po tym wszystkim, co się stało, Nicole ma uwierzyć, że istotnie tak było?!

– Dasz radę – powiedziała Lisa. – Przebrniesz przez to wszystko. Nie wolno mi tu przesiadywać z tobą, ale mam do ciebie zaglądać, a to już coś. Pamiętaj, jeśli znowu poczujesz się źle, od razu stukaj w drzwi. Jak najgłośniej!

Pobyla z Nicole jeszcze parę minut i wyszła. Dziewczyna znów została sama ze swoim lękiem, ale na szczęście jakoś udawało jej się nad nimi zapanować. Kiedy tylko pojawiał się strach – zwykle zaraz po obudzeniu, kiedy przypominała sobie, że nie może stąd wyjść – powtarzała sobie, że owszem, jest, jak jest, ale to wcale nie oznacza, że wydarzy się coś złego. Jeśli to nie skutkowało, koncentrowała się na oddychaniu. Nawet wtedy, kiedy miała wrażenie, że jeszcze chwila i pożegna się z życiem. Wdechy i wydechy były płytkie i drżące, niemniej pomagały.

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Kiedy strach był już trochę mniejszy, zaczynała chodzić po pokoju. Najpierw dookoła, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, potem w drugą stronę, a potem przez środek pokoju. W trakcie tych wędrówek dotykała swoich rzeczy, witając się z nimi po dłuższej nieobecności. Spoglądała też w okno, za którym widać było świat dokładnie taki sam jak przedtem. Gałęzie drzew kołysały się na wietrze, ogród nadal zamieszkały był przez

duchy śmierci. Słyszała też różne dźwięki świadczące o tym, że życie w domu toczy się dalej. No i okropnie tęskniła za swoim sklepikiem z jedwabiem.

Mimo że kilkakrotnie napisała i do ojca, i do Sylvie, błagając, by przyszli do niej, żadne z nich się nie pojawiło. Widywała tylko Lisę, która przynosiła jej jedzenie i prowadziła ją do łazienki. Lisę kompletnie załamana stanem Nicole. Czwartego dnia, zaskoczona i zachwycona, uświadomiła sobie, że coraz lepiej panuje nad lękami, chociaż nadal nie miała ochoty się myć, a nawet ubierać. Ale nad tym czuwała Lisa. Nakłaniała ją do higieny, pomagała podczas ablucji i splatała jej włosy. Przemierzając tego dnia jak zwykle pokój, zastanawiała się, co będzie dalej. Przecież musi być jakieś wyjście, dosłownie i w przenośni. Musi, bo Trần wraca za trzy dni, a powinna się z nim spotkać, nawet jeśli nie zamierza go posłuchać. Bo tak było. Niezależnie od tego, co teraz z nią wyprawiano, nie miała najmniejszego zamiaru odchodzić z Trầnem, i czuła, że wbrew temu, co mówił, w swoim sklepie – oazie spokoju – będzie bezpieczna. Tęskniła za starannie poukładanymi na półkach kolorowymi jedwabiami, zapachem materiału i kamfory. Tak, tam znajdzie spokój i będzie bezpieczna, przecież Trần musi uwierzyć jej zapewnieniom, że nikomu nie pisnęła ani słowa o sieci zamaskowanych przejść w sklepach. Musi, bo to przecież prawda. A jeśli okaże się, że powrót do sklepu nie ma jednak sensu, może jechać do filii Duvalów w Hué, gdzie zajmują się eksportem.

Myśl o tym, że to Mark doniósł Sylvie o ostatniej wizycie Trầna, była nie do zniesienia. Musiał jej to powiedzieć, skoro poinformowała o tym Girauda. Tak więc to Mark był winien tego, że Nicole znalazła się pod kluczem. Oczywiście zawsze istniała możliwość, że zrobił to w dobrej wierze, z obawy o jej

bezpieczeństwo, ale mógł to zrobić także dlatego, że jest agentem CIA i walczy o powstrzymanie rozprzestrzeniania się komunizmu. Mówił przecież, że chciałby poznać szczegółowe plany Viet Minhu. No tak... tymczasem Tràn interesują zamiary Francuzów. O nie, miała już powyżej uszu tego wszystkiego. Dlaczego nie może być tak jak przedtem? – zadawała samej sobie to pytanie, choć odpowiedź знаła. Francuzi zbijali fortuny kosztem Wietnamczyków, co uzmysłowił jej Tràn. Naturalnie byli też przyzwoici Francuzi, którzy nie nadużywali władzy i szczerze wierzyli w swoje posłannictwo, ale Nicole nigdy nie zapomni tamtej nocy w podziemiach hotelu, kiedy widziała na własne oczy, do czego zdolny jest jej rodzony ojciec.

Pewnego dnia, gdy przyszła Lisa, Nicole postanowiła ją jeszcze raz podpytać o to, co wydarzyło się w dniu, w którym przyszła na świat. Bo jej zdaniem wszystko, co działo się i dzieje teraz, miało z tym związek. Lisa, która dotąd nie chciała rozmawiać na ten temat, przysiadła na brzegu łóżka i powiedziała, że opowie jej całą prawdę.

– Kiedy twoja matka rodziła Sylvie, poród był bardzo ciężki, ale kiedy rodziła ciebie, było jeszcze gorzej, ponieważ poród był przedwczesny.

– Dlaczego? Co się stało?

Lisa przymknęła oczy.

– Twoja matka wyjechała na weekend. Miało jej nie być dwa dni, ale z jakichś powodów wróciła wcześniej i zobaczyła coś, czego nie powinna była zobaczyć... Nicole, naprawdę chcesz wiedzieć wszystko?

– Oczywiście!

– A więc... twoja matka weszła do małżeńskiej sypialni i zastała w łóżku swego męża z inną kobietą.

– O Boże wielki! Kto to był? Kto?!

– Jedna ze służących.

– Co?! Nie wierzę ci!

Lisa zamrugała oczami, wyraźnie powstrzymując łzy.

– Bardzo mi przykro, Nicole, ale tak było.

– A potem?

– Twój ojciec kazał tej służącej natychmiast się wynosić.

Matka pobiegła do swojego pokoju i niedługo potem usłyszeliśmy płacz, potem krzyki. Powiedziałam twojemu ojcu, że na pewno zaczął się poród, ale on nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Mało tego, zabronił mi wchodzić do tego pokoju. Twoja matka w tamtym czasie często źle się czuła i ojciec uważał ją za hipochondryczkę. Był wobec niej bardzo surowy, a ona po prostu była delikatną kobietą.

– Czy ojciec kochał moją matkę?

– Na początku bardzo ją kochał, potem jednak to się zmieniło. Myślę, że przede wszystkim dlatego, że było to przecież małżeństwo mieszane, a poza tym ojciec wciąż powtarzał, że matka udaje, bo chce zwrócić na siebie uwagę. Tamtego dnia też to mówił i w rezultacie, kiedy z pokoju przestały dobiegać jakiegokolwiek dźwięki, pomyślałam, że może ma rację.

– A było inaczej?

– Tak. Przedłużająca się cisza wydała mi się w końcu podejrzana, dlatego mimo zakazu poszłam zobaczyć, co się dzieje... – Lisa zawiesiła głos i spojrzała na Nicole. – Naprawdę chcesz wiedzieć, co było dalej? Jesteś tego pewna?

Nicole pokiwała głową.

– Kiedy tylko przekroczyłam próg, zobaczyłam krew. Była wszędzie. Natychmiast zadzwoniłam do doktora. Niestety, przyjechał za późno. Poród odebrałam sama, ale twoja matka

straciła za dużo krwi. Kiedy doktor razem z ojcem wbiegli do pokoju, twoja matka już nie żyła. Twój ojciec był załamany. Miał ogromne poczucie winy.

Nicole zacisnęła mocno pięści.

– Inaczej chyba być nie mogło – powiedziała cicho.

– Oczywiście, że nie. I po tej tragedii bardzo się zmienił.

Wszyscy się zmieniliśmy.

– A co mówił doktor? Czy gdyby wezwano go wcześniej, mógłby matkę uratować?

– Powiedział, że gdyby od razu została zawieziona do szpitala, może by ją uratowali.

– Czyli matka wcale nie umarła przeze mnie?

– Oczywiście, że nie. Ty byłeś tylko niewinnym dzieckiem, które przyszło na świat. Winien jest...

– ...mój ojciec.

Nicole ze zdenerwowania była prawie półprzytomna.

W głowie jej się kręciło, w uszach dziwnie szumiało. Jakby znowu znalazła się w lodowatej wodzie i szła na dno. O Boże wielki! Gdyby wiedziała o tym wcześniej...

– Byłaś taka malutka, drobniutka. Bardzo bałam się, że i ty nie przeżyjesz, Nicole. Twój ojciec nie chciał wziąć cię na ręce, właściwie to chyba nawet na ciebie nie spojrział. Myślę, że twój widok potęgował poczucie winy. A co było potem? W całym domu zapanował zamęt. Twój ojciec zaczął znikać na wiele dni, czasami zabierał ze sobą Sylvie. A ja zajmowałam się tobą. Pierwsze miesiące swego życia spędziłaś ze mną, w kuchni. Miałam wtedy narzeczonego, ale cóż... nie poczekał na mnie.

– Na pewno miałaś do mnie o to żal.

– Do ciebie?! Ani przez chwilę, kochanie. Byłaś takim słodkim, zabawnym maluszkiem. Zawsze kochałam cię, jakbyś była moim dzieckiem.

Nicole z trudem powstrzymywała łzy.

– Ja ciebie też kocham... Liso. A ta służąca... Przecież ona wiedziała, że moja matka jest w ciąży!

– Oczywiście. Bardzo mi przykro, Nicole.

– Och, Liso! Tobie ma być przykro? Mogę tylko być ci za wszystko nieskończenie wdzięczna. A wiesz, że Sylvie zawsze uważała, że to ja jestem winna śmierci naszej matki? Ciągle mi o tym przypominała.

– Sylvie po prostu widziała, jak ojciec cię traktuje. On nigdy cię nie przytulił, chyba nawet nie dotknął. I nigdy się tobą specjalnie nie interesował.

– Masz rację. Bardzo to odczuwałam.

– Oczywiście z biegiem lat zaakceptował cię, ale co się stało, to się nie odstanie. Sylvie jest przekonana, że śmierć waszej matki to twoja wina i dlatego ojciec cię nienawidzi.

– Liso, a dlaczego wcześniej mi tego nie opowiedziałaś?

– Dlaczego? Bo to nie ja, dziecko, powinnam ci o tym mówić.

– Wiadomo! – krzyknęła Nicole. Jej gniew był tak wielki, że musiała, po prostu musiała walnąć pięścią w ścianę.

– Szkoda mi też było Sylvie – mówiła dalej Lisa. – Była wtedy jeszcze bardzo mała. Straciła ukochaną mamę. Bardzo to przeżywała i to wpłynęło na całe jej dalsze życie.

I wtedy Nicole znów się zagotowała.

– Szkoda ci Sylvie? Właśnie jej? Przecież ona zawsze dawała mi do zrozumienia, że jestem niechcianym dzieckiem.

– Wiem.

– Zawsze mną pomiatała. Na przykład kiedy szła gdzieś ze swoimi znajomymi, proponowała, żebym poszła z nimi, a kiedy ja, zachwycona i radosna, szykowałam się do wyjścia, w ostatniej chwili Sylvie mówiła, że jednak zmieniła zdanie i nie

mogę z nimi iść. Zawsze czułam się odtrącona.

– Dlaczego nie mówiłaś o tym swemu ojcu?

– Po co? Przecież wiadomo było, po czyjej stronie.

Na pewno by mi nie uwierzył.

– A ty tak naprawdę czujesz gniew przede wszystkim do swego ojca, prawda? – Lisa westchnęła i położyła rękę na ramieniu Nicole. – Powiedz mi, dziecko, tak szczerze, czy wolałabyś być na miejscu Sylvie? Nie masz czasami takich myśli?

– A dlaczego o to pytasz?

– Dlatego, że takie myśli są bez sensu. A poza tym nie masz jej czego zazdrościć. Sylvie ma wielkie problemy.

– A niech je sobie ma! Dla mnie zawsze będzie kimś, kto usilnie pracował nad tym, żeby przypadkiem nie było mi za dobrze.

– A wiesz, że czasami zastanawiam się, jak by to między wami było, gdyby wasza matka żyła?

Dla Nicole nie miało to większego znaczenia, ponieważ właśnie podejmowała w duchu bardzo ważną decyzję. Owszem, nadal kochała swoją siostrę, bo siostra to siostra i tego nie zmienisz, ale nie miała już ochoty dłużej patrzeć na tę śliczną, elegancką, słodką Sylvie. Miała już dość tego obwiniania o śmierć matki, tego wstydzania się, że jest tym, kim jest. Miała dosyć bólu, z którym zmagala się przez całe życie.

– Czy mój ojciec kiedykolwiek mnie kochał? – spytała.

Tak, teraz była w stanie o to zapytać.

– Jestem przekonana, że się starał.

– Starał się!

– Więc może powiem inaczej: na pewno kocha cię na swój sposób. Kiedy ożenił się z twoją matką, nie mógł wiedzieć, jak będzie wyglądać jego małżeństwo. Jakie będą konsekwencje,

a były, bo na pewno nie pomogło mu w osiągnięciu pozycji, do jakiej dążył. A ty na pewno mu o tym przypominasz. Poza tym, jak to w życiu, nie brakuje ludzi, którzy nie są mu życzliwi. Na przykład taki Giraud. On wcale nie jest przyjaźnie nastawiony do twego ojca. Ta ich zażyłość to tylko pozory.

A więc tak to wszystko wygląda... Do tej pory rodzina i jej miejsce w tej rodzinie były dla Nicole najważniejsze. Ale teraz koniec z tym francuskim życiem, francuską tożsamością, czyli z czymś, czego tak naprawdę nigdy mieć nie będzie. Zawsze się łudziła, że nastąpi przełom. Że pewnego dnia ojciec i starsza siostra pokochają ją tak mocno jak ona ich. Teraz miała wrażenie, że cała ta francuska rzeczywistość wymyka jej się z rąk, a ona, o dziwo, wcale nie czuje się nieszczęśliwa. Przeciwnie, jest o wiele silniejsza.

Żyła z nimi pod jednym dachem, ale na pewno nie jest jedną z nich i wcale nie musi dłużej przebywać w tym ich francuskim świecie jak w jakiejś pułapce. Nic jej tu już nie trzyma. I nikt – oprócz Lisy, którą będzie zawsze kochać. Do tej pory nie wyobrażała sobie, że mogłaby stąd odejść. Teraz było to jak najbardziej możliwe. Odejdzie. Zrobi to także dla swej matki. I nie będzie słuchać wewnętrznego głosu, który szepcze, że nie należy osądzać Sylvie zbyt surowo, że przecież ona była wtedy jeszcze bardzo małym dzieckiem.

Kiedy Nicole się obudziła, miała policzki mokre od łez, choć nie śniło jej się nic złego. Przeciwnie, w tym śnie pachniało kadzidłem i widziała złocistą pagodę, wokół której fruwały jasnoniebieskie motyle. Potem jednak usłyszała głos Trâna, z którym miała się spotkać już jutro. Co zrobić? Trzeba sprowokować los, by zechciał być łaskawy.

A więc do dzieła. Kiedy Lisa weszła do pokoju z tacą, Nicole powiedziała, że przez całą noc było jej niedobrze, o czym świadczy zawartość nocnika. Wcześniej oczywiście włożyła dwa palce do gardła. Potem odkręciła kran z gorącą wodą nad umywalką, namoczyła ręcznik i przyłożyła do czoła. Powtarzała to wielokrotnie, nic więc dziwnego, że kiedy Lisa położyła rękę na jej czole, od razu stwierdziła:

– Gorące. Musisz dziś poleżeć. Ale przedtem może coś zjesz.

– Przecież mówiłam, że było mi niedobrze. Nie jestem w stanie nic przełknąć. Przede wszystkim potrzebny mi łyk świeżego powietrza. Liso, ja się duszę.

Lisa spochmurniała.

– To niemożliwe, dziecko. Przecież przyrzekłam twemu ojcu, że nie ruszysz się stąd na krok.

– Liso, błagam. Zejdziemy do kuchni, zamkniesz drzwi na klucz i otworzysz okienko w spiżarni. Jest tak małe, że nie widać, co się dzieje w środku. A ja przykucnę sobie pod tym okienkiem i wreszcie pooddycham świeżym powietrzem. Nie bój się, nie ucieknę, jestem przecież ledwo żywa.

Lisa milczała, bo potrzebowała chwili do namysłu, Nicole zaś wlepiała oczy w podłogę, błagając w duchu kucharkę, by

uległa jej prośbie. Potem zerknęła w lustro. Wyglądała fatalnie, czyli tak jak trzeba. Oczy lśniły niezdrowym blaskiem, a na twarzy pojawiły się jakieś plamki.

– Och, Liso... – jęknęła, opierając się ręką o ścianę. – Tak mi się kręci w głowie.

Widać było, że w tym momencie Lisa podjęła decyzję.

– Dość tego – oświadczyła. – To wstyd, po prostu wstyd, co tu się wyprawia. Masz rację, potrzebujesz świeżego powietrza. Potem koniecznie musisz coś zjeść. Poczekaj, zaraz przyniosę jakiś szal.

Kiedy Lisa odwróciła się do drzwi, Nicole błyskawicznie otworzyła szufladę szafki nocnej, wsunęła rękę i zaczęła na ślepo szukać kluczy do sklepu. Klucze do domu naturalnie jej zabrano, ale w sklepie miała zapasowe. Nawet jeśli ją złapią i z powrotem sprowadzą do domu, będzie mogła później się wymknąć. Ale najważniejsze to znaleźć klucze do sklepu... Palce wreszcie natrafiły na chłodny metal. Oprócz kluczy wyjęła pilniczek do paznokci. Schowała to do kieszeni, a kiedy po chwili wróciła Lisa z szalem, jego widok wzruszył Nicole – ten szal należał kiedyś do jej matki.

– Liso, co będzie, jeśli ktoś nas zobaczy? – wyszeptała, kiedy stanęły na szczycie schodów.

– Przecież nikogo nie ma. Tylko ty i ja.

– A co z policjantem, który miał mnie pilnować?

Lisa, uśmiechnięta teraz od ucha do ucha, szturchnęła ją żartobliwie.

– To leń patentowany. Pojawia się z rzadka, a głównie przesiaduje w swoim domu.

– Co na to Giraud?

– Pan Giraud ma teraz co innego na głowie.

– To znaczy?

– To znaczy, że po mieście krążą o nim bardzo niepochlebne plotki.

Kiedy weszły do kuchni, Nicole na widok tak dobrze znanej czerwonej posadzki i ścian wyłożonych białymi płytkami omal się nie wycofała ze swojego planu. Przecież wcale nie chciała oszukiwać Lisy, kochanej Lisy, która zawsze okazywała jej tyle serca i była najwierniejszą przyjaciółką.

Spojrzała na rząd miedzianych garnków wiszących na żelaznym drążku pod sufitem, ale na drzwi, za którymi była szklarnia, już nie, bo za tą szklarnią na pewno będzie okropnie tęsknić. Na pewno.

– Przykro mi, że muszę cię tu zamknąć – powiedziała Lisa.
– Mam nadzieję, że uda mi się ciebie skusić chociaż na parę łyżek zupy na białym winie, która właśnie się gotuje.

– Przepraszam, Liso, ale, jak powiedziałam, nie jestem w stanie niczego przelknąć.

– Szkoda. Usiądź sobie koło okna, a ja zaparzę ci ziółka. Które ziółka by ci odpowiadały?

– Żadne, Liso. Pić też mi się nie chce.

– W takim razie dotrzymam ci towarzystwa – oświadczyła Lisa, sadowiąc swoje pulchne ciało na krześle obok Nicole. – A wiesz, że w zeszłym tygodniu działy się bardzo ciekawe rzeczy?

Nicole pokiwała tylko głową, nie okazując większego zainteresowania. Lisa uwielbiała plotki, ona nie bardzo. Poza tym pochłonięta była czymś innym. Zastanawiała się, czy jedno z okien w szklarni można otworzyć.

– Dziwne rzeczy – mówiła dalej Lisa, teraz ze złośliwym uśmiechem. – Nie uwierzysz, co udało mi się wczoraj podsłuchać.

Nicole też się uśmiechnęła.

– Chyba nie!

– Wczoraj przyszli tu dwaj wojskowi. Słyszałam, jak w holu rozmawiali o Giraudzie. Wyobraź sobie, że jest skompromitowany.

– A dokładnie?

– Podebrał pieniądze Amerykanom i za te pieniądze sprowadzono z północnej Afryki prostytutkę dla francuskich żołnierzy.

Nicole naturalnie od razu pomyślała, że ta ciemnoskóra kobieta, którą widziała z ojcem, jest jedną z tych prostytutek.

– Słyszałam, jak mówili, że te kobiety pochodzą z Konstantyny, z plemienia Ouled Naïl, i są wyjątkowo urodziwe...

Nicole się nie odzywała.

– Aha, i jeszcze coś słyszałam. Wojsko rusza na północ, podobno aż pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. W walce mają wziąć udział również samoloty i cywilni piloci. Amerykańscy. I co ty na to?

Promień słońca wpadający przez okno oświetlił twarz kucharki, podkreślając zmarszczki wokół oczu i obwisłą skórę na policzkach. Lisa postarzała się i Nicole zrobiło się jeszcze bardziej wstyd, że ta niemłoda już kobieta będzie miała przez nią kłopoty. Może jednak nie powinna uciekać? Ze względu na Lisę na pewno nie, ale kiedy pomyślała o tym, co zrobił ojciec, była pewna, że nie ma wyboru.

– Liso, czuję się okropnie – wyjęczała. – Może jednak napiję się ziółek. Tylko świeżych, prosto z ogrodu.

– Oczywiście! Przepraszam, *chérie*. Gadam i gadam, a ty ledwo żyjesz. Poczekaj chwilę, pójdę po nożyczki i naścinam świeżych listków.

Kiedy Lisa wyszła do ogrodu, Nicole ruszyła w ślad za nią

do szklarni. Tam błyskawicznie odnalazła okno z wadliwym zamknięciem. Słyszając jakiś podejrzany dźwięk, znieruchomiała, niemal wpadając w panikę. Szybko obrzuciła wzrokiem całą szklarnię i odetchnęła. Oprócz niej nikogo więcej tu nie było, czyli podejrzany dźwięk niewątpliwie dochodził z sąsiedniego ogrodu. Z zamknięciem okna poradziła sobie bardzo szybko dzięki pilniczce do paznokci, błogosławiąc w duchu francuskie okna. Po panice nie został ślad, teraz czuła przypływ energii. Wyszła na dwór i ruszyła na koniec ogrodu. Po kilku krokach zatrzymała się, bo znów pomyślała ze smutkiem o Lisie, która dostanie za swoje, bo nie dopilnowała Nicole. Prawdopodobnie nigdy więcej już jej nie zobaczy, tak samo jak Marka. Ojciec wzbudzał w niej całkiem inne emocje. Po tym, co usłyszała od Lisy, trudno go było teraz darzyć wielką miłością.

Położyła obie ręce na murku, podciągnęła się i przeskoczyła na drugą stronę. Potem biegła przed siebie jak strzała, czując przeogromną ulgę.

Wiedziała, że kiedy będą jej szukać, zaczną od sklepu, dlatego zamiast upajać się wolnością, od razu zabrała się za to, co należało zrobić. Przedtem tylko spojrzała na sklep, swoje dzieło. Nie było jej łatwo patrzeć, wiedząc, że trzeba się z tym wszystkim rozstać. Poczucie straty było ogromne...

Odszukała klucze do domu, związała włosy i przebrała się w wietnamską sukienkę. Potem w małej łazience na tyłach domu ochlapała twarz zimną wodą. Po krótkiej chwili wahania pognąła na górę po starą torebkę, dla niej symbol przeszłości. Powinna ją wziąć, bo wtedy przodkowie będą nad nią czuwać. Torebka znalazła się więc w tobołku, a przedtem Nicole pod wpływem impulsu włożyła do niej jedno, jedyne zdjęcie Marka, jakie miała. Czekanie na Tràn w sklepie było bardzo ryzykowne, dlatego ruszyła w stronę jeziora i polanki ukrytej wśród drzew i zarośli, gdzie była razem z Trànem. Zamierzała wrócić do sklepu dopiero pod koniec dnia.

I tak zrobiła. Cały dzień ukrywała się nad jeziorem, a pod wieczór, kiedy zamykano już sklepy, owinęła głowę szalem i poszła z powrotem do siebie. Na ulicy było o wiele mniej ludzi niż zwykle, czyli prawdopodobnie sklep był pod obserwacją, dlatego nie weszła do środka, tylko czekała w alejce przed domem. Czas mijał, a Tràn się nie pojawiał. Czyżby go aresztowali? Zaniepokojona, wyjrzała zza drzewa, by po raz kolejny spojrzeć na sklep, i natychmiast z powrotem się schowała, ponieważ alejką przechodziło kilku francuskich oficerów. Potem Nicole zobaczyła O-Lan wychodzącą ze swojego sklepu i nie mogła się powstrzymać od porozmawiania z nią. Odczekała chwilę i kiedy O-Lan zatrzymała się przed jej

sklepem i zajrzała przez szybę do środka, nasunęła głębiej szal i opuściła swoją kryjówkę.

O-Lan na jej widok uśmiechnęła się szeroko.

– Witaj! A gdzie ty się podziewałaś? Sklep jest zamknięty od tygodnia. Stęskniłam się za tobą. Byłaś chora?

Nicole pokręciła głową, wzięła O-Lan pod ramię i pociągnęła za sobą.

– Schowajmy się w alejce, dobrze? Tam pogadamy.

– A nie możemy wejść do twojego sklepu?

– Nie.

Przeszły szybko przez ulicę i kiedy tylko skryły się między drzewami, O-Lan chwyciła Nicole za rękę.

– Co się dzieje?

– Idę z Trànem na północ.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Nicole O-Lan wcale nie odniosła się do tego z entuzjazmem. Przeciwnie, wyraźnie spochmurniała.

– Dlaczego masz taką minę, O-Lan? Myślałam, że się ucieszysz.

– Nicole, Tràn jest niepoprawnym idealistą, w gorącej wodzie kąpanym...

– Przede wszystkim jest dobrym człowiekiem.

– Tak, ale...

O-Lan miała teraz śmiertelnie poważną minę.

– Dla Tràna partia jest wszystkim, Nicole. A oni, jeśli staniesz im na drodze, nie zawahają się przed niczym.

Nicole pokręciła głową.

– Nie wierzę.

– Bo jesteś łatwowierna, Nicole.

– Zawsze myślałam, że jesteś po stronie Viet Minhu.

– Nigdy tego nie mówiłam!

– To powiedz teraz. Po czyjej jesteś stronie?

– Po niczyjej, Nicole. A jeśli chodzi o moich najbliższych, to kocham ich, niezależnie od tego, czy są po stronie Viet Minhu, czy Francuzów.

– A gdyby Trần uciekał przed Francuzami, pomogłabyś mu się ukryć?

– Och, przestań! Mam nadzieję, że do tego nigdy nie dojdzie. I proszę, Nicole, proszę, nie odchodź! Masz taki śliczny sklep, najładniejszy na ulicy Jedwabnej. Co się z nim stanie, jeśli ciebie zabraknie?

– Zastanawiałam się nad tym.

Oczy O-Lan rozbłysły.

– No i co? – Chwyciła Nicole za rękę. – Doszłaś do wniosku, że jednak zostajesz?

– Nie. Ale to wcale nie znaczy, że nie chcę zostać.

– A widzisz? Więc zostań! Nicole, pomyśl o ojcu, o Sylvie. Wiem, że nie zawsze się między wami układa, ale przecież się kochacie. Przecież ojciec i siostra nie mogą być twoimi wrogami!

– Tak powiadasz? – Nicole potrząsnęła głową. – Lisa opowiedziała mi, co wydarzyło się, kiedy przychodziłam na świat. Nigdy im tego nie wybaczę, nigdy. Nie czuję z nimi żadnej więzi, a gdybym została, bo żal mi opuszczać sklep, to musiałabym dalej widywać się i z ojcem, i z Sylvie, mieć wspólne sprawy. A ja absolutnie tego nie chcę. Dlatego muszę odejść.

– Uciekasz?

– Nie, to nie ucieczka. Mam zamiar pomóc w walce o słuszną sprawę.

O-Lan była wyraźnie rozczarowana. Tak bardzo, że miała oczy pełne łez.

– Proszę, przemyśl to jeszcze, Nicole. Wmówiłaś sobie różne rzeczy, a przecież sama tak do końca nie wiesz, jaka jest prawda i kto faktycznie jest twoim wrogiem.

– O-Lan, proszę, nie rozklejaj się – powiedziała Nicole, uśmiechając się serdecznie do przyjaciółki. – Z tobą na pewno nie chcę się pokłócić. Wracaj do siebie, a ja tu postoję. Trần lada moment się pojawi.

O-Lan podeszła bliżej i uśmiechając się przez łzy, wzięła Nicole za obie ręce.

– Proszę, uważaj na siebie. I pamiętaj, gdybyś czegoś potrzebowała, daj znać.

Kiedy odchodziła, oczy Nicole również podejrzenie lśniły. Czyżby jej przyjaciółka miała rację? Mówiła przecież tak przekonująco! Aż strach pomyśleć, że może już nie będzie odwrotu, a jeśli nawet nie, to na pewno nie obejdzie się bez problemów. Takie właśnie myśli przelatowały jej teraz przez głowę, budząc wątpliwości. Kiedy jednak w wyobraźni zobaczyła ojca w łóżku z obcą kobietą, właśnie wtedy, gdy matka była taka bezbronna, utwierdziła się w swoim postanowieniu.

I nagle... ją zmroziło, kiedy poczuła na ustach czyjąś rękę. Czyją? Niewątpliwie jednego z ludzi Girauda... Ale ten ktoś zaśmiał się cicho, zrobiła więc błyskawiczny zwrot w tył i poczuła niewysłowioną ulgę. To był Trần; jego oczy błyszcząły, musiał być bardzo podekscytowany. Uśmiechnęli się do siebie. Rozradowana Nicole gotowa była wybuchnąć głośnym śmiechem, ale Trần spojrział tak, że natychmiast zaciśnęła usta. Dał też ręką znak, że ma się nie odzywać, tylko iść za nim. Kiedy odeszli kawałek od sklepu, Trần wyszeptał jej do ucha, że pójdą na przystanek i wsiądą do autobusu, którym jeżdżą tylko Wietnamczycy.

Nie minęła godzina, a oni już jechali zatłoczonym autobusem przez deltę rzeki Czerwonej. Nad powierzchnią wody unosiły się kłęby pary, cuchnęło zepsutymi rybami. Okno było tak zardzewiałe, że Nicole nie mogła go zamknąć. Autobus jechał przez tereny rolnicze, patrzyła więc na sampany i śmieci, płynące zgodnie wzdłuż brzegu wysadzonego śliwami, a także na kilkanaście gęsi frunących w zwartym szyku i miarowo gęgających; wydawały z siebie całkiem inne dźwięki niż pokrzykujące histerycznie morskie ptaki.

Po jakimś czasie, kiedy autobus oddalił się od rzeki, mijali biedną wioskę, pośrodku której nagie dzieci bawiły się w piachu. Wreszcie autobus zatrzymał się koło kilku chat otoczonych żywopłotem z bambusów. Osada wydała się Nicole oazą spokoju.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Trần, podnosząc się z fotela. Uśmiechnął się szczerze, znów pełen tego swojego prawie dziecięcego entuzjazmu. A potem przybliżył usta do jej ucha i wyszeptał: – Powinnaś mieć wietnamskie imię. Teraz nazywasz się Linh.

Na twarzy Nicole również pojawił się uśmiech.

– Czyli Wiosna! Bardzo mi się to podoba!

Wysiadła za nim z autobusu i spojrzała z ciekawością na domy za żywopłotem. Bardzo skromne chaty miały spiczaste dachy z plecionego bambusa. Między chatami krzątało się kilka osób ubranych na brązowo albo w zgniłą zieleń. Każdy miał na barkach nosidło z zawieszonymi na końcach koszami. W jednym koszu był ryż, w drugim warzywa. A w górze nad nimi latały jaskółki, niezmordowanie pikując i z powrotem wzbijając się w powietrze.

– Idziemy tędy – powiedział Trần, wskazując na wąską dróżkę między dwoma chatami. Ten gest miał dla Nicole

wymiar symbolu. Jakby Trần wskazał jej drogę ku przyszłości.

Nowy początek, tak jak nowe imię. I oby tak się stało, miała przecież wielką nadzieję, że w końcu znajdzie swoje miejsce na ziemi.

Obeszli jednoizbowe chaty stojące na palach, nad którymi unosił się dym z paleniska, a także piejące koguty i kury, które wcale nie zwracały na nich uwagi, w przeciwieństwie do psów na łańcuchach, które ujadły i szarpały się, starając się zerwać z uwięzi. Na matach między chatami spały golutkie niemowlęta, małe dzieci biegały między uwiązаныmi kozami i grądkami z warzywami. Starsze siedziały na ziemi i grały w ciupy, czyli podrzucały i jednocześnie zgarniały płaskie kamyki, albo strzelały z procy do ptaków. Dwoje dzieci zawołało coś do Trầna, patrząc jednocześnie łakomym wzrokiem na Nicole. Zrobiło jej się żal, że nie ma ze sobą czegoś, czego one bardzo chcą.

Wioska okazała się prawdziwym labiryntem chat, sznurów, na których suszyło się pranie, oraz ogródków, gdzie rosły głównie drzewa owocowe i dynie. W kilku chatach nie było szyb i Nicole zauważyła, że zamiast podłogi jest po prostu ubita ziemia.

– W takiej chacie musi być okropnie zimno – powiedziała, zerkając na Trầna. Nie odpowiedział, bo właśnie zatrzymał się i rozmawiał z jakimś staruszkiem o twarzy spalonej słońcem. Wszystko wskazywało na to, że staruszek ma jakieś wielkie zmartwienie. Potem Trần uklonił się, uścisnął staremu człowiekowi dłoń i odwrócił się do Nicole.

– Tak. Ciepło tam nie jest.

Później Nicole spostrzegła coś jeszcze: wielkie, groźne oko namalowane na ścianie jednej z chat.

– Trần, co to takiego?

– Pomysł Amerykanów. Wiedzą, że wieśniacy boją się wampirów i duchów, dlatego znaleźli Francuza, który namalował to oko naprzeciwko chaty wieśniaka, którego podejrzewają o terroryzm.

– Nie rozumiem.

– Wieśniacy wierzą, że to oko ich przodka, który na nich patrzy, dlatego nie chcą pomagać i ukrywać podejrzanych. Ale my mamy na to swoje sposoby.

Przeszli jeszcze kawałek wąską ścieżką między lśniącymi ryżowymi polami, po których spacerowały i pożywiały się czaple. Widać było też bawoły wodne, a na ich grzbietach śpiących chłopców. Po jakimś czasie Nicole doszła do wniosku, że zatoczyli łuk i kierują się z powrotem do wioski. Tràn zatrzymał się i osłaniając ręką oczy, spojrział w górę na widoczny na tle nieba latawiec, po czym znów ruszył. Zatrzymali się dopiero na skraju wioski, przed wielkim piętrowym domem stojącym w sadzie.

– To twój dom? – spytała Nicole.

– Nie. Mojego wuja. Ale partia zarekwirowała dom, ponieważ wuj był obszarnikiem. Z tym że przedtem odbyła się rozprawa sądowa.

– Jak to?

Tràn sposepniał.

– Wuj odziedziczył dom po przodkach. Miał dom, trzy pola i był handlarzem jedwabiem. Ale z domu został wyrzucony, ponieważ, jak powiedziałem, zarekwirowała go partia. Ten stary człowiek, z którym przed chwilą rozmawiałem, to właśnie mój wuj.

– Czy to ten, który opłacał ci studia?

– Tak. Ale nie mówmy już o tym – odparł Tràn, podchodząc do drzwi. – Będziemy tutaj czekać na rozkazy.

Powiedziałem im, że jesteś Wietnamką.

– Nie wiedzą, że w połowie jestem Francuzką?

– Nie. I lepiej, żeby się nie dowiedzieli.

– A dokąd nas wyślą?

– Dołączymy do wędrownego zespołu teatralnego. Ty będziesz występować, a ja w tym czasie zajmę się agitowaniem wieśniaków.

– Będziesz ich namawiał, by przystąpili do ruchu oporu?

– Zgadza się.

Tej nocy Nicole prawie nie zmrużyła oka, niewątpliwie z powodu koszmarnie twardej ławki, na której przyszło jej się położyć. A następnego dnia miała okazję przyjrzeć się, jak wygląda życie wieśniaków. Najpierw obserwowała chudą jak patyk kobietę, która za pomocą bambusowej pułapki wyłapywała ryby i krewetki z płynącej koło wioski rzeczki.

– Tràn, a co oni jeszcze jedzą oprócz ryb i krewetek?

– Warzywa i ryż. Ryż jedzą zawsze. Gotowany, smażony, z ryżu robi się też ciasto.

Z tego, co Nicole zauważyła, wynikało, że istnieje tu sztywny podział obowiązków. Kobiety zajmują się dziećmi, noszą wodę, karmią zwierzęta domowe, próbują łowić ryby, no i naturalnie gotują. Wykonują wszystkie prace domowe.

– Życie tu nie jest łatwe – powiedział Tràn. – Susza niszczy zbiory, tak samo powódź. Wieśniacy bardzo sobie pomagają. A, i jeszcze coś. Nie ma tu bieżącej wody, ani zimnej, ani ciepłej.

Nicole spochmurniała, trochę jednak urażona, że proponuje jej aż tak skromne warunki. Braku bieżącej wody jednak się nie spodziewała. Tràn zaprowadził ją do chaty, gdzie jedna z kobiet siekała liście morwy, którymi karmiono jedwabniki, a inna oddzielała kokony i wrzucała larwy do gotującej się wody.

– W tej wodzie zabija się larwy, prawda? – szepnęła do

stojącej obok kobiety, żeby pokazać, że coś jednak wie. –
Przecież to wrzątek.

Kobieta pokiwała głową.

– Tak trzeba. Jeśli się tego nie zrobi, larwy zmieniają się w poczwarkę, ta z kolei w motyla, który wydostając się z kokonu, zniszczy go.

W innym pokoju dwie kobiety wyciągały z kokonu jedwabną nić i nawijały na motek. Biorąc się za siekanie liści, Nicole przypominała sobie, jak poprzedniego wieczoru siedziała razem z Trànem w chacie pełnej ludzi i starała się nadążać za prowadzoną tu rozmową. Co najmniej ośmiu mężczyzn siedziało w kółeczku, jeden przy drugim, i paliło jakieś śmierdzące korzenie. Nicole mówiła po wietnamsku biegle, chociaż nie był to jej pierwszy język. Rozumiała wszystko, ale słuchała nieuważnie, wpatrując się w migotliwe cienie rzucane przez płomyki małych knotów wetkniętych do miseczki z oliwą.

Tràn dyskretnie szturchnął ją w bok.

– Skup się – mruknął.

– Tak, tak, przepraszam.

– I uśmiechnij się do przewodniczącego. Okaż wdzięczność. Dopóki nie dostaniemy rozkazów, będziemy pracować przy jedwabiu.

Nicole była zaskoczona, że nie zostaną od razu wysłani na północ, ale Tràn powiedział, że to coś w rodzaju testu. Ma być posłuszna i sprawiać wrażenie zadowolonej.

I dlatego dziś Nicole siekała liście, a podczas tego siekania znów się zamyśliła i dziabnęła nożem w opuszkę palca. I na domiar złego zakłęła po francusku. Kobiety spojrzały na nią podejrzliwie, potem poradziły, żeby znalazła jakąś szmatkę i owinęła zraniony palec.

A poprzedniego dnia wieczorem.... przy kolacji, kiedy to

podano zaskakująco dobrą zupę z krewetek z chlebem z soi, uzmysłowiła sobie, jak ważną decyzję podjęła. Po wycieczce do toalety, w której należało przykucnąć, a poza tym okropnie śmierdziało i miała wrażenie, że całe jej ubranie przeszło tym smrodem, wróciła do wilgotnego i zatłoczonego pokoju, w którym członkowie partii nadal obradowali. Pamiętała, aby prosząc o kawę, powiedzieć *café sua*, a nie *café au lait*.

Atmosfera była raczej chłodna, a zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy przewodniczący zaczął zarzucać Trànna pytaniami. Mówił bardzo szybko, dlatego do Nicole niewiele dotarło. Słyszała tylko, że dwukrotnie wymieniono jej imię, i za każdym razem przewodniczący spoglądał na nią. Tràn, z miną raczej niewyraźną, mówił wolniej, choć dla niej i tak za szybko. Ale zrozumiała, że powiedział, iż ona jest w połowie Francuzką, lecz całym sercem oddaną sprawie Wietnamczyków.

Wtedy przemówił inny mężczyzna. W jego głosie było tyle nienawiści, że aż drgnęła.

– Ona jest szpiegiem.

Wszyscy oprócz przewodniczącego i Trànna pokiwali głowami.

– Trzeba jej się pozbyć.

Reszta mu zawtórowała.

– Nie potrzebujemy tu metyski.

I wtedy mężczyzna z wyjątkowo grubymi brwiami i szczupłą twarzą wyjął z przytroczonej do paska pochwy nóż i... uśmiechnął się do Nicole. Zadrżała i spojrzała szybko na Trànna. Głowę miał spuszczoną. A przewodniczący, nie zwracając uwagi na mężczyznę, powiedział coś szybko do Nicole, jednak niczego nie zrozumiała.

Tràn poderwał głowę.

– Możecie jej zaufać! Ręczę za nią!

– Daj jej się wypowiedzieć – polecił przewodniczący i ponownie zwrócił się do Nicole: – Co masz nam do powiedzenia?

Natychmiast przypomniała sobie wszystko, co Trần mówił jej o ruchu oporu.

– Wierzę w reformę rolną. Wierzę, że bogaci powinni zapłacić za krzywdy wyrządzone innym ludziom. Chcę pomóc oswobodzić nasz kraj. Francuzi okradają nas z surowców. Wprowadzili nieludzkie prawo. Tych, którzy im się przeciwstawiają, topią w morzu krwi.

Przewodniczący spojrzał na Trầna.

– Powiedziałaś, że przekazała ci jakąś informację?

Trần kiwnął głową.

W pokoju zapadła pełna napięcia cisza. Przewodniczący rozparł się w krześle i ponownie spojrzał na Nicole, która złana zimnym potem, umykała wzrokiem przed jego spojrzeniem. Bała się, okropnie się bała. Mimo że dosłownie przed chwilą była w toalecie, czuła, że powinna jak najprędzej znów tam pójść. Mężczyźni tymczasem ponownie zaczęli coś mamrotać, ale przewodniczący podniósł rękę, nakazując ciszę, i powoli, wręcz z namaszczeniem, począł skręcać papierosa. Minę miał przy tym coraz bardziej posępną. Nicole miała wielką ochotę zawołać, żeby się pospieszył. Wreszcie skończył. Włożył papierosa do ust, ale nie przypalił.

– Co to za informacja? – spytał, przekrzywiając nieznacznie głowę i spoglądając na Nicole. Dziewczyna zamarła. O jaką informację chodzi? Co powiedzieć?! Przewodniczący walnął pięścią w stół.

– Informacja! Mów!

Była bliska łez. Drżącym głosem powiedziała niemal jednym tchem:

– Francuzi wysyłają pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy na północ kraju. Wspierani będą przez amerykańskie samoloty.

Przewodniczący pokiwał głową. Raz, drugi, potem spytał:

– Jesteś śpiewaczką?

Nicole zdawała sobie sprawę, że przewodniczący wie, iż ona teraz umiera ze strachu, jednak cudem udało jej się zapanować nad sobą.

– Tak.

– Znasz wietnamskie piosenki?

– Naturalnie. Przecież moja matka była Wietnamką.

Oczy wszystkich wlepione były teraz w przewodniczącego. A on skłonił głowę.

– Jeśli chcesz zostać z nami, musisz teraz zaśpiewać.

Wstań!

Wstała. W głowie miała pustkę, poza tym czuła, że popełniła wielki błąd, decydując się na ucieczkę. Zerknęła na Tràn. Twarz miał obojętną i wyraźnie unikał jej spojrzenia. Zaczęła gorączkowo się zastanawiać, którą piosenkę zaśpiewać. Może tę? Czy im się spodoba? A może piosenkę z przedstawienia? Melodia ożyła w pamięci, gorzej było z tekstem. Pamiętała tylko parę linijek, a to za mało. Więc może inną? Szukała w pamięci, przerażona, niepewna, czy to jej śpiewanie w ogóle im się spodoba. Z tego zdenerwowania w jej pamięci ożywały teraz wyłącznie piosenki francuskie...

Na szczęście przypomniała sobie kołysankę o jesiennym wietrze, o nadchodzącej zimie, którą śpiewała O-Lan. Melodię pamiętała, tekst też, prawie cały.

Bardzo się bała, że ze strachu gardło odmówi jej posłuszeństwa. Ale nie zawiodło. Przy pierwszych dźwiękach piosenki zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest w domu. Siedzi w ogrodzie i patrzy na fruujące z wiatrem jesienne

liście...

Po jakimś czasie otworzyła oczy. Wszyscy jej słuchali. Kiedy skończyła, nikt nie odezwał się ani słowem. Dopiero po dłuższej chwili głos zabrał przewodniczący:

– Zostaje z nami. Czy wszyscy się zgadzają?

Zgodzili się wszyscy oprócz człowieka z nożem, który wyraźnie był bardzo rozczarowany i mamrocząc coś pod nosem, wyszedł z pokoju. Przewodniczący w końcu przypalił papierosa i znów spojrzał na Nicole.

– Wiemy już o tym przerwaniu francuskich żołnierzy na północ. Czyli nie skłamałaś. Ale i tak będziemy cię obserwować. Pamiętaj, jeden fałszywy krok i...

Wstał i ruszył do drzwi. W progu przystanął, odwrócił się i uśmiechnął. Nie był to serdeczny uśmiech. I wyszedł, pozostawiając po sobie smużkę papierosowego dymu.

Następnego dnia mieli się dowiedzieć, kiedy wyruszają na północ. Czekali na tę wiadomość na otoczonym murem podwórzu na tyłach domu. Nicole patrzyła na kameleona wspinającego się po murku. Czując się jakoś nieswojo, niepewnie, odruchowo wyciągnęła rękę do Trân. Ale on nie podał jej ręki, tylko rzucił półgłosem:

– Nie. Nie wolno nam zdradzić, że coś nas łączy. Teraz jesteśmy tylko towarzyszami walki.

Nicole, zaskoczona, zamrugła oczami.

– Żadnych uczuć, chociażby przyjacielskich?

– Teraz żadnych. Nie wolno.

Podniosła z ziemi kamyk i rzuciła między drzewa. Nie spodziewała się, że będzie tu tak nudno. A Trân okaże się taki chłodny.

– Kiedy zwyciężymy, będzie inaczej. Będę miał ugruntowaną pozycję w partii i się z tobą ożenię.

– Dziwne oświadczenia.

– Bo pozbawione romantyzmu? – odparł z uśmiechem.

Nicole wzruszyła ramionami. Lubiła Tràn, ale o małżeństwie nie myślała. A o wyjściu za Tràn na pewno nie.

Nagle przypomniała sobie o pewnym zdjęciu. Zdjęciu Marka, które miała w torebce.

– Pamiętaj, Nicole, bądź pokorna. I czujna. Okazuj szacunek dla czyjegoś wieku, wiedzy czy pozycji społecznej. Pamiętaj też, że do obcych mężczyzn w podeszłym wieku najlepiej zwracać się *ong*, czyli „dziadku”.

– Przecież wiem, co to znaczy – mruknęła, zła, że ją poucza i w ogóle traktuje protekcjonalnie. Spojrzała na orchidee, które rosły koło pnia pobliskiego drzewa. Piękne kwiaty, a ptaki tak śpiewają... Na pewno wszystko będzie dobrze. Inaczej być nie może. I absolutnie nie wolno mówić Trànowi, że zaczyna tęsknić za domem.

– Kiedy kogoś spotkasz, ukłoń się, uśmiechnij. Kiedy ten ktoś spyta, jak się miewasz, odpowiedz: *Tôi khỏe. Cám ơn. Còn ban*. Tylko to. I cokolwiek będziesz robić, licz się ze słowami. Poza tym, tak jak wszyscy, nie okazuj żadnych uczuć.

– No i mam być skromną, przyzwoitą kobietą – dokończyła.

Tràn chyba nie wyczuł ironii, bo tylko przytaknął.

– Zgadza się.

Oparła się o Tràn i spojrzała w niebo, gdzie promienie słońca przebijały się przez chmury. I poczuła się trochę lepiej. No cóż... co będzie, to będzie. Lepiej o niczym nie myśleć, tylko wygrzewać się na słończku. Chociaż...

– Tràn, a kto to jest ten człowiek z nożem?

– Duong? Nie przejmuj się nim.

Nastrój Nicole poprawił się jeszcze bardziej, kiedy jedna

z wieśniaczek przyniosła im garnek ryżu oraz sałatkę ze świeżej zielonej papai i marynowanych warzyw.

– To dobry znak – stwierdził Trần. – Karmią nas, a więc na pewno niebawem ruszymy w drogę. A jedzenia przynieśli sporo, bo prawdopodobnie przez kilka dni nie będziemy mieli niczego w ustach.

– Taka ciężka podróż?

– Owszem. O luksusach zapomnij.

Podróż... W pamięci Nicole natychmiast ożyło wspomnienie o innej podróży, z Hué do Hanoi. Podróży, która okazała się punktem zwrotnym w jej życiu, tak jak ta. Tamta podróż, jak każda, była uciążliwa, ale Nicole zdawała sobie sprawę, że to nic w porównaniu z tym, co ją teraz czeka.

III

Mgły i chmury

Listopad 1952 – wrzesień 1953

Wietnam Północny

Podróż na północ na początku listopada wcale nie była taka ciężka, jak Nicole się spodziewała. Wręcz przeciwnie, miała mnóstwo zalet: przede wszystkim cudowne uczucie, że wreszcie jest wolnym człowiekiem, oraz wiele wspaniałych chwil, chociażby koniec dnia, kiedy zachodzące słońce przydawało światu tak przepięknych barw, że trudno było nie ulec ich czarowi. Od razu robiło się lżej na duszy, powracała wiara, że w końcu wszystko jest możliwe. Pełne uroku były też ich długie spacerory, zwykle późnym wieczorem. Szli po prostu przed siebie, robiąc uniki, by nie zderzyć się z nietoperzami, które o tej porze latały jak szalone między niskimi drzewami. Podczas jednego z takich spacerów zobaczyli wielkiego czarnego niedźwiedzia skąpanego w niebieskawej poświacie księżyca. Nicole zamarła, tym bardziej że Trần nakazał jej spojrzeniem, żeby za nic w świecie się nie poruszyła. Oboje zastygli, a miś minął ich dostojnym krokiem i poszedł sobie dalej. W ciągu dnia też było ciekawie. Na przykład kiedy chcieli uciąć sobie drzemkę, od razu pojawiały się małpki rokselany, które ciągnęły ich za włosy i szperały w torbach, szukając jedzenia.

Tak więc podróż była miłym przerywnikiem przed rozpoczęciem ciężkiej pracy. Nicole wysypiała się i miała możliwość obcowania z dziką fauną i florą. Niestety, bywały też chwile, kiedy za bardzo zbliżyli się do francuskich oddziałów i robiło się niebezpiecznie, niemniej jednak nie odbierało to jej radości, że jest na otwartej przestrzeni, w towarzystwie wiatru, deszczu i ptaków. Dodawało jej to skrzydeł. Trần wcale nie

nalegał, by zbliżyli się do siebie ponownie, i to również było bardzo miłe.

Pierwsze dni w teatralnej trupie minęły jak z bicza strzełił. Na początku Nicole czuła się nieswojo, postępowała więc ściśle według wskazówek Trâna. Nauczyła się rozszyfrowywać miny i gesty swoich rozmówców i całkiem nieźle odgadywała czyjeś myśli (mając nadzieję, że jej myśli pozostają dla wszystkich zagadką). Członkowie trupy okazali się bardzo gościnni, otwarci, starali się do niej zbliżyć, ona jednak zachowywała dystans. Czuła, że tak będzie lepiej. Swoje piosenki wykonywała dobrze, poza tym bardzo się pilnowała, żeby nie pisnąć ani słowa po francusku. Zaprzyjaźniła się tylko z jedną osobą, dziewczyną o imieniu Phuong, instrumentalistką. Zwykle po przedstawieniu szły razem na papierosa. A jeśli chodzi o samo przedstawienie, było to Chèo, najstarsza forma teatralna Wietnamu, dawniej satyra na życie codzienne, odgrywana przez wieśniaków na podwórzu. Sztuka miała nieskomplikowaną fabułę urozmaiconą piosenkami, z którymi Nicole radziła sobie nieźle dzięki treningowi z O-Lan. Tradycyjnie w sztuce pokazywano zmagania zwykłych ludzi z problemami etycznymi i religijnymi. Wersja współczesna miała rozbudowany wątek ofiarności, poświęcenia, wyrzeczenia. Treścią sztuki była bohaterska walka w obronie kraju. Wszystko po to, by wzmocnić ducha narodowego i pomóc pozyskać nowych członków ruchu oporu.

Nicole śpiewała przy akompaniamencie tradycyjnych instrumentów wietnamskich, czyli cytry, lutni, skrzypiec i ksylofonu z bambusa. Na bębenkach wystukiwano rytm na osiem, czyli marszowy. Na początku Nicole odnosiła się z wielkim entuzjazmem do swoich występów, ale mijały dni, tygodnie, miesiące i kiedy pewnego dnia po pokonaniu długiej

trasy przez bagnisty teren usiadła na pniu przewalonego drzewa w cichym, zacienionym miejscu, naszły ją niewesołe myśli. Ostatnio jedzenie bardzo się pogorszyło i ciągle była głodna, nocowali w zimnych szopach i chatach, w których roiło się od szczurów. Coraz częściej wracała myślami do przeszłości. Teraz też, kiedy drapała się w nogę, bo znowu coś ją ugryzło, odżyły w pamięci wspomnienia o ich francuskiej willi. Niestety, były dziwnie mgliste, bo tak naprawdę potrafiła dokładnie odtworzyć w pamięci tylko swój pokój, łazienkę na piętrze i kuchnię. Nic poza tym.

Największym jej marzeniem była kąpiel w małej łazience, którą dzieliła z Sylvie. Łazienka obu siostr ... Uśmiechnęła się, rozczulona, przypominając sobie, jak po jednej stronie łazienki panował ład i porządek, a po drugiej rozgardiasz: spinki, wsuwki, słoiki z kremem, naturalnie niepozakręcane. Nic tam nie było na swoim miejscu. Na ścianie wisiało wielkie lustro w stylu art déco, zawsze zaparowane, kiedy brało się kąpiel. A przez okno widać było w dole gąszcz tropikalnych paproci.

Nicole miała wrażenie, że mieszkała w tej eleganckiej willi dawno, dawno temu, w zamierzchłych czasach, kiedy była jeszcze niewinną istotą. Niewinną i jakże naiwną. A teraz? Teraz przede wszystkim czuła się samotna, tak bardzo jak nigdy dotąd, i zadawała sobie pytanie, czy ta wyprawa na północ razem z Trànem nie była jednak błędem. I kto wie, czy nie myliła się co do Marka, bo może wcale nią nie manipulował, tylko był szczerze zatroskany, namawiając ją do powrotu do domu. A decyzję o opuszczeniu domu podjęła pod wpływem impulsu; być może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby dowiedziała się całej prawdy o tym nieszczęsnym areszcie domowym czy też dlaczego w podziemiach hotelu strzelano do człowieka.

Rozejrzała się dookoła, sprawdzając, czy nikt nie widzi,

i wyjęła z torebki zdjęcie Marka. Pogłaskała je i szybko schowała z powrotem. Spoglądając na nie codziennie, zawsze musiała się uśmiechnąć, kiedy przypominała sobie, jak Mark wpadł do jeziora.

Mark... On tam, ona tu... Niestety, wychowała się w rodzinie, w której nikt nie mówił prawdy, i dlatego uciekła. Oczywiście O-Lan miała rację. To była ucieczka.

Trần niby też chciał pracować w teatralnej trupie, jednak znikł na wiele tygodni, a po powrocie poświęcał jej zdecydowanie mniej uwagi niż przedtem. I spoglądał na nią chłodno, co bardzo ją denerwowało. Nie, nie dlatego, że czuła się odtrącona jako kobieta. Absolutnie nie. Była zła, bo ten chłód sprawiał, że w jej głowie i emocjach panował jeszcze większy zamęt.

Niektórzy członkowie trupy byli wysłannikami Viet Minhu. Nie potrafiłaby wskazać ich palcem, ale wiedziała, że mają wyspiegować, kto w wioskach, przez które przejeżdżali, jest po stronie nacjonalistów, a kto nie, i wtedy winnych coraz częściej karano.

W ciągu dnia członkowie trupy chodzili w tradycyjnych ubraniach wietnamskich. Występowali w maskach lub też malowali twarz na biało i czerwono, w związku z tym obawa, że ktoś rozpozna Nicole, była niepotrzebna. Bywały jednak chwile, kiedy Nicole nie miałyby nic przeciwko temu, by któryś z francuskich wojskowych zorientował się, kim ona jest, bo wtedy mogłaby porozmawiać po francusku. Zdarzało się to jednak bardzo rzadko, bo w ciągu wielu miesięcy spędzonych z trupą teatralną naoglądała się takich rzeczy, że resztki wątpliwości odnośnie do francuskiego panowania w Indochinach znikły. Była przekonana, że powinno się temu położyć kres. Jednocześnie z każdym dniem coraz bardziej czuła się

Wietnamką.

Wstała z pnia, przeciągnęła się i poszła do wozu, który dzieliła z trzema innymi aktorkami. Jej towarzyszki były już gotowe do występu, ona nie, musiała się więc pospieszyć.

Bardzo lubiła malować twarz, niestety tym razem przyjemne chwile zostały zakłócone w sposób wyjątkowo nieprzyjemny. Kiedy zaczęła malować usta, do wozu wszedł nowy aktor. Zobaczyła go w lustrze i ją zmroziło. Był to Duong, ten, który przed kilkoma miesiącami tak ochoczo demonstrował jej swój nóż. Skinął głową Nicole, a ona, zgodnie ze wskazówkami Trâna wstała, ukloniła się bardzo uprzejmie i wyszła z wozu. Była tak wystraszona, że nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

Nowy aktor wziął udział w przedstawieniu. Grali tak jak zwykle, nie zdarzyło się nic szczególnego, ale Nicole i tak miała wrażenie, że wszyscy, choć milczą, doskonale wiedzą, po co Duong tu przybył. Przez cały czas nie spuszczał z niej oka. Było jej bardzo przykro, że mimo tylu spędzonych razem miesięcy członkowie trupy wcale nie uważają jej za swojego człowieka.

Następnego dnia zaczęło się plotkowanie. Oczywiście na jej widok przerywano rozmowę i zapadała cisza. To znaczy, że wszyscy odsunęli się od niej. Miała nadzieję, że przynajmniej Phuong, z którą była zaprzyjaźniona, jest jej sojuszniczką. Próbowwała ją podpytać, ale Phuong, bardzo zajęta teraz strojeniem instrumentu, tylko spuściła głowę. Dla Nicole był to dowód, że Phuong z chęcią by z nią porozmawiała, ale nie wolno jej tego robić.

Nie miała więc wyboru. Musiała udać się do mężczyzny z nożem.

Bardzo chciała, by Trân, tak jak przedtem, był razem z nią i stał po jej stronie. Niestety, Trâna nie było i musiała radzić

sobie sama. Ze znalezieniem Duonga nie było problemu. Siedział pod starym drzewem o sękatych konarach koło jednej z przyczep. Nicole wyprostowała się, podeszła i spojrzała mu prosto w oczy, wyrzucając z siebie jednym tchem:

– Co ty tu robisz?

Duong najpierw zapalił papierosa.

– O, dawno żeśmy się nie widzieli!

– Tak, trochę czasu minęło. Mam do ciebie pytanie. Nie wiesz, gdzie jest Tràn?

Nie odpowiedział, tylko zaciągnął się i wypuścił z ust siny obłoczek dymu.

– Czy z nim wszystko w porządku?

Duong podrapał się po brodzie i wlepiając w nią oczy, odezwał się, ale nie była to odpowiedź na jej pytanie.

– Wiesz, dobrze by było, gdybyśmy poznali się bliżej.

– Pytałam o Tràn!

Zmrużył oczy i uśmiechnął się.

– Jesteś dziewczicą?

Nicole nie miała zamiaru dać się tak poniżać.

– A co to ma do rzeczy?! – spytała opryskliwie. – Powiedz lepiej, co z Trànem!

– A dlaczego ten chłopak tak cię interesuje?

– Jest moim towarzyszem w walce o wspólną sprawę!

Duong zakaszłał, dławiąc się dymem, potem wycedził:

– O! I to jest bardzo dobra odpowiedź. Ale ja, niestety, mam przeczucie, że w waszym przypadku chodzi o coś więcej.

Było oczywiste, że Duong chce ją sprowokować. Więc ani drgnęła, stała dalej z kamienną twarzą, jak prawdziwa Wietnamka. Ten naród przecież rzadko okazuje uczucia.

– Jestem całkowicie oddana naszej sprawie – oświadczyła.

– Wkrótce się o tym przekonamy – odparł Duong. Wstał

i poszedł.

Groził jej, to było oczywiste, i dlatego przez kilka następnych dni Nicole przyglądała mu się bacznie. Owszem, można było wyczuć, że ten człowiek ma władzę, ale nie wiedziała, jak wielką. Czy zamierza z niej skorzystać? Pozostali członkowie trupy również mieli się przed nim na baczności i wszystko wskazywało na to, że nikt nie chce ryzykować, biorąc jej stronę. W rezultacie Nicole czuła się coraz bardziej niepewnie, zaczęła nawet mieć kłopoty ze snem. Niewątpliwie także dlatego, że noce były bardzo duszne. Kiedy nie mogła zasnąć, wychodziła na dwór posłuchać kakofonii najrozmaitszych dźwięków dolatujących z dżungli. Jednocześnie w wyobraźni widziała najrozmaitsze zagrożenia czające się za każdym drzewem – żyła teraz w ciągłym strachu.

A potem nadszedł dzień, kiedy Francuzi puścili z dymem wioskę, w której trupa zatrzymała się na jedną noc. Byli znowu w drodze, w sporej odległości od owej wioski, bo już w górach. I stamtąd, z wysokości, Nicole patrzyła, przygnębiona własną bezsilnością, jak wiatr rozwiewa ostatnie kłęby dymu. Francuzi zabijali wszystkich, kobiety i dzieci też. Kiedy spytała, kto pogrzebie zmarłych, przeżyła szok, ponieważ w odpowiedzi usłyszała, że nikt; takie tragiczne wydarzenia nie pozwalają wieśniakom zapomnieć, do czego zdolni są Francuzi.

Idąc przed siebie i rozmyślając o tym, spostrzegła człowieka z nożem, czyli Duonga. Siedział w kręgu światła lampy na baterie, którą zawiesił na gałęzi. W rękę trzymał brzytwę podobną do tej, jaką miał ojciec Nicole, i strugał patyk.

– Widzę, że ciągnie cię do mnie – powiedział i puścił do Nicole oko. – Nie dziwię się, bo mogę ci się na coś przydać. Na przykład pomóc ci zwać z tej trupy. Ale coś za coś. Nie będzie z tym problemu, prawda? Francuzki nie są zbyt oporne. Wiem

coś o tym.

Jego słowa przerażyły ją jeszcze bardziej niż poprzednim razem. Zauważyła, że jest barczysty, ma duże, mocne dłonie. A więc nie ma żadnych szans.

Nazajutrz było zimno i mglisto. Przejeżdżali przez jakąś wioskę, gdy nagle wszystkie wozy gwałtownie skręciły, by nie wjeżdżać w gigantyczną chmurę czarnych much, które żerowały na wrzuconym do przydrożnego rowu ciele martwej kobiety. Ubrana była na czarno, tak jak kobiety z Viet Minhu. Ona i jej życie nie miały żadnej wartości – wyrzucono ją, jakby była śmieciem. Obok, częściowo zasłonięta ciałem kobiety, leżała mała, chudziutka dziewczynka, mniej więcej pięcioletnia. Też ubrana na czarno, z szycją obwiązaną jasnoniebieskim szalem. Czarne oczy dziewczynki były szeroko otwarte, spojrzenie puste, nieruchome, i Nicole poczuła ból w sercu, bo natychmiast pomyślała o Yvette. Yvette nie żyje, ta kobieta i dziewczynka też. I nie można tego odwrócić...

Po jakimś czasie wjechali w góry. Droga była wąska, jakby przyklejona do zbocza. Ten odcinek drogi Nicole wolała pokonać na piechotę, podążając za wozem. Nagle zauważyła, że zbliża się do niej Duong, z dużą torbą przewieszoną przez ramię. Nie odezwała się, czekając, aż zrobi pierwszy ruch. Mężczyzna złapał ją mocno za łokieć i odciągnął na bok.

– To boli... – jęknęła.

A on tylko się zaśmiał.

– Może powiesz mi wreszcie, gdzie jest Trần? – spytała. – Czy nic złego mu się nie stało?

– A ty znowu o nim! Lepiej mówmy o tobie. Czy naprawdę jesteś lojalna wobec partii?

– Oczywiście! Nie wierzysz mi? Partia wymaga posłuszeństwa i ja jestem posłuszna!

– To tylko takie gadanie. A teraz chodź ze mną. I ciesz się, bo mam cię zaprowadzić do Trâna.

Do Trâna?! Zaskoczona Nicole zatrzymała się gwałtownie.

– Nie wierzę ci. Nigdzie nie pójdę. Chcę zostać razem z innymi.

– Możesz wierzyć albo nie, i tak pójdiesz. Do rozstaju dróg został już tylko kawałek. Wozy pojedą w prawo, a my skręcimy w lewo.

Nicole nabrała głęboko powietrza, starając się za wszelką cenę ukryć strach.

– A co z moimi rzeczami? Są w wozie.

– Nie będą ci potrzebne. Wystarczy to, co masz na sobie.

A teraz przyklej się do zbocza i poczekamy, aż wszystkie wozy nas miną.

– A jeśli tego nie zrobię?

Duong spojrział w przepaść i wysyczał:

– Na sam dół wcale nie jest tak blisko.

Upadek z takiej wysokości oznaczał śmierć. Co gorsza, ci, którzy widzieli ją z Duongiem, będą milczeć jak zakłęci. Czują, że zaczyna wpadać w panikę. Miała tylko dwa wyjścia z tej okropnej sytuacji: rzucić się w przepaść albo zrobić to, czego od niej żądał.

Zeszli na dół i ruszyli przez gąszcz dzikich rododendronów, kierując się na północny zachód. Po jakimś czasie zamiast gór pojawiły się niewysokie wzgórza, które zamieszkiwały małpy, nietoperze i latające wiewiórki. Rosły tu też gigantyczne paprocie, a tam, gdzie pojawiały się kielki bambusa, trzeba było uważać, żeby nie wejść w żółtawą, mętną wodę. Było tu pięknie, niestety strach nie pozwalał Nicole tym wszystkim się zachwycać. Czuła też głód. Wprawdzie kiedy usiedli na kilka chwil, nieco się posilili, ale to były tylko sucharki popite odrobiną wody. Oprócz głodu czuła lęk; czekała tylko, kiedy Duong się na nią rzuci. Kiedy odpoczywali, leżąc pod baldachimem z białych kwiatów, Nicole na moment oddała się marzeniom, wyobrażając sobie, jak spaceruje po ulicach Hanoi. Sama, wolna jak ptak. Potem znowu ruszyła w drogę, niestety nie sama, obserwując czujnym okiem nie tylko Duonga, ale także podążające za nimi trzy sępy.

Na szczęście nie było za gorąco, najwyżej dwadzieścia pięć stopni, i ustały monsunowe deszcze. Kiedy w końcu przeszli po wspaniałym dywanie z wyjątkowo bujnej, soczystej trawy i stanęli przed płotem z bambusa, mieli za sobą prawie tydzień wędrówki. Nicole patrzyła z zachwytem na białego bażanta podrywającego się z murawy. Miał wspaniały długi biały ogon. Tak pięknego ogona nie widziała jeszcze u żadnego ptaka. Wszystko wskazywało na to, że są na obrzeżach jakiejś wioski, czyli być może będzie szansa na miskę ryżu i nocleg. Kiedy jednak podeszli bliżej, okazało się, że nie ma tu żadnych oznak życia. Po chwili zobaczyła wartowników z karabinami. Wtedy Duong szturchnął ją w plecy.

– To obóz reedukacyjny.

Nicole słyszała o tych okropnych obozach, ale myślała, że to tylko plotki. Gdy podeszli jeszcze bliżej i zobaczyła wychudzone, poszarzałe twarze więźniów, nie miała już żadnych wątpliwości, że to, czego się dowiedziała w ciągu kilku miesięcy jeżdżenia z wędrowną trupą, to prawda. Straszliwa prawda. Obozy reedukacyjne są miejscem, gdzie bierze się odwet, stosuje represje i indoktrynuje. Więzi się tu tysiące ludzi – mężczyzn, kobiety i dzieci – bez procesu, bez wyroku. To tutaj zamyka się francuskich żołnierzy i bogatych wietnamskich mandarynów wraz z rodzinami i robi im się pranie mózgu, w konsekwencji czego stają się posłusznymi marionetkami, zmuszanymi do okazywania wdzięczności za surowe traktowanie i przyznania się do niepopelnionych przestępstw. Większość więźniów sprawiała wrażenie ledwo żywych.

– Ci, którzy nie zastosują się do reguł, wysyłani są do obozu karnego – poinformował Duong i uśmiechnął się z satysfakcją do Nicole, domyślając się, że skóra jej ścierpła. – A tam jest jeszcze gorzej.

Kiedy Duong prowadził ją przez obóz, zauważyła skutą kajdanami Francuzkę. Jej spojrzenie, nieskończenie puste i nieruchome, świadczyło, że ta kobieta straciła coś więcej niż tylko wolność.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś? – spytała. Czyżby miał zamiar ją tu zostawić?

– Przecież już ci mówiłem. Idziemy do Tràn.

Nicole, przerażona, krzyknęła cicho:

– Ale... ale on nie jest więźniem?!

– Tràn? – Duong roześmiał się i wskazał na przeciwległy kraniec polany, gdzie ludzie z Viet Minhu lustrowali stojących w szeregu francuskich więźniów. – Tràn jest *cán-bộ*. Odpowiada

za reedukację.

– Czyli... należy do kadry politycznej?

Wyteżyła wzrok. Tak, Trần tam był. Właśnie wywoływał z szeregu jednego z więźniów. Mężczyzna wyciągnął przed siebie rękę, zrobił krok i potknął się. Prawdopodobnie był ślepcem. Kiedy Trần również wysunął się do przodu, była pewna, że chce pomóc więźniowi, tymczasem on podszedł do jakiejś kobiety stojącej w szeregu, podał jej karabin i coś powiedział, wskazując na ślepego mężczyznę. Kobieta pokręciła głową, wtedy Trần wyciągnął z szeregu chłopca, który miał na pewno nie więcej niż sześć lat. Kobieta krzyknęła rozpaczliwie. Krzyknął też ślepy mężczyzna.

Nicole, przerażona, odruchowo zrobiła krok do przodu, ale Duong złapał ją za ubranie i przytrzymał. Wtedy uzmysłowiła sobie, co tak naprawdę tu się dzieje, i serce prawie przestało jej bić. Potem widziała, jak Trần wydaje rozkaz jednemu ze strażników, ten odchodzi i wraca po chwili z dwiema małymi klatkami z bambusa. Jedną z nich wkłada na głowę kobiecie i wiąże sznurkiem, a potem przymocowuje z obu stron kawałki drewna naciskające ramiona. Drugą klatkę wkłada dziecku i je wyprowadza. Kobieta szlocha, a ślepy mężczyzna pada na kolana i błaga o litość.

– Ale dlaczego? Za co? – wyszeptała półprzytomna z przerażenia Nicole.

– Ojciec nie chciał stać się nowym człowiekiem – wyjaśnił Duong. – Jest reakcjonistą, który złamał obozowe zasady.

– Ale dlaczego karzą za to jego żonę i dziecko?

Duong wzruszył tylko ramionami.

– Co z nimi się stanie?

– Będą stali w rzece przez dwadzieścia cztery godziny.

– Jak to?! Przecież woda w rzece jest lodowata! Oni się

utopią!

Duong ponownie wzruszył ramionami.

– Chodźmy do Tràn.

Nicole, wstrząśnięta do głębi, nie potrafiła jeszcze uwierzyć, że Tràn mógł wydać takie rozkazy. W jej pamięci – jak zawsze, gdy przeżywała coś przerażającego – ożyło wspomnienie o tym, jak omal się nie utopiła w rzece Perfumowej. Słyszała ogłuszający huk przetaczającej się wody, czuła na sobie jej ciężar. Teraz chyba najbardziej, najgoręcej pragnęła powrotu do swego dawnego życia.

Stając przed Trànem, nie była w stanie pohamować gniewu.

– To niepojęte, Tràn. Dlaczego karzecie dzieci?

Mężczyzna odgarnął włosy z czoła i otarł je wierzchem dłoni.

– Chodzi ci o te klatki, tak? Wymyślili je Francuzi. Przez dziesiątki lat dręczyli w ten sposób Wietnamczyków – mężczyzn, kobiety i dzieci. Niech teraz sami tego posmakują!

Patrzyła na niego, próbując doszukać się w nim człowieka, jakiego znała. Jak mógł się tak zmienić? Skąd u niego tyle okrucieństwa? Pamiętała przecież, jaki był miły dla Yvette, jak błyszczały mu oczy, kiedy mówił o wspólnej sprawie. A teraz jego spojrzenie było zimne i bezlitosne.

– O co chodzi, Nicole?

Nie odezwała się, tylko bezradnie potrząsnęła głową.

– Mówiłem ci, że nadejdzie czas, kiedy będziesz musiała dokonać wyboru.

– Przecież dokonałam.

– Tak, ale musisz to potwierdzić.

– Przez pół roku jeździłam z wędrowną trupą. Czy to nie jest wystarczające potwierdzenie mojej lojalności? Jeśli teraz w to wątpisz, to chyba już nigdy mi nie uwierzysz.

– Zobaczymy.

Po tym, czego była świadkiem, miała pełną świadomość, że stąpa po bardzo niepewnym gruncie. Wyprostowała się i oświadczyła zdecydowanym głosem:

– Jestem całkowicie oddana sprawie, Trần.

Trần skinął na strażników, by podeszli bliżej.

– Mamy kilkuset francuskich zakładników. Z każdym dniem jest ich coraz więcej. Możesz więc nam się do czegoś przydać.

– To znaczy do czego?

– Zobaczysz.

– Powiedz teraz.

– Dobrze. Zostaniesz przydzielona do *Bordel Mobile de Campagne*.

– Co?! – Nicole omal nie wybuchła śmiechem. – Do wędrownego burdelu?

– Potrzebujemy informacji. A ty jesteś Francuzką. – Uśmiechnął się, tak normalnie, ale na twarzach pozostałych mężczyzn pojawiły się złośliwe uśmieszki. – W sumie to zabawne. Twój ojciec nie tak dawno temu osobiście sprowadził tu setki ciemnoskórych dziewcząt z Afryki, żeby dogadzały Francuzom.

– To nie mój ojciec.

– Aaa... Teraz go bronisz?

Przed oczyma Nicole od razu pojawił się ojciec w towarzystwie ciemnoskórej kobiety. A Lisa wspomniała, że Giraud był w to zamieszany. Czyżby więc obaj panowie brali udział w tym przedsięwzięciu?

– Czyli to prawda – powiedział Trần, dalej uśmiechnięty.

– Nieważne. Nie będę tego robić, Trần.

– Będiesz, bo tak postanowiono. Teraz pokażę ci miejsce

do spania. Jutro umyjesz się porządnie i zaczniesz wykonywać swoje zadanie. Tu jest ubranie, które masz mieć na sobie, kiedy będziesz szła na francuski posterunek. Aha, i nie zapominaj, że jeśli nas zdradzisz, na pewno się o tym dowiemy.

Przez pierwszą część nocy Nicole nie zmrużyła oka. Bo jak tu zasnąć, skoro tyle myśli kłębi się w głowie? Przede wszystkim pretensje do samej siebie. Jak mogła być tak naiwna i ludzić się, że uda jej się dwie połówki swego życia zmusić do pokojowego współistnienia? To oczywiste, że kiedyś musiała dokonać wyboru. I stało się, ale teraz, przerażona tym, co zrobił Tràn, wcale nie była pewna, czy dobrze wybrała. A poza tym sprawa tego burdelu na kółkach. Chcą ją sprawdzić, czy może coś kombinują? Zamierzają ją wysłać w rejony, które są w rękach Francuzów, a przecież ona jest teraz osobą przez nich poszukiwaną i istnieje ryzyko, że jeśli ją zaaresztują, ona, by chronić własną skórę, przekaze Francuzom informacje o Wietnamczykach. Tràn musi zdawać sobie z tego sprawę.

W namiocie obok, a właściwie pod plandeką rozpiętą na bambusowych drążkach, ktoś chrapał. Przez chwilę nasłuchiwała, potem wysunęła się z namiotu i rozejrzała dookoła. Niebo przesłaniały chmury, księżyc był ledwo widoczny, a w dole, między namiotami, unosiły się obłoki mgły. Cisza. Wartownicy chyba też śpią...

I nagle na widok ciemnej postaci wyłaniającej się z mroku jej serce prawie przestało bić. Zaraz potem podskoczyła, bo gdzieś w pobliżu odezwała się sowa. Nadchodzący człowiek był coraz bliżej. To Tràn. Położył palec na ustach, nakazując jej milczenie, i dał ręką znak, by szła za nim. Tràn doszedł do bambusowego płotu ciągnącego się za namiotami i ruszył wzdłuż niego, sprawdzając, czy wszystkie bambusowe tyczki zostały porządnie wbite w ziemię. W ciszy każdy jego krok

wydawał się wręcz ogłuszający, tak samo szelest liści i gałązek pod jego stopami. Wreszcie znalazł kilka obłuzowanych tyczek. Wyciągnął je z ziemi, odrzucił na bok, potem odwrócił się do Nicole i delikatnie musnął palcami jej wargi.

– Uciekaj, Nicole. Uciekaj jak najszybciej i jak najdalej, bo kiedy zauważą, że cię nie ma, od razu zaczną szukać.

Odruchowo spojrzała na płot. Przez tę dziurę, którą zrobił Tràn, na pewno się przecisnie. Ale czy on to powiedział na serio? Może to tylko podstęp? To niemożliwe, żeby dla niej tak się narażał.

– Pospiesz się – powiedział Tràn i popchnął ją lekko w stronę ogrodzenia. – Przeczolągaj się na drugą stronę.

Nie poruszyła się, nadal pewna, że kiedy zacznie się czołgać, Tràn strzeli jej w plecy. Czyli robi to, co do niego należy: zabije podczas próby ucieczki.

– To po co ten człowiek mnie tu przyprowadził? – wysyczała.

– Partia podejrzewa, że niektórzy jej członkowie, metysi, dopuścili się zdrady, w związku z tym zaczęła się czystka. W tej trupie teatralnej nie byłaś bezpieczna, musiałem cię stamtąd wydostać, więc posłałem Duonga. Weź to!

Drżącymi rękoma odebrała od niego kompas i torbę.

– Pamiętaj, przez cały czas idziesz na południe. A w torbie masz francuskie ubrania. Uciekaj, Nicole. Nie zatrzymuj się nigdzie po drodze, nie śpij, tylko uciekaj!

Nagle przypomniała sobie o starej torebce, w której miała fotografię Marka.

– Moja torebka! Muszę ją zabrać!

– Za późno, Nicole. Uciekaj!

– Tràn, dlaczego to robisz? Dlaczego mi pomagasz?

– Bo mi na tobie zależy, Nicole. Bardzo. Zawsze tak było.

Kiedy to wszystko się skończy, przyjdę po ciebie.

Przez kilka następnych dni Nicole szła na południe. Skradając się przez niebezpieczny teren, parę razy zdarzyło jej się wpaść do rowu pełnego wody. Zziębnięta i przemoczona do suchej nitki, uświadomiła sobie, że o wiele rozsądniej jest unikać dróg i iść przez bagna albo dżunglę. Nauczyła się też przechodzić przez górskie strumienie oraz prosić życzliwych mieszkańców bardzo małych wiosek o coś do jedzenia.

Za każdym razem, gdy słyszała odgłosy wydawane przez małpy, nieruchomiała, sparaliżowana strachem. Wiedziała, że musi jak najszybciej znaleźć się z powrotem w Hanoi. Nigdy dotąd rodzinny dom nie wydawał jej się tak pociągający. Marzyła o nim, myślała o Lisie, swojej wiernej sojuszniczce, i to dodawało jej sił. Często też wspominała Hué i chwile w ogrodzie wczesnym rankiem razem z Lisą, gdy słońce dopiero wschodziło, malując wierzchołki drzew na różowo, wiał łagodny wiatr i było cudownie, jak w niebie.

– W tym wietrze słyszę głos Boga – powiedziała kiedyś Lisa. – Widzę Go w tym bezkresnym niebie.

– A ja czuję słodki zapach lotosów, choć w naszej sadzawce jeszcze ich nie ma – odpowiedziała Nicole – i słyszę, jak żabki podskakują w wodzie.

Lisa uśmiechnęła się i objęła ją serdecznie.

– Czyli obie jesteśmy dziś w poetyckim nastroju. Może przejdźmy się teraz, a potem zaplotę ci francuski warkocz, tak piękny, że wszystkie twoje koleżanki pękną z zazdrości.

Myślała też o Tràn. Dlaczego tak okrutnie postąpił z tamtymi ludźmi? Czy zrobił to tylko na pokaz, czy istotnie zostali tak bestialsko ukarani? Bardzo to przeżywała, dlatego starała się jednak myśleć o czymś innym, czyli o rodzinnym domu. Jego wspomnienie dodawało jej sił. Z powodu

niewyspania i brudu miała zaczerwienione i zapuchnięte oczy, a stopy w podartych butach były całe w ranach. Kiedy tylko słyszała jakieś oznaki życia, błyskawicznie chowała się w bambusowym zagajniku albo za oplecionym lianami drzewem i czekała, aż niebezpieczeństwo minie i będzie można iść dalej.

Pewnego dnia, spoglądając w dół na ryżowe pola, zauważyła sine kłęby dymu unoszące się nad zniszczoną wioską. Przeszła przez strumień i ujrzała francuskiego żołnierza, który właśnie wyciągał jakąś kobietę z kryjówki. Był to okropny widok. Kobieta, już niemłoda, ze śladami dawnej urody, była tylko w koszuli nocnej. Miała długie kasztanowate włosy, zaskakująco jasne jak na Wietnamkę. Wywleczona z kryjówki, zrobiła krok i potknęła się. Upadła na plecy. Wyciągnęła do żołnierza chude ręce, niewątpliwie prosząc, by pomógł jej wstać.

Nicole, czując, co teraz nastąpi, szybko zamknęła oczy. Kiedy jednak usłyszała straszny krzyk kobiety, mimo woli znów je otworzyła. Kobieta krzyknęła tylko raz i jej twarz stężała. Na pewno zdawała sobie sprawę, co żołnierz zamierza zrobić, ale nie chciała dać mu satysfakcji, okazując strach. Kiedy przyparł ją do ściany, poderwał koszulę i zaczął gwałcić, plunęła mu twarz. A wtedy on strzelił jej w głowę.

Krew. Tyle krwi. Nicole, wstrząśnięta do głębi, zgięła się wpół. Ta kobieta... była czyjąś żoną, córką, matką. Jak człowiek może coś takiego zrobić drugiemu człowiekowi? Czuła, jak rozsadza ją gniew. W tym momencie z całego serca nienawidziła mężczyzn. Wszystkich. Najchętniej każdemu z nich poderżnęłaby gardło albo zrobiła coś jeszcze gorszego. Za to, co spotkało tę nieszczęsną kobietę.

Odczekała, aż żołnierz pójdzie, i wyszła z ukrycia, by zaciągnąć martwą kobietę do chaty, i tam przykryła ją jakąś płachtą. Potem przykucnęła przy zapuszczonych grządkach

z warzywami, zawzięcie grzebiąc palcami w czerwonej ziemi. Znalazła jakieś nędzne pozostałości upraw, nie tylko korzonki, ale także beczkę pełną deszczówki za chatą. Podjadła więc, popiła, popatrując na pociemniały już horyzont, a potem zrobiła sobie godzinę odpoczynku.

W ciągu kolejnych dni i tygodni coraz bardziej przyzwyczajała się do otoczenia i czuła się w nim o wiele pewniej. Fakt, że jest sama, nie napawał jej już lękiem; przekonała się na własnej skórze, że dzika przyroda, owszem, to potęga, ale ona nie jest słabeuszem. Nigdy nie podejrzewała, że jest w stanie tyle znieść. Czasami przystawała, by pozachwytać się ogromnym dywanem z purpurowych kwiatów, a kiedy zagrzmiało, chowała się pod jakimś dorodnym krzakiem. Siadała, podciągając kolana pod brodę, i starała się choć trochę zdrzemnąć. Na próżno, bo spoza szumu ulewnego deszczu nadal słychać było odgłosy grzmotów, a poza tym – i przede wszystkim – ciągle była nieludzko głodna.

Pewnego ranka przysiadła na szczycie niewysokiej wapiennej skały, popatrując na olbrzymie ważki. Było sucho, słonecznie. Słońce oślepiało, przymknęła więc oczy i rozmarzyła się. Jajka... tosty... Delicje. Czuła jeszcze w ustach ich cudowny smak, kiedy otworzyła oczy i osłaniając je ręką przed słońcem, spojrzała w dół. I zmroziło ją, bo doliną przeciągali żołnierze Viet Minhu, a ona na tej skałce była doskonale widoczna. Błyskawicznie zsunęła się na ziemię i schowała za krzakami. Żołnierze mieli hełmy owinięte czarną siatką, w którą wetknęli liście palmy, a na plecach dodatkowy kamuflaż w postaci zwojów drutu zasłoniętych liśćmi. Dzięki temu znakomicie wtapiali się w otoczenie i piloci francuskich samolotów krążących nad doliną nie mogli ich zauważyć. Kiedy znikli jej z oczu, odetchnęła. Mogła iść dalej na południe. Ale

tam widać było bagna ciągnące się aż po horyzont. Obejść je, nadkładając drogi, czy zaryzykować i iść przez środek, przeskakując z kamienia na kamień?

Ruszyła w stronę bagien. Po drodze widziała z daleka żołnierzy Viet Minhu, którzy zaminowywali drogę, by utrudnić Francuzom, gdy się pojawią, przejazd ciężkim sprzętem i zmusić ich do naprawienia drogi. Kawałek dalej uzbrojeni w moździerze Wietnamczycy atakowali francuski garnizon. Nicole, obserwując zmagania zaskoczonych Francuzów, czuła się kompletnie rozdarta. Owszem, jeszcze kilka dni temu czynnie wspierała Viet Minh, ale ten rozdział w jej życiu został definitywnie zamknięty. Teraz ukrywała się przed Viet Minhem, jednocześnie wcale nie uważała, że rządy w tym kraju mają sprawować tylko Francuzi. Walka trwała mniej więcej godzinę. Garnizon został prawie zrównany z ziemią. Francuzi, którzy uszli z życiem, wychodzili z podniesionymi rękoma, powłócząc nogami, eskortowani przez żołnierzy Viet Minhu. Ojciec, wierząc święcie w zwycięstwo Francuzów, nie doceniał siły Wietnamczyków. Przecież widziała na własne oczy, ilu ich staje do walki. Tysiące. Wiedziała też, że odkąd Viet Minh przekształcił się w partię komunistyczną, liczba jego zwolenników rośnie jeszcze szybciej. Intelktualiści, tak jak Trần, przyłączyli się już wcześniej. Teraz dołączali wieśniacy. Dostarczali prowiant, transportowali rannych do prowizorycznych szpitali, przenosili prowiant i sprzęt przez wysokie góry. Wielu z nich w pełni świadomie oddawało życie za swój kraj.

Nie miała pojęcia, co będzie robić po powrocie do domu. I czy rodzina przyjmie ją z otwartymi rękami. Poza tym powrót do domu to wielkie ryzyko. Dla Francuzów była przecież zdrajczynią. Ale trudno, zdecydowała się na ten krok, bo dokąd miała iść? Owszem, zastanawiała się, czy nie do Huế, ale ze

względu na odległość na piechotę nie dałaby rady.

Policja niewątpliwie wie o jej ucieczce z aresztu domowego i na pewno podejrzewa, że przeszła na stronę wroga, dlatego modliła się żarliwie, by nie skończyło się to dla niej więzieniem. Miała nadzieję, że ojcu uda się namówić Girauda, by deportowano ją do Francji.

Bała się, okropnie się bała, dlatego znów wróciła do wspomnień. Bo kiedy nie możesz sobie pozwolić na jakieś lęki czy wątpliwości, nie wolno ci tracić ducha, należy myśleć o czymś pozytywnym. Na przykład o Hué. Kiedy tam mieszkali, spędzali lato na wzgórzach Dalat, gdzie zawsze wiał chłodny wiatr i wszędzie kwitły hortensje. Dom, który wynajmowali, stał przy bulwarze obsadzonym szpalerami drzew i należał do właściciela największej w okolicy plantacji kauczuku. Wokół domu był przepiękny ogród. Morze kwiatów: kamelie, hortensje, chryzantemy i róże we wszystkich kolorach. Ojciec chodził na polowania na sarny, dziki, czarne niedźwiedzie, pantery i tygrysy. Nawet na słonie. A Nicole i Sylvie spędzały czas na dworze, w otoczeniu tak pięknym, że każdy dzień wydawał się za krótki.

Zamknęła oczy, przywołując w pamięci wycieczkę z Lisą nad wodospad, gdzie mogły podziwiać kaskady białej wody, wcale nie spadającej pionowo w dół, lecz spływającej po skałach wieloma strugami.

– Usiądźmy tam – zaproponowała Lisa, wskazując na jeden z płaskich skalnych progów.

Wdrapały się więc na górę, rozsiadły i Lisa przystąpiła do rozpakowywania piknikowego koszyka. A Sylvie i Nicole zdjęły buty i zanurzyły nogi w wodzie.

– Liso, zdejmij buty – zachęciła Sylvie. – Woda wcale tu nie jest zimna.

– Domyślam się – odparła Lisa. – Bo to w ogóle cudne miejsce, najspokojniejsze koło tych wodospadów. To miejsce wlewa do twojej duszy spokój.

Miała rację. Człowiek rzeczywiście czuł się całkowicie odprężony i wyjątkowo pozytywnie nastawiony do wszystkiego. Nicole, grzejąc się w słońcu i wdychając orzeźwiające powietrze, czuła, że już zakochuje się bez pamięci w tym zakątku. Sylvie chyba też bardzo tu się podobało.

– Liso, a dlaczego ten wodospad nazywa się Wodospadem Tygrysa? – spytała Nicole.

– Nazwano go tak, bo wierzono, że w jaskini, która jest nieopodal, kiedyś mieszkały tygrysy.

– Aha... – mruknęła Nicole, zapatrzona w wielką małpę o złocistej twarzy i puszystej białej brodzie. Małpa też się w nią wpatrywała, czym Nicole była zachwycona.

– To langur wspaniały – szepnęła Sylvie. – Spójrz, ma czerwone getry.

Rzeczywiście, teraz i Nicole to dostrzegła. Nogi małpy od kolan do kostek porośnięte były sierścią w tym właśnie kolorze. Zwierzę nie pozwoliło jednak długo je podziwiać i tak samo nagle, jak się pojawiło, teraz znikło.

Wspaniałe były te wyjazdy do Dalat, niestety nic nie trwa wiecznie. Kiedy byli tam po raz ostatni, wybuchła wojna i pojawili się Japończycy. Natychmiast więc wrócili do Hué. Po zakończeniu wojny Sylvie pojechała do Ameryki, ponieważ ojciec chciał nawiązać kontakty z Amerykanami, którzy w sporze o Indochiny popierali Francuzów. Zatrzymała się u kuzynki ojca w Nowym Jorku. Nicole została w Hué. Pamiętała, jak tęskniła za starszą siostrą, a poza tym dręczyło ją okropne przeczucie, że nic już nie będzie dobrze. W pewnym sensie teraz było bardzo podobnie: również stało się coś, czego

nie była w stanie przewidzieć ani sobie wyobrazić.

Cały jej dotychczasowy świat, który kochała, nagle legł w gruzach.

Pod koniec dnia, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, dzięki kompasowi Nicole dotarła nad rzekę Czerwoną, niedaleko miejsca, gdzie stała wieża obronna wzniesiona przez Francuzów. Weszła do bambusowego zagajnika, gdzie ku swej wielkiej radości dostrzegła niewielki strumyk. Przykucnęła, ochlapała twarz zimną wodą, potem schowała się w takim miejscu, gdzie nikt nie mógł jej zobaczyć, i przebrała się szybko we francuską sukienkę, którą dał jej Tràn. Przygładziła włosy, wyprostowała się – choć bolał ją każdy mięsień, a nogi odmawiały już posłuszeństwa – i pomaszerowała do wieży, gdzie przekazała wartownikowi, że została uprowadzona przez Viet Minh i była przetrzymywana w obozie reedukacyjnym, z którego na szczęście udało jej się uciec. Wartownik słuchał tego z wyraźnym niedowierzaniem, ale kiedy opowiedziała mu jeszcze coś o swoim życiu w Hanoi i przede wszystkim o obozie, zmienił zdanie. Na pewno dostrzegł też, w jak opłakanym stanie były nogi Nicole. Miała wielką nadzieję, że dostanie coś do jedzenia, ale niestety wartownik mógł jej tylko zaproponować szklankę wody, którą wypiała duszkiem, oraz papierosa. Czarnego gauloise'a troupe, za którego Nicole podziękowała.

Następnego dnia rano wsadzono ją do ciężarówki, która wiozła francuskich żołnierzy do Hanoi. Większość z nich odnosiła się do Nicole bardzo życzliwie, nie brakowało jednak i takich, co spoglądali na nią podejrzliwie. I wszyscy byli jednakowo ponurzy, kiedy rozmawiano o eskalacji komunizmu. O opustoszałych wioskach, których mieszkańcy wiedzieli, że znajdujące się w pobliżu obozy Francuzów zostaną zaatakowane. Mówili o tym, że owszem, Francuzi mają

przewagę, ale tylko w powietrzu. Bo ziemia w coraz większym stopniu kontrolowana jest przez Wietnamczyków, mistrzów kamuflażu.

Podczas jazdy Nicole zdrzemnęła się chwilę. Obudziła się, kiedy ciężarówka wyhamowała przed jakimś magazynem czy składem koło kwatery Francuzów. Wsiadła i zobaczyła tłum ludzi ustawionych w kolejce, także jakichś urzędników. Nie było więc na co czekać. Błyskawicznie wsunęła się za stojący nieopodal samochód, przemknęła przez jezdnię i znikła w bocznej uliczce, którą dochodziło się do willi Duvalów. Tam jednak nie mogła jeszcze iść. Najpierw musiała wziąć ze sklepu klucze do domu, a mogła to zrobić tylko o zmroku, bo w dzień w takiej sukience nie wolno było pokazywać się w wietnamskiej dzielnicy. Znow więc znalazła się na polance pod baldachimem z liści drzew, gdzie kiedyś leżała obok Tràna. Teraz była sama, obolała i brudna, a jej największym marzeniem było znaleźć się w łazience, którą dzieliła z Sylvie. Wejść do wanny, do ciepłej, pachnącej wody i zmyć z siebie ostatnie sześć miesięcy, by po tych wszystkich okropnościach nie pozostał żaden ślad.

Wracała do domu, z którego odeszła na własne życzenie. Odeszła od swoich najbliższych, o których w ciągu kilku ostatnich miesięcy starała się nie myśleć. A teraz było jej wstyd, po prostu wstyd, że ich odtrąciła. Ona, która ledwo przysła na świat i już straciła matkę! Bez żadnych skrupułów odeszła od jedyńych bliskich, jacy jej pozostali. Od ojca i Sylvie. Ojciec wprawdzie zrobił coś strasznego, ale, dziwna rzecz, teraz jakoś była tym mniej zszokowana. Ludzie przecież popełniają błędy. Poza tym to jej ojciec. Po prostu. A Sylvie? Siostra. Tak, ale w jej przypadku nie mogła się zdobyć na wyrozumiałość. Bo chociaż zdarza się, że w pewnych okolicznościach człowiek nieświadomie zadaje ból drugiemu, ona nigdy nie wybaczy

Sylvie, że pomogła Giraudowi zamknąć ją w areszcie domowym.

Nie miała butów ani skarpetek, ani płaszcza. Wilgotne powietrze Hanoi przenikało przez cienką bawełnianą sukienkę. Dygotała z zimna, ale ogromne zmęczenie po trwającej prawie miesiąc wędrówce wzięło górę i powieki opadły. Od razu pogrążyła się w głębokim i pozbawionym marzeń śnie. Spała chyba kilka godzin. Obudził ją huk wystrzałów. Czyżby wojna dotarła już do Hanoi?

Leżała nieruchomo, nasłuchując, i strach ścisnął ją za gardło.

Kiedy zapadł zmierzch, Nicole zebrała się na odwagę i poszła do sklepu po klucze. Aby nie rzucać się w oczy, wślizgnęła się tylnym wejściem, chwyciła klucze i po chwili już stała przed drzwiami rodzinnego domu. Spojrzała jeszcze tylko na lśniąca w poświacie księżycowej taflę jeziora i przekręciła klucz. Przekraczając próg, czuła niewysłowioną ulgę. Wreszcie jest tutaj, w swoim domu, bezpiecznym miejscu.

Hol pogrążony był w ciszy i ciemnościach, dlatego od razu potknęła się o coś leżącego na podłodze. Na moment znieruchomiała, słuchając cichego tykania zegara, potem poszukała po omacku wyłącznika na ścianie. Przekręciła. Owszem, piknęło, ale wcale nie zrobiło się jasno. Oparła się więc plecami o drzwi i odczekała chwilę, by oczy przyzwyczyły się do ciemności. Już bez żadnych potknięć przeszła do salonu, gdzie również było ciemno. Zeszła więc do kuchni. Cichutko, na palcach, choć była już prawie pewna, że w domu nikogo nie ma. I że musieli opuścić go nagle. Ojciec, Sylvie, Lisa. Dlaczego? Serce zabiło jej szybciej. A może... może niespodziewanie wtargnęli tu Wietnamczycy i nikt nie zdążył uciec? O nie, nie pozwalała wyobraźni podsuwać jej tak koszmarnych obrazów. Ale co z tego, skoro to oczywiste, że podczas jej nieobecności wszystko mogło się zdarzyć.

W domu było zimno, wilgotno, jakby był niezamieszkanym od wielu tygodni, może nawet miesięcy. Słychać było tylko cichutkie dźwięki, jakie wydawał sam dom: skrzypnięcia, postukiwanie, a przecież powinno dochodzić głośne chrapanie papy. Sylvie nie chrapie, śpi zawsze cicho, w ładnej pozie. Tak elegancko.

Wyobrażnia jednak nadal pracowała. Może ktoś tu jednak jest i śpi w pokoju na górze? Nie, to niemożliwe. Gdyby tu przebywali jacyś ludzie, nie byłoby tak lodowato. Po omacku odszukała górną szufladę w kredensie, z lewej strony, gdzie Lisa przechowywała różne drobiazgi, które mogą się przydać. Świeczki, gdyby nagle wysiadł prąd, zapalaki do zapalania lamp naftowych, pilniczek do paznokci, wyjątkowo ostre nożyczki, znaczki pocztowe, koperty i tak dalej. Wysunęła szufladę i zaczęła w niej szperać, szukając świeczek i zapalek. Zapalaki, niestety, były wilgotne. Udało się zapalić dopiero siódmą. Migotliwy płomyk świeczki wreszcie rozjaśnił nieco ciemność i Nicole mogła się rozejrzeć. Okno, jak się okazało, było zabite deskami. Potem znów poszperała w szufladzie i wyjęła jeszcze kilka świeczek, które po zapaleniu wstawiła do kubka. Podeszła z jedną świeczką do spiżarni. Była okropnie głodna, ale kiedy usłyszała cichutkie skrobanie, niewątpliwie myszy, wiedziała już, że w tej spiżarni niczego świeżego do jedzenia nie ma. Ale nie szkodzi, Lisa zawsze trzymała w spiżarni marynaty z warzyw, dżemy i fasolę w puszkach.

Lisa... Wystarczyło o niej pomyśleć i Nicole poczuła paniczny strach. Co z nią, jej wierną sojuszniczką? Gdzie jest, czy nic złego jej się nie stało?

Nagle krzyknęła cicho, bo kropelka roztopionego wosku kapnęła jej na rękę. Zsunęła więc rękaw, by zasłonić dłoń, i zaczęła szukać butelki po winie. Z takim niby-świecznikiem można było teraz spokojnie spenetrować spiżarnię. Znalazła słoik z marynowanymi kabaczkami. Szybko odkręciła pokrywkę i wsadziła kawałek kabaczka do ust. Potem drugi, trzeci. Sos wymieszany z octem spływał po brodzie. Rozkosz!

Kran nad zlewem na szczęście działał, i choć woda była zimna i brązowawa od rdzy, wypila cały kubek. Bardzo chętnie

zjadłaby teraz bagietkę z masłem i dżemem, niestety tego w spiżarni nie było. Marzyła też o kawie, ale o zagotowaniu wody nie było mowy.

Stopy bolały ją okropnie, żeby więc choć trochę poczuć się bardziej komfortowo, ściągnęła z krzesła Lisy ustawionego pod oknem ciepłutki koc i owinięta nim podeszła do schodów, zamierzając iść do salonu. Nagle zamarła, bo usłyszała czyjeś kroki na górze. Kto to może być? Otuliła się szczelniej kocem, a kiedy ten ktoś na górze przystanął, serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Słyszała, jak otwiera drzwi, a więc zaraz zejdzie po schodach. Kto? Giraud? Jeśli to on, jej zagorzały przeciwnik, znów trzeba będzie stawić mu czoło.

Zegar w holu wybił godzinę i na szczycie schodów pojawił się jakiś mężczyzna. Wysoka, ciemna postać, podświetlona od tyłu księżycową poświatą. Twarz była nie do rozpoznania. Zszedł po schodach i zatrzymał się, a Nicole poczuła, że odwaga, na jaką się zdobyła, gdy uciekała z północy, znika. Bała się, straszliwie się bała. A mężczyzna stał i milczał. Gdzieś na ulicy samochód zahamował z piskiem opon i znowu zaległa cisza.

Płomyk świecy zamigotał, oświetlając to, co mężczyzna trzymał w ręku. Pistolet.

– Kto... kto tam? – wykrztusiła.

Odchrząknął. Niby nic nadzwyczajnego, dla niej jednak ten dźwięk był zapowiedzią końca. A więc tylko po to przebyła tyle kilometrów...

– Nicole? To ty?

– Mark?!

Kiedy podszedł bliżej, butelka wypadła z rąk Nicole, a w ślad za nią ona sama osunęła się na podłogę. Półprzytomna, nieświadoma, że Mark bierze ją na ręce i niesie do pokoju papy.

Nie tylko zaniósł, także się nią zaopiekował. Umył jej nogi i przemył rany środkiem dezynfekującym. Był bardzo delikatny, ale jednocześnie wyraźnie starał się zachować dystans. Przyniósł jej coś do zjedzenia, wodę, czystą pościel, nawet przenośną toaletę. Potem Nicole zdrzemnęła się chwilę. Wcale nie czuła się skrępowana obecnością Marka. Kiedy człowiek jest tak obolały, ledwo żywy, przestaje być wrażliwy i delikatny. Teraz liczyło się przede wszystkim to, że wreszcie leży na normalnym łóżku, w czystej pościeli pachnącej lawendą.

Kiedy obudziła się po drzemce, usiadła i zadała Markowi zasadnicze pytanie: co się tu właściwie dzieje? Okazało się, że Mark nie wie. Powiedział, że musiał wyjechać do Ameryki. Wrócił przedwczoraj i nie zastał tu nikogo. Zanim wyjechał, usłyszał od Sylvie, że Nicole uciekła z jakimś Wietnamczykiem.

– I tego właśnie się obawiałem.

– Co ty mówisz? Miałabym uciekać z jakimś mężczyzną?
Bzdura.

Wlepiała w niego oczy, ale on wyraźnie unikał jej spojrzenia.

– To nie są żarty, Nicole. Ten człowiek jest terrorystą.

– Czyli teraz tutaj mieszkasz, tak? Czy ktoś o tym wie? – spytała, ignorując uwagę o Tràn. Przecież dokładnie to samo można by powiedzieć o Marku. Co prawda nikt nie wiedział, czym tak naprawdę się zajmuje, ale pewnych rzeczy można się było domyślić. A terroryści byli po obu stronach i skutki ich działań były w równym stopniu przerażające.

– Nie – odparł. – Wszedłem przez tylne drzwi, od strony ogrodu, i niczego tu nie ruszałem. Nie rozsuwałem zasłon, nie otwierałem żaluzji. Okna są zresztą zabite deskami.

– Ale jak wszedłeś do środka?

– Sylvie kiedyś dała mi klucze.

– Czy ktoś jeszcze je ma?

– Nie wiem.

– Powiedz, co z nimi się stało? Z papą i Sylvie? – spytała, czując, że łzy napływają jej do oczu.

– Próbuję się tego dowiedzieć. Prawdopodobnie twój ojciec i Sylvie po prostu spakowali się i wyjechali do Francji.

Oby! Nicole bacznie wpatrywała się w jasnoniebieskie oczy, mając nadzieję, że Mark niczego przed nią nie ukrywa.

– Zawiodłam swojego ojca – powiedziała po chwili. – Bardzo chciałabym wiedzieć, gdzie są. Być razem z nimi.

Mark westchnął.

– Każdemu teraz ciężko. I wszyscy się pogubili. Nikt już właściwie nie wie, co jest dobre, co złe.

Nicole powoli pokiwała głową i na dłuższą chwilę zamilkła. Wreszcie oznajmiła:

– Muszę koniecznie się wykapać. Jestem okropnie brudna. Chyba po prostu śmierdzę.

– Może i powinnaś – odparł z uśmiechem – ale, niestety, jest tylko zimna woda, bo nie ma czym napalić w bojlerze.

– O nie! A ja miałam taką nadzieję...

– Zobaczę, co da się zrobić.

Nicole była wzruszona niemal do łez jego życzliwością i uczynnością. Kiedy Mark wyszedł z pokoju, znów przysnęła, ale, niestety, tym razem miała koszmarne sny. Kiedy Mark wrócił, była cała roztrzęsiona, zapłakana. Mężczyzna postawił na podłodze pudło, które przyniósł ze sobą, przysiadł na brzegu łóżka i objąwszy rozszlochaną Nicole, zaczął głaskać ją po plecach.

– Dlaczego tu jesteś, Mark? – spytała, kiedy łzy przestały płynąć. – Dlaczego wróciłeś do Hanoi?

– Mam tu coś do zrobienia – powiedział i zamilkł,

wpatrując się w podłogę. A po chwili poderwał głowę i uśmiechnął się. – Udało mi się coś zdobyć.

– I to coś jest w tym pudle?

– Tak. Butla gazowa i palnik. Dzięki nim woda co prawda nie będzie gorąca, ale na pewno nie zimna. Zaraz się tym zajmę.

Wstał, ale nie odszedł, bo Nicole chwyciła go za rękę.

– Poczekaj, Mark. Powiedz mi, tak szczerze, czy miałeś zamiar kiedyś oświadczyć się Sylvie?

– Nie – odparł bez wahania. – Mówiłem ci już. Nigdy nie byłem z Sylvie blisko.

– Pytam, bo jakiś czas temu poprosiła mnie o osiem metrów kremowego jedwabiu. Kiedy spytałam, na co jej ten jedwab, odpowiedziała wymijająco. Byłam pewna, że na suknię ślubną, naturalnie dla Sylvie.

Przez cały następny tydzień Mark wychodził z domu tylko w nocy. Nicole zostawała sama w domu oświetlonym jedynie blaskiem świec. Nie pytała, dokąd idzie, ponieważ zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie nie wolno mu o tym nikomu mówić. W dzień natomiast Mark dotrzymywał jej towarzystwa. Czytał jej i opiekował się nią troskliwie. Pewnego ranka, kiedy się obudziła, zastała go w swoim pokoju. Siedział na krześle obok łóżka, a na kolanie miał opartą tacę.

– Co ja widzę! Mark, czyżby kawa?

Pokiwał głową.

– Nie mylisz się. Zużyłem na nią resztki gazu. Poza tym bagietka z masłem i dżemem.

– Naprawdę?! Skąd wiedziałeś, że o tym marzę?

– Dowiedziałem się od ciebie. Mówiłaś o tym przez sen.

– Podglądasz mnie, kiedy śpię?!

Mark wyraźnie był zmieszany.

– Nie... Skąd! Po prostu zaglądam tu czasami, żeby

sprawdzić, czy oddychasz.

– Zagładasz jak do małego dziecka?

Roześmiała się, ale zauważyła, że oczy mu pociemniały.

– Oboje musimy bardzo uważać na to, co robimy i co mówimy, Nicole. Nie wolno nam wzbudzić podejrzeń Girauda. Dobrze wiesz dlaczego. On uważa, że stanowisz zagrożenie dla Francuzów.

– Przecież nie jestem terrorystką.

– Nigdy nie wiedziałaś, co planują?

– Nie. Byłam tylko piosenkarką.

– Bardzo chciałbym w to wierzyć. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo.

Nicole, zachwycona, że Mark patrzył na nią także wtedy, kiedy spała, objęła dłońmi jego twarz.

– Ejże, Mark! – zawołała. – Chyba nie goliłeś się od kilku dni!

Nie zaprzeczył, tylko przykrył ręką jej dłoń.

– A więc jak? Napijemy się kawy?

Teraz zauważyła, że na tacy są dwa kubki i dwa talerzyki.

– O! Czyżbyś miał zamiar zjeść ze mną śniadanie?

– A tak.

– W takim razie włącz pod kołdrę, bo w tym domu jest okropnie zimno.

Mark bez oporu zdjął buty i spełnił jej żądanie. Najpierw zjedli, odkładając towarzyską rozmowę na później. Wyglodzona Nicole jadła żarłocznie, nie przejmując się, że na pościeli widać coraz więcej śladów masła i dżemu.

– Ale z ciebie brudas! – stwierdził z niesmakiem Mark i otarł jej usta ręcznikiem. Był teraz tak blisko, że czuła na policzku jego ciepły oddech. Niestety, trwało to bardzo krótko. – No dobrze – mruknął i odsunął się. – Teraz pójdę się zdrzemnąć,

potem wychodzę.

Nicole posmutniała. Znow będzie sama...

– Mark, a mógłbyś mi poświęcić jeszcze trochę czasu? Bardzo chciałabym wrócić na górę. Tu jest ponuro, ciemno, a tam okna nie są zabite deskami, prawda?

– Prawda. A więc dobrze, przeniesiesz się tam. Musisz tylko chwilę poczekać. Pójdę po pościel.

– Dziękuję, Mark. Cały czas marzyłam, aby być na swoich starych śmieciach!

– I będziesz.

Nie było go może kwadrans, może trochę dłużej. Potem pomógł Nicole wejść po schodach i oboje znaleźli się w jej dawnym pokoju, zalanym teraz słońcem.

– Może tak być? – dopytywał się Mark. – Trochę tu posprzątałem.

Pokiwała tylko głową, wzruszona do łez.

– Wskakuj do łóżka. Świecę stawiam tu, na stoliczku. Pamiętaj, Nicole, że zasłony mają być zasunięte, żaluzje też. Nikt nie może zobaczyć światła w domu.

– No tak, ale przecież w dzień zasłony są rozsunięte. Jak je zasunę, może to zwrócić czyjąś uwagę.

– Faktycznie. Ale pod oknem rośnie wielki figowiec i zasłania wszystko. W każdym razie lepiej nie otwierać okien, zwłaszcza tych od ulicy.

– Kiedy wrócisz, Mark?

– Sam nie wiem. Ale na pewno nie potrwa to długo.

– Musisz koniecznie iść? Nie możesz zostać?

– Niestety, nie mogę, choć najchętniej nie ruszałbym się stąd na krok. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo przy okazji zdobędę coś do jedzenia. A ty uważaj na siebie. Do łazienki idź tylko wtedy, jeśli naprawdę będziesz czuła się na

siłach. Nie zapominaj, że jesteś bardzo słaba. Leż sobie, zdrowiej i bądź cicho. Pamiętaj, że ten dom ma sprawiać wrażenie kompletnie opustoszałego. Okno możesz uchylić dopiero o zmroku. Tylko uchylić!

I wyszedł. Nicole została sama. Zgodnie z zaleceniem leżała i naturalnie rozmyślała. Tym razem o tym, że nikomu jeszcze nie powiedziała, czego świadkiem była podczas tamtego balu. Nie pisnęła słowa ani Sylvie, ani Trànowi. Markowi też nie, i to jednak jej ciążyło. Bo komu jak komu, ale Markowi chyba powinna o tym powiedzieć.

Była bardzo słaba. Nic dziwnego, skoro miała za sobą długą, wyniszczającą pieszą wędrówkę z północy na południe, a przedtem wielomiesięczny objazd z trupą teatralną. Mimo to wstała i żeby rozruszać trochę nogi, przeszła się po domu. Powolutku, ostrożnie przechodziła z pokoju do pokoju, rozmyślając o swoich najbliższych i dotykając ich ulubionych rzeczy. Pogłaskała piękny parawan Sylvie, stare dębowe biurko papy, także stary fotel Lisy. Dziwne, że te ulubione meble nie zostały wysłane statkiem z powrotem do Francji. Może Sylvie zamierza tu jednak wrócić.

Każda rzecz budziła wspomnienia o ich właścicielach. Czy kiedykolwiek jeszcze ich zobaczy? Oczywiście! Nie wyobrażała sobie, że może być inaczej!

Weszła do niebieskawozielonej łazienki, która śniła jej się tyle razy, i otworzyła szafkę Sylvie. Była pusta. Został tylko słoiczek z kremem do twarzy i flakonik perfum. Tabletki znikły. Nicole bezwiednie sięgnęła po pustą buteleczkę, przytknęła do nosa, powąchała i łzy napłynęły jej do oczu. Poczowała się przeraźliwie samotna.

Po powrocie do swego pokoju przyklękła koło biblioteczki i musnęła palcami grzbiety ukochanych książek. Wzięła z półki

jedną z nich, pottrzymała chwilę w ręku, potem drugą, trzecią, i wreszcie natrafiła na tę najukochańszą książkę z dzieciństwa: *Małe kobietki*, która natychmiast ożywiła wspomnienia z Hué. Mimo woli zaczęła przewracać kartki i nagle spomiędzy nich wysunęła się koperta. Dziwne. Czyżby schowała tu kiedyś jakiś niedokończony list? Nie, to niemożliwe, bo koperta była zaklejona. Szybko rozerwała kopertę i wyjęła z niej starannie złożoną kartkę.

Chérie,

nie wiem, gdzie teraz jesteś, nie wiem też, czy kiedykolwiek przeczytasz ten list, ale wiem jedno: zawsze sięgniesz po tę właśnie książkę. Więc jeśli teraz czytasz ten list, oznacza to, że żyjesz. I wróciłaś.

*Czekaliśmy na Ciebie bardzo długo, dopóki sytuacja w Hanoi się nie zmieniła i nie można już było dłużej czekać. Papa uznał, że wywiązał się ze wszystkich zobowiązań wobec gubernatora i nadszedł czas, żeby zdecydować, co dalej. I podjął decyzję bardzo trudną, bo postanowił, że wyjedziemy potajemnie, nie mówiąc o tym nikomu. Pojechałam z Papą do Paryża, żeby pomóc mu się tam urządzić, bo po udarze nie czuje się dobrze. (Ty chyba o tym nie wiesz?). Udało nam się sprzedać *Maison Duval* przy *Rue Paul Bert*, niestety bardzo tanio, ale wystarczyło na kupno małego mieszkania w Paryżu, przy *Rue des Archives* w dzielnicy *Le Marais*. Papa ma jeszcze trochę akcji i udziałów, da więc sobie radę. Kto wie, czy nie będzie jeszcze kiedyś bogaty. Dzielnica, w której mieszka, jest taka sobie, więc mieszkanie było niedrogie i dlatego je kupiliśmy. Papa musi przecież mieć też pieniądze na życie.*

Kiedy znikłaś tak nagle, był bardzo przygnębiony i obwinił samego siebie. Szukał Cię przez trzy miesiące, wysyłając ludzi w różne strony. Nie mówię Ci tego po to, żeby Cię zmartwić, ale

prawda jest taka, że Papa bardzo się bał, że możesz zrobić jakieś wielki głupstwo. Po trzech miesiącach uznał, że trudno, ale musimy wyjechać, zanim sytuacja jeszcze bardziej się pogorszy. I dobrze, że wyjechaliśmy, bo gdybyśmy z tym zwlekali, stan zdrowia Papy, i tak nie najlepszy, mógłby ulec takiemu pogorszeniu, że wyjazd stałby się niemożliwy. Wyjeżdżaliśmy w pośpiechu. Giraud przychodził do nas prawie codziennie i węszył. Do tego człowieka całkowicie straciłam zaufanie. Ale też nie wierzę w pogłoski o wojnie. Moim zdaniem to tylko sianie paniki. Ja w każdym razie zamierzam wrócić do Hanoi, żeby zakończyć nasze sprawy i spakować resztę rzeczy. Albo też zostać i dalej prowadzić naszą firmę.

Papa zaraz po przyjeździe do Paryża napisał do Ciebie list. Czy dotarł? I jeszcze jedno. Jeśli możesz, zajmij się swoim sklepem w starej dzielnicy. Podczas Twojej nieobecności prowadzi go Twoja znajoma i sąsiadka, O-Lan. Nie wiem, z kim sympatyzuje, ale oprócz niej nie było nikogo, kto mógłby zająć się sklepem. Nie sądzę, żeby nas oszukiwała. Jej sklep został zalany i cały towar uległ zniszczeniu. Możesz ją zatrzymać albo zwolnić. To Twoja decyzja. Ja w każdym razie wracam za kilka miesięcy.

Jeśli chodzi o Lisę, to pojechała do swojej siostry do Langwedocji i tam już zostanie.

Chciałam prosić Cię o przysługę. Decyzja o wyjeździe została podjęta szybko, zaraz po sprzedaży naszego domu towarowego. Przed wyjazdem nie widziałam się z Markiem. Mark wyjechał do Ameryki, obiecał jednak, że postara się wrócić do Hanoi jak najszybciej. Jeśli będziesz się z nim widziała, powiedz mu, proszę, że wrócę do Hanoi.

Mam nadzieję, chérie, że jesteś cała, zdrowa i bezpieczna. Możesz mi nie wierzyć, ale naprawdę się o Ciebie martwię.

Nicole przeczytała list dwa razy, schowała go do koperty i z powrotem włożyła do książki. Szczerze mówiąc, wolałaby od razu o nim zapomnieć, ale było to niemożliwe. Owszem, czuła teraz wielką ulgę, że ojciec i Lisa są bezpieczni, natomiast jeśli chodzi Sylvie, to budziła w niej uczucia... no, powiedzmy, mieszane.

Tej nocy zgodnie z zaleceniem Marka zostawiła okno tylko trochę uchylone. Do pokoju wpadało świeże, wilgotne powietrze. Kiedy słyszała czyjeś kroki na ulicy, zastanawiała się, kim mogą być ci ludzie, których twarzy nie widzi i nigdy nie zobaczy. Może to żołnierze idący na wojnę. Co chwilę pojawiała się pytanie: Czy Sylvie naprawdę wróci do Hanoi?

Kiedy nadszedł szary świt, Nicole zebrała się na odwagę i bardzo ostrożnie wychyliła głowę przez okno. Na ulicy panowały cisza, spokój. Ta cisza wcale jej się nie podobała. Stanowczo wolałaby usłyszeć muzykę albo swoich najbliższych. Ich śmiech. Tak bardzo chciała tu wrócić. I co? Nie ma ani odrobiny radości. Wszystko, co piękne i miłe, odeszło, można tylko przywoływać to pamięcią. Ale najgorsze było wspomnienie o tym, co Trần zrobił w obozie. Teraz też ta straszna scena stanęła jej przed oczami. Kiedy z powrotem ułożyła się w łóżku i zamknęła oczy, nadal widziała ten koszmar. Trần, owszem, pomógł jej w ucieczce, ale to wcale nie znaczy, że się nie zmienił. Na pewno nie był już dawnym sympatycznym, młodym człowiekiem, żarliwym idealistą.

Niestety, skończyły się czasy, kiedy przesiadywała w kuchni, gdzie było zawsze ciepło i bezpiecznie. Teraz mogła tylko przytulić się do zimnej ściany. Jakże żałowała, że poszła za Trầnem, że widziała to wszystko. Te jego czarne oczy, kiedy

wysyłał kobietę i dziecko na niechybną śmierć...

Tej nocy usłyszała łomotanie do drzwi. Naturalnie nie otworzyła. Leżała w łóżku, umierając ze strachu. Wcześniej w dzień też ktoś walił w drzwi kilka razy. Oddychając głęboko, starała się przezwyciężyć strach i uspokoić przyspieszony oddech. Jeśli to Giraud nadal usiłuje ją dopaść, to bez Marka wcale w tym domu nie jest bezpieczna. Minuty mijały, a ona leżała, drżąc na całym ciele, i modliła się, by Mark już wrócił. Bo on na pewno z Giraudem by sobie poradził.

Wreszcie zapadła cisza. Nikt już nie walił w drzwi i nie było słycać żadnych niepokojących dźwięków, tylko piski myszy na strychu.

Czas mijał i choć nadal była wystraszona, zasnęła. Obudziła się, gdy ktoś zawołał:

– Nicole?!

Nie wierzyła własnym uszom i swemu szczęściu. W pierwszym odruchu chciała zerwać się z łóżka, ale była tak spięta, że nie mogła się poruszyć. Potrząsnęła głową i zalała się łzami.

Mark przykucnął obok łóżka.

– Już dobrze, Nicole. Nie płacz.

Twarz Marka była bardzo blisko. Pachniał słońcą wodą i potem. Ten zapach wpływał na nią kojąco.

– Czy... czy teraz zostaniesz już ze mną? – wykrztusiła.

– Oczywiście – odparł. Poglaskał ją po głowie i odwrócił się, by przysunąć sobie krzesło.

A ona nie była w stanie zapanować nad swoim największym pragnieniem.

– Nie, Mark, nie! Chodź tu do mnie i obejmij mnie. Proszę, Mark.

Nadal roztrzęsiona, opowiedziała mu o łomotaniu do drzwi,

o tym, jak strasznie się bała. Mark pogłaskał ją po twarzy. Czuła ciepło jego palców i bardzo chciała, żeby na tym głaskaniu się nie skończyło, ale on traktował ją jak dziecko, które trzeba pocieszyć, utulić...

– Mark, ja...

– Przecież jestem przy tobie – powiedział, wreszcie siadając na łóżku. Nicole położyła głowę na jego ramieniu, pragnąc teraz ponad wszystko powiedzieć mu, że go kocha. Kocha i to nie od dziś! Niestety, nie mogła się z tym zdradzić, skoro on był wobec niej wyłącznie życzliwy.

Posiedzieli tak chwilę, potem Mark odsunął ją trochę od siebie, by spojrzeć jej w twarz.

– Jesteś taka mizerna, Nicole, taka szczupła. Boję się, że najłżejszy podmuch wiatru uniesie cię ze sobą.

– Ale czuję się dobrze, Mark, tylko dręcą mnie złe wspomnienia. Kiedy zamknę oczy, widzę to wszystko...

– Domyślam się.

– ...i wtedy trzęsę się ze strachu.

– Biedactwo... Bardzo żałuję, że nie mogę być z tobą przez cały czas. – Pogłaskał ją po policzku, potem uśmiechnął i spojrzał z taką czułością, że jej serce zatrzepotało. – Niezależnie od wszystkiego nadal jesteś bardzo ładna, Nicole.

Objął dłońmi jej twarz i wreszcie to zrobił. Pocałował ją. Zamknęła oczy i rozkoszując się smakiem jego słonych ust, całkowicie poddała się chwili, na którą czekała z takim utęsknieniem.

Następnego dnia, kiedy zapadł zmierzch, poprosiła Marka, by z nią trochę posiedział (przecież poprzedni wieczór zakończył się pocałunkiem). Nic poza tym się nie stało i w rezultacie zaczynała się zastanawiać, czy faktycznie ją pocałował, czy tylko to sobie wyobraziła.

Okno było minimalnie uchylone i z ogrodu dochodził szum liści wiecznie zielonego figowca giganta. Potężne drzewo o wysokości ponad trzydziestu metrów i kilkumetrowym obwodzie pnia, którego gałęzie tworzyły przepiękną, rozłożystą koronę, było ulubionym drzewem Nicole. Kiedyś, żeby zrobić córkom przyjemność, ojciec splótł ze sznura drabinkę, po której dziewczynki wchodziły na mały pomost umocowany na konarach figowca i stamtąd mogły obserwować, co się dzieje w dole. Wtedy wydawało im się, że są bardzo wysoko, a tak naprawdę były jakieś dwa metry z kawałkiem nad ziemią.

Nicole potrząsnęła głową. Nie, nie może dopuścić, by zawładnęły nią nostalgiczne wspomnienia.

– Przyniosę ci koc – zaproponował Mark, wstając z krzesła.

Machnęła ręką, żeby usiadł z powrotem, a potem, starając się, żeby zabrzmiało to beznamiętnie, powiedziała:

– Kiedy ciebie nie było, w jednej z moich książek znalazłam schowany tam list.

Po krótkiej przerwie dodała:

– Nie miałam pojęcia, co to za list...

Znów urwała i spojrzała w bok, nie chcąc teraz widzieć jego oczu.

– Okazało się, że to list od Sylvie.

Nie odzywał się, więc zerknęła na jego twarz. Była

kompletnie pozbawiona wyrazu.

– To wspaniale – bąknął. Ona z kolei powiedziała, że jej siostra i ojciec są w Paryżu, całkowicie bezpieczni, natomiast Lisa zamieszkała w Langwedocji u siostry, Alice Brochard.

Czy teraz powinna spełnić prośbę Sylvie i przekazać mu, że siostra jest zdecydowana wrócić do Hanoi?

Opuściła głowę, kryjąc twarz za włosami. Kiedy ponownie spojrzała na Marka, na jej twarzy widniał uśmiech.

– Sylvie napisała, że udało się sprzedać nasz dom towarowy i zaraz potem wyjechali do Francji. Czekają tam na mnie...

Uśmiech był coraz bardziej promienny, bo już wiedziała, co dalej powie. Zwyczajne kłamstwo, dzięki któremu Sylvie wreszcie zniknie z życia Marka.

– A... i jeszcze coś. Wyobraź sobie, że Sylvie zaręczyła się z jakimś Francuzem. Pierre'em, czy jak mu tam.

Była pewna, że tym kłamstwem nikomu nie robi krzywdy. Sylvie jest we Francji, nic jej nie zagraża i najprawdopodobniej nie zdecyduje się na powrót do Hanoi, co byłoby prawdziwym szaleństwem. A Mark stanowczo zaprzeczył, jakoby coś go łączyło z jej siostrą. Podsumowując, takie kłamstwo absolutnie nie jest przestępstwem i z czystym sumieniem można coś jeszcze dodać.

– Napisała, że tego Francuza poznała tu, w Hanoi, i bardzo szybko jej się oświadczył. Wybrała życie we Francji. I bardzo dobrze, bo tam jest najbezpieczniej.

– Tak. Tak chyba będzie najlepiej – powiedział Mark i zapadła cisza. Nicole zastanawiała się, czy mężczyzna myśli teraz o Sylvie. Jednocześnie nie posiadała się ze zdumienia, że stać ją było na takie wredne kłamstwo.

– O czym myślisz? – spytał Mark.

– O niczym!

A myślała o tym, że po prostu nie chciała, by z siostrą było podobnie jak z duchami w ogrodzie. Niby ich tam nie ma, a jednak są. Zawsze. Niemniej jednak... to kłamstwo to była zwyczajna głupota z jej strony. Wystarczy sobie przypomnieć, jak Mark kiedyś patrzył na Sylvie, z jaką czułością. Przecież on kocha się w Sylvie, to oczywiste. Więc po co z tym walczyć?

– A co z pozostałymi sklepami? – spytał Mark, o dziwo bardzo spokojnie. Jakby wcale nie był poruszony zaręczynami Sylvie.

Nicole wpatrywała się w niego z natężeniem. Bo kto wie, czy Mark teraz nieświadomie nie potwierdzi, że to wszystko, co Sylvie wygadywała o swoich relacjach z nim, to bzdury. Że Sylvie dała się ponieść fantazji i wyobrażała sobie nie wiadomo co, a tymczasem Mark wcale nie był nią zainteresowany. I ona nie potrafiła się z tym pogodzić.

– Jeśli ten sklep w starej dzielnicy nadal jest twój, może powinnaś tam wrócić. Jesteś metyską. W obecnej sytuacji gdziekolwiek byś była, zawsze ryzykujesz, ale w tamtej dzielnicy przynajmniej łatwiej ci będzie wmieszać się w tłum.

– Chyba masz rację, Mark. I bardzo ci dziękuję. Tyle dla mnie robisz. Jestem ci bardzo wdzięczna.

– A tak w ogóle to nie jest dobrze. Dowiedziałem się, że Giraud wie, iż tu mieszkam. A nie jesteśmy w najlepszych stosunkach, bo to ja doniosłem na niego, że za pieniądze Amerykanów sprowadzał prostytutki z Afryki.

– Wiem. Lisa mi o tym powiedziała. Myślisz, że to on tu przychodził i łomotał do drzwi?

– Całkiem możliwe. A nawet jeśli ktoś inny, to Giraud i tak tu się pojawi i będzie węszył.

– To może rzeczywiście powinnam jak najszybciej przenieść się z powrotem do sklepu? Uwielbiam go, ale szczerze

mówiąc, nie czuję się jeszcze na siłach stanąć za ladą.

– Nie ma pośpiechu. Najpierw musisz dojść do siebie po ciężkich przeżyciach.

Nicole pokiwała głową. Nie powiedziała mu, że istotnie, wcale się jeszcze z tego wszystkiego nie otrząsnęła.

– Sklep prowadzi teraz moja przyjaciółka O-Lan.

– I bardzo dobrze. A ty spokojnie odpoczniesz tu pod moim okiem; w razie mojej nieobecności zastąpi mnie znajomy Wietnamczyk, do którego mam pełne zaufanie. Będzie do ciebie zaglądał.

Uśmiechnął się i objął ją ramieniem.

– Będzie dobrze – powiedział miękko, głaszcząc ją po policzku – moja mała bohaterko...

Następnego dnia, kiedy Mark jeszcze spał, Nicole zeszła do kuchni i pomaszerowała do spiżarni, gdzie pod półką na ciasta stała szafka z drzwiczkami ze stalowej siatki. Zwykle przechowywano w niej sery, teraz jednak serów nie było, tylko dwie butelki: likier benedyktyński i likier z brandy. Tylko ona wiedziała, gdzie Lisa chowa swoje ulubione trunki.

Wieczorem zaś przeszukała szafkę w łazience i ku swej wielkiej radości znalazła tam flakonik Cœur Joie, w którym było jeszcze parę kropel. Poperfumowała więc kark i dekolt, potem włożyła jedwabny szlafrok, zawiązywany tylko u góry na wstążkę. Wyregulowała brwi, posmarowała usta odrobiną wazeliny i spojrzała krytycznym okiem na włosy. Koniecznie trzeba by je podciąć, bo końcówki się rozdwiają, ale nie teraz. Wyszczotkowała je porządnie, potarła policzki i zeszła na palcach na dół, by sprawdzić, czy żaluzje są pozamykane i zasłony zasunięte. Zaniosiła do salonu chleb i ser kupione przez Marka i zapaliła kilka świec, żeby było nastrojowo. Miała wielką ochotę rozpalić w kominku, ale dym z komina mógłby

ich zdradzić.

Kiedy usłyszała, że Mark wchodzi do holu, położyła się na sofie i zamknęła oczy. Mark przystanął na progu salonu i zaczął jej się przyglądać.

Odczekała chwilę i uniosła powieki.

– Wyglądasz pięknie, Nicole.

– Dziękuję.

Usiadła i uśmiechając się promiennie, zademonstrowała mu butelkę.

– Znalazłam coś wyjątkowego.

Mark również się uśmiechnął i przysiadł obok na sofie.

Nicole napełniła kieliszki.

– Mark, zjesz coś?

– Nie, dziękuję. Może później.

– Posłuchamy muzyki?

– Przecież nie ma prądu. A poza tym...

– Wiem, wiem. Ktoś mógłby usłyszeć.

Milczeli, sącząc likier. Potem Nicole ponownie napełniła kieliszki.

– Mark, a co ty właściwie robisz?

– Co robię? Teraz, w tym pokoju?

– Nie żartuj! Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– Wiem. A więc obecnie jestem odpowiedzialny za wyprowadzenie CIA z Hanoi i rejonów północnych, gdyby zwyciężył Viet Minh. Mogę też otrzymać inne rozkazy.

– Myślisz, że oni mogą zwyciężyć?

– Wszystko jest możliwe. Gdyby tak się stało, muszę natychmiast stąd wyjechać. To jeszcze jeden powód, żebyś była w dzielnicy wietnamskiej.

Pochylił się i zdmuchnął jakiś włoszek z jej brwi.

– Wyglądasz jakoś inaczej, ale jak zawsze bardzo ładnie.

– A gdzie tam! Jestem chuda jak szczapa, chociaż teraz przynajmniej widać kości policzkowe!

– To wcale nie jest zabawne.

Pili i pili, póki w butelce nie pokazało się dno, a Nicole, nieprzyzwyczajonej do alkoholu, porządnie zaszumiało w głowie.

Mark nachylił się ku niej.

– Pachniesz...

– Ja pachnę? – roześmiała się.

– ...bardzo ładnie.

Kiedy pochyliła głowę, by pomasować skronie, poczuła na karku jego ciepły oddech. Naturalnie puls natychmiast przyspieszył, ale jeszcze nad sobą panowała.

Mark odsunął się i zajrzał jej w oczy.

– A co z twoim wietnamskim chłopakiem?

– Chodzi ci o Trànà? On nie jest moim chłopakiem.

– Sylvie mówiła mi, że mieszkacie razem na północy.

– A ty myślałeś, że to prawda? Teraz rozumiem, dlaczego zachowywałeś wobec mnie dystans.

Mark uśmiechnął się, niby ciepło, ale też ostrożnie.

– Nie tylko dlatego, Nicole. Przecież nie możemy zapominać, że przez pół roku przebywałaś wśród terrorystów zdolnych do największego okrucieństwa. To bardzo smutne...

– A... rozumiem! – Nicole zerwała się na równe nogi. – To, co robią Wietnamczycy, jest bardzo smutne. A to, co robią Francuzi i Amerykanie, już nie? Ale nie mówmy o tym. Mark, zdaję sobie sprawę, że popełniłam wielki błąd, idąc na północ razem z Trànem. Przecież tak naprawdę zawsze chciałam być z tobą. Nie wiedziałeś o tym?

Mark potrząsnął głową.

– Na początku tak myślałem, ale po balu nagle wszystko się

zmieniło.

– Wiem, ale nie mogło być inaczej. Chociażby dlatego, że to ty, Mark, przyczyniłeś się do mojego aresztu domowego!

– Ja?! Co ty mówisz?! – Teraz i Mark zerwał się na równe nogi. – Nie wiedziałem, że do tego dojdzie. Przysięgam!

– Naprawdę nie wiedziałeś?

– Naprawdę!

Podszedł do niej i prawie zmiądzzył w uścisku. Udawała, że próbuje się uwolnić, ale kiedy jego wargi musnęły jej szyję tuż za uchem, było tak cudownie, że natychmiast się poddała. Jej ciało i dusza należały do Marka Jenson.

– Szkoda, że między nami tak było... – szepnęła.

– Tak. Zmarnowaliśmy tyle czasu. Nicole, naprawdę tego chcesz?

– O Boże, Mark, masz jeszcze jakieś wątpliwości? – wymruczała, czując na piersi jego gorącą dłoń. – Zatańczmy, dobrze? Tak jak kiedyś...

Zaczęła cichutko nucić piosenkę i przez kilka minut tańczyli. Nicole, wtulona w Marka, czuła, że od jego nagiej skóry dzieli ją tylko cienki jedwab szlafroka i płótno jego koszuli. Po chwili Mark zadrżał, odsunął się i musnął opuszkami palców dołek u nasady jej szyi. Nicole wydała z siebie cichy okrzyk, a Mark rozwiązał wstążki jej szlafroka. I zajrzał głęboko w oczy, jakby jeszcze raz pytał. Bez słów. Nicole kiwnęła głową i potem wszystko działo się już bardzo szybko.

Szlafrok opadł na podłogę, Nicole stanęła przed Markiem naga, z obnażoną duszą. Spojrzał jeszcze raz, pochylił głowę i ciepłe wargi zacisnęły się na jej sutku. Ona w tym czasie rozpięła mu spodnie i pociągnęła go na podłogę. Leżała na plecach z rozchylonymi nogami, kiedy on zdejmował koszulę i spodnie. Nie miał na sobie bielizny.

Przykucnął i znowu przez chwilę patrzyli tylko na siebie. Nicole odchyliła głowę w tył, gotowa całkowicie oddać się w niewolę zmysłów. Mark pochylił się i zaczął pieścić wargami jej piersi, potem brzuch, wreszcie wewnętrzną stronę ud. Kiedy jego usta dotarły do wilgotnego ciepła między nogami, Nicole nie mogła się już powstrzymać i szepnęła:

– Teraz...

Zadrżała, kiedy w nią wszedł, i od razu oboje zaczęli poruszać się zgodnym rytmem. Szybko, zdecydowanie, zbyt spragnieni, zbyt roznamiętnieni, by zważać na delikatność. On krzyknął, ona też, a potem leżeli obok siebie na podłodze, zmęczeni i pełni błógiego spokoju. Nicole nie spodziewała się, że przeżyje coś tak niesamowitego. Było całkiem inaczej niż z Trànem – Mark dał jej odczuć, jak bardzo jej pożąda.

Po chwili Mark uniósł się, opierając na łokciu, delikatnie odgarnął jej włosy z czoła i mruknął:

– A może by tak...

Uśmiechnął się znacząco, a Nicole musnęła dłonią jego twarz i westchnęła z rozkoszą:

– Jeszcze raz?

Dalsze panowanie Francuzów nad tą częścią kraju nie było już takie pewne. Otwarta wojna wydawała się nieunikniona, tym cenniejsze więc były chwile spędzane razem. Nicole była głęboko przekonana, że to, co ich łączy, nie jest czymś przelotnym; z każdą wspólnie spędzoną nocą więź między nią i Markiem stawała się silniejsza.

Bardzo często widziała, jak Mark, popatrując na nią, mruży oczy i uśmiecha się, a czasami, kiedy się kochają, jego uśmiech zmienia się w taki trochę złośliwy uśmieszek – najwyraźniej ten męczyzna potrafił przejrzeć ją na wylot.

Pewnego dnia po południu postanowiła uciąć sobie

drzemkę. Położyła się, zamknęła oczy i kiedy zapadała już w sen, usłyszała brzęczenie muchy niebieskiej, czyli plujki. Nakryła głowę poduszką – nie dlatego, że bała się much czy pajaków – ale mucha brzęczała tak namolnie, że nie mogła zasnąć. Niestety, poduszka zdała się na nic. Odrzuciła ją więc na bok i zaczęła śpiewać, ale brzęczenie wcale nie ucichło. Przeciwnie, wzmogło się, bo po pokoju grasowały już co najmniej dwie muchy.

Wstała więc z łóżka – była w samych majtkach – i otworzyła drzwi, mając nadzieję, że muchy wylecą na korytarz, one jednak były bardzo odporne, dlatego podjęła bardziej zdecydowane kroki. Przyczaiła się, potem podskoczyła i walnęła poduszką o ścianę. Zamiast uciec na korytarz, muchy zaczęły jeszcze głośniejsze brzęczeć, więc ponownie uderzyła. Po dziesięciu minutach, zlana potem, gotowa była już się poddać, ale zauważyła, że obie plujki przysiadły na framudze drzwi. Zamknęła więc oczy i z poduszką w ręku rzuciła się ku drzwiom. Wściekła walnęła z całej siły... i ktoś otworzył drzwi dokładnie w chwili, gdy z porwanej poduszki wysypało się pierze i niczym śnieg przykryło cały próg i okolice. Stojący tuż za progiem Mark strzepywał piórka z włosów, twarzy i koszuli.

– A czymże to sobie zasłużyłem na takie traktowanie? – spytał, wyjmując z ust jeszcze jedno zabłąkane piórko..

– Przepraszam, nie słyszałam, jak wszedłeś. Polowałam na muchy.

– Mając na sobie tylko...

I wskazał palcem na jej raczej skąpą bieliznę.

– Uważasz, że wyglądam zabawnie? – spytała, śmiejąc się.

– Wyglądasz nieprzyzwoicie i powinnaś zostać za to ukarana – oświadczył, po czym złapał ją wpół i przerzucił sobie przez ramię. Błyskawicznie, jakby była leciutka jak te białe

piórka.

– Mark! Puść mnie!

Nie raczył odpowiedzieć.

– No to przynajmniej powiedz mi, dokąd mnie niesiesz, ty potworze!

– Potwór? Ja? Przecież to ja jestem ofiarą.

Zeszli na dół i Mark otworzył drzwi do swojego pokoju. Wyglądał tak, że Nicole, nadal zwisając z jego ramienia, nie mogła się powstrzymać od głośnego okrzyku zdumienia i zachwytu. Migotliwe płomyki świec przypominały rozsiane na całym niebie gwiazdy. Jaki ten Mark kochany! Dookoła toczy się wojna, jest strasznie, a on zmienił ten pokój w krainę z baśni. Zrobił to dla niej!

– Przynajmniej nie muszę cię rozbierać – powiedział, stawiając ją na podłodze. – No i jak? Podoba się?

– Mark! Jest cudownie!

– Cieszę się. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochanie. Tylko tyle, bo nie jestem zbyt dobry w wyrażaniu uczuć słowami, więc...

Więc oczywiście uściskała go z całej siły.

– Muszę te świece zapalać częściej – zażartował w odpowiedzi.

Ściągnęła z niego marynarkę, on całą resztę, przy czym na podłogę spadło jeszcze sporo białych piórek, i stanął przed Nicole nagi jak go Pan Bóg stworzył.

– No i kto teraz wygląda nieprzyzwoicie? Kto?

I oboje wybuchnęli śmiechem.

– Pasujemy do siebie, ot co! – stwierdził Mark. – No i wreszcie jesteśmy razem.

– Tak. Wreszcie. Potrzebowaliśmy całego roku, by w końcu siebie odszukać. Tyle się wydarzyło...

– Owszem. I dobrego, i złego.

– Dziś nic złego się nie wydarzy. Tylko to, co najlepsze! – Nicole zdmuchnęła jeszcze jedno piórko z jego piersi. Rozpromieniona, szczęśliwa jak chyba nigdy dotąd.

Kiedy Mark wychodził z domu, Nicole niechętnie zostawała sama w tym ich dziwnym, zabitym deskami świecie. Pewnego dnia wieczorem tak bardzo pragnęła choć na chwilę opuścić dom, że narzuciła na głowę szal, który osłaniał jej włosy i twarz, i wyszła. Było chłodno, wiał porywisty wiatr, na ulicy było więc pusto. Raz tylko minęła ją jakaś para, ale to wystarczyło, by poczuła się nieswojo i postanowiła wrócić do domu.

Kiedy powiedziała o tym Markowi, od razu zrobił jej wykład o grożących jej niebezpieczeństwach. Miał oczywiście rację, ale pocieszała się, że jak wróci do swojego sklepu w ruchliwej, zatłoczonej dzielnicy, będzie mogła swobodnie chodzić na spacer.

Miała tam wrócić następnego dnia wieczorem, szykowała się więc już od samego rana. Podczas tych przygotowań nagle ją olśniło, że coś jest nie tak z menstruacją. Uznała jednak, że to nie powód do paniki. Zaburzenia cyklu pojawiały się już wcześniej, podczas uciążliwych wędrówek z trupą teatralną, kiedy więc całkowicie odzyska siły, wszystko się wyreguluje. I spokojnie kontynuowała przygotowania. Uprała wszystkie swoje wietnamskie ubrania, potem przećwiczyła, jak owinać głowę chustką, żeby wyglądać jak stuprocentowa Wietnamka. Ponieważ bardzo schudła, jej *áo dài* zrobił się o wiele za duży, ale poradziła sobie z tym, spinając spodnie z boku agrafkami.

Następnego dnia Nicole poszła razem z Markiem do sklepu. Zabrała z domu świeżą pościel, puchową kołdrę i jedwabną narzutę. Pościelili łóżko i Mark naturalnie został na noc, z tym

że wyszedł bardzo wcześnie, kiedy spała. Leżąc jeszcze chwilę w łóżku, wsłuchiwała się w odgłosy ulicy. Handlarze rozstawiali już swoje stoiska, pachniało więc między innymi pasztecikami z wieprzowiną i smażoną rybą z koperkiem. Nicole czuła, że zaczyna się cudownie odprężyć i wyrzuty sumienia – nakłamała przecież o Sylvie – znikają.

Kiedy usłyszała, jak ktoś otwiera drzwi wejściowe, natychmiast wyskoczyła z łóżka i popędziła na dół. Przecież to O-Lan! Nie wiedziała jeszcze, co opowie przyjaciółce, co przemilczy, no i przede wszystkim, czy powie jej o Tràn. Ale musiała się z nią zobaczyć. Koniecznie!

Słyszając jej kroki, przyjaciółka odwróciła się i zrobiła wielkie oczy.

– To ty! Och, Nicole, już myślałam, że cię nigdy nie zobaczę!

Cudownie było znów widzieć O-Lan. Nicole, choć bardzo za nią tęskniła, nie spodziewała się, że aż tak się wzruszy na jej widok. Jak zwykle wyglądała bardzo ładnie, choć Nicole zauważyła jeden niepokojący szczegół: podkrążone oczy.

Uściskały się serdecznie, potem O-Lan odsunęła się od przyjaciółki.

– Niech no na ciebie spojrzę.

– Wszystko w porządku. Naprawdę. A jak czuje się twoja matka?

– Niestety, nie jest lepiej. Przeważnie śpi w pokoju na piętrze.

– Wiem, co się stało z twoim sklepem, O-Lan. Bardzo mi przykro.

– Woda podeszła pod sam dom. Masz szczęście, że tutaj nie dotarła.

O-Lan usiadła na kanapie i Nicole uświadomiła sobie, że

podczas gdy ona jest szczęśliwa, rozpromieniona, O-Lan wydaje się samotna i smutna. Poruszona tym, usiadła obok przyjaciółki i przytuliła ją do siebie.

– Nie martw się, O-Lan. Wróciłam. Nie jesteś sama.

– Tak się cieszę, Nicole. Tak się cieszę... A wiesz, kiedy zalało ulicę, byłam w twoim sklepie i patrzyłam przez okno, czy woda tu nie dochodzi. Gdy twoja siostra poprosiła, bym poprowadziła wasz sklep, wydało mi się to idealnym rozwiązaniem. Nie stać mnie było na zakup nowego towaru, musiałam więc swój sklep zamknąć. I dlatego znalazłam się tutaj.

– Jestem ci za to nieskończenie wdzięczna.

– Teraz wracasz do pracy?

Nicole wahala się tylko przez moment.

– Tak, ale bardzo bym chciała, żebyś jeszcze tu trochę popracowała, póki nie dojdę całkiem do siebie. Naturalnie będę ci dalej płacić. Zgoda?

– Oczywiście, Nicole. Będę tu pracować tak długo, jak zechcesz. A powiedz, co u ciebie? Bardzo schudłaś. Byłaś chora?

Nicole błyskawicznie zdecydowała w duchu, że przedstawi łagodniejszą wersję wydarzeń.

– Owszem, trochę chorowałam, ale to nic poważnego.

– A Trần? Nie odzywa się do nas. Tylko raz przesłał nam wiadomość, że zobaczymy się dopiero po wojnie. Martwię się o niego. Nicole, powiedz, czy on... żyje?

– O ile mi wiadomo, żyje.

– Czy rozstaliście się w przyjaźni?

Nicole mimo woli spojrzała w bok.

– To trochę skomplikowana sprawa.

– On nie jest złym człowiekiem.

– Niestety, wojna zmienia ludzi – mruknęła Nicole, uznając, że tyle na ten temat wystarczy. – Pójdę się teraz umyć i poleżę jeszcze trochę.

– Oczywiście, Nicole. Idź, idź.

Nicole ruszyła do łazienki, w połowie drogi zatrzymała się jednak na moment.

– A... i jeszcze coś. Mark będzie tu nocował.

O-Lan niemal otworzyła usta ze zdziwienia.

– Znowu się z nim spotykasz?

– No... można to tak nazwać. Z tym że on przede wszystkim chce mnie mieć na oku.

– Odpowiada ci to?

– Myślę, że tak.

W ciągu kilku następnych dni Nicole bacznie obserwowała O-Lan, bo chociaż były najlepszymi przyjaciółkami, nie widziały się przecież pół roku. Uznała jednak, że O-Lan, oprócz tego, że zmęczona jest opieką nad matką, nic się nie zmieniła, nie ma więc powodu, by jej nie ufać. To było bardzo ważne nie tylko dlatego, że po prostu dobrze jest mieć przyjaciółkę. Jeszcze lepiej, jeśli przyjaciółka okaże się pomocna, a Nicole, która nie była jeszcze w dobrej kondycji, ani psychicznej, ani fizycznej, potrzebowała kogoś, kto zastąpi ją w sklepie.

Czuła, że wszystko jakoś się ułoży. Nawet jeśli pojawi się tu Giraud albo któryś z jego ludzi, wystarczy zbiec po zewnętrznych schodach, przemknąć przez podwórze i schować się w alejce. I po kłopotcie.

Dni mijały, cisza i spokój sprawiały, że Nicole faktycznie zaczęła dochodzić do siebie. Była szczęśliwa, że znów jest wśród ukochanego jedwabiu o tak wspaniałych kolorach. Co prawda nie szedł jak woda, zyski nie były wysokie, ale wiadomo, że z jedwabiem tak już jest.

Bardzo żałowała, że musiała zostawić swoją ukochaną staroświecką torebkę, w której miała zdjęcie Marka. Pewnego dnia zaczęła się zastanawiać, czy nie uszyć takiej torebki, przecież doskonale pamiętała, jak wyglądała. A może uszyć więcej, na sprzedaż, bo kto wie, może spodobają się klientkom? W rezultacie po zamknięciu sklepu obie dziewczyny zabierały się za szycie małych staroświeckich torebek, co miało jeszcze tę zaletę, że mogły się porządnie nagadać. Mark z wiadomych powodów wolał nie spotykać O-Lan. Zwykle wracał późno, kiedy w sklepie już jej nie było, a rano wymykał się wcześniej zewnętrznymi schodami.

Pewnego ranka Nicole i Mark leżeli jeszcze w łóżku, trzymając się za ręce. Zwykle o tej porze Marka już nie było w domu, tym razem jednak jakoś mu się nie spieszyło z wyjściem.

– Zostaniesz dziś na śniadanie? – spytała Nicole. – Umieram z głodu.

– A co byś zjadła?

– To, co mamy. Kawę, skondensowane mleko, chleb i masło.

– Czyli prawdziwa uczta! Zaraz to wszystko przyniosę. Puścił jej dłoń i dalej leżał.

Nicole szturchnęła go żartobliwie w bok i wysunęła nogi spomiędzy jego nóg.

– Dlaczego? – zajęczał. – Jesteś taka cieplutka...

– Ruszaj się! I włóż coś na siebie, żeby nie straszyć O-Lan, gdyby pojawiła się tu wcześniej!

Mark uśmiechnął się, wstał z łóżka i wyprostował się, przybierając dumną pozę niczym dzielny Dawid wykuty w kamieniu ręką mistrza. Nicole roześmiała się i rzuciła w niego szalem.

– Łap! I osłoń swoją nagość, ty zarozumiała jankesie!

Posłusznie owinał biodra szalem i wyszedł do kuchni.

A Nicole leżała dalej, upajając się myślą, jak bardzo są szczęśliwi. Co prawda Mark nigdy jej nie powiedział, że ją kocha, była jednak przekonana, że tak właśnie jest. O Sylvie myślała teraz bardzo rzadko, pewna, że siostra nigdy już nie stanie między nimi. Zamknęła oczy i rozmarzyła się. Jaka będzie ta ich wspólna przyszłość? Może kiedy to wszystko się skończy, wyjedzie z nim do Ameryki albo osiądą w Sajgonie...

Kiedy w drzwiach pojawił się Mark ze srebrną tacą, usiadła i wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, co takiego przyniósł. Była pełna podziwu, ponieważ okazało się, że to dwa ozdobione masłem i dżemem serca z chleba, leżące na talerzyku w towarzystwie kwiatu lotosu.

– I czymże ja sobie na to zasłużyłam? – spytała.

– Tym, że nigdy dotąd nie spotkałem tak ślicznej i słodkiej dziewczyny jak ty.

– Dziękuję! A więc zjemy te cudne serduszka, a potem...

Nicole uwodzicielsko zatrzepotała rzęsami. Mark roześmiał się i cmoknął ją w policzek.

– Potem wiadomo co! Nie będziemy się długo zastanawiać!

Minał miesiąc. Nicole znowu nie miała okresu, ale tym razem nie zamierzała tego lekceważyć. To już po raz drugi, a więc wszystko wskazuje na to, że... Czy to możliwe?!

Oczywiście, że tak, i stąd ta rozpierająca serce radość!

Postanowiła jednak, że nikt się jeszcze o tym nie dowie. Powie dopiero wtedy, kiedy będzie miała całkowitą pewność.

Tego dnia, kiedy wybrała się na spacer – naturalnie z głową owiniętą szalem – zauważyła, że na ulicy jest o wiele mniej Francuzów niż zwykle. Gdy zajrzała do Yvesa, przeraziła się jego wyglądem. Był blady, wychudzony, smutny. Przywitał się

z nią bardzo serdecznie, całując w oba policzki, ale wcale nie pytał, gdzie była, co robiła. Powiedział tylko, że zaczyna się już pakować i wraca do Francji. Jak wielu innych Francuzów, sprzedał swój sklep za grosze i nic go już tu nie trzyma.

Na ulicy nie widziała ani jednego policjanta, jezdnią przeciągały czołgi. Ziemia się trzęsła, ludzie uciekali, uliczne stragany rozpadały się jak domki z kart. Nicole była coraz bardziej przekonana, że Francuzi przegrają tę wojnę i że kimś takim jak Giraud nie warto zwracać sobie głowy. Teraz przede wszystkim martwiła się o Marka, o jego bezpieczeństwo. Na szczęście mówił płynnie po wietnamsku, a poza tym znakomicie potrafił niepostrzeżenie się pojawiać i znikać.

Spacerowanie po ulubionych ulicach było jak lekarstwo. Dodawało Nicole siłę i pewności siebie. Nie bała się tych przechadzek. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Ci, którzy widzieli ją kiedyś z Trànem, na pewno byli przekonani, że przyłączyła się do Viet Minhu. A prawda była taka, że po tym, co przeżyła, nie była po niczyjej stronie. Już nie. Mieszkała w tej wietnamskiej dzielnicy tylko dlatego, że nadal czuła się tu jak u siebie, a poza tym miała przy sobie przyjaciółkę. Teraz poznały się jeszcze bliżej, zżyły ze sobą i w rezultacie O-Lan stała się bliska Nicole jak rodzona siostra.

Pewnego dnia O-Lan przyniosła jej prezent.

– Proszę, to książka o Wietnamie. Warto, żebyś ją przeczytała, bo podejrzewam, że uczyłaś się tylko historii Francji.

Nie myliła się i Nicole, bardzo zadowolona, wkrótce zaczęła czytać o cesarzach mieszkających w ociekających złotem pałacach w Purpurowym Zakazanym Mieście w Hué. Cesarz wiódł rajskie życie w otoczeniu konkubin, dam dworu i służących pochodzących z najznamienitszych rodzin oraz

eunuchów. Spędzał czas głównie na ucztowaniu z różnych okazji, a kiedy umierał, szykowano mu grób równie wspaniały jak wystawne było jego życie. Biedni Wietnamczycy za jego panowania byli tak samo biedni jak za rządów Francuzów.

Nicole czytała z zapartym tchem, całkowicie przenosząc się do świata konkubin, najczęściej córek wysokiej rangi mandarynów. W książce były wspaniałe ryciny przedstawiające owe damy. Nicole bardzo spodobały się ówczesne *áo dài* i już miała pomysł, co zrobić z resztkami jedwabiu. Z tej książki dowiedziała się też, że im wyższa była pozycja ojca, tym wyżej w hierarchii konkubin stała jego córka. A szczebli w tej hierarchii było dziewięć. Wszystkie konkubiny mieszkały w Zakazanym Mieście do końca życia. Nigdy więcej nie mogły spotkać się ze swoją rodziną. Przechodziły specjalne szkolenie. Musiały zawsze mówić cichym głosem, być posłuszne i spełniać wszystkie potrzeby seksualne cesarza. Miały też czesać mu włosy, ubierać go, dbać o jego paznokcie. W sumie Nicole szczerze współczuła tym dziewczynom, które do końca życia przebywały w połączonym więzieniu.

Odłożyła książkę, zamknęła oczy i zaczęła rozmyślać o Marku. Nie przychodził codziennie, ale kiedy już z nią był, kochali się, i ona z każdym tygodniem czuła się bardziej bezpieczna, bardziej pewna siebie. A tej nocy, kiedy zasypiała, czuła, że nie ma w niej już ani odrobiny lęku.

Kiedy nie miała okresu po raz trzeci, była już całkowicie pewna, tym bardziej że piersi jej obrzmiały, a skóra wokół sutek pociemniała. Postanowiła, że tego dnia wieczorem powie Markowi, niestety mężczyzna się nie pojawił przez kilka dni. Ten czas był dla niej prawdziwą udręką. Nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek zakocha się bez pamięci. Ale stało się, nie wyobrażała już sobie życia bez Marka.

Wreszcie przyszedł. Był nieogolony, w samej koszuli, marynarkę przewiesił przez ramię. Pomyślała, że takiemu mężczyźnie nie sposób się oprzeć.

Nagle zauważyła coś jeszcze.

– Mark! Ty masz wąsy!

– A tak. Zapomniałem o nich. Dziś je zgołę. Spójrz! – Oczy Marka rozbłysły, w rękę raptem pojawiła się butelka sauvignon. – Na szczęście w niektórych sklepach można jeszcze dostać przyzwoite wino.

– Cudownie! Chodź tu do mnie!

Kiedy ją całował, zmarszczyła nos. Wąsy były dla niej czymś nowym, ale z włosami też coś wydawało się nie tak.

– Odrośły ci – stwierdziła, przesuwając dłoń po jego głowie – i wydają mi się ciemniejsze.

– Musiałem je ufarbować.

– Ufarbować?! Dlaczego?!

– Taką mam pracę – odpowiedział i zajął się nalewaniem wina do kieliszków.

Mark często, wracając do domu, wyglądał inaczej, i Nicole zastanawiała się wtedy, kogo tym razem udawał. Na pewno nie zbira, bo chociaż wąsy trochę niepokoiły, spojrzenie Marka było

tak łagodne, tak ciepłe, że sprawiał wrażenie człowieka, który muchy nie skrzywdzi.

Wypił pierwszy łyk wina.

– Niezłe, prawda?

– O, proszę. Bawisz się w konesera?

Zaśmiał się i wypił jeszcze jeden łyk.

– Mark, muszę ci coś powiedzieć.

– Tak? A więc cały zamieniam się w słuch.

Nicole rozpięła bluzkę, odsłaniając piersi.

– Przyjrzyj się. Widzisz jakąś różnicę?

Teraz uśmiechnął się bardzo szeroko.

– Nie. Są jak zwykle wspaniałe. Jak cała reszta. A teraz zapnij bluzkę, bo będziemy musieli zrezygnować z wina i...

– Mark, naprawdę nie domyślasz się, o co mi chodzi?

Pokręcił zdecydowanie głową.

– Będziemy mieli dziecko! Jestem w ciąży!

Poderwał się z krzesła i podszedł do niej, ale nie zauważyła żadnych oznak radości. Przeciwnie, chyba zbladł.

Przykląkł i delikatnie dotknął jej piersi.

– Sam widzisz. Są większe i takie nabrzmiałe. – Mark milczał, nie okazując radości, raczej był zszokowany. Nicole, bardzo rozczarowana, odsunęła się trochę ze swoim krzesłem.

Mark wstał i podrapał się po brodzie.

– Mark?

Spojrzał na nią i potrząsnął głową.

– Zdajesz sobie sprawę, że to oznacza dla ciebie jeszcze większe ryzyko? Jak ty sobie poradzisz, kiedy mnie tu nie będzie?

Uśmiechnęła się.

– Jeśli to twoje jedyne zmartwienie, bardzo mnie to cieszy.

– Byłem pewien, że my...

– Tak, ale nie za pierwszym razem.

– Faktycznie. Ale powiedz, jesteś pewna? Oczywiście, że bardzo się cieszę, ale...

– Ale co?

Najwyraźniej wcale nie był zachwycony. Nicole dalej się uśmiechała, ale wielka, rozpierająca ją radość zaczęła znikać. Mark ponownie przykucnął przed nią i wziął ją za obie ręce. Tylko patrzył bez słowa. Ona też spoglądała w jego jasnoniebieskie oczy, uzmysławiając sobie, że przecież to ona go uwiodła. Tak, praktycznie rzuciła się na niego. Czego więc się spodziewała?

Wysunęła dłonie z jego rąk, walcząc z przemożnym pragnieniem przytulenia go do siebie.

– Byłaś bardzo chora, Nicole, a ciąża, wiadomo, to wielkie obciążenie dla organizmu. Czujesz się na siłach?

– Oczywiście! Jestem jeszcze trochę słaba, ale na pewno dam radę.

– Bardzo chcesz tego dziecka?

Zirytowana jego pytaniem, gwałtownie potrząsnęła głową.

– Oczywiście, że tak! Jestem katoliczką, więc aborcja nie wchodzi w grę. Zresztą... Kocham cię, Mark.

– Najdroższa moja...

Nicole bardzo chciała, by Mark, tak samo jak ona, był szczęśliwy, podekscytowany, ale on był tylko zmartwiony.

– Kiedy mnie tu nie ma i nie mogę się tobą opiekować, wszystko może się zdarzyć, Nicole. A co będzie, jeśli mi się coś stanie? Zwykle o tym nie mówię, ale moja praca jest niebezpieczna.

– Potrafię sama zatroszczyć się o siebie.

– A jeśli coś się wydarzy, a ty zostaniesz sama z dzieckiem... O Boże! To będzie moja wina. Kiedy byliśmy ze

sobą pierwszy raz, tak bardzo cię pragnąłem, że myślałem tylko o jednym. Żeby kochać się z tobą. A może powinniśmy byli z tym poczekać? Powinienem był się powstrzymać.

Przepraszam, Nicole.

– Za co? Tak się cieszę, że będę miała dziecko. Nasze dziecko, Mark. Nowy człowiek, którego stworzyliśmy ty i ja.

Mark wstał i nabrał głośno powietrza, potem powoli wypuścił.

– Nicole...

– Co?

– Bardzo chciałbym się z tego cieszyć. Naprawdę. Kiedy indziej byłby to dla mnie prawdziwy cud. Ale teraz jest wojna, w każdej chwili mogą ruszyć na Hanoi. A mnie często tu nie ma i w razie potrzeby nie mógłbym przyjść ci z pomocą. Nie zapominaj też, że Trân znowu może się tu pojawić.

No tak. Nicole, teraz przestraszona, zagryzła wargę.

– Nie myślałam o tym – przyznała. – Głowę miałam zajęta tylko i wyłącznie Giraudem... Mark, a nie moglibyśmy pojechać do Ameryki?

– Teraz nie wolno mi się stąd ruszyć. Sytuacja pogarsza się z godziny na godzinę. Muszę ciągle kogoś innego udawać. Tylko dzięki tobie, Nicole, jeszcze nie zwariowałem.

– A ja dzięki tobie czuję się po prostu silna.

– Ale dziecko to inna bajka. Zwłaszcza teraz.

– Mark... – zaczęła Nicole i urwała, bo może to głupio występować z taką propozycją. – A nie moglibyśmy się pobrać?

– Ślub? Nicole, byłbym szczęśliwy, gdybyśmy mogli stworzyć rodzinę, ale to też teraz niemożliwe. Nadal jesteś poszukiwana przez policję, więc zawarcie formalnego związku nie wchodzi w grę. Poza tym niebawem wezmę udział w tajnej operacji w Rosji. Mamy wytropić ludzi ukrywających

przywódców Viet Minhu.

– W Rosji? Tam jest bardzo niebezpiecznie, prawda?

– Owszem.

– A jak to będzie, jeśli w tym czasie dziecko przyjdzie na świat?

Mark otarł ręką czoło.

– Przecież wcale nie chcę zostawić cię samej z dzieckiem, Nicole, ale, niestety, nie mam na to wpływu. Kiedy się urodzi?

– W lutym. Najlepszy miesiąc, bo ani za gorąco, ani za zimno.

– Wreszcie coś pozytywnego!

Wziął ją za rękę i podprowadził do kanapy. Usiedli blisko siebie i Nicole nie mogła już dłużej powstrzymać łez. Płakała rozpaczliwie, Mark scałowywał łzy z jej mokrych policzków i szeptał:

– Kiedy wojna się skończy, wszystko będzie inaczej. Przekonasz się. Ja też bardzo się cieszę z dziecka, Nicole. Naprawdę. To wspaniała nowina, najwspanialsza. Zobaczysz, poradzimy sobie ze wszystkim.

Potem milczeli. Nicole nie wiedziała, o czym myśli Mark, ona natomiast pomyślała o Sylvie.

– Mark, czy ty kochałeś moją siostrę?

– Nie. Kiedy poznałem ją w Ameryce, byłem nią zafascynowany. Piękna, bardzo inteligentna dziewczyna, z charakterem, z pozoru bardzo pewna siebie, ale tak naprawdę potrzebująca oparcia. Spotkaliśmy się kilka razy, ale ponieważ odniosłem wrażenie, że ona kompletnie chce mną zawładnąć, wycofałem się.

– Potem zachorowała, prawda?

– Zaczęła brać proszki na sen w niebezpiecznych ilościach. Nie miałem pojęcia, czy specjalnie, czy nieświadomie,

w każdym razie w tej sytuacji nie mogłem jej zostawić. Była przecież w obcym kraju, z dala od rodziny. Ale nie mówmy już o twojej siostrze. Lepiej wykorzystajmy te chwile, kiedy możemy być razem.

Objął ją ramieniem, a ona od razu poczuła błogi spokój. Bo przy Marku czuła się bezpieczna jak nigdy dotąd. Bardzo chciała, żeby tak było zawsze, żeby ta straszna wojna skończyła się jak najprędzej. Czy tak się stanie? Niestety, tego nikt nie jest w stanie przewidzieć.

Westchnęła i wtulając się w Marka jeszcze mocniej, z rozkoszą wdychała znajomy zapach papierosów i słonego morskiego powietrza. Zapach Marka Jenson.

Przez kilka pierwszych miesięcy ciąża Nicole była prawie niewidoczna. *Áo dài* skutecznie maskował powiększający się brzuch, zawsze też narzucała na ramiona szal. Była teraz bardzo rozleniwiona, tylko raz zdecydowała się ruszyć z domu, żeby zajrzeć do Yvesa. Niestety, okna małej piekarni zabite były deskami, czyli biedny Yves wyjechał już do Francji. Większość czasu spędzała na czytaniu, starając się nie myśleć o tym, jak to będzie, jeśli Mark pewnego dnia już tu nie wróci. W dzień udawało jej się pokonać strach, w nocy, niestety, nie miała na to wpływu. Strach był w jej snach. Budziła się przerażona, zlaną zimnym potem.

Mimo braku energii krzątała się po małej kuchni na tyłach sklepu, przygotowując proste wietnamskie potrawy, również dla O-Lan i jej matki. Szpinak gotowany na parze Nicole uznała za swój wielki sukces, natomiast jeśli chodzi o brązowy ryż, przyznawała się do porażki. Przywarł do patelni i trzeba go było zeskrobywać. Poza tym postanowiła zrobić coś z ogródkiem na tyłach sklepu, w czym pomógł jej Mark. Zakasał rękawy i zajął się wysokimi pnączami, ona natomiast przycinaniem krzewu

jaśminu i róż, w związku z czym ręce miała podrapane do krwi.

Kiedy patrzyła, jak Mark schodzi z drabiny, trzymając w ręku wiecheć ze ściętych gałązek, pomyślała, że gdyby nie ta straszna wojna, mogłoby tak być codziennie. Byliby zwyczajnym małżeństwem, dbającym o dom i szykującym się do narodzin pierwszego dziecka.

– A wiesz, Mark, chyba powinnam nauczyć się robić na drutach! Na pewno będę w tym dobra!

– Ty? Nie jestem taki pewny – uśmiechnął się.

– Dziwne. Myślałam, że pokochałeś mnie dlatego, że jestem obdarzona wieloma talentami.

– Co powiedziałaś? Pokochałem? Mówiłem ci o tym? Nie przypominam sobie.

Głupie żarty. Przecież ją kochał. Tego była absolutnie pewna, choć faktycznie jeszcze nigdy jej o tym nie powiedział.

– W każdym razie jeśli mi nie wyjdzie z robieniem na drutach, tragedii nie ma. Najważniejsze, że umiem gotować.

– I najlepiej ci wychodzi przypalony ryż.

– Przestań! To nie fair!

Mark rzucił na ziemię ścięte gałązki, pochylił się i pocałował Nicole. Pocałunek był niedługi, ale namiętny i bardzo wymowny. Czy po takim pocałunku można jeszcze wątpić w miłość? Oczywiście, że nie. Dla Nicole był to niezbity dowód, że Mark darzy ją uczuciem.

– Może damy już sobie spokój z ogrodem? – spytał.

Wiadomo dlaczego. Poszli się kochać, potem leżeli w łóżku, patrząc, jak zapada zmierzch. Kiedy zrobiło się ciemno, Nicole zapaliła lampę naftową stojącą na szafce obok łóżka i zaczęła podpytywać Marka o jego rodzinę.

– Niewiele mam do powiedzenia, Nicole. Jak wiesz, moja matka była Rosjanką. Białą Rosjanką.

– A więc dlatego mówisz po rosyjsku.

– Tak. Matce udało się uciec z Rosji w ostatniej chwili, ale straciła wszystkich bliskich i nigdy nie mogła tego przeboleć.

– Mark, a jak umarła? Oczywiście jeśli nie chcesz, to nie mów.

– Moja matka odebrała sobie życie. Tuż po porodzie. Dziecko zmarło, więc ona też już nie chciała żyć. To ja ją znalazłem. Miałem dwanaście lat.

– O Boże, Mark! To straszne!

– Tak, straszne. Moja matka była niezwykłą kobietą, pełną temperamentu, żarliwą, bardzo uczuciową.

– I to samobójstwo...

– Lubiła dramatyczne gesty, teatralne zachowania. Na przykład nie wychodziła z pokoju, lecz wypadła jak burza. Wszystko przeżywała mocniej niż inni. Ojciec ją kochał, ale kompletnie jej nie rozumiał.

– Miała prawo taka być, skoro, jak mówiłeś, straciła wszystkich bliskich w Rosji, a potem nowo narodzone dziecko.

– Oczywiście. Po jej śmierci było bardzo ciężko. Ojciec zamknął się przed całym światem jak w jakiejś skorupie. A ja kompletnie straciłem grunt pod nogami. Czuję się samotny, pozbawiony korzeni. Po prostu sam już nie wiedziałem, kim jestem. Może i dlatego robię teraz to, co robię. Mogę być każdym, nie ma problemu.

– Mark... – Nicole wzięła go za rękę i przesunęła nią po swoim brzuchu. – Mam nadzieję, że teraz uda się to jakoś zmienić.

– Przede wszystkim zrobię wszystko, żeby nasze dziecko nie miało tego rodzaju doświadczeń.

– Będziemy szczęśliwi, Mark. Dzięki temu dziecku nasze życie będzie takie, jakie być powinno. Przekonasz się.

– Bardzo bym tego chciał, bardzo – odparł i pocałował ją w kark, potem ucałował piersi, a na koniec przyłożył ucho do brzucha.

– Słyszysz coś? – spytała szeptem Nicole.

– Owszem. Ktoś mówi bardzo inteligentnie.

Zamachnęła się poduszką i trafiła go prosto w głowę.

– Jestem taka zmęczona. Może ty byś dziś coś ugotował?

– Ja?! – Mark zrobił wielkie oczy. – Przecież ja potrafię tylko przypalić ryż. Brązowy!

Nicole otworzyła wszystkie okna i spojrzała na ulicę niemal z rozczuleniem. Kochała tę starą dzielnicę, cudowny zapach smażonej szalotki i pokrojonej cebuli, wąskie alejki, targowiska, hałaśliwe nawoływania handlarzy wabiących klientów. Te zapachy i widoki zawsze podnosiły ją na duchu. Niestety, musiała zrezygnować ze spacerów, z obawy, że jej pokaźny już brzuch zwróci czyjąś uwagę. Zerknęła na błękitne niebo, potem na ulicę, z której dolatywał zapach karmelu i pierożków, i już poczuła się szczęśliwym człowiekiem.

Kiedy do domu wróciła obładowana zakupami O-Lan, koniecznie chciała wiedzieć, co takiego przyjaciółka przyniosła.

– Co kupiłaś? Co? – dopytywała się, podążając za O-Lan do kuchni.

– Kupiłam wszystko, czego potrzeba, by przygotować coś naprawdę po wietnamsku. Mam zamiar cię tego nauczyć, bo jak długo można żywić się szpinakiem na parze? Mojej matce zdecydowanie już nie służy, czyli konieczna jest jakaś odmiana.

– Masz rację. Od czego zaczynamy?

– Od rozpakowania toreb.

Nicole najpierw wyjęła sałatę, zieloną i czerwoną, potem pęczek kolendry, kawałek selera i jeszcze jeden zielony liść.

Powąchała.

– Cytryna.

– Tak. A teraz zajrzyj do drugiej torby.

Otworzyła drugą torbę.

– Biały makaron. Świeżutki. A co konkretnie będziemy robić?

– *Bun cha*. Wyjmij jeszcze z torby bardzo ważny składnik,

czyli wieprzowinę. I do roboty. Najpierw kroimy zieleninę, potem robimy sos. Wieprzowinę grillujemy.

Pracowały zgodnie i w ciszy. Już po chwili wszędzie unosił się urzekający zapach pieczonej wieprzowiny, którą potem O-Lan włożyła do sosu. Nicole czuła, jak ślinka napływa jej do ust.

– Gotowe – oznajmiła O-Lan. – Jemy.

Postawiła przed Nicole trzy miski. W pierwszej makaron, w drugiej mięso w sosie, w trzeciej pokrajana zielenina. Wzięła trochę zieleniny, trochę makaronu i zanurzyła w sosie, jednocześnie nabijając na widelec plasterek wieprzowiny. Nicole zrobiła dokładnie to samo.

– Pyszne – oświadczyła, maczając w sosie kolejną porcję. – Dzięki, że mi pokazałaś. Następnym razem zrobię to sama. Naturalnie zjemy wszystkie trzy.

Było późne popołudnie. Pałące promienie słońca zaglądały przez szpary między nie do końca zasuniętymi zasłonami. Nicole stała na szczycie schodów, nasłuchując. Na dole rozmawiano po francusku. Słyszała męskie głosy i głos O-Lan. Pytali o właścicielkę sklepu. O-Lan powiedziała, że nie ma pojęcia, gdzie obecnie przebywa. Potem mężczyźni wyszli. Nicole, zerkając przez szparę między zasłonami, widziała, jak oddalają się od sklepu. Niestety, wśród nich był Giraud.

Na szczycie schodów pojawiła się roztrzęsiona O-Lan.

– Nicole, słyszałaś wszystko, prawda? I co teraz? Na pewno będą dalej węszyć i jeśli odkryją, że tu jesteś, zaaresztują nas obie! Mnie za to, że cię ukrywam, a przecież ja muszę opiekować się matką!

– Nikt cię nie zaaresztuje, O-Lan.

Nicole jeszcze raz zerknęła przez szparę w zasłonach, czy policjanci sobie poszli, i zasłoniła szczelnie okno. Kiedy

podniosła rękę, materiał uwydatnił jej kształty...

– O nie – jęknęła O-Lan, wlepiając oczy w brzuch przyjaciółki. – Coś ty najlepszego zrobiła! Przecież nie jesteście małżeństwem!

– No i co z tego? Nie bądź taka staroświecka, O-Lan. Lepiej ciesz się razem ze mną!

– Staroświecka? Bo uważam, że dziecko powinno mieć ojca? Nicole, czy to Tràn?

– Nie. Z Trànem byłam tylko raz, wieki temu, jeszcze zanim ruszyliśmy na północ.

– A więc Mark?

– Tak.

– O Boże! Przecież nie będziesz mogła nigdzie się pokazać z dzieckiem białego ojca!

– Trudno. Nie powiesz o tym nikomu, prawda, O-Lan?

– Naturalnie, że nie. Ale jeśli Francuzi przyjdą tu węszyć... Zawsze mogą cię znaleźć! A przecież ja jestem odpowiedzialna za matkę! Nie, Nicole, nie ma na co czekać. Musisz jak najszybciej stąd wyjechać, najlepiej do Francji, bo tutaj nigdy nie będziesz bezpieczna. Ani ty, ani twoje dziecko.

Nicole już zastanawiała się nad wyjazdem, ale nie do Francji, tylko do Hué. Tam dziecko będzie miało jak w raju. W Hué stoi jeszcze ich stary dom. I płynie rzeka Perfumowa. I jej córeczka – albo synek – będzie tak jak mama jeździć na rowerku brzegiem rzeki, pod koronami rosnących tuż nad wodą drzew. Kiedy drzewa kwitną, kwiaty spadają do wody i płyną, płyną... Tak, w Hué jest pięknie i będzie miało naprawdę szczęśliwe dzieciństwo.

– Myślałam o wyjeździe do Hué.

– O nie, Nicole! Kiedy Viet Minh zwycięży, tam też nie będziecie bezpieczni.

– Viet Minh zwycięży?

– Oczywiście! I wtedy wszystko się zmieni.

– A wiesz już coś konkretnego na ten temat, O-Lan? – spytała Nicole, odpędzając natrętnego komara, który wleciał przez okno.

– Tak. – Przyjaciółka zniżyła głos. – Dostałam list od Trànà. Napisał, że Viet Minh prze do przodu i kontroluje coraz większe obszary. Prosił, żebym do czasu jego powrotu miała na ciebie oko.

– A więc on tu wróci?

– Tak, ale tylko na jakiś czas i nieprędko. Zdażysz przedtem wyjechać. Bo musisz to zrobić, Nicole. Musisz! Masz jakieś pieniądze?

– Z tego towaru na półkach trochę się uzbiera. Poza tym Mark na pewno mi pomoże.

Porozmawiały jeszcze chwilę i O-Lan wyszła. Była to pora dnia, kiedy świat cichnie, zwalnia tempo i szarzeje, szykując się na powitanie ciemności. Nicole zeszła na dół i żeby zabić czas, postanowiła utrzeć mąkę z ryżu, aby upiec w piecu stojącym na podwórku trochę ciasteczek ryżowych. Wsypała więc ryż do moździerza i chwyciła za tłuczek. Ucierała zawzięcie, zastanawiając się, czy rzeczywiście nie warto zabrać się za robienie na drutach. Dziecku potrzebne są ubranka... Ale zaraz... Przecież skrzynia wyłożona blachą cynkową jest pełna ubrań, które kiedyś nosiły Nicole i Sylvie. To, z czego wyrosły, a nadawało się jeszcze do użytku, Lisa owijała w bibułkę i chowała do tej właśnie skrzyni. Na pewno warto tam kiedyś zajrzeć.

Przebrała się w koszulę nocną i usiadła na ławeczce na podwórku. Niebo już pociemniało, a nad czerwonym dachem było leciutko zaróżowione. Łagodny wiatr przywiewał

wieczorne zapachy. Kochała je wszystkie, nie tylko zapach jaśminów i róż, ale także ziemi i liści. Żeby nie psuć sobie przyjemności, nie dopuszczała do siebie żadnych negatywnych myśli, na przykład o Trànzie czy Giraudzie. Myślała o Marku, który miał wrócić właśnie tego dnia wieczorem, dlatego posiedziała tylko chwilę i wróciła do kuchni. Pokrajała drobno cebulę, czosnek i paprykę, podsmażyła, a kiedy wszystko zmiękło, dodała mąkę, wymieszała i zaczęła robić placuszki. Rozpaliła grill i kiedy zapachniało węglem drzewnym, ułożyła placuszki na ruszcie. Placuszki dla Marka.

Czas mijał, robiło się coraz chłodniej i zaczęło mżyć, poszła więc na górę po szal, bo miała zamiar popatrzeć na gwiazdy, jeśli niebo nie będzie zachmurzone. Z oglądania gwiazd nic nie wyszło, bo kiedy narzucała szal na ramiona, usłyszała czyjeś kroki.

– Mark! Dlaczego tak późno? Przyszykowałam kolację, ale nie przyszedłeś. Gdzie byłeś?!

– Spokojnie, Nicole. Nie zauważyłaś, że jestem już dorosły?

– Zauważyłam, ale martwiłam się o ciebie. Tym bardziej że dziś był tutaj Giraud.

– Naprawdę?

Spojrzał z takim niedowierzaniem, że zrobiło jej się przykro.

– Nie wierzysz mi?!

Nie odezwał się, tylko zmrużył oczy, i w tym momencie Nicole wyczuła zapach alkoholu.

– Mark, po prostu bałam się o ciebie. Czekałam i czekałam...

– Tu jesteś wystarczająco bezpieczna, Nicole.

– Tak? A Giraud?

– Giraud? – Mark westchnął. – Zapomnij o nim.

– Zapomnieć? Jak to? Czy coś się stało?

Czując nagle, że jest okropnie zmęczona, usiadła na kanapie. A Mark bez słowa wyjął z kieszeni jakąś kopertę, potem ustawił krzesło dokładnie naprzeciwko niej i usiadł. W niedbalej pozie, z szeroko rozstawionymi nogami.

Z ulicy dobiegały jakieś krzyki, ale Nicole wcale to nie poruszyło. Słuchała, jak krople deszczu bębnią w dach, jednocześnie zerkając na Marka. Stanowczo coś było z nim nie tak. Zapach alkoholu i papierosów to nie wszystko. Nigdy dotąd nie usiadł tak jak teraz, niedbale, dokładnie naprzeciwko niej, świdrując ją wzrokiem.

– Nicole? W naszej znajomości były wzloty i upadki, prawda?

Owszem, były, ale dlaczego właśnie teraz o tym mówi?

– Chcesz wiedzieć, od kogo jest ten list?

– Czemu nie?

Mark wyjął papierosa, przypalił i wrzucił zapaloną zapałkę do metalowego kosza na papiery.

– Mark!

– Przecież nic się nie stanie. Najwyżej spali się jakaś kartka.

I usiadł wygodniej.

Nie, Mark nigdy nie zachowywał się w taki sposób. To, co teraz wyprawiał, bardzo jej się nie podobało.

Odchrząknął.

– Powiedz mi, Nicole, dlaczego mnie okłamałaś? Chodzi o Sylvie.

O Sylvie?! Nicole otarła ręką czoło. Boże, jak tu gorąco!

– Chyba za dużo wypiełeś, Mark!

– Tyle, ile trzeba. A teraz do rzeczy. Zdobyłem adres

siostry waszej kucharki. To ważne, bo gdyby stało się to najgorsze, będziesz mogła tam pojechać.

– To cudownie, Mark! Ja...

– A poza tym... to list od twojej siostry.

Nicole zmarszczyła brwi.

– Słyszałam, że poczta nie dostarcza listów.

– Tak, ale ludzie nadal je piszą!

Zachowywał się napastliwie, więc wcale nie było przyjemnie tego słuchać; Nicole bezwiednie sięgnęła po poduszkę, tę bardzo ładną, w czerwone i srebrzyste paseczki.

– Nie wiem, o co ci chodzi – powiedziała nie swoim głosem, przyciskając poduszkę do piersi. Widziała, że żyła na szyi Marka pulsuje jak szalona. Znów przymrużył oczy i świdrował ją wzrokiem.

– Wiem, że zawsze miałaś problemy z siostrą. Sylvie mówiła mi o tym.

– Bo ja wiem... To chyba ona miała ze mną problem.

– Uprzedzała mnie, że to właśnie powiesz. Mówiła także, że bardzo się starała, byś była szczęśliwa.

– Kłamała. Wcale tak nie było. Przecież próbowała mnie utopić!

– Ona? Ciebie? – Mark bezradnie potrząsnął głową. – Sam już nie wiem, komu mam wierzyć. Ale jedno wiem: okłamałaś mnie. Ty, właśnie ty, i to bardzo boli.

– Mark, proszę...

– A poza tym... dlaczego wszystko zawsze kręci się wokół twojej siostry?

Wstał, podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Dopiero po dłuższej chwili odwrócił się i znów spojrzął na Nicole. A ona wcale już nie czuła się nieswojo, tylko rozsadzał ją gniew.

– Jeśli tak bardzo zależy ci na Sylvie, to dlaczego nie

pojedziesz do niej? Jedź i weź ją sobie!

– Co?! Na litość boską! Czyś ty oszalała, dziewczyno? Przecież ja wcale o niej nie marzę, mam tylko wrażenie, że mną manipulujesz. Powiedz, dlaczego mnie okłamałaś?

– Koniecznie chcesz wiedzieć? A więc dobrze, powiem ci. Bałam się, że jeszcze coś czujesz do Sylvie.

– Czyli nie uwierzyłaś, że z Sylvie nic mnie nie łączy? A przecież mówiłem ci tyle razy, że zależy mi tylko na tobie.

Nicole z nerwów tak mocno przygryzła policzek, że poczuła w ustach krew.

– A tak naprawdę to ja nie powinienem wierzyć – mówił dalej Mark. – Ale zaufałem ci, Nicole.

– I nadal możesz mi ufać.

– Nie. W moim życiu jest za dużo kłamstwa, za dużo gry. Przy tobie wreszcie byłem sobą, w tym najlepszym wydaniu. A teraz widzę, że tu też wszystko opierało się na kłamstwie.

– Wiesz, co ci powiem, Mark? Może i faktycznie nie kochasz mojej siostry, ale na pewno masz na jej punkcie obsesję.

– Ja? To ty masz obsesję, z jakiegoś niewiadomego powodu uważasz, że żyjesz w jej cieniu. A to nieprawda, bo jesteś piękną kobietą o wielkim sercu. Nicole... -dodał znacznie ciszej – pragnę tylko ciebie.

Podszedł do niej, a ona, z policzkami mokrymi od łez, zajrzała mu w oczy.

– Przecież jesteśmy szczęśliwi, Mark. Chyba nie zaprzeczysz?

Pogłaskał ją po głowie, ale się nie odezwał. Oboje milczeli przez dłuższą chwilę. Nicole miała wrażenie, że ta cisza wręcz ją pożera. Myśl o tym, że to może być koniec jej związku z Markiem, była przerażająca, nie do zniesienia. Nic poza nią już się nie liczyło. Nawet Giraud.

– Przepraszam, że cię okłamałam – powiedziała cicho. –
Bardzo przepraszam. A teraz chodźmy coś zjeść.

Wstała i wyciągnęła do niego obie ręce. On ani drgnął.

– Mark, proszę.

Czuła się teraz okropnie, przeraźliwie samotna. Jakby coś strasznego czaiło się tuż za nią i już deptało jej po piętach.

Wreszcie udało jej się z siebie wydusić:

– O czym pisze Sylvie w tym liście?

– O tym, że wraca do Hanoi. Pisała o tym też do ciebie, prawda?

– Tak... ale ty też mnie okłamałeś! Udawałeś, że jesteś handlarzem jedwabiu!

– Nie porównuj, bo to było całkiem coś innego!

Mark obszedł Nicole dookoła, by stanąć z nią twarzą w twarz.

– Muszę to wszystko przemyśleć.

Jeszcze raz spojrzała na jego ponurą minę. Odepchnęła go, podbiegła do łóżka i położyła się twarzą do ściany, zwinięta w kłębek. Słyszała jego kroki na schodach, a potem już tylko krople deszczu spadające na dach. Leżała nieruchomo w ciemności, myśląc, że to już koniec.

Krople deszczu uderzały w dach z coraz większą siłą, z dworu dolatywał zapach słodkiego, kleistego ryżu z mango. Po jakimś czasie w pokoju pojawiła się O-Lan i objęła serdecznie przyjaciółkę. Nicole milczała. Głowę miała pełną czarnych myśli. Co będzie, jeśli Mark nie wróci? Jak da sobie sama radę z dzieckiem, które nie będzie wyglądać jak dziecko wietnamskie? Co ją czeka? Ją i dziecko? Niestety, wszystkie obrazy przyszłości były przerażające.

Minął tydzień. Tego dnia po południu Nicole położyła się na kanapie w swoim pokoju na piętrze i zasnęła, ale spała niespokojnie, a obudziła się z niemiłym uczuciem, że w pokoju ktoś jest. I tak było, bo kiedy otworzyła oczy, napotkała spojrzenie jasnoniebieskich oczu.

– Mark! Jak długo tu jesteś?

– Nieważne. Nicole, przebaczysz mi? Zachowałem się jak skończony idiota.

W jego oczach była udręka, ale duma kazała Nicole odwrócić się do ściany. Nie chciała, by dostrzegł, jak bardzo przeżywała jego nieobecność, choć tyle miała mu do przekazania.

– Uważam, że powinieneś stąd wyjść, Mark – wykrztusiła wreszcie.

– Jeśli naprawdę tego chcesz, nie będę się opierał.

Mark potrafił ją i rozśmieszyć, i doprowadzić do łez. Teraz okazuje się, że potrafi też przeprosić. Wykazał skruchę, a ona chce, żeby wyszedł! Czyli z nią naprawdę coś jest nie tak.

Mark spuścił głowę.

– Musiałem to przemyśleć, Nicole. Jeszcze raz bardzo cię przepraszam.

Wtedy powoli odwróciła twarz w jego stronę.

– Mark, spójrz na mnie.

Podniósł głowę.

– Wyglądasz na bardzo zmęczonego.

– Tak, bo przez siedem nocy nie mogłem zasnąć.

Martwiłem się o ciebie, o nas, o nasze dziecko. Mam ci tyle do powiedzenia...

– Martwiłeś się? To może od razu się dowiedz, czego mi potrzeba. Pieniędzy na wyjazd do Francji.

Spojrzał na nią tak, jakby wymierzyła mu policzek.

A potem powiedział:

– Naturalnie, że ci pomogę. Ale bardzo chciałbym razem z tobą wychowywać nasze dziecko. Kocham cię, Nicole.

Teraz ona spuściła głowę, wpatrując się w podłogę, a serce waliło jej jak młotem. Poczowała, że ten niewidzialny drut, którym była owinięta, błyskawicznie się rozwinął. Nie była pewna, czy Mark wróci, a on wrócił! Jest tutaj, a ona przecież nadal go kocha. Kocha do szaleństwa. Po prostu nie może już bez niego żyć! Dlatego kiedy przykląkł i ją objął, wcale nie protestowała.

– Jesteś cudowna, Nicole. Nigdy w to nie wątpiłem. Będziemy razem i razem pokonamy wszystkie przeciwności.

– Tak, Mark. Chciałam też powiedzieć, że jeśli chodzi o te problemy z Sylvie, to nieprawda. Zawsze ją kochałam, ale..

– Wiem. Mówiłem ci już, że zdobyłem adres Lisy. Nie tylko adres, ale i numer telefonu. Udało mi się do niej dodzwonić. Opowiedziała mi, co się stało, kiedy przyszłaś na świat.

– Rozmawiałeś z Lisą?! Moją Lisą? Jak się miewa? Wszystko w porządku?

Mark pokiwał głową, potem przez chwilę zadumany wpatrywał się w podłogę.

– Jest jeszcze coś, Nicole, o czym powinnaś wiedzieć. Współpracowałem z Sylvie podczas tajnych operacji...

– Wiem o tym, Mark. Chodziło o trzecią armię, prawda?

– Tak. I pomyślałem sobie, że być może wyciągnęłaś z tego fałszywe wnioski. Byłaś pewna, że Sylvie i ja jesteśmy razem.

– Nie dziw się. Sylvie postarała się, żebym takie właśnie wnioski wyciągnęła.

- Współpracowałem także z twoim ojcem.
- O tym też wiedziałam. Nie mam tylko pojęcia, na czym polegała ta wasza współpraca.
- Twój ojciec został mianowany dowódcą jednostki antyterrorystycznej.
- Ach tak... Myślałam, że pracuje dla gubernatora.
- To była tylko przykrywka. Został dowódcą, bo ma nieskazitelną opinię i jest znakomitym negocjatorem. Ja natomiast udawałem handlarza jedwabiem, co wcale mi się nie podobało.
- No dobrze. A wracając do Sylvie... Mówisz o współpracy podczas tajnej operacji, a przecież całowałeś się z nią podczas balu w piwnicy na wino. Widziałam to na własne oczy.
- Był wyraźnie zszokowany.
- Widziałas? I dlatego potem między nami coś się zmieniło?
- Tak, Mark. Ale nie tylko dlatego.
- Pomyślała, że może powinna z nim porozmawiać o tym, co jeszcze się wydarzyło tamtej nocy w podziemiach hotelu.
- Pocałowałem ją tylko w policzek, bo chciałem, żeby się uspokoiła...
- Nicole na moment zamknęła oczy. W głowie jej się kręciło i powrócił ten upiorny zapach. Zapach krwi.
- Mark, ja wiem, dlaczego chciałeś ją uspokoić.
- Oczywiście był bardzo zaskoczony. I jego twarz spochmurniała.
- Sylvie ci powiedziała?
- Ależ skąd! Mówiła mi tylko wcześniej, że poszedłeś zbierać fundusze na trzecią partię w Wietnamie. A to, co się stało w piwnicy, widziałam na własne oczy. Mój ojciec zastrzelił brata Trâna.

Mark bardzo głośno wypuścił powietrze.

– O Boże, nie wiedziałem o tym. Jakim cudem?

– Poszłam cię szukać. A wizjer nie był zasłonięty.

– A więc to tak... Sylvie była tym wstrząśnięta.

– Nic dziwnego, Mark. To było straszne.

Pokiwał głową.

– A wracając do Sylvie, to nie był prawdziwy pocałunek.

Tak jak w Ameryce, niezależnie od tego, co siostra ci naopowiadała, nigdy nie doszło między nami do zbliżenia.

Wierzysz mi?

– Tak.

Oczywiście wierzyła i dlatego teraz czuła wielką ulgę.

– Po tym balu znikła na kilka dni. Twój ojciec był bardzo zaniepokojony, ja też.

– Myślisz, że to szantaż emocjonalny?

– Twój ojciec powiedział, że Sylvie potrzebuje trochę czasu dla siebie. Może i chciała coś tym osiągnąć, choć między tobą i mną nic się nie działo. W każdym razie twoja siostra jest bardzo skomplikowanym, trudnym we współżyciu człowiekiem, i dlatego twój ojciec ją chroni. Powierzył jej prowadzenie waszej firmy, bo chciał mieć na nią oko. Kiedy powiedziałaś mi, że Sylvie nie wróci do Hanoi, szczerze mówiąc, poczułem wielką ulgę. Bo współpraca z twoją siostrą to prawdziwa droga przez mękę.

Nicole aż pokręciła głową z niedowierzaniem. Bo czy to możliwe, żeby aż tak mało wiedziała o rodzonej siostrze?

W pokoju tymczasem zrobiło się ciemno. Słysząc tylko odgłosy ulicy i oddech Marka. Po chwili już nie tak miarowy i Nicole uzmysłowiła sobie, że mężczyzna musi teraz powstrzymać się od płaczu.

– Och, Mark!

Nachyliła się ku niemu w ciemności, a on natychmiast przytulił ją do siebie.

– Myślałem, że już cię straciłem – szepnął.

– Przecież nie straciłeś. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Była wstrząśnięta jego reakcją, choć wcale nie zdziwiona. Żyli przecież w tak trudnych czasach, że ludzie niekiedy reagowali niezgodnie z ich charakterem. Ciągłe zagrożenie budziło w nich nie tylko odwagę, odsłaniało też inne, ciemne zakamarki duszy i człowiek robił to, na co wcale nie miał ochoty.

– Przyrzekam, Nicole, że nigdy więcej cię nie zranię.

– Ja ciebie też. Nigdy! Przepraszam, Mark. Powinna była ci zaufać i powiedzieć prawdę. A ja cię okłamałam. Ale to z miłości. Tak, jak mówiłam, bałam się okropnie, że wybierzesz jednak Sylvie. A nie chciałam cię stracić.

– Czyli oboje postąpiliśmy głupio. Nigdy mnie nie stracisz, Nicole.

Czuła się cudownie. Kiedy usłyszała śmiech dzieci, podeszła do okna, by na nie popatrzeć. Potem zapaliła drugą lampę. W jej świetle widziała teraz dokładnie twarz człowieka, którego kochała całym sercem.

– Mark? Słyszałeś coś o Giraudzie?

– Tak. Jego syn Daniel zginął, uciekając przed snajperem. W wiosce na północ od Hanoi.

– To bardzo smutne.

– Giraud jest wrakiem człowieka. Rozpił się, a przecież ma ręce pełne roboty w związku z prawdziwym najazdem uciekinierów z sąsiednich okręgów.

– Faktycznie. Zauważyłam, że na ulicach zrobił się tłok.

– Są to głównie wysoko postawieni Wietnamczycy, którzy

popierali Francuzów. Boją się, że ich dni tutaj są policzone, i próbują uciec do Sajgonu.

– Może my też powinniśmy tam pojechać?

– Może. Nicole, nie jesteś głodna?

– A wiesz, że tak?

Zeszli do kuchni w podwórku. Mark pokroił cebulę i zaczął ją podsmażać. Nicole tymczasem rozmyślała, jak bardzo ludzie są skomplikowani. Ani dobrzy, ani źli. Taki Tràn na przykład albo Giraud...

– Kiedy wróci Tràn, może zrobić się nieciekawie, Mark. On nie jest złym człowiekiem, ale teraz, kiedy moja ciąża jest już widoczna... Bo widzisz, napisał list do O-Lan i to właśnie ona twierdzi stanowczo, że powinnam pojechać do Francji. A to jednak o czymś świadczy.

– O-Lan? Masz do niej zaufanie?

– O tak. Powiedziała też, że Tràn na pewno tu się zjawi, choć nieprędko.

Nicole, choć nieraz broniła Tràna, widziała na własne oczy, że potrafi być okrutny, i na samą myśl, że mogłaby się jeszcze z nim spotkać, czuła paniczny strach.

– Muszę teraz wyjechać, Nicole. Ale jak tylko wrócę, zastanowimy się nad Francją. Zgoda?

Nicole miała oczy pełne łez.

– Nie wyjeżdżaj, Mark, proszę. Nie zostawiaj mnie.

Znów ją objął i przytulił do serca.

– Wiesz dobrze, że muszę jechać. Jest wojna. Viet Minh zajął już bardzo dużą część kraju, dlatego przygotowujemy tajne operacje na południu. Tak jak mówiłem, jadę do Sajgonu, potem do Rosji.

– Do Rosji?! Przecież tam jest bardzo niebezpiecznie!

– Owszem. Rosja popiera Viet Minh i dostarcza im broń.

Musimy się dowiedzieć, na czym jeszcze polega ta współpraca i kogo u siebie ukrywają.

Nicole spuściła głowę, ocierając łzy.

– Nie martw się, Nicole. Będzie dobrze. Jeśli nie zdecydujesz się na Francję, mam w Ameryce przyjaciół, którzy na pewno nam pomogą – powiedział Mark, całując jej mokre od łez policzki. – Tym razem wrócę szybko, chociaż potem wyjeżdżam na dłużej, może nawet na kilka miesięcy. Ale na pewno przedtem uda nam się coś ustalić.

Oby! Nicole, spoglądając mu w oczy, odmówiła szybko króciutką, ale żarliwą modlitwę, błagając, by stało się tak, jak powiedział Mark.

– Jeśli podczas mojej nieobecności okaże się, że należy wyjechać natychmiast, jedź do Francji. Adres zostaw w ambasadzie amerykańskiej w Paryżu. A najlepiej będzie, jak pojedziesz do Lisy. Jest w Narbonne, Rue des Arts, niedaleko kanału... – Mark wyjął z kieszeni karteczkę. – Proszę, tu jest adres. Jedź tam, a ja przyślę ci jakieś pieniądze.

– Dziękuję, Mark. Muszę jeszcze się wybrać do swojego domu. Chcę odnaleźć dziecięce ubranka, które przechowywała Lisa.

– Dobrze. Zrób to jak najszybciej i potem już nie ruszaj się stąd na krok. Czekaj na mnie. Wrócę za tydzień, najpóźniej za dwa.

Podczas swojej długiej, samotnej wędrówki z północy na południe kraju Nicole znajdowała w sobie odwagę, by konsekwentnie iść do przodu, nie poddawać się. I choć omal nie przyplącała tego życiem, dotarła do celu. Teraz miała przed sobą kolejną podróż, może rzeczywiście do Francji, do Lisy, ale tym razem nie chciała podróżować samotnie i miała wielką nadzieję, że towarzyszyć jej będzie Mark.

– Cokolwiek by się wydarzyło, Nicole, nigdy cię nie opuszczę. Pamiętaj o tym. Nie opuszczę cię aż do śmierci.

Znów to widmo śmierci...

Nicole kochała Wietnam z całego serca. Tu się urodziła, tu mieszkała przez całe życie. Wiedziała, że będzie jej bardzo ciężko żegnać się na zawsze z krajem, który miała we krwi. Marka Jenson a też kochała nad życie i nie chciała wyjeżdżać, nie wiedząc przynajmniej, gdzie przebywa. I chociaż bała się samotności, potrafiła ją znieść. Najważniejsze, żeby Mark wrócił.

– Mark... – wyszeptała, wtulając się w niego całym ciałem.

– Pamiętaj, masz do mnie wrócić. Pamiętaj...

IV

Zapach ryb

Październik 1953 – maj 1954

Nicole, przebrana w czystą francuską sukienkę, założyła malutkie kolczyki z perełką. Nie padało już, było miło, rześko, upał jeszcze się nie zaczął. Widziała przez okno, że na ulicy panuje tłok. Nieprzebrane tłumy pieszych, rowerzystów i riksów dosłownie ocierały się o siebie. To zrozumiałe, że po ostatniej długotrwałej ulewie ludzie łaknęli świeżego powietrza.

Na ten dzień zaplanowała wyprawę do francuskiej dzielnicy, do willi Duvalów, by poszukać dziecięcych ubranek przechowywanych przez Lisę. Przed wyjściem z domu sprawdziła jeszcze, czy otaczający ją świat, na który spadły takie ilości wody, dał radę ją wchłonąć i czy na pewno dotrze do celu. Minęła pagodę, wmieszała się w tłum przechodniów i żwawym krokiem doszła do skrzyżowania na końcu ulicy Jedwabnej, ale okazało się, że roi się tu od francuskich policjantów.

Błyskawicznie więc zawróciła i pognała z powrotem do sklepu.

Po południu ponownie przewiesiła przez ramię wielką płócienną torbę zapinaną na paski ze skóry i wyszła na ulicę, tym razem zdecydowana zrezygnować z pieszej wędrówki i upolować riksę. Stała przy krawężniku i czekając na ów niewielki pojazd, patrzyła na okno wystawowe swego sklepu, gdzie wabiły oko liliowe, żółte, szmaragdowe i błękitne jedwabie. Uśmiechnęła się. Te równiutko ułożone kawałki materiału wyglądały jak torty w oknie wystawowym cukierni.

Mimo że czasy były nieciekawe, na brak klientek nie mogła teraz narzekać. Cieszyło ją to, chociaż głowę miała zajęta czymś innym. Jak to dalej będzie? Dawniej spokojnie mogłaby zostać w wietnamskiej dzielnicy i wychowywać dziecko, które ma białego ojca, ale teraz to absolutnie niemożliwe. Viet Minh,

a więc i Trần, najprawdopodobniej są coraz bliżej i trzeba ostatecznie przyjąć do wiadomości, że robi się bardzo niebezpiecznie. W Hué na pewno sytuacja jest podobna, więc...

Zabolała ją krzyż, postawiła więc torbę na ziemi i zaczęła ugniatać palcami bolące miejsce. Pomogło. Osłaniając ręką oczy przed blaskiem zachodzącego słońca, rozejrzała się. W cieniu drzewa w alei stało kilku mężczyzn, rozmawiali i palili. Tuż obok, przed domem, młoda matka kąpała dziecko w waniencie ustawionej na chodniku. Bezzębny sprzedawca gotowanych fistaszków poszedł już do domu, a od dziewczyny, która właśnie mijiała Nicole, zapachniało piżmem. Przez otwarte okno w jednym z pobliskich domów słychać było monotonne dźwięki piosenki. Nicole, znudzona czekaniem, nuciła sobie przez chwilę, póki nie dostrzegła samotnej rikszy wyłaniającej się z głębi alei. I wtedy zrobiło jej się bardzo smutno. Jeśli wyjazd okaże się nieunikniony, będzie jej tego wszystkiego brakowało. Pozostawała tylko nadzieja – choć może nie miało to sensu – że sprawy potoczą się inaczej i będzie mogła tu zostać.

Wszędzie unosił się zapach węgla drzewnego i imbiru. Ten zapach sprawił, że Nicole trochę się rozmarzyła. Teraz nic nie mogło zburzyć jej spokoju, nawet perspektywa powrotu Sylvie do Hanoi. Może miało to jakiś związek z ciążą, w każdym razie było jej prawie błogo. Zamknęła oczy, żeby jeszcze bardziej intensywnie odczuwać zapachy, słyszeć dźwięki. Jest cudnie. Mark ją kocha i to najważniejsze...

Słyszając, że riksza jest już bardzo blisko, otworzyła oczy i machnęła ręką do rikszarza, by podjechał, a sama nachyliła się po torbę. Okazało się, że skórzane paski wysunęły się ze sprzączek. Zrobienie porządku z torbą trwało chwilę. Nie zauważyła, że w tym czasie pomiędzy drzew po drugiej stronie alei wyłoniło się dwóch mężczyzn, którzy zmierzają w jej

stronę. Kiedy poderwała głowę, byli o metr od niej. W tym momencie podjechała też riksza. Jak się okazało, z pasażerem. Pasażer wysiadł, a Nicole wydała zduszony okrzyk.

Giraud. Wyprostował się i wlepił w nią wodniste oczy.

Odwróciła się błyskawicznie, gotowa do ucieczki, ale dwaj mężczyźni zastąpili jej drogę. Giraud odchrząknął.

– Nicole Duval, aresztuję cię. Zostaniesz przewieziona do Maison Centrale i tam będziesz czekać na proces.

– Proces? Za co?

Giraud zaśmiał się, ale ten śmiech nie był oznaką rozbawienia. Raczej kiepskiego stanu ducha.

– Uciekłaś z aresztu domowego i, co gorsza, zdradziłaś Francję.

– Od jak dawna pan wie, że jestem tutaj?

– Nieistotne. Powiem tylko, że byłaś pod stałą obserwacją.

Nicole, już w panice, jeszcze raz się rozejrzała. Nie, nie ma żadnych szans ucieczki. I dlatego Giraud spojrzał teraz na nią z wyraźną satysfakcją.

– Panie Giraud, czy pan nie widzi, że jestem w ciąży? To piąty miesiąc.

Giraud uśmiechnął się teraz bardzo szeroko, odsłaniając prawie wszystkie pokryte nalotem zęby.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś wietnamską dziwką.

– Moje dziecko nie ma nic wspólnego z Viet Minhem!

– Powiesz to sędziemu.

Kiedy zakładali jej kajdanki, wyprostowała się; nie miała zamiaru okazywać lęku czy płakać, choć umierała ze strachu, bo wiele słyszała o więzieniu Hoa Lo, zwanym przez Francuzów Maison Central. Tak wiele, że kiedy wsiadała do rikszy, nerwy jej puściły i drżała na całym ciele.

Przez pierwszą dobę jakoś się jeszcze trzymała, mimo że

w opowieściach o więzieniu Hoa Lo nie było żadnej przesady. W nocy śmierdziało zjełczalym tłuszczem, w dzień zepsutą rybą. Było ciemno, trochę światła wpadało tylko przez okrągłe okienko w drzwiach. W tych ciemnościach, duchocie i smrodzie po prostu się dusiła. Serce wariowało, przyspieszając co chwilę, w głowie trwała nieustanna gonitwa myśli. Najgorsza była bezsilność. O Boże! Dlaczego nie wyjechała do Francji od razu, tak jak radziła O-Lan?!

Zamknęli ją w klatce. Przedtem obwiązali jej ręce łańcuchem przykutym do ściany, a nogi zakuli w dyby, po czym francuscy strażnicy łaskawie przynieśli jej trochę wody w małej puszcze i byli zachwyceni, kiedy się rozlała.

W skrzydle, w którym więziono kobiety, były same Wietnamki. Kiedy Nicole próbowała porozmawiać z chudą jak szkielet kobietą o szklistych oczach, uwięzioną w sąsiedniej klatce, kobieta splunęła i odwróciła się do niej plecami. Dla Nicole nie było to pierwsze zetknięcie z brutalną kolonialną rzeczywistością, ale jeszcze nigdy jej to nie poruszyło tak jak teraz.

Drugiego dnia z powodu braku ruchu zaczęły ją boleć plecy. Poza tym dziecko uciskało na pęcherz i miała kłopoty z trzymaniem moczu. Nie zawsze udało jej się dojść do wiadra przeznaczonego do tego celu i w rezultacie załatwiała się po prostu pod siebie. Gardło miała suche, bo przecież nie dawali jej pić, bała się więc, że odwodnienie organizmu odbije się na dziecku.

Dlaczego to się stało właśnie teraz, kiedy Mark wyjechał? Gdyby tu był, na pewno znalazłby jakiś sposób, żeby ją stąd wyciągnąć. Mark... Wystarczyło, że o nim pomyślała, i zrobiło jej się odrobinę lżej na duszy. Ale potem znowu pojawił się strach. Co się stanie, jeśli Mark nie wróci do Hanoi? Zostanie

osądzona i skazana na śmierć. Razem z nią umrze jej dziecko. Ta myśl była tak przerażająca, że zaczęła rozpaczliwie krzyczeć, wołać strażników, płakać. Jeden z nich, który zachował resztki wrażliwości, przyniósł jej wody w słoiku. Wypiła duszkiem i podjęła w duchu decyzję: nie wolno jej wpadać w panikę, nie wolno szaleć, bo ucierpi na tym dziecko, ma myśleć tylko o czymś pozytywnym. Zaczęła więc przywoływać w pamięci wspomnienia, te najlepsze, o najpiękniejszych chwilach, a kiedy czuła, że okrutna rzeczywistość znów zaczyna brać górę, modliła się żarliwie.

Dręczył ją nie tylko strach, ale także głód. Więźniarki dwa razy dziennie dostawały miseczkę papki z brązowego ryżu i na tym koniec. Wygłodniała Nicole wręcz obsesyjnie myślała teraz o jedzeniu. O tym, co lubiła najbardziej, czyli o jajkach w koszulkach pływających w zupie szpinakowej, pieczonej kukurydzy i oczywiście o ciastkach. A najbardziej tęskniła za kawą ze skondensowanym mlekiem, czyli *café au lait*.

Gdy zapadała noc, słychać było przeraźliwe miauczenie i odgłosy kociej walki. Robiło się zimno i wilgotno. Nicole bez przerwy zmieniała pozycję, starając się tak ułożyć na twardym betonie, żeby nic nie bolało. Niestety, nawet jeśli jej się udało, i tak przez kocie wrzaski i ostre światło lampy wartowniczej nie mogła zasnąć.

Po pięciu dniach założono jej kajdanki i zaprowadzono do małego, dusznego pokoju na przesłuchanie. Czekala tam w tych kajdankach i ze strachu wszystko zaczęło ją swędzieć. Minuty mijały, z minut zrobiły się godziny. Swędzenie było już nie do wytrzymania, żeby więc jakoś odwrócić od niego uwagę, wpatrywała się w kwadratowe okienko, wyobrażając sobie, co się za nim dzieje. Niestety, z powodu swędzenia mogła myśleć tylko o tym, że koniecznie musi się podrapać. Jeśli tego nie

zrobi, chyba oszaleje.

Zacząła wołać strażnika i do pokoju wszedł Giraud. Wyraźnie bardzo zadowolony z siebie. Usiadł na stołku, rozstawiając szeroko wstrętne grube nogi. Coś mruknął i zapalił gauloise'a bleu. Od dymu zrobiło jej się niedobrze. Pochyliła nisko głowę, kryjąc za opadającymi włosami odrazę, jaka niewątpliwie malowała się na jej twarzy. Poza tym nie miała najmniejszej ochoty patrzeć na tego człowieka.

W końcu zaczął mówić głosem tak zgrzytliwym, jakby mu do gardła ktoś nasypał żwiru.

– No i co masz nam do powiedzenia?

– Nic. Bo niczego nie wiem – odparła, nadal wpatrzona w podłogę. Giraud podsunął sobie bliżej stołek, nachylił się i chwycił ją mocno za podbródek, zmuszając, by spojrzała na niego. Zobaczyła obrzydliwe czarne włoski wystające z jego nosa, poczuła zapach przetrawionego alkoholu, wypitego zapewne poprzedniego dnia. Oczy Girauda błyszczały. Wyraźnie upajał się faktem, że ma nad nią nieskończenie wielką władzę.

Zadrżała przerażona. Ten człowiek stracił syna i wszyscy mu współczuli, a tymczasem on sam był bezlitosny!

– Niczego nie wiesz? – Przechylił głowę, jakby chciał podkreślić, że w coś takiego naprawdę trudno uwierzyć. – Po przebyciu tak dalekiej drogi w towarzystwie człowieka z Viet Minhu?

– Oni mi nie ufali.

Uśmiechnął się.

– Czyżby? A jeśli powiem, że po przekazaniu nam właściwej informacji możesz odzyskać wolność?

– A o czym ja niby mam wiedzieć? Byłam w obozie reedukacyjnym, ale nawet nie umiem określić, gdzie ten obóz się znajduje.

– Co tam widziałaś?

Patrzył na nią jak na idiotkę. I to było nie do zniesienia, dlatego znów spojrzała na kwadratowe okienko.

– Widziałam, jak okrutnie znęcają się nad kobietami i dziećmi. Tak jak pan nade mną.

– Masz natychmiast spojrzeć na mnie. To nie prośba! – warknął.

Popatrzyła mu prosto w oczy. A w pamięci ożył widok tej twarzy w burdelu.

Spokojnie wytrzymał jej wzrok i zaśmiał się. W tym śmiechu były smutek i gorycz.

– Widziałam, co pan tam robił – powiedziała cicho.

Nie zapytał, co i gdzie, czyli się domyślił. Ale nic nie powiedział. Ona, naturalnie starając się tego nie okazywać, umierała ze strachu. Zaczęła kasłać, bo w niewielkim pokoju było już siwo od dymu.

Giraud wstał i uchylił okienko.

– Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

Z rozkoszą wciągnęła głęboko cudowne, po prostu słodkie powietrze. Czuła, że w tym momencie łączy ją ono ze światem zewnętrznym. I to dodawało jej sił.

Giraud nie usiadł. Stał teraz oparty o ścianę. Ten otyły mężczyzna, brzydki jak noc, z obrzydliwymi krzaczastymi brwiami, był żaloszny.

I choć wyrządzał tyle zła, poczuła, że jej strach jest jakby odrobinę mniejszy.

Spojrzał na nią z góry i wycedził:

– Cokolwiek widziałaś, i tak nikt ci nie uwierzy, bo nie jesteś wiarygodna.

– Czyżby? A szkoda, bo widziałam niejedno. Widziałam, co Viet Minh robi z tymi, którzy nie chcą go poprzeć.

Widziałam spalone wioski, niepogrzebane ciała, ludzi cierpiących głód. Widziałam skutki francuskich bombardowań, byłam naocznym świadkiem gwałtu i morderstwa. Wystarczy?

Wtedy oderwał się od ściany i zrobił trzy długie kroki. Kiedy stanął tuż przed nią, cała skurczyła się w środku, ale tym razem nie starała się niczego ukrywać. Była pewna, że spojrzała na niego z odrazą, on tego jednak nie widział. Pochylony nad Nicole, wsunął rękę pod jej włosy na karku i uniósł je, jednocześnie szepcząc do ucha:

– Jaki ładny karczek...

Kiedy jej dotknął, drgnęła.

– No co? Porządny Francuz nie pasuje, tak? – syknął.

Okręcił włosy Nicole wokół dłoni i mocno pociągnął, odchylając jej głowę w tył.

– Lepiej się przyznaj. To dziecko zmajstrował ci Viet Minh!

Tymi słowami bardzo ją zranił, ale udało jej się wydobyć z siebie głos.

– Oczywiście, że nie. Za kogo pan mnie ma?

– Mam ci powiedzieć?

Podszedł do drzwi i wezwał strażnika, żeby ją stąd zabrał.

Ten dzień był wyjątkowo ciężki. Po powrocie do celi czuła się okropnie. Była rozpalona, brakowało jej powietrza. Wołała strażniczki, ale nikt się nie pojawił. Pod wieczór było jeszcze gorzej, bo w celi zaroilo się od much, tych wyjątkowo wrednych, gryzących. Drapiąc się po kostkach i szyi, czuła, że nie doczeka rozprawy, tym bardziej że jest sama jak palec. Mark się nie pojawia, nie ma go więc w Hanoi. Zapewne już jest w Rosji. Ojciec i Sylvie też daleko stąd...

Kiedy zaczął się drugi tydzień jej udręki w Hoa Lo, czuła się już tak źle, że nie miała siły unieść głowy z betonowej

posadzki. Nachodziły ją najczarniejsze myśli. Mark wyjechał. O-Lan, nawet gdyby wiedziała, gdzie Nicole teraz jest, i tak nie byłaby w stanie nic zrobić. Nikt jej nie pomoże, a ucieczka stąd jest niemożliwa.

Była zrozpaczona. Płakała, póki starczyło łez, ale nie dlatego, że bała się o swoje życie. Drżała o nienarodzone dziecko, i kiedy pewnego dnia poczuła silny skurcz, była pewna, że już je traci. Przerazona, zaczęła wołać strażniczkę. Nikt jednak się nie pojawił, bo z jej gardła wydobywał się tylko cichy pisk.

Dzień włókł się za dniem. Już ich nie liczyła. Czuła się coraz gorzej. Ciągłe była zlana potem, oczy ją piekły i tak zapuchły, że prawie niczego nie widziała, ciało swędziało, aż podrapała się do krwi.

Zaczynała majaczyć. Jej głowa pełna była jakichś obrzydliwych widziadeł, które odgradzały ją od rzeczywistości. Znów często wydawało jej się, że jest w wodzie, topi się, a nad sobą widzi twarz siostry. Tym razem jednak chciała, żeby to się stało. Żeby czarna woda zabrała ją i dziecko jak najdalej od tego piekła, tam gdzie zawsze będą bezpieczni.

Ale nie umarła. Pewnej nocy, chyba po dwóch tygodniach, kiedy patrzyła na księżyc w pełni srebrzący świat za okienkiem, raptem w jej głowie też zrobiło się jasno. Myślała, co powiedzieć Giraudowi, żeby wypuścili ją z więzienia. Znała nazwiska kilku aktorów i aktorek, ale ci ludzie byli jej życzliwi, więc nie wchodzili w grę. Ale mężczyzna z nożem... Duong. Co prawda to tylko pseudonim, ale to już coś. Postanowiła, że rano zażąda rozmowy z Giraudem. Powie mu o Duongu i może też poda nazwę tej wioski, w której była razem z Trânem na samym początku.

Ale wtedy Francuzi spalą tę wioskę. Na pewno. I to ona,

Nicole, będzie miała na sumieniu śmierć kobiet i dzieci, niewinnych starych wieśniaków. Ale dzięki temu ocali własną skórę. Czy potrafi z tym dalej żyć?

Tak. Jeśli w ten sposób uratuje swoje dziecko.

Do celi weszła jedna z życzliwych strażniczek. Nicole na jej widok poderwała głowę, a kobieta uśmiechnęła się, otworzyła drzwi klatki i błyskawicznie uwolniła ją z łańcuchów i dyb. Kiedy Nicole wstała, nogi się pod nią ugięły, ale strażniczka podtrzymała ją, chroniąc przed upadkiem.

– Czy coś się stało? – spytała Nicole, nie na żarty wystraszona. – Bo ja koniecznie muszę się widzieć z Giraudem.

Ale kobieta położyła palec na ustach.

– Ciii...

Poprowadziła Nicole przez dziedziniec i potem razem z inną strażniczką zaczęły ją szorować. Dosłownie. Jedna tarła ją ryżową szczotką, druga polewała wodą z gumowego węża. Ślady ukąszeń bolały, ale dla Nicole najważniejsze było to, że wreszcie, po tylu dniach, jest czysta.

A potem nagle poczuła piekący ból w krzyżu i przeraziła się. Przecież dziecko ma przyjść na świat dopiero w lutym!

Zgięła się wpół.

– O Boże! Moje dziecko!

Strażniczki wymieniły się spojrzeniami. Jedna podała jej szklankę wody, druga podsunęła stołek. Nicole usiadła i osłaniając ręką oczy przed słońcem, wzięła szklankę. W krzyżu już nie bolało, mogła się też wyprostować i normalnie oddychać. I wtedy jedna ze strażniczek podała jej spodnie z miękkiej, elastycznej tkaniny i kurtkę.

– Ale ja muszę porozmawiać z Giraudem – przypomniała, kiedy strażniczki pomagały jej włożyć spodnie. – Mam dla niego informacje.

Strażniczka pokręciła tylko głową. Potem przeprowadziła ją

przez teren więzienia i wyszły przez główną bramę na ulicę. Nicole, pewna, że idą na rozprawę, była przerażona. Bo to oznaczało, że klamka zapadła i nikt już nie będzie w stanie jej pomóc.

Zamknęła oczy, przez chwilę chłonąc otaczający ją świat. Powietrze było takie czyste, a głosy ludzi, żyjących swoim życiem, takie piękne. A ona? Co się stanie z nią? Otworzyła oczy i spojrzała w górę, pragnąc pofrunąć jak najwyżej i ukryć się w bezkresnym błękicie. Głośny śmiech dzieci sprowadził ją na ziemię. Szybko odwróciła się, by na nie popatrzeć; bardzo chciała podbiec do nich, uściskać i powiedzieć, że mają cieszyć się każdą chwilą. Potem dostrzegła zakochaną parę, jak z filmu, i natychmiast wyobraziła sobie, że to ona i Mark. Mark, ten jeden, jedyny, dla którego chce żyć. Kochać go, rodzić mu dzieci. Teraz była pewna, że przekaże Giraudowi informację. Ale tylko jedną, o Duongu. O tamtej wiosce mu nie powie. Pół nocy o tym myślała i tak właśnie zdecydowała. O wiosce nie powie, bo to byłoby niezgodne z jej sumieniem.

Jakaś taksówka zahamowała nieopodal. Odruchowo odwróciła się w tamtą stronę i cofnęła o krok na widok Sylvie wysiadającej z samochodu.

– Wsiadaj, Nicole. Szybko, zanim zmienią zdanie.

Kolana ugięły się pod nią z wrażenia, ale zdesperowana Sylvie złapała ją za ramię i wepchnęła do samochodu.

– Zabieram cię do domu, Nicole.

Po chwili dodała:

– Przepraszam, że to tak długo trwało. Od samego początku próbowałam cię stamtąd wyciągnąć, ale dopiero teraz mi się udało.

– Boję się, że stracę dziecko.

– Nie martw się. – Sylvie wyciągnęła do niej rękę. – Już

wezwałałam doktora. Jedzie do nas.

– Dziękuję, że o tym pomyślałaś. Dziękuję ci za wszystko, Sylvie. Powiedz, jakim cudem mnie stamtąd wydostałaś?

– Po prostu podobałam się Giraudowi, a poza tym przypomniałam mu o pogłoskach o sprzeniewierzeniu amerykańskich pieniędzy, które wykorzystał na opłacenie afrykańskich prostytutek.

Nicole słuchała nieuważnie. Było jej okropnie gorąco i kręciło jej się w głowie.

– Sylvie, niedobrze mi.

– Mamy się zatrzymać?

– Nie, nie... Już mi lepiej.

– Świetnie! A wracając do Girauda, to wspomniałam mu jeszcze o fałszywych dowodach. O tym, że Wysoki Komisarz Francji zarządził czystkę, a Giraud, wiadomo, jest skorumpowany i bardzo łatwo mu udowodnić, że mści się na tobie z powodów osobistych. – Sylvie objęła siostrę. – Jak się czujesz? Nie zrobili ci krzywdy?

Nicole oparła głowę na jej ramieniu i łzy poleciały ciurkiem.

– Nie. Ale było strasznie.

– Na szczęście masz już to za sobą. Nie płacz. Trzeba jeszcze sprawdzić, czy z dzieckiem wszystko w porządku – dodała Sylvie i Nicole znów zaczęła szlochać.

– Nie jest w porządku, bo wydarzyło się coś strasznego!

– Opuszczę szybę, Nicole. Pooddychaj świeżym powietrzem.

Nicole patrzyła przez otwarte okno na eleganckie domy, kawiarnie na chodnikach, piękne, rozłożyste drzewa. Minęli gmach opery, Métropole Hotel, wille nad jeziorem i muzeum Louisa Finota. Jakie piękne jest Hanoi... Ale gdzie jest Mark?

Mówił, że wróci najpóźniej za dwa tygodnie, a ona przecież była w tym więzieniu o wiele dłużej. Gdzie on jest?

Tego wieczoru Nicole obejrzała się bardzo dokładnie w lustrze. Gorzej już być nie mogło. Skóra była blada, prawie przezroczysta, i wysuszona, a włosy w tragicznym stanie. Suche, bez połysku. Kiedy zaczęła się czesać, wypadały garściami. Pogryzione nogi nadal niemiłosiernie swędziały.

Do pokoju weszła Sylvie.

– Nicole, może teraz ubierzesz się już normalnie?

– Przecież jestem ubrana normalnie.

– Tak uważasz?

Nicole spojrzała na swoje spodnie i jęknęła. W dwóch miejscach szew puścił.

– Że też tego wcześniej nie zauważyłam!

– Nic dziwnego. Jesteś taka słaba i zmęczona.

Owszem. Przede wszystkim psychicznie. Bo Marka ciągle nie ma. Bo to, co się stało, już się nie odstanie, choćby człowiek nie wiadomo jak się starał. Bo ciągle ma wyrzuty sumienia, że skłamała o tym liście Sylvie.

– Nie martw się, kupiłam już trochę ubrań dla pań w twoim stanie. Na przykład to! – Sylvie podała Nicole bardzo ładny haftowany zakieciak w jej ulubionym szarym kolorze.

Jednocześnie popatrzyła na nią bardzo ciepło, co było dla Nicole pewnym zaskoczeniem. Potem pomogła jej się przebrać. Nie odzywały się, słuchając padającego coraz mocniej deszczu.

– Nicole? Tylko mi nie mów, że ojcem dziecka jest twój wietnamski chłopak – powiedziała wreszcie Sylvie.

Nicole spojrzała siostrze prosto w oczy.

– Nie, nie on. To Mark.

Sylvie na kilka sekund wbiła wzrok w podłogę. Nicole nigdy nie potrafiła rozszyfrować siostry, tym razem też. Po

chwili Sylvie podniosła głowę i z kamienną twarzą powiedziała tylko dwa słowa:

– Ach tak?

Następnego dnia, kiedy Nicole leżała na kanapie w salonie, w drzwiach pojawiła się uśmiechnięta Sylvie. A za nią... Mark!

Sylvie wyszła z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi. Nicole próbowała zerwać się z kanapy, ale Mark podniósł rękę, dając znak, żeby nie ruszała się z miejsca, i w sekundę był przy niej. Przykląkł, objął ciepłymi palcami jej dłoń, a ona tylko patrzyła, bo wzruszenie ścisnęło jej gardło.

– Kochanie moje, nie miałem pojęcia, co się dzieje, dopóki nie odezwał się do mnie znajomy z naszej ambasady. Na szczęście udało mi się wcisnąć na pokład jednego z tych francuskich latających rupieci.

Objął ją bardzo mocno, a ona oparła się o niego, przytulając policzek do jego policzka, i znieruchomieli na moment, rozkoszując się swoją bliskością. Potem Nicole westchnęła z ulgą, że wreszcie ma go przy sobie.

– Przepraszam, ale nie zdążyłem się ogolić.

Dla Nicole mógłby mieć brodę nawet do kolan.

Najważniejsze, że tu jest!

– A to drań! Najchętniej bym go udusił własnymi rękami! Jak on mógł ci coś takiego zrobić! Nicole... – Mark spojrzał na jej brzuch – co z dzieckiem?

– Wczoraj bardzo mnie bolało. Tak się bałam.

Pogłaskał ją po głowie i usiadł obok niej, przytulając ją do siebie.

– Czy doktor był u ciebie?

– Tak. Wczoraj. Jutro znowu przyjdzie.

– Co powiedział?

– Tak naprawdę to niewiele. Przede wszystkim słyszał jego

serduszko.

– Wspaniale. A jak ocenia twój stan?

– Jeszcze nie wie. Pobrał ode mnie krew i zapowiedział się na jutro. To wszystko.

– Nicole, chcesz porozmawiać o tym, co się stało?

Pokręciła głową. Nie chciała o tym mówić, nawet myśleć.

Mark nie opuszczał jej na krok. Jego obecność czyniła cuda, bo z każdą chwilą czuła się lepiej. Sylvie natomiast zachowywała się trochę dziwnie. Co i rusz pojawiała się w salonie, pytając o jakąś błaHOSTKĘ. Napijcie się herbaty? Może jesteście głodni? Może otworzyć okno? I tak w kółko, dopóki Mark nie poszedł po rozum do głowy i nie poprosił, by przygotowała lekką kolację dla siostry. Bo siostra jest już zmęczona i powinna iść spać. W ten sposób skończyło się to wchodzenie i zadawanie pytań, i mogli wreszcie cieszyć się sobą. A potem nadeszła noc...

Mark i Nicole leżeli wtuleni w siebie. Mark głaskał Nicole po twarzy, potem pocałował.

– Nie chciałbym robić niczego, co by ci nie pasowało... – zaczął ostrożnie.

– Bez obaw – odparła z uśmiechem. – Czuję się świetnie.

Jak zwykle było cudownie. Nicole miała wrażenie, jakby kołysała ją jakaś nieprawdopodobnie delikatna fala oceanu. Tak, tylko tak to mogła określić. Upojona, leżała potem wtulona w Marka i patrzyła, jak jego szeroka męska pierś unosi się i opada.

– Nicole, wszystko w porządku?

– Czuję się wspaniale... Mark, jak długo możesz zostać?

– Rano wyjeżdżam.

– Już? O Boże, chyba tego nie przeżyję.

– Muszę jechać, Nicole. Jeden z naszych agentów zaginął.

Podejrzewamy, że jest teraz w Moskwie.

– Ale to przecież bardzo niebezpieczne zadanie! Mogą cię złapać!

– Nie chcę cię okłamywać. Nie będzie bezpiecznie, ale nie martw się. Wiem, co robię. Myśl teraz o sobie i naszym dziecku. Kiedy wydobrzejesz, trzeba będzie zawieźć cię w jakieś spokojne miejsce.

– Przecież tu jest bezpiecznie. I mam przy sobie Sylvie.

– Sylvie... Nie sądzisz, że ona zachowuje się trochę dziwnie?

– Na pewno dlatego, że dopiero od wczoraj wie, kto jest ojcem dziecka.

– Może i tak. Nicole, będę do ciebie pisał. Ty też pisz na adres naszej ambasady w Sajgonie, a oni przekażą list dalej. Z tym że jeśli chodzi o Rosję, to raczej nie będą mogli tego zrobić.

Wyszedł wczesnym rankiem. Nicole starała się jakoś trzymać, ale nic z tego, bo już za nim tęskniła, i mimo że ją uspokajał, bardzo się o niego bała. Może dlatego, kiedy przyszedł doktor, okazało się, że ma trochę za wysokie ciśnienie i puls przyspieszył. Lekarz przepisał żelazo i kazał jej jak najczęściej polegiwać z nogami do góry, dobrze się odżywiać i wykonywać proste ćwiczenia.

Sylvie, już mniej podekscytowana, zajęła się swoimi sprawami, a Nicole, żeby oderwać się od smutnych wspomnień, znalazła sobie zajęcie: gotowanie dla samej siebie i pielęgnacja umęczonego pobyt w więzieniu ciała. Upajała się faktem, że jest wolna i może robić, co chce. Była szczęśliwa, że widziała się z Markiem, ale, niestety, Hoa Lo nie dawało o sobie zapomnieć, chociaż przebywała w celi tylko kilkanaście dni. To wystarczyło, by resztki sympatii do Francuzów bezpowrotnie

znikły. Poza tym, choć powiedziała Markowi, że z dzieckiem wszystko w porządku, wcale nie była tego taka pewna, ponieważ czasem odczuwała lekki ból. Jakby tego było mało, stale towarzyszyło jej uczucie zagubienia, świadomość, że w gruncie rzeczy sama musi mierzyć się z losem.

Zgodnie z zaleceniem lekarza dużo polegiwała z nogami do góry, jadła przyzwoicie i, co bardzo ważne, nie miała kłopotów ze snem. Przeciwnie, spała jak suseł, snem głębokim, wręcz odurzającym, który wymazywał z jej pamięci przerażające myśli. Ale kiedy nie spała, był w niej strach. Czy po tym, co przeszła, dziecko jeszcze żyje? To pytanie zadawała sobie nieustannie, póki nie nadszedł ten dzień, kiedy poczuła się najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem. Leżała w łóżku i patrzyła w sufit, gdy nagle dziecko się poruszyło i kopnęło. Szybko podciągnęła koszulę i zobaczyła, że na wydatnym brzuchu pojawiła się niewielka wypukłość. Potem znikła i znowu poczuła delikatne kopnięcie i pojawiła się wypukłość.

Boże wielki! Przecież to stópka maleństwa, która kopie mamusię! Przeszcześliwa, roześmiała się na głos i zaczęła przemawiać czule do rozbrykanej istotki, głaszcząc delikatnie brzuch. Wróciła nadzieja, że z dzieckiem wszystko w porządku, a sądząc po liczbie słodkich kopniaczków, sił mu nie brakuje, więc rozwija się prawidłowo.

Lało cały dzień i w zagłębieniach w kuchennej posadzce zaczęła zbierać się woda. Sylvie chwyciła więc za ścierkę, aby posprzątać, a kiedy skończyła, spojrzała na stojącą nieopodal Nicole.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Nicole miała wrażenie, że w kuchni od razu zrobiło się ciemno i ponuro, jakby nadciągnął zmierzch albo niebo przesłoniły chmury. Wolnym krokiem podeszła do okna. Tak, to

chmury. Zapaliła lampę, usiadła i spojrzała na surową minę siostry.

– Mark mi wszystko powiedział.

Nicole potarła ręką czoło. No cóż... wiadomo było, że kiedyś to się stanie.

– Chodzi o list?

Sylvie pokiwała głową i uśmiechnęła się. Uśmiech absolutnie nie był oznaką radości, raczej znużenia. Nicole, bardzo już zdenerwowana, poruszyła się na krześle. I co ma teraz powiedzieć?

– Przepraszam, Sylvie. Skłamałam. Na pewno jesteś na mnie bardzo zła.

Sylvie nie odpowiedziała, tylko lekko zmrużyła oczy.

– Sylvie?

– Tak. Trochę. A ty nie byłabyś zła?

– Chyba tak.

Nicole doskonale mogła sobie wyobrazić samą siebie na miejscu siostry. Miała prawo być zła. Ale jest jeszcze coś, co dla jasności sytuacji należałoby wyjaśnić: co Sylvie czuje do Marka.

– O tej porze dnia zawsze jest tak jakoś dziwnie – powiedziała Sylvie, pocierając dłonie. – Ty też tak uważasz?

Nicole milczała, więc Sylvie mówiła dalej:

– Bo dzień ma się ku końcowi, a noc jeszcze nie nadeszła. Właściwie nie wiadomo, co to jest. Nigdy nie lubiłam tej pory dnia.

Nicole, wpatrzona w siostrę, odezwała się dopiero po krótkiej chwili:

– Sylvie, jeszcze raz dziękuję, że mnie stamtąd wydostałaś. Jestem ci dozgonnie wdzięczna.

Sylvie podrapała się w kark.

– Nie mogłam inaczej. A teraz najważniejsze, żebyś

całkowicie odzyskała siły.

– A dziecko?

– Ależ ono też jest najważniejsze!

Zabrzmiało to szczerze i Nicole z zadowoleniem pokiwała głową.

– Tak jak powiedziałam, musisz odzyskać siły, czyli zalecany jest spokój. Poszalejemy później. Kiedy poczujesz się naprawdę dobrze, codziennie będziemy chodziły na długi spacer. Girauda nie musisz się już bać. Większość jego kolegów odeszła z policji, a nowi wolą złowić naprawdę grubą rybę, a nie taką płotkę jak ty. A twój były przyjaciel Trần również nie stanowi zagrożenia, ponieważ wynajęłam uzbrojonego ochroniarza, który w nocy będzie pilnował naszego domu.

– I już przyszedł?

– Jeszcze nie, ale niebawem się pojawi i ten twój Viet Minh już cię nie tknie. Spokojnie urodzisz w tym domu. A teraz odzyskuj siły dla dobra mojej siostrzenicy albo siostrzeńca.

– Dziękuję, Sylvie. Za wszystko. Powiedz, dlaczego to dla mnie robisz?

– Przecież to rozumiałe. Jestem twoją najbliższą rodziną. Teraz muszę wyjść po chleb i mleko. Jutro pojadę załatwić pewną ważną sprawę związaną z naszą firmą...

– Sylvie, czy nadal wierzysz w zwycięstwo Francuzów?

– Naturalnie!

– A nie sądzisz, że lepiej by było, gdybyśmy dały sobie spokój z tym wszystkim i wróciły do Francji?

– I z czego byśmy tam żyły? A poza tym jesteś jeszcze zbyt słaba na tak długą podróż. Lepiej poczekać tu do porodu, a potem pomyślimy. I niczym się nie martw, niczego się nie bój. Wszystkie okna na parterze zabite są deskami.

Kiedy Sylvie wyszła po sprawunki, Nicole rozsiadła się na

krześle, które stało w szklarni tuż koło drzwi. Ukochanym krześle Lisy, bo stąd widziała swoje drogocenne grządki z warzywami. Ciekawe, co by Lisa jej teraz poradziła. Minionej nocy, zżerana tęsknotą za Markiem, nie była w stanie zmrużyć oka. Leżała, patrzyła w sufit, rozmyślała i dopiero kiedy zmęczenie wzięło górę, zasnęła. Myślała też o ojcu. Jej dzieciństwo na pewno wyglądałoby inaczej, gdyby ojciec nie wbił Sylvie do głowy, że jej matka umarła przez Nicole. Gdyby Nicole i Sylvie darzyły siebie zaufaniem, ta sprawa dawno by została wyjaśniona. Ale można to przecież naprawić. Nawet trzeba, chociaż na pewno nie będzie to łatwa rozmowa, ale jeśli Nicole zamierza właśnie tutaj, pod tym dachem, urodzić dziecko, trzeba porozmawiać z siostrą o przeszłości. O wszystkim, co ją dręczy.

Kiedy tylko usłyszała, że Sylvie wróciła do domu, podeszła do schodów i zawołała:

– Sylvie! Masz chwilę?

Nie słysząc odpowiedzi, Nicole ze zdenerwowania zaczęła obgryzać odstającą skórkę przy paznokciu. W końcu Sylvie zeszła na dół, nalała sobie wody do szklanki i usiadła przy stole. Nicole stanęła przy zlewie, skąd miała miły sercu widok na skąpaną w blasku zachodzącego słońca kuchnię.

– O co chodzi? – spytała Sylvie, rozglądając się po kuchni.
– Jak tu ładnie! Szkoda, że niebawem zrobi się ciemno.

Nicole przez moment zastanawiała się, czy dobrze robi.

– Podczas tamtego balu widziałam, jak papa zastrzelił brata Trâna – powiedziała wreszcie.

Sylvie patrzyła na Nicole i jej oczy robiły się coraz większe.

– Widziałaś to?!

– Tak. Byłam w korytarzu, a w drzwiach jest wizjer.

– I dopiero teraz mi o tym mówisz?!

Nicole nie miała pojęcia, czy jej siostra jest zmartwiona, że ona również była świadkiem tego tragicznego wydarzenia, czy też wystraszyła się, że może opowiedzieć o tym niepowołanym osobom. Cisza się przedłużała. Sylvie siedziała nieruchoma jak posąg, zniecierpliwiona Nicole zaczęła wybijać nogą rytm.

– Nicole, ale nikomu o tym nie powiedziałaś, prawda? Nawet Trànowi?

– Naturalnie, że nie.

– Nie? Dlaczego?

– Sama mówiłaś, że jesteście moją najbliższą rodziną, a on mógłby chcieć się zemścić.

Sylvie wypła łyk wody.

– Nigdy nie uczestniczyłam w twoim życiu.

– Jak możesz tak mówić, Sylvie?!

Nicole, bardzo teraz zdenerwowana, usiadła na krześle naprzeciwko siostry. Ta spojrzała w sufit i mruknęła:

– Poza tym różnimy się od siebie. Bardzo.

I w sumie ma rację, pomyślała Nicole. Sylvie była grzecznym dzieckiem, a Nicole małym urwisem, którego bez przerwy karcono lub bito po łapach. Za wyjadanie ze słoika dżemu śliwkowego zrobionego przez Lisę, za wykradanie ciasta ze spiżarni. Za bieganie po schodach i wrzaski. Za zjeżdżanie po poręczy i nieuwagę, a w konsekwencji kąpiel w sadzawce.

Za wzięcie łodzi bez pozwolenia. Zrobiły to obie, i chociaż Sylvie gorąco zaprzeczała, to ona wpadła na ten pomysł.

W ogóle wszystko, co wydarzyło się tamtego dnia, to była jej wina. Nicole nigdy nie lubiła do tego wracać, bo nawet najmniejszy strzępek wspomnień był dla niej traumą. Nie mogło być inaczej. Przecież się topiła. Otarła się o śmierć.

Sylvie zakaszłała, Nicole drgnęła i powróciła do

rzeczywistości.

– Bardzo chciałabym się dowiedzieć, Sylvie, dlaczego brat Trâna został zabity.

– A ja chciałabym, żebyś wiedziała, że my nie mieliśmy pojęcia, co się tam stanie i dlaczego.

– My?

– Ja i Mark.

Sylvie wyprostowała się, niby rozluźniła, ale to oczywiste, że nadal była bardzo zdenerwowana.

– O Jezu! Gdybym zapaliła, wszystko byłoby łatwiejsze! Nicole nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Sylvie, przecież ty nie palisz.

– Nie. I bardzo tego żałuję... Aha, Nicole, byłabym zapomniała. Woda podeszła pod mostek. Lepiej tamtędy nie chodzić.

Nicole jednak woda i mostek absolutnie teraz nie interesowały.

– Przez cały czas zastanawiam się, dlaczego papa go zabił. Sylvie westchnęła.

– Bo należał do Viet Minhu i podejrzewano go o zamordowanie francuskiego oficera. A egzekucji dokonano właśnie tam, bo to pokój przesłuchań. Drugie wejście jest pod ziemią.

– Ale przecież on nie został osądzony.

Sylvie wstała z krzesła.

– Po co proces? Sprawa była oczywista. Ten człowiek podżegał do buntu przeciwko Francji. Wystarczy? Został zabity dla przykładu, żeby inni wiedzieli, co ich czeka.

– Naprawdę nie wiedziałaś, co się tam wydarzy?

Sylvie pokręciła przecząco głową, Nicole mogłaby jednak przysiąc, że zbladła.

– Dlaczego to właśnie nasz ojciec musiał pociągnąć za spust? Nie mógł tego zrobić ktoś inny?

– Chyba nie miał wyboru. Po prostu dostał takie zadanie i należało je wykonać. Nie zapominaj, że nasz ojciec, Francuz, człowiek interesu o ugruntowanej pozycji, ożenił się z Wietnamką. To plama na jego życiorysie i może gubernator to wykorzystał.

Nicole podeszła do okna, bo nagle zrobiło jej się duszno, Sylvie natomiast otworzyła butelkę ze świeżym mlekiem.

– Nicole, pamiętaj, masz codziennie wypijać litr mleka.

Nicole pokiwała głową. Miała wielką ochotę porozmawiać z siostrą o tym, co działo się w dniu jej narodzin, postanowiła jednak to odłożyć na później, kiedy – oby! – będą miały do siebie więcej zaufania. A tymczasem napisze do ojca list i przekaże mu, że Lisa ujawniła jej prawdę o tamtym dniu. Tak będzie najlepiej, bo może stanie się to początkiem szczerego dialogu w tak delikatnej sprawie.

Przeciągnęła się, by rozluźnić mięśnie, i przeszła się po kuchni, zerkając na siostrę.

– Myślę, Sylvie, że powinnyśmy porozmawiać o Marku. W twarzy Sylvie coś drgnęło, ale się nie odezwała.

– Sylvie?

– Nie ma o czym mówić.

– Dla mnie jest. On ci się podobał, prawda? Przecież spotykaliście się w Ameryce.

Sylvie spuściła na moment głowę, a potem spojrzała siostrze prosto w oczy.

– Tak. Ale kiedy przyjechaliśmy do Hanoi...

– Myślałaś, że cię kocha?

– Nie chcę w ogóle o tym mówić!

– Ale...

– Powiedziałam! Na ten temat nie będę rozmawiać! – oświadczyła Sylvie podniesionym głosem, podnosząc butelkę z mlekiem i stawiając ją z powrotem z taką siłą, że butelka pękła i mleko zaczęło wylewać się na stół.

– No i widzisz?! Widzisz, co się porobiło?! – krzyknęła histerycznie. – To przez ciebie!

Czyli Mark chyba ma rację, twierdząc, że Sylvie jest o wiele bardziej skomplikowaną osobą, niż się wydaje.

Ale nie szkodzi. Spróbuje jeszcze raz.

– Sylvie, czy myślałaś, że on cię kocha?

Sylvie, zajęta teraz doprowadzaniem stołu do porządku, spojrzała na nią przez ramię.

– Daj temu wreszcie spokój, Nicole. Teraz najważniejsze to przygotować się na przyjście dziecka na świat.

Nicole bez słowa odwróciła się i poszła na górę. Z emocji kręciło jej się w głowie. Idąc korytarzem do swego pokoju, zatrzymała się przed dużym wiszącym lustrem, żeby na siebie spojrzeć. Duży brzuch, pełne piersi z widocznymi pod skórą niebieskimi żyłkami... No cóż, błogosławiony stan!

Przynajmniej włosy ma w porządku i przestały wypadać podczas szcztokowania. A i twarz się zmieniła, zrobiła się jakaś łagodniejsza...

Patrzyła przez dłuższą chwilę, jakby teraz widziała siebie innymi oczami, i nagle dokonała zdumiewającego odkrycia. Ta dziewczyna w lustrze, ta Wietnamka, jest... bardzo ładna!

Zanim poszła spać, napisała do Marka. Przekazała mu, co powiedział doktor, a także wspaniałą nowinę, że maluszek już się rusza. Kiedy skończyła pisać, przez uchylone okno doleciał ją niemal upojny zapach. Tak, mogłaby przysiąc, że to pieczony camembert. Natychmiast ożyły wspomnienia i Nicole się uśmiechnęła. Znowu była w kuchni w Hué razem z kochaną Lisą

i oczywiście piekły camembert. Jutro koniecznie musi napisać do Lisy, z którą łączy ją tyle dobrych wspomnień. Bardzo chciałaby, żeby jej dziecko też miało wiele takich wspomnień, do których lubi się powracać. Wspomnień o życiu pełnym miłości. Jej dzieciństwo było czymś w rodzaju przeplatanki. Raz dobrze, raz źle. Czasami bardzo źle, ale o tym starała się nie myśleć.

Kiedy Nicole myślała o przyszłości, czuła niepokój, bo niezależnie od tego, co twierdziła Sylvie, była prawie pewna, że prędzej czy później Viet Minh zwycięży. Mieli po swojej stronie tysiące ludzi wierzących, że walczą w słusznej sprawie, i chociaż było jej bardzo przykro, kiedy uzmysławiała sobie, że dawne czasy wkrótce miną bezpowrotnie, również uważała tę sprawę za słuszną. Bo dane jej było już niejedno zobaczyć i doświadczyć na własnej skórze.

Kiedy czuła się trochę silniejsza, szła na spacer – przed południem, starając się omijać ludzi. Gazet nie czytała. Wiadomo przecież, że jak zwykle trąbią o wspaniałych zwycięstwach Francuzów, natomiast o porażkach ani słowa. Jak na przykład o konieczności wycofania się Francuzów do delty rzeki Czerwonej czy o straszliwej bitwie pod Hóá Binh w 1952 roku. Zupełnie jakby francuscy dowódcy nie zdawali sobie sprawy, że ogromne straty przesądzą o przyszłości. A o Viet Minhu swoje wiedziała. Owszem, mieli skrajne poglądy, ale byli też pełni determinacji, godni podziwu. Armia francuska była potężna, oni jednak nie zamierzali się poddać, choć wiedzieli, że zwycięstwo zawsze okupione jest cierpieniem i życiem wielu ludzi.

Nadejście listu od Marka bardzo ją uspokoiło. Martwiła się, gdzie jest, czy nic mu nie grozi. Gdyby mu się coś złego przytrafiło, chybaby tego nie przeżyła.

Poszła na górę, do swojego pokoju, by tam w samotności go przeczytać. Bardzo się ucieszyła wiadomością, że jeszcze nie wyjechał do... Tu zostawił puste miejsce. Nie wolno mu było tego napisać, ale ona i tak wiedziała, o co chodzi: Mark jest

nadal w Sajgonie, nie wyjechał do Rosji. Informował też, że dostał jej list, że bardzo chciałby położyć rękę na jej brzuchu i wyczuć ruchy dziecka. Poradził jej też, żeby – skoro ma wyjechać zaraz po urodzeniu dziecka – już teraz zajęła się likwidacją interesu.

Była szczęśliwa, że napisał, ale jednocześnie połykała łyżę na myśl o tym, co go może spotkać w Rosji. Rosja kojarzyła jej się z szarymi, ponurymi komunistycznymi gmachami i bezlitosnymi ludźmi. Mark powiedział, że ma się dowiedzieć, gdzie przebywa zaginiony agent i czy nie jest dezzerterem. Drżała na myśl, że Rosjanie mogliby Marka złapać, jednocześnie przytłaczało ją to wszystko, co się działo w Wietnamie. Wszędzie śmierć. Choć nie zawsze się ją widziało, ona była. Nikt dokładnie nie wiedział, jaka część kraju zajęta jest przez Viet Minh i jak bardzo Rosja zaangażowała się w wietnamski konflikt. Dla dobra Marka Nicole miała wielką nadzieję, że w minimalnym stopniu.

Nadeszła zima. Czas mijał szybko, jeden miesiąc za drugim, i któregoś dnia Nicole dostała dwa listy od Lisy. Dwa! Z tych listów wynikało, że jej wierna przyjaciółka zadomowiła się już w nowym miejscu. Nicole bardzo się z tej dobrej wiadomości ucieszyła, bo przecież miała też ciągły powód do zmartwienia. Już luty, a Mark nadal nie daje znaku życia. Po raz ostatni widzieli się po jej wyjściu z więzienia. I nie odpisał na jej dwa ostatnie listy, co mogło oznaczać, że jest teraz w Rosji.

Tego dnia po południu obie siostry siedziały w salonie. Sylvie z nosem w książce o narodzinach dziecka, Nicole na kanapie, obłożona kłębkami wełny i z drutami w rękach. Próbowwała zrobić kocyk dla dziecka, ciągle jednak gubiła oczka. Mark miał rację, nie była stworzona do roboty na drutach. Mark... Jak zwykle myślała o nim nieustannie. Gdzie jest, co robi. Zaczęła również wybiegać myślami w przyszłość, zastanawiać się, czy w wioskach w pobliżu Sajgonu można zaopatrzyć się w wystarczające ilości jedwabiu. Tak, Sajgonu, bo może tam właśnie znajdą przystań. Naturalnie Mark przedtem powinien zbadać teren. Nicole nigdy jeszcze nie była na południu kraju, ale o Sajgonie słyszała od ojca. Podobno jest to całkiem inne miasto niż pełne uroku, pogodne Hanoi. W Sajgonie jest przede wszystkim rojno i gwarno. W Hanoi zażywa się opium w sposób umiarkowany, a w Sajgonie, w dzielnicy Cholon, jest wszędzie dostępne. Miasto uchodzi za skorumpowane, poza tym to doskonałe miejsce do ucieczki.

Spojrzała na Sylvie.

- A jeśli Markowi stanie się coś złego?
- Nie stanie. Mark potrafi zadbać o siebie.

– Wszystko może się zdarzyć. A ja chcę, żeby moje dziecko miało ojca.

Sylvie odłożyła książkę na bok.

– Wychowałyśmy się obie bez matki, więc również doskonale rozumiem, co to znaczy nie mieć obojga rodziców. Nie tylko ty czułaś się inna niż wszyscy. Moje koleżanki i koledzy mieli i matkę, i ojca, dlatego traktowali mnie jak kogoś gorszego.

– Ale przynajmniej miałaś ją przez pięć lat.

– Owszem. Ty nie miałaś jej nigdy, więc nie wiesz, jaka to różnica. Mieć i nagle stracić. To było straszne, miałam takie uczucie, jakby we mnie, tam w środku, zrobiło się przeraźliwie pusto, i jeśli ktoś na przykład uderzy mnie w brzuch, ręka swobodnie przejdzie na drugą stronę. Makabra.

Zapadła cisza. Nicole rozmyślała o pięcioletniej Sylvie, która nagle straciła ukochaną mamę. Jej życie uległo diametralnej zmianie i niewątpliwie straciła poczucie bezpieczeństwa.

– We mnie też była taka pustka – powiedziała cicho.

Sylvie wstała, przyklękła przy niej i wzięła ją za rękę.

– Ale nie jesteśmy same. Mamy siebie.

Nicole pokiwała głową, uśmiechnęła się i Sylvie podniosła się z klęczek. Na chwilę znów zapadła cisza, po czym Nicole zadała kolejne nurtujące ją pytanie:

– A co się stanie z moim sklepem, Sylvie?

– Sytuacja w handlu nie jest ciekawa. Wiesz dobrze. O-Lan stara się jak może, ale ludzie po prostu nie mają pieniędzy. Zyski są niewielkie. Na szczęście prowadzimy jeszcze działalność innego rodzaju i tu jestem dobrej myśli, trzeba tylko być bardzo ostrożnym. Wierzę, że nie będziemy musiały niczego sprzedawać.

– Mark radził jednak sprzedać. Pamiętasz, pisał o tym w liście.

Sylvie zaśmiała się i machnęła lekceważąco ręką.

– Nie musisz wierzyć każdemu jego słowu, Nicole. Nie ma sensu czegokolwiek się pozbywać. Wygramy przecież tę wojnę i znów będzie normalnie.

Wstała i pocierając ręce, zaczęła przemierzać pokój, mamrocząc pod nosem i rozglądając się na wszystkie strony.

– Musimy uważać, żeby nikt nas nie podsłuchał – rzuciła półgłosem.

– A niby kto miałby nas podsłuchiwać?

Sylvie dalej chodziła tam i z powrotem i mamrotała.

– Będzie dobrze. Inaczej być nie może. Będzie tak jak przedtem. Dokładnie tak samo...

Nagle zatrzymała się i odwróciła do siostry, jakby przypomniawszy sobie o jej obecności.

– Nie martw się, Nicole. Zostaniemy tutaj. Wszystko jest pod kontrolą. Nie ma powodu do obaw. Maleństwo przyjdzie na świat. Będzie cudnie. Nie mogę się już doczekać!

– Sylvie, jesteś wyraźnie podenerwowana. Czy coś się stało?

Sylvie westchnęła.

– Ależ skąd! Nic się nie dzieje. A teraz chodźmy do kuchni. Znalazłam stary przepis Lisy na twój ulubiony biszkopt cytrynowy.

– No to oczywiście idziemy!

Kiedy wyszły na korytarz, Nicole wróciła do poprzedniego tematu.

– Wiesz, Sylvie, uważam, że zaraz po porodzie powinnam wyjechać z dzieckiem do Francji. Bardzo dużo Francuzów i Wietnamczyków tam jedzie. Wielu wyjechało już do Sajgonu.

– Tchórze. A poza tym nie wolno stąd wyjeżdżać gdzieś daleko. Gubernator tak zarządził.

– Myślisz, że faktycznie nie będą wyjeżdżać? Ojej...

Nicole zajęczała i zgięła się wpół.

– Nicole, co się dzieje?

– Nic, nic. Coś tam mnie zakłuło, ale już jest dobrze.

Wyprostowała się i ruszyła po schodach. Szła nadzwyczaj ostrożnie, cały czas trzymając się ściany.

– Nicole, co z tobą? Zwykle po tych schodach gnasz jak szalona!

– Ale nie wtedy, kiedy jestem w ciąży!

W kuchni było jak zwykle bardzo czysto, ale już nie tak jak dawniej. Kiedyś pachniało tu smakowicie, radio głośno grało, a Lisa darła się na całe gardło, śpiewając. Niestety, wszystko to, tak urocze, należało już do przeszłości. Nicole westchnęła i otworzyła drzwi do szklarni. W kuchni natychmiast zapachniało wilgotną ziemią i roślinami. Dzień był piękny, choć chłodny, jak to w lutym. Nicole, spoglądając na rośliny, pomyślała o Yvette. Słodkiej dziewczynce, która razem ze swoim pieskiem Trophym w każdą sobotę przynosiła im smakołyki. Niestety, Yvette też już należała do przeszłości. Jak to dobrze, że wkrótce na świecie pojawi się nowy maleńki człowiek. To on niewątpliwie da nadzieję, która każe wierzyć w przyszłość.

Sylvie wysunęła szufladę stołu, wyjęła z niej gruby zeszyt i otworzyła tam, gdzie założone było kawałkiem papieru.

– Spójrz, Nicole. Lisa zapisywała tu różne przepisy. Trzeba przyznać, że ortografia nie jest jej najmocniejszą stroną.

– Bo jest kobietą niewykształconą, ale ma mnóstwo innych zalet.

– Przecież wiem. A więc posłuchaj: przede wszystkim

jajka, mąka i naturalnie cytryny. I cukier. Możesz go wyjąć ze spiżarni?

– Już się robi!

Torba z cukrem była otwarta, dlatego przechowywano ją w wielkiej metalowej puszcze, w przeciwnym razie w cukrze zamieszkałyby mrówki. Nicole i tak sprawdziła, czy ich tam nie ma, a potem raptem znowu ją zakłuło. Krzyknęła i cukier obsypał jej bluzkę.

– Sylvie, myślę, że to już!

Siostra poderwała głowę znad zeszytu.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście, że nie wiem na sto procent. Przecież nigdy jeszcze nie rodziłam! Nie zauważyłaś?

Sylvie zerwała się na równe nogi.

– Biegnę po akuszerkę. Za pół godziny będę z powrotem.

– A nie możesz do niej zadzwonić?!

– Niestety, telefon nie działa. Linia została przerwana.

– Znowu?!

– Tak. W całej okolicy telefony nie działają.

– Ale ja chcę, żebyś była ze mną! – zawołała Nicole płaczliwym głosem. – Spójrz na mnie! Mało tego, że zaraz będę rodzić, to jeszcze jestem cała w cukrze!

Sylvie popatrzyła i zaśmiała się.

– Ale ja się nie znam na porodach.

– Będę ci pomagać. Najpierw łazienka na dole. Muszę pozbyć się tego cukru.

– Dobrze. Idziemy do łazienki, potem lecę po akuszerkę.

– Nie, proszę, nie! Nie zostawiaj mnie!

– Uspokój się, Nicole. Kobiety bez przerwy rodzą. Będzie dobrze.

– A co było z naszą matką?

Spojrzenie Sylvie było bardzo wymowne.

– Ale nie przeze mnie!

– Sylvie, proszę, nie odchodź. Przecież ja kompletnie nie wiem, co mam robić.

– Tym bardziej ja nie wiem, dlatego trzeba koniecznie ściągnąć akuszerkę. A tymczasem instynkt ci podpowie, co robić.

Miejmy nadzieję! Oby w tak krytycznej chwili jej nie zawiódł! Po zmyciu cukru w łazience siostry przeszły do salonu, gdzie Sylvie szybko ułożyła kilka poduszek na kanapie.

– Tak będzie dobrze?

Nicole pokiwała głową i usiadła. I wtedy już okropnie zabolalo. Miała wrażenie, jakby w środku wszystko jej się skręcało.

– Sylvie, błagam, zostań. Marka przecież nie ma, a ja boję się zostać sama. Musisz zostać. Musisz – zajęczała i raptem ból znikł jak ręką odjął. Poczowała się świetnie, a więc to chyba fałszywy alarm.

– Muszę trochę pochodzić – powiedziała, wstając z kanapy. Sylvie wzięła ją pod rękę i zaczęły spacerować po pokoju.

– Nicole, jeśli to fałszywy alarm, może teraz polecę po akuszerkę.

Tylko nie to! Nicole była przerażona. Co się stanie, jeśli akuszerka pojawi się za późno, a z dzieckiem będzie coś nie tak?

Czuła, że wpada w panikę.

– Ja naprawdę boję się zostać sama! Bardzo się boję!

– Więc zostanę, Nicole. Oczywiście. Zajmiemy się tym. Jak dwie siostry.

Nicole uśmiechnęła się przez łzy.

I całe szczęście, że Sylvie została, bo po kilku minutach odeszły już wody i ból znowu zaatakował, dżgając w żołądek.

A więc to żaden fałszywy alarm. Zaczęło się. Była tego całkowicie pewna. Żeby nie panikować, szybko powtórzyła w duchu argumenty Sylvie. Kobiety po prostu rodzą. Co chwilę któraś z nich wydaje na świat potomka i nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Kobieta potrafi urodzić i w polu. A poza tym ona, Nicole, jest już o wiele silniejsza i na pewno sobie poradzi.

A o tym, co stało się z jej matką, nie wolno myśleć. Nie wolno!

Tym razem ból pojawił się w krzyżu. Krzyknęła rozpaczliwie i Sylvie szybko wzięła ją pod ramię.

– Zaprowadzę cię do łóżka.

– Nie, nie. Zostańmy tutaj. Na tej kanapie będzie mi dobrze.

– Lecę po ręczniki.

Sylvie wybiegła z pokoju, a Nicole skupiła się teraz na oddychaniu, wierząc, że to na pewno złagodzi ból. Niestety, przy każdym skurczu miała wrażenie, że ktoś ciągnie za wszystko, co jest w jej brzuchu. Ciągnie i ściska z całej siły. Po prostu zgniata na placek. O Boże, to nie do wytrzymania! Dlaczego nikt jej nie powiedział, że to właśnie tak będzie wyglądało?!

Zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu. Raz, dwa, z nadzieją, że to nudne liczenie sprawi, iż ból minie. Powtarzała też sobie wielokrotnie, że da radę, chociaż nie ma przy niej Marka. A tak bardzo chciała, żeby był w pobliżu, kiedy jego dziecko przyjdzie na świat. Zaczęła więc po prostu sobie wyobrażać, że stoi tu przy niej, trzyma za rękę i głaszcze ją po plecach. Mówi czułe słowa, dodaje jej odwagi. Kiedy wyobrażała sobie, że Mark bierze ją na ręce, raptem coś się w niej zmieniło. Poczowała ogromny przyływ energii, tak ogromny, że miała ochotę wydać z siebie radosny okrzyk. Ogłosić całemu światu, że ona, Nicole Duval, już niebawem będzie matką.

Wróciła Sylvie z ręcznikami.

– O, wyglądasz już o wiele lepiej. Przedtem byłaś przeraźliwie blada.

– Jestem pewna, że będzie dobrze.

Ból powrócił. Sylvie usiadła obok Nicole i wzięła ją za rękę.

– Nie zapominaj o oddychaniu. To bardzo ważne.

Sylvie okazała się niezastąpiona. Kiedy Nicole umierała z pragnienia, nie zdążyła poprosić, a siostra zerwała się z krzesła i już po sekundzie podawała jej szklankę wody.

– Dzięki, Sylvie. Chyba wreszcie rozumiemy się jak prawdziwe siostry, bez słów.

Nicole bardzo chciała być odważna, ale przy następnych skurczach ból był rozdzierający i miała okropne wrażenie, że nie dość, że boli, to człowiek jeszcze tonie, umierając ze strachu.

– Nie walcz z tym – powiedziała Sylvie. – Poddaj się temu bólowi. On przyjdzie i zaraz sobie pójdzie.

Teraz czuła się tak, jakby złapała się w sidła i nie miała jak uciec. A bolało tak straszliwie, że przez kilka minut dosłownie wyła z bólu. Kiedy ból zelżał i zapadła cisza, miała wrażenie, jakby opuściła własne ciało, stała gdzieś z boku i patrzyła na siebie.

– Zrobisz to – podtrzymywała ją na duchu Sylvie. – Zrobisz i zaraz będzie to już tylko wspomnieniem.

Nicole poczuła napierającą główkę dziecka.

– Muszę przeć.

– To przyj. Rób to, co ci podpowiada twoje ciało.

Nicole jęknęła, jednocześnie bardzo zadowolona, że Sylvie, pełna współczucia i zrozumienia, jest z nią, że robią to razem.

Poród trwał. Nicole czuła, że coraz bardziej słabnie, ale Sylvie dodawała jej odwagi i po każdym skurczu przypominała

o oddychaniu. Podczas jednej z takich przerw Nicole na moment odleciała. Zaczęła wyobrażać sobie, że robi teraz coś innego: patrzy na księżyc i gwiazdy, czując pod stopami chłód ziemi, śpiewa sobie z Lisą albo tnie jedwab. A zaraz potem jej ciało w środku zapłonęło, rozrywane na strzępy.

– O Boże – jęknęła. – To dziecko mnie zamorduje...

– Moim zdaniem powinnaś teraz dyszeć – powiedziała Sylvie, uśmiechając się do niej bardzo ciepło. To wystarczyło, by strach znikł. Tak, Sylvie ma rację. Poród to coś najbardziej naturalnego, kobieta rodzi się po to, by rodzić dzieci. Ona jest jedną z nich. Teraz nadeszła jej wielka chwila. Jej i dziecka. Nie może go zawieść.

Chwilę później dziecko przyszło na świat. Wzruszona do łez Sylvie podniosła wiercącego się, umazanego krwią dzidziusia.

– Nicole, urodziłaś cudną dziewczuszkę!

Maluszek pisnął i wtedy Nicole puściły nerwy. Zalała się łzami – radości i wycieńczenia.

Sylvie pogłaskała ją po rękę i podała chusteczkę do nosa.

– Nie ma czasu na płkanie. Twoja córeczka cię potrzebuje. Nicole otarła mokre od łez policzki i uśmiechnęła się.

– Naprawdę urodziłam? Ja?

– Tak, ty. A ja, twoja starsza siostra, jestem z ciebie bardzo dumna. Teraz doprowadzę cię do porządku, dobrze?

– Zaraz się umyję, ale przedtem chcę przytulić swoje dziecko.

Sylvie owinęła maleństwo pieluszką i podała matce. Nicole, absolutnie szczęśliwa, przycisnęła córeczkę do serca.

– Sylvie, to wszystko prawda?

Siostra kiwnęła głową, równie wzruszona jak Nicole.

Dziecko miało różową buźkę, jasne włoski, pomarszczone

rączki z maciupeńkimi paznokietkami i pucołowate policzki pokryte meszkiem. Kiedy otworzyło oczka, Nicole zobaczyła błękit. Najpiękniejszy błękit, jaki kiedykolwiek widziała, a ta chwila była najwspanialszą chwilą w jej życiu, którą na zawsze zachowa w pamięci.

Uniosła głowę.

– Dziękuję, Sylvie.

Siostra zamrugła, wyraźnie powstrzymując łzy.

– Och, Nicole... Ta kruszynka to prawdziwe чудо. A ty byłaś taka dzielna!

– Bez ciebie nie dałabym rady – szepnęła Nicole i obie się rozplakały. Sylvie pierwsza otarła łzy.

– Spójrz, jak mała porusza buzią. Trzeba przystawić ją do piersi. Pomogę ci.

Na początku maleństwo wysuwało tylko języczek, ale po chwili jego wargi objęły sutek.

– No popatrz! Sama do tego doszła! – zawołała zachwycona Nicole.

– Mały geniusz – stwierdziła Sylvie z uśmiechem i wstała.

– A więc rodzina nam się powiększyła. Teraz postaram się skontaktować z Markiem.

Nicole została sama z córeczką i cały świat przestał dla niej istnieć. Wpatrywała się w czerwoną, pomarszczoną twarzyczkę, prawie nieprzytomna ze szczęścia i dumy. Bo jakie to maleństwo dzielne! Matka siedziała w więzieniu, ojca gna gdzieś po świecie, a ono się nie dało. I jest! Jest na tym świecie!

Rozczulona, ucałowała oba mięciutkie policzki.

Przyglądając się dzidziusiowi, myślała też o Sylvie, o tym, że była razem z nią, że nigdy dotąd nie zbliżyły się tak do siebie. Zastanawiała się też nad imieniem dla córeczki. Powinna je wybrać wspólnie z Markiem, ale jego nie ma i chyba nieprędko

się pojawi.

Po chwili wróciła Sylvie i poprosiła, by Nicole dała jej potrzymać dziecko. Ona też nie mogła oderwać oczu od pomarszczonej twarzyczki.

– Sama słodycz... Jestem z was obu bardzo dumna. Nicole, a jakie imię wybrałaś dla naszego aniołka?

– Celeste.

– Celeste Duval. Bardzo ładnie.

– Skontaktowałaś się z Markiem?

– Niestety nie, ale wysłałam telegram do amerykańskiej ambasady w Sajgonie. Na pewno mu przekażą, że został ojcem. Powinien dowiedzieć się o tym jak najszybciej, prawda?

Przez następne dni Nicole skupiała się wyłącznie na dziecku. Maleństwo ssało dzielnie, a rozczulona mama całowała maciupeńki nosek, mięciutkie paluszki, ciepłutki brzusek i pękała z dumy. Jest matką. Ten fakt sprawiał, że czuła się teraz silniejsza, była bardziej sobą. W ogóle zajmowanie się dzieckiem dawało jej wielką radość. Uwielbiała je tulić, kołysać, nosić, przewijać. Wszystkie te czynności, zamiast ją męczyć, utwierdzały w pewności, że jest szczęśliwa.

Sylvie pożyczyła od znajomych dziecięcy wózek, który na początku wstawiano do szklarni, żeby malutka Celeste pobyła na słońcu. A po kilku dniach Nicole opatulila córeczkę białym kocykiem i po raz pierwszy wyszły na dwór. Dzień był piękny. Niebo bez jednej chmurki, na drzewach rozśpiewane ptaki, a w dole mnóstwo białych kwiatów. Bardzo łatwo zapomnieć, że jest wojna. Wiele osób przystawało, by popatrzeć na dzidziusia. Wszyscy zachwycali się błękitnymi oczami i rudawymi włoskami, a Nicole pękała z dumy, że jest matką. Czuła się do tego stworzona. Z radością pokazywała swoje maleństwo, swój skarb, choć trudno jej jeszcze było uwierzyć, że ta prześliczna,

przesłodka błękitnooka istotka wyszła z jej łona.

Niestety, ten cudowny stan zaczął ustępować miejsca melancholii. Czuła się bardzo samotna, nie było przecież przy niej ukochanego mężczyzny. Nie dawał znaku życia, być może więc ambasada nie przekazała dobrej nowiny. Tęskniła też za Lisą i ojcem, a rodzinny dom wydawał jej się teraz nieprzytulny i stanowczo za duży. Była coraz bardziej przygnębiona, coraz mniej pewna przyszłości.

Tego dnia usiadła na kanapie, zamknęła oczy i rozmarzyła się, wyobrażając sobie, że wcale nie siedzi na tej kanapie sama, tylko obok jest Mark. Ona opiera głowę na jego ramieniu, on ją głaszcząc po głowie. Albo inny cudny obrazek: rozpromieniony Mark tuli do siebie maleństwo. Jakże chciała, by cała rodzina była już w komplecie. Pragnęła tego tak bardzo, że przez chwilę wydawało jej się, że Mark naprawdę jest razem z nimi, z Nicole i Celeste.

Otworzyła oczy, bardzo smutna. Jak okrutny jest los, który nie pozwala kochającym się ludziom być razem. Jak okrutna jest wojna, jeśli w jednej chwili może odebrać życie ukochanej osobie. Człowiekowi, w którego żyłach płynęła gorąca krew, który oddychał, śmiał się, kochał. Był i już go nie ma, choć wcale nie zasłużył na śmierć.

Potrząsnęła bezradnie głową i w tym momencie zauważyła stojącą w drzwiach Sylvie. Jej twarz była nieruchoma, spojrzenie skierowane na Nicole nieobecne. Niby na nią patrzyła, ale jakby nic nie widziała.

Nadeszła wiosna. Nicole i Celeste wiele czasu spędzały teraz w ogrodzie, korzystając z pięknej pogody. Nie padało, wiał łagodny wiatr i było po prostu wspaniale. Nicole, kiedy była ze swoją śliczną córeczką, zapominała o przeciwnościach losu. Czuła się po prostu szczęśliwa. Nie mogło być inaczej, skoro kiedy rankiem otwierała oczy, pierwsze, co widziała, to słodka, uśmiechnięta twarzyczka maleństwa. Wcale nie narzekała, że w nocy małej zdarza się popłakać i trzeba ją wtedy nosić. Przeciwnie, bardzo lubiła te ich nocne wędrówki.

Sylvie tej wiosny wydawała się już spokojniejsza, choć często przechadzała się po pokoju, zacierając ręce i mówiąc coś do siebie. A pewnej nocy Nicole usłyszała, że otwiera drzwi na tyłach domu i wychodzi do ogrodu. Poczekała, aż Celeste zaśnie, i szybko zbiegła na dół. Było ciemno, ale ogród żył swoim nocnym życiem. Bez przerwy coś skrobało, coś popiskiwało. Sylvie, doskonale widoczna w świetle księżyca, wyglądała w długiej, jasnej koszuli nocnej jak jeden z duchów zamieszkujących ogród.

Nicole zwolniła, żeby jej nie wystraszyć, i podeszła powoli, nucąc cicho jedną z ich ulubionych piosenek z dzieciństwa.

– Sylvie? Pamiętasz tę piosenkę? – spytała łagodnym głosem. Sylvie pokiwała głową i zaczęła nucić razem z nią. Nagle umilkła. – Sylvie? Coś się stało?

Siostra, zapatrzona w dal, nie odpowiedziała.

– Sylvie?

Wtedy odwróciła się i spojrzała tak jakoś dziwnie.

– Nic się nie dzieje, Nicole.

– Ale dlaczego jesteś w ogrodzie o trzeciej w nocy? Na

bosaka? Nie zimno ci?

Sylvie spojrzała szybko na swoje stopy.

– Ojej !W ogóle tego nie zauważyłam!

I znowu znieruchomiała; jej spojrzenie było puste.

Sprawiała wrażenie osoby bardzo już zmęczonej życiem.

Nicole objęła siostrę ramieniem.

– Chodźmy do domu, Sylvie, marzy mi się gorąca czekolada. Co ty na to?

Sylvie uśmiechnęła się, ale jej oczy podejrzenie lśniły.

Nicole nie zamierzała wyciągać pochopnych wniosków, poczuła jednak lęk. Bo kto wie, czy jakaś bardzo czuła struna jej istoty już nie pękła albo jest od tego o krok.

Rano żadna z nich nie wspomniała słowem o ich nocnym spotkaniu.

Po kilku dniach Nicole i Sylvie znowu poszły razem do ogrodu. Nicole była w bardzo kiepskim nastroju. Mark nadal nie dawał znaku życia. Czekwała z utęsknieniem na jakiegokolwiek wieści, jednocześnie jednak żyła w ciągłym strachu, że nadejdzie telegram z informacją, że Mark zaginął albo nie żyje.

Mimo zapewnień Sylvie, że uda się poprowadzić wszystkie rodzinne przedsięwzięcia, jeden z dwóch sklepów z jedwabiem w starej dzielnicy, ten większy, został przed kilkoma tygodniami wystawiony na sprzedaż. Sylvie właśnie powiedziała siostrze, że nabywcą jest pewna Wietnamka, która zamierza otworzyć tam restaurację. Uważała, że kobieta jest po prostu głupia.

– Najważniejsze, że sprzedałaś, Sylvie. Pieniądze są nam bardzo potrzebne. A nie myślałaś o tym, że jak będziemy we Francji, mogłybyśmy zająć się importem jedwabiu? Wszyscy wielcy kreatorzy mody chcą jedwabiu w najlepszym gatunku.

Sylvie przechadzała się po trawniku.

– Ale z ciebie panikara, Nicole – powiedziała. – Nie ma

potrzeby uciekać do Francji. Wygramy tę wojnę. Przekonasz się.

Sylvie mówiła to już niejedynym razem, stojąc twardo po stronie Francuzów. Tym razem jednak nie sprawiała wrażenia tak głęboko przekonanej jak dotąd. Może dlatego, że właściwie nikt nie wiedział, co teraz się dzieje. Owszem, krążyły pogłoski o walkach pod Dien Bien Phu, o tym, że właśnie tam ma dojść do decydującego starcia, ale rozgłaszano także bardzo wiele fałszywych informacji. Nie wiadomo było, kto w danej chwili zwycięża, kto przegrywa, bo każda gazeta pisała coś innego.

– Tak więc sprzedałaś dom towarowy przy Rue Paul Bert i ten większy sklep z jedwabiem. Mamy jeszcze mój sklepik i dwa domy – podsumowała Nicole.

– Zapomniałaś o naszej firmie w Hué eksportującej jedwab. Kiedy Celeste podrośnie, mogłybyśmy się tam przenieść i zająć tym eksportem.

– I bardzo by mi się to podobało, ale... – Nicole zastanowiła się przez chwilę – szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy zostaniemy w Wietnamie. Mark, ja i Celeste. Poza tym pamiętaj, że jeśli Viet Minh zwycięży, nie będzie już prywatnej własności. Wszystko zostanie upaństwowione.

– Po moim trupie!

– I tego właśnie się obawiam.

Sylvie zignorowała jej słowa i zaproponowała, by weszły już do domu. Ale Nicole nadal zastanawiała się nad sprawami, o których mówiły.

– Może powinniśmy już wszyscy wyjechać? Teraz, kiedy jest to jeszcze możliwe?

– I zostawić wszystko Viet Minhowi? Nie, Nicole. Tak jak powiedziałam, ja się stąd nie ruszam i wierzę, że będzie dobrze. A ty, jeśli koniecznie chcesz wyjechać, to jedź.

– Sylvie, przecież doskonale wiesz, że nie zostawię cię tutaj

samej. Poczekam jeszcze trochę. Mark na pewno niebawem się odezwie.

Sylvie chrząknęła tylko znacząco i obie siostry weszły do domu.

Minęło kilka tygodni. Nicole siedziała z małą Celeste na kolanach przy kuchennym stole i tonęła we łzach. Jej córeczka z zaczerwienioną buzią też płakała i krzyczała. Sylvie, wyraźnie nieobecna duchem, stała przy oknie i coś mamrotała.

– O Boże.... – jęczała Nicole. – Mam coraz mniej pokarmu i ona jest po prostu głodna! Sylvie, popatrz, co się z nią dzieje!

Sylvie potrząsnęła głową, jakby wracała z innego świata.

– Przepraszam, co mówiłaś?

– Pokarm mi się kończy!

– Nie ma problemu, Nicole. Będzie piła z butelki. Kupiłam już trzy, także mleko w proszku.

– Już kupiłaś?

– Oczywiście! Przecież moje motto życiowe brzmi: bądź gotowa na wszystko.

Nicole wstała i zaczęła kołysać zapłakanego malucha, zastanawiając się, czy to nie tęsknota za Markiem spowodowała brak pokarmu. Sylvie tymczasem nastawiła wodę w czajniku i niebawem pokazała Nicole butelkę ze smoczkiem.

– Gotowe. Można karmić. Mogę to zrobić?

– Oczywiście.

Nicole podała jej dziecko, Sylvie usiadła przy stole i zaczęła małą karmić.

– Skoro Celeste przechodzi na karmienie butelką, to znowu mogę jeść czosnek – oznajmiła Nicole. Podeszła do kuchenki i dodała do gotującego się gulaszu trochę posiekanego czosnku. Potem usiłowała poczytać gazetę, ale jakoś nie mogła się skupić. Zniechęcona odłożyła ją na bok i podeszła do swojej pociechy,

by cmoknąć ją w puciołowaty policzek.

– Teraz ja ją pokarmię, Sylvie.

– Już się najadła, odbiło się i teraz zasypia. Spójrz, już jej się oczka zamykają.

Wstała i tuląc do siebie malucha, zaczęła przechadzać się po kuchni.

– Nicole, zostanę z nią, a ty idź się zdrzemnąć – zaproponowała.

– Dzięki. Naprawdę chcesz z nią zostać?

– Nie żartuj. Kocham to słodkie maleństwo – powiedział Sylvie i pocałowała Celeste w nosek. – Dla mnie jesteś najpiękniejsza na świecie.

– Sylvie, czy naprawili już linię telefoniczną?

Sylvie przystanęła.

– Tak, ale znowu coś tam się z nią stało i telefony nie działają. Podobno sabotaż, a to, niestety, zdarza się teraz często.

Nicole westchnęła. To prawda. Bardzo często nie było prądu i nikt nie wiedział dlaczego. Poza tym na pocztę spadła bomba, nic więc dziwnego, że listów nie doręczano.

Spojrzała na Sylvie. Znowu obsypywała pocałunkami policzki Celeste.

– Już cię tu nie ma! – zawołała żartobliwie do Nicole. – Marsz do łóżka!

– Dobrze, dobrze, już idę.

– A ja potem wykąpię malutką, dobrze?

Nicole często zastanawiała się nad założeniem własnej firmy, kiedy Celeste będzie trochę starsza. Stworzy firmę tutaj, w Wietnamie, a jeśli wyjadą, to za granicą, we Francji albo Ameryce. Przecież zna się na jedwabiu, a jedwab produkuje się w wielu krajach.

Rozmyślała także o Sylvie. Miała wielką nadzieję, że

pewnego dnia jej starsza siostra też zostanie matką. Wspaniałą matką. Wystarczy spojrzeć, jak zajmuje się Celeste. Niestety, Sylvie była pogodna tylko przy dziecku; zwykle wydawała się nieobecna, roztargniona, często nie słuchała, co się do niej mówi. I to bardzo Nicole martwiło.

Nie powiedziała jeszcze siostrze, co naprawdę wydarzyło się w dniu jej narodzin, chociaż zdawała sobie sprawę, że nie może tego odkładać w nieskończoność. Ale była to sprawa bardzo bolesna, wyjątkowo delikatna. Jeśli nie poprowadzi rozmowy umiejętnie, stosunki między siostrami mogą się popsuć. Ze szkodą dla wszystkich, także dla małej Celeste.

Pewnego dnia, kiedy Celeste spała, a Nicole i Sylvie siedziały w pokoju stołowym i czytały, uznała, że czas najwyższy powiedzieć Sylvie prawdę. Była okropnie zdenerwowana, ale też pełna determinacji. Pragnąc zyskać na czasie, spojrzała na sufit.

– O Boże! Nienawidzę tych fruujących cherubinków.

– A mnie się podobają – oświadczyła Sylvie i popatrzyła uważnie na Nicole. Na pewno musiała dostrzec coś w jej twarzy, bo zaczęła dodawać jej otuchy. – Nicole, będzie dobrze. Nie poddamy się. Trzeba tylko wierzyć.

– Jeśli sądzisz, że sama wiara wystarczy, by zwyciężyć, to, niestety, muszę cię zmartwić. Ludzie z Viet Minhu wierzą w swoją sprawę na pewno bardziej niż my.

– I dlatego do nich dołączyłaś? Bo myślałaś, że są silniejsi?

– Nie, to nie tak. Po prostu chciałam stąd uciec.

– Z domu? Od nas? Nicole, proszę, wybacz mi. Nie spodziewałam się, że ten areszt domowy będzie dla ciebie taką tragedią. Ja po prostu chciałam cię chronić.

– Chronić? Raczej kontrolować. Ale to nie najważniejszy powód mojej ucieczki z tego nieszczęsnego aresztu.

– A więc co?

– To, czego dowiedziałam się od Lisy. Powiedziała mi, co naprawdę się wydarzyło, kiedy przyszłam na świat.

Sylvie sposepniała.

– Przecież dobrze wiemy, co się wydarzyło.

Nicole wstała, podeszła do okna i spojrzała na ogród.

Altana kryta strzechą z liści palmowych i wyplatane fotele były już porządnie zniszczone, koło sadzawki z liliami – też w opłakanym stanie – nie było już stolika ze szklanym blatem.

Odwróciła się do siostry.

– To kłamstwo. Nasza matka wcale nie umarła przeze mnie. Umarła przez naszego ojca.

Sylvie nie odezwała się, ale wyraz oczu wskazywał, że jest wstrząśnięta.

– Nasza matka, kiedy wróciła wcześniej z podróży, zastała ojca w łóżku z jedną ze służących...

– Przestań! – krzyknęła histerycznie Sylvie, zasłaniając uszy rękoma. – Po co mi to mówisz? Nie chcę tego słuchać! Nie chcę!

– Mówię, bo to prawda. A później, kiedy matka po przeżytym szoku zaczęła przedwcześnie rodzić, nie pozwolił nikomu do niej wejść. Krzyczała, płakała, a on powiedział, że histeryzuje. W końcu Lisa wbrew jego zakazowi weszła do pokoju i zastała matkę całą we krwi. Naturalnie od razu wezwała doktora, ale było już za późno. Wykrwawiła się na śmierć.

Sylvie, blada jak ściana, siedziała nieruchomo i milczała.

– Sylvie? Powiedz coś.

Siostra powoli podniosła głowę.

– Nie wierzę, żeby papa mógł coś takiego zrobić. To kłamstwo, obrzydliwe kłamstwo.

Nicole pokręciła głową, jednocześnie jednak, widząc siostrę

w takim stanie, żałowała, że zdecydowała się na tę rozmowę. Sylvie była zdruzgotana. Błada, roztrzęsiona, nerwowo splatała dłonie, wyłamywała palce.

Do końca dnia schodziły sobie z drogi. Dopiero wieczorem Sylvie przyszła do pokoju Nicole. Oczy miała czerwone, zapuchnięte, twarz ściągniętą.

– Teraz, kiedy masz Marka, już mnie nie potrzebujesz?

– Ależ bardzo cię potrzebuję, Sylvie.

Sylvie na moment znieruchomiała, a potem po jej twarzy przemknął dziwny uśmiezek.

– Ale to nieprawda, co powiedziałaś o naszym ojcu?

Nicole westchnęła.

– Niestety, prawda. Wiem to od Lisy.

I wtedy Sylvie, wyraźnie się poddając, usiadła ciężko na krześle przed toaletką.

– Nigdy już o tym nie będziemy rozmawiać. Nigdy!

Położyła ręce na stoliku, oparła o nie głowę i rozszlochała się.

Dni mijały i Nicole była coraz bardziej pewna, że Markowi stało się coś złego. W kwietniu sytuacja w kraju diametralnie się zmieniła, ale wcale nie na lepsze. Nicole uznała, że powinny szykować się do ewakuacji, bo zawsze może się zdarzyć, że trzeba będzie błyskawicznie uciekać. Zaczęła więc pakować rzeczy swoje i dziecka, starając się przekonać Sylvie, by zrobiła to samo. Była pełna determinacji. Jest matką, musi zapewnić swemu dziecku dobre życie. Jeśli to życie ma się toczyć we Francji, bez Marka czy Sylvie, to trudno. Najważniejsze, żeby było bezpiecznie.

Pewnego dnia po południu poszła z Celeste do gabinetu ojca. W pokoju czuć było ślady jego obecności – zapach papierosów i alkoholu. Usiadła w obitym skórą krześle

i zapragnęła z całego serca cofnąć czas. Żeby było tak jak dawniej, kiedy ojciec był tutaj. Kiedy po prostu miała ojca.

Westchnęła i w tym momencie usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Wyszła do oświetlonego zieloną lampką holu i stanęła jak wryta. Sylvie, blada jak ściana, siedziała na krześle zgarbiona, z łokciami opartymi o kolana i głową wspartą na rękach. Kiedy zobaczyła Nicole, załamującym się głosem przekazała jej złe wieści. Francuski garnizon w dolinie Dien Bien Phu był wielką, bardzo ważną strategicznie jednostką. Sylvie, jak zresztą chyba wszyscy, wierzyła święcie, że Viet Minh tego garnizonu nigdy nie zdobędzie. A tymczasem stało się inaczej, bo francuskie dowództwo popełniło błędy taktyczne.

Sylvie zerwała się z krzesła i zaczęła przemierzać hol wzdłuż i wszerz, pojękując:

– O Boże, wielki Boże, co teraz z nami będzie?

– Sylvie, co to za błędy?

– Okropne! Straszne!

– Czyli jakie?

– Dokładnie nie wiem, ale tragiczne w skutkach.

Ponieśliśmy ogromne straty, a Viet Minh rośnie w siłę.

Pomagają im Chińczycy. Jedyne nadzieje w Ameryce.

– Skąd to wiesz?

– Od André. Zostawił mi w biurze wiadomość.

– I co mamy teraz robić? Czy André coś zasugerował?

– Nie. Tylko to, że duch walki ludzi z Viet Minhu jest tak silny, że prawdopodobnie zwyciężą.

– Dokładnie to samo ci mówiłam. Myślisz, że to już koniec?

– Nie sędzę. Owszem, nie docenialiśmy ich, jednocześnie wyolbrzymiając własną potęgę. Ale jeśli Amerykanie nam pomogą, sytuacja może się zmienić. Możemy zwyciężyć.

– Nadal w to wierzysz?

– Oczywiście! O Boże, jakże bym chciała, żeby papa był tu razem z nami. On na pewno by wiedział, co robić.

– Może i tak.

– Chcę wrócić. Po prostu wrócić. Dlaczego to takie trudne?

– Dokąd chcesz wrócić, Sylvie? – spytała Nicole, zaniepokojona, uzmysłowiła sobie bowiem, że siostra wyraźnie odrywa się od rzeczywistości i przenosi do jakiegoś wyimaginowanego świata.

– Tam gdzie byliśmy przedtem, zanim to wszystko się stało. Rozumiesz?! Tam!

Stała, załamując ręce, półprzytomna ze strachu. Ten strach musiała jednak pokonać, bo raptem wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– Nie damy się! Zrobimy wszystko, żeby uchronić Celeste. Przecież ona z tymi jasnymi włosami i niebieskimi oczami nie przeżyje, kiedy nadejdzie Viet Minh!

– Dlatego nie ma na co czekać, Sylvie. Uciekamy do Sajgonu!

Sylvie nie zdążyła odpowiedzieć, bo nagle zgasło światło.

Wystraszona Nicole odruchowo rozejrzała się dookoła. Co się dzieje? Czyżby Viet Minh wkroczył już do Hanoi? Wyszadzili elektrownię? Oczyma wyobraźni widziała, jak ulicami pogrążonego w ciemnościach miasta przemykają kobiety i mężczyźni ubrani na czarno. Żołnierze Viet Minhu. Zadrżała. Co robić? Przecież są tu same, z maleńkim dzieckiem. Sąsiednie domy stoją puste, w pobliżu nie ma nikogo życzliwego, kto podałby pomocną dłoń...

Ale równie dobrze mogło wysadzić korki.

– Sylvie, weź Celeste. Schodzę do piwnicy.

Starając się pokonać zdenerwowanie, wzięła pochodnię,

która zawsze paliła się w holu, zeszła na dół i zajrzała do szafki z korkami. No proszę, wysadzone. Wcisnęła je z powrotem i światło znów rozbłysło. I wtedy zobaczyła, że miejsce w ścianie, z którego powinien wychodzić kabel telefoniczny, jest zasłonięte deską.

Po odsunięciu deski stwierdziła, że koniecznie trzeba wezwać elektryka, bo wszystko wskazuje na to, że ktoś majstrował przy kablu. Po co? Po to, żeby telefon nie działał.

Przez jakiś czas wszystko wskazywało na to, że słowa Sylvie o nadciągającej zagładzie się nie spełnią. We wszystkich gazetach pisano, że nastroje uległy zdecydowanej poprawie, że mimo zaciekłych walk i ogromnych strat w ludziach francuskie wojska nadal mają przewagę. Nieustannie żądano zwiększonej pomocy od Amerykanów, która w końcu nadeszła.

Później jednak atmosfera znów zrobiła się napięta. Nicole bardzo chciała przynajmniej w nocy, we śnie, zapomnieć o wojnie, ale było to niemożliwe, bo martwiła się o Marka. Bezsenne noce ciągnęły się w nieskończoność i bała się, że jej serce nie wytrzyma tego ciągłego napięcia. Mimo ataków i kontrataków Francuzi rzadko teraz odnosili sukcesy. Złe wieści nadchodziły jedna za drugą i w Hanoi wybuchła panika. Nicole nienawidziła tego czekania i bezsilności, tego okropnego uczucia, że nad niczym nie panuje, dlatego pewnej bezsennej nocy podjęła decyzję, że dłużej nie ma na co czekać. Niezależnie od tego, co twierdzi Sylvie, trzeba stąd uciekać. Jak najszybciej.

Tego dnia postanowiła, że przejrzy segregatory ojca, bo być może znajdzie w nich coś, co warto ze sobą zabrać. W czasie przeglądania dokumentów natrafiła na segregator bez nazwy; widok jego zawartości sprawił, że przez moment zabrakło jej tchu.

Były to dwie zaadresowane do niej koperty i trzy listy do Marka, które nie zostały wysłane. Listy od Marka ktoś już otworzył. Pierwszy był napisany szóstego lutego, czyli tuż po narodzinach Celeste. W kopercie były także dolary, a Mark pisał, że bardzo się cieszy z narodzin córeczki, tęskni za nimi i chciałby jak najszybciej przyjechać i zadbać o bezpieczeństwo

Nicole i małej Celeste. Radził też, żeby wszystko sprzedać. Drugi list był z piątego marca. Mark napisał, że nie może się doczekać, kiedy będą razem. I nie rozumie, dlaczego Nicole nagle przestała do niego pisać. Ma nadzieję, że dlatego, iż wyjechała już do Francji. A jeśli jeszcze nie wyjechała, to ma to zrobić natychmiast. Jechać bez niego i skontaktować się z Lisą, która mieszka w Narbonne. Po raz drugi podał jej dokładny adres. Napisał też, że teraz jest w ciągłych rozjazdach, prosi więc, by Nicole pisała na adres ambasady. A na koniec zapewnił ją o swojej miłości i prosił, by nigdy o tym nie zapominała.

Wzruszona Nicole przyłożyła list do piersi, dokładnie tam, gdzie bije serce. Och, Mark, jakże mogłabym o tobie zapomnieć, mój kochany, mój jedyny...

Po przeczytaniu tych listów przede wszystkim poczuła niewysłowioną ulgę; były przecież niezbitym dowodem, że Mark żyje.

Radość nie trwała jednak długo, bo uzmysłowiła sobie gorzką prawdę. To sprawka Sylvie. Oczywiście, że to ona. Jak mogła być tak okrutna? Rodzona siostra! Czuła, jak narasta w niej gniew, ale rozsądek zwyciężył. Postanowiła zająć się tymi listami później, teraz miała coś ważnego do zrobienia.

Wróciła do swojego pokoju, odsunęła obłuzowaną deskę w podłodze i schowała tam swój paszport, metrykę Celeste i pieniądze. Deska wróciła na miejsce i została przykryta dywanikiem. Gotowe. Teraz mogła już skupić się na listach. Musi odbyć z Sylvie zasadniczą rozmowę. Koniecznie. Bardzo chciała, żeby pojednanie z siostrą było szczere, prawdziwe, tym bardziej że Sylvie podczas porodu okazała się nieoceniona. Ale co z tego, skoro jednocześnie stać ją było na coś takiego! Była wściekła na siebie, że naiwnie uwierzyła, iż w jej stosunkach z siostrą nastąpił przełom, podczas kiedy o żadnym przełomie

nie może być mowy, tak samo jak o bezwzględnym zaufaniu. Tak naprawdę zdana jest tylko na samą siebie. Musi ratować siebie i dziecko. Tylko to się teraz liczy.

Próbowała dowiedzieć się, gdzie obecnie przebywa Mark, dzwoniąc do dawnego biura CIA na drugim piętrze w hotelu Métropole. Kilku pracowników administracyjnych nadal tam urzędowało, ale, niestety, nie potrafili jej niczego powiedzieć, ponieważ nie mieli z Markiem żadnego kontaktu.

Mark mówił, że trzeba wszystko sprzedać, napisał też o tym w liście. Posłuchała jego rady i stąd wzięły się jej wyprawy na prowizoryczny rynek, który powstał w śródmieściu. Wszyscy sprzedawali tam to, co dali radę przynieść. Nicole na początek zaniósła czarną, inkrustowaną macią perłową tacę, która zwykle stała na stoliku w holu. Sprzedała ją za bezcen, ale już za komplet biało-niebieskiej wietnamskiej ceramiki z piętnastego wieku udało jej się uzyskać całkiem niezłą cenę. W rezultacie, rozochocona, chodziła na rynek prawie codziennie, ładując do wózka Celeste najprzeróżniejsze rzeczy, które miała nadzieję sprzedać, między innymi abażury z jedwabiu i biżuterię. Nie było jej żal, że się tego wszystkiego pozbywa. Jest wojna, a luksusy i sentymenty zarezerwowane są na czas pokoju.

Wieczorem w jej pokoju pojawiła się Sylvie, która właśnie wróciła do domu. Wpadła jak burza, wołając od progu:

– Co ty wyrabiasz?! W tym domu niedługo nic nie zostanie!
– Ciszej, bo obudzisz Celeste. – Nicole leżała na kanapie i czytała, a malutka Celeste spała słodko obok niej. – A ty co się tak denerwujesz? Całe Hanoi chodzi na ten rynek. Mówiłam ci, że trzeba się pozbyć jak największej ilości rzeczy, póki jeszcze należą do nas. Mark też mi o tym mówił.

Zamknęła książkę, odłożyła ją na bok i ostrożnie, by nie obudzić dziecka, wstała z kanapy.

– Lepiej powiedz mi, Sylvie, dlaczego schowałaś listy Marka i moje listy do niego?

Sylvie cofnęła się o krok. Milczała. Wargi jej drżały, a oczy były coraz większe.

– Sylvie?

Sylvie wyraźnie naprężyła mięśnie i Nicole była prawie pewna, że siostra rzuci się na nią. Trwało to jednak tylko sekundę i ciało Sylvie zwiotczało, jakby ktoś wypuścił z niego powietrze. Wolnym krokiem podeszła do kanapy. Była bardzo blada. Usiadła i spuściła głowę; robiła wrażenie osoby bardzo znużonej.

Nicole starała się opanować, ale nie było to łatwe. Przecież tego, co zrobiła Sylvie, nie sposób wybaczyć.

– Na litość boską, Sylvie! Wiesz, jak za nim tęsknię! Wiesz, że drzę o jego życie! A ty robisz mi coś takiego?!

Sylvie milczała. Nicole najchętniej złapałaby ją teraz za ramiona i potrząsnęła z całej siły. Na szczęście udało jej się od tego powstrzymać. Stała tylko ze skrzyżowanymi ramionami i czekała na odpowiedź.

– Ja... ja czułam się odstawiona na boczny tor – szepnęła po chwili Sylvie.

– Ty?! To ja przez całe życie tak właśnie się czułam. Papa i ty postaraliście się o to!

Sylvie powoli podniosła głowę.

– Wiem... Wiem też, że nie powinnam była tego robić. Chodzi o te listy.

I rozplakała się, coś tam mamrocząc pod nosem. Nicole niewiele z tego rozumiała, wystarczyło jednak, by poczuć niepokój. Czyżby Sylvie miała coś jeszcze na sumieniu?

Siostra otarła rękawem oczy.

– Teraz masz Marka. Nie potrzebujesz mnie. Ja już nikomu

nie jestem potrzebna.

– Co ty opowiadasz? Jesteś potrzebna, chociażby mojej Celeste. Potrafisz wspaniale się nią zaopiekować.

– Dziękuję. Ale chodzi mi o wszystko, rozumiesz? O nasze dotychczasowe życie. Prowadziłam firmę... A Mark...

W oczach Sylvie znów pojawiły się łzy. Pochyliła się i objęła głowę rękoma.

– Czy to znaczy, że chciałaś zepsuć to, co jest między mną i Markiem? – spytała Nicole załamującym się głosem.

Sylvie pokręciła głową.

– Nie, to nie tak... Chodzi o to, że sama już nie wiem, co się ze mną dzieje. Czasami czuję się taka rozbita. Dosłownie. Jakbym była z miliona kawałeczków i te kawałki odpadają jeden po drugim... Poza tym... bałam się, że stracę ciebie i Celeste. Mówiłaś przecież, że być może wyjedziecie do Ameryki.

Po policzkach kobiety znów popłynęły łzy. Wyglądała tak żałośnie, że Nicole zapomniała o gniewie.

– Och, Sylvie! Dlaczego to zrobiłaś?

Sylvie pokręciła tylko głową.

– Sylvie, tak nie może być. Chyba nie chcesz stracić ani mnie, ani Celeste. Ona cię uwielbia. Obie chcemy dalej uczestniczyć w twoim życiu.

– Naprawdę tak myślisz?

– Oczywiście. Jesteś jedyną ciotką Celeste. Byłaś przy niej, kiedy przychodziła na świat, a to już coś znaczy, prawda? Kiedy jest z tobą, śmieje się bez przerwy. Tak jak powiedziałam, ona cię po prostu uwielbia. A jeśli chodzi o nas, Sylvie, to oczywiście nie chcę, żeby między nami były jakieś zgrzyty. Ale powiedz sama, czy po czymś takim mogę mieć do ciebie zaufanie? Chyba zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś?

Sylvie nieznacznie skinęła głową.

– Tak... Ale widzisz, czuję się taka samotna. Zawsze tak było, a teraz jest tragicznie, bo ta wojna... Czuję, jak jest coraz bliżej, i okropnie się boję.

– Ale nie jesteś sama. Nigdy sama nie byłaś, teraz też, dlatego otrzyj oczy i skup się. Musimy zdecydować, co konkretnie zrobimy.

– Dobrze. I przepraszam, Nicole, przepraszam za wszystko. Wiesz, czasami mam wrażenie, że nie zdaję sobie sprawy z tego, co robię. Jakby tam we mnie, w środku, ktoś jeszcze był.

– Och, Sylvie...

Nicole, uśmiechając się ciepło, rozpostarła ręce, a Sylvie wstała i siostry uściskały się serdecznie. Sylvie pociągała nosem, jeszcze popłakując, a jej serce biło z zawrotną szybkością. Na pewno miała wielkie wyrzuty sumienia. Nicole doceniała to i bardzo chciała móc nadal darzyć ją zaufaniem, choć cienka nić porozumienia, która je ostatnio połączyła, została porządnie nadszarpnięta. Jednocześnie Nicole widziała, w jak złym stanie jest siostra, i miała w związku z tym dylemat. Chciała razem z Celeste jak najszybciej wyjechać do Francji i tam czekać na Marka, ale nie mogła zostawić Sylvie samej. Musiała namówić ją na wyjazd – dla jej dobra, a poza tym byłoby idealnie mieć przy sobie i ukochanego mężczyznę, i siostrę.

Kiedy Sylvie poszła zdobywać dla nich przepustki na wyjazd z Hanoi, Nicole wybrała się do Cercle Sportif, klubu sportowego i towarzyskiego, w którym zbierała się cała kolonialna socjeta. Często przychodzili tu też żołnierze, by popływać w basenie i odpocząć. Korzystając z tego, że nie byli na służbie, można było wyciągnąć od nich sporo prawdziwych informacji.

Nicole, pchając przed sobą wózek z Celeste, spojrzała w niebo. Było coraz bardziej gorąco, ale nad Hanoi zbierały się

ciężkie, ołowiane chmury, z których pewnie spadnie deszcz. O wiele bardziej niepokojące od chmur były jednak samoloty krążące nad miastem.

Poprosiła szatniarza, by przypilnował małej, i wskoczyła do basenu. Popływała trochę, potem położyła się, by wyschnąć na słońcu i popatrzeć na młodych oficerów, którzy beztrudnie szaleli w wodzie, jakby żadnej wojny nie było. Jeden z nich po wyjściu z basenu zmierzył ją wzrokiem, po czym podszedł i poczęstował papierosem, bezceremonialnie przechodząc od razu na ty.

– Dziękuję, nie palę.

– To twoje dziecko? Czy jesteś nianią?

– Mamą.

– Ale obrączki nie masz.

– Faktycznie, nie mam.

– To może wpadniemy do mnie? Napijemy się czegoś mocniejszego. Dziecko możesz wziąć ze sobą.

Spojrzała na niego niemal z politowaniem. To jeden z tych zarozumiałych głupków, którzy uważają, że kobieta ma skakać z radości, kiedy łaskawie okaże jej zainteresowanie.

– Nie, dziękuję.

– Trudno. A można posiedzieć z tobą chwilę?

Nicole wzruszyła ramionami.

– Skoro chcesz... Z tym że za parę minut wracam już do domu.

Oficer przysunął sobie krzesło i usiadł.

– O Jezu! Jestem wykończony.

– No cóż... Jak tam sytuacja w Dien Bien Phu?

Zaciągnął się papierosem i wypuścił obłoczek dymu.

– Przysłali mnie tutaj, bo zostałem ranny i wdało się zakażenie.

– Rozumiem. A jak tam w ogóle jest?

– Niełatwo. Wrogowi pomagają wieśniacy, tysiące wieśniaków, którzy przewożą przez góry prowiant, ciężki sprzęt i amunicję. Potrafią pokonać naprawdę niebezpieczne miejsca. Tak ogólnie to nic nie jest po naszej myśli. Moim zdaniem to już tylko kwestia kilku dni.

– Czyli tę wojnę przegramy?

Oficer westchnął, potem dotknął jej ramienia. Nicole drgnęła, a on się zaśmiał.

– Ale ty jesteś płochliwa! Nie bądź taka nieśmiała, to załatwię ci przelot do Sajgonu.

– Wolę za to zapłacić.

– A... Czyli jesteś zainteresowana?

– Owszem. Chcę tam pojechać, naturalnie z dzieckiem.

– Nie brakuje ci zatem odwagi. A więc dobrze, zajmę się tym, chcę tylko uprzedzić, że to niemało kosztuje.

Wyjął z kieszeni kartkę, oderwał kawałek i coś napisał.

– Proszę. To moje nazwisko. Jeśli naprawdę zależy ci na dwóch biletach, jutro z samego rana przyjdź do Métropole, oczywiście z pieniędzmi. Będę miał dla ciebie dwa bilety na lot w samo południe.

– Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

I zapadła cisza. Oficer palił, Nicole analizowała w duchu jego słowa. A więc Francuzi przegrywają. Można się było tego spodziewać, niemniej jednak taka wiadomość zawsze poraża. A poza tym po co ta okrutna wojna? Jej zdaniem Wietnamczycy absolutnie potrafią rządzić sami, wołałaby, żeby Francuzi zaakceptowali ten fakt i wycofali się z godnością. Żeby przekazanie władzy odbyło się drogą pokojową, podobnie jak w Indiach. Wiedziała, że nie wszystko przebiegało tam idealnie i winni byli podobno Brytyjczycy, ale przynajmniej uniknęli wojny. Więc po co to wzajemne zabijanie się? Wszystkie wojny

są do siebie podobne. Wyzwalają w ludziach najdziksze instynkty. Krew się leje, a jednocześnie, żeby było śmieszniej, niby przestrzega się reguł fair play.

Ciekawe, co będzie czuć, opuszczając kraj, który kocha. Na pewno nie będzie jej łatwo... ale wyjechać trzeba. Znowu wyruszy w podróż... Zadrżała, bo w pamięci ożyło wspomnienie o jej ostatniej podróży z północy kraju na południe, po ucieczce z obozu reedukacyjnego. Kiedy to niezmordowanie szła i szła, sama jak palec. Mijała jedną wioskę za drugą, przechodziła po wąziutkich kładkach nad górskimi strumieniami, a kiedy natrafiła na opuszczoną wioskę, gorączkowo szukała tam czegoś do zjedzenia. I zostawała na noc, a rano znowu szła przed siebie, wygłodzona, umęczona. Strach nie opuszczał jej ani na chwilę, ale mimo to zapamiętała piękno tamtych stron, ogromne drzewa, bezkresny ocean zieleni we wszystkich jej odcieniach. Ale dla niej i tak najpiękniejszym miejscem na świecie zawsze będzie Huế, dlatego bardzo by chciała, by zamieszkali w pobliżu rzeki i jej córeczka zapamiętała zachwycający widok rzeki nocą, kiedy i woda, i niebo nad nią są purpurowe. Albo mnichów w długich szatach, śpiewających święte pieśni w ośmiokątnej świątyni nad rzeką Perfumową. Nigdy jej chyba nie zauważyli, w każdym razie nie dali tego po sobie poznać.

Oficer wstał z krzesła.

– Muszę już iść. Miło było cię poznać.

Odszedł, a po chwili Nicole wyszła z klubu i pchając wózek, obeszła jezioro dookoła, wciągając głęboko w płuca zapach wody i kwiatów. Patrząc na szerokie ulice w stylu francuskim, na bulwary z trzema szpalerami drzew, doszła do wniosku, że Hanoi to miłe, spokojne miasto, że również je kocha i będzie za nim tęsknić.

Wpadła też do banku, gdzie poinformowano ją, że Sylvie

zdażyła już zlikwidować konto jej sklepu. Po wyjściu z banku Celeste obudziła się i zaczęła marudzić. Na pewno była głodna, bo zbliżała się pora karmienia, ale Nicole i tak odruchowo położyła rękę na czole dziecka. Było gorące, więc przyspieszyła kroku. Dokładnie w chwili, gdy przekroczyła próg domu, zagrzmiało i lunęło. Jednocześnie jak na komendę zawyły setki mieszkających w mieście psów. Tak było zawsze. Wyły i podczas burzy, i długo po burzy. W domu było cicho. Nicole poszła do pokoju, wyjęła ze skrytki w podłodze pieniądze, paszport i metrykę Celeste i włożyła do torebki razem z pieniędzmi ze sprzedaży dobytku Duvalów. Do torby podróżnej, zapakowanej już do połowy, dołożyła ubranka Celeste i pieluszki. Postawiła torbę w holu i czekała na Sylvie.

Na szczęście burza minęła szybko, a ponieważ Celeste nie chciała jeść, Nicole przebrała tylko córeczkę, włożyła z powrotem do wózka i wyszła do ogrodu, z nadzieją, że świeże powietrze pod koniec dnia dobrze jej zrobi. Ustawiła wózek pod starą jabłonią i wsunęła dłoń pod główkę dziecka. Karczek był gorący, i chociaż dziecko niby spało, na pewno nie był to zdrowy, głęboki sen. Policzki Celeste też były gorące, postanowiła więc wrócić do domu, a po drodze jak zwykle sprawdzić w szklarni, czy na grządce Lisy nie ma jakichś warzyw. Bo nawet jeśli jutro będą już w Sajgonie, to i tak dziś wieczorem powinny coś zjeść. A z jedzeniem było u nich teraz krucho. Na okrągło jadły soczewicę, cherlawe kurczaki i jakąś zieleninę wygrzebaną z grządki. Nicole przyklęła na wilgotnej ziemi i zaczęła ją dziobać łopatką. Nagle ktoś zakasłał.

Odwróciła się błyskawicznie i zobaczyła Sylvie pochyloną nad wózkiem. Wyjęła Celeste i zaczęła ją kołysać. Obok Sylvie stał jej bliski znajomy André.

– Mała nie czuje się dobrze! – zawołała, podnosząc się

z kolan. – Chciałam, żeby pospała na powietrzu. Włóż ją z powrotem do wózka!

– Może wejdziemy do środka – powiedziała Sylvie. Miała zaskakująco poważną minę i czerwone oczy, jakby płakała. Oprócz tego Nicole zauważyła stojącą na ziemi niewielką walizkę.

– Sylvie, czy coś się stało?

– Tak. Bardzo trudno mi o tym mówić. Bo to straszne...

– Ale mów! Proszę!

Sylvie głęboko odetchnęła i spojrzała przelotnie na André.

– Stało się coś strasznego, Nicole. Nasze wojska są w odwrocie. Garnizon w Dien Bien Phu jest już właściwie zdobyty.

– Słyszałam o tym dziś w klubie. Co jeszcze wiesz, Sylvie?

– Tylko tyle, że żołnierze Viet Minhu pod dowództwem generała Giapa otoczyli nas dzięki podziemnym tunelom w okolicznych wzgórzach. Oni już mają nad nami przewagę, Nicole. Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że stanie się to tak prędko. Nicole, oni... oni chyba zwyciężą!

– Idę po swoje rzeczy.

– Nie! Zaczekaj, Nicole. Niestety, udało mi się zdobyć tylko jeden bilet. Taksówka już czeka. Ma zawieźć mnie do miejsca, z którego amerykański wóz opancerzony wyruszy dziś wieczorem razem z konwojem do portu w Hajfongu. Mam zarezerwowaną koję na liniowcu, który za dwa, trzy dni popłynie do Francji.

– Jeden bilet?!

– Tak. Bardzo mi przykro, Nicole, ale to cud, że udało mi się zdobyć ten jeden, bo ewakuują tylko urzędników i wojskowych.

– Czyli wyjeżdżasz i zostawiasz mnie samą z dzieckiem?

– No tak... Ale czekaj, przecież mogę wziąć ze sobą Celeste! Dziecko nie potrzebuje biletu.

Nicole zmarszczyła brwi.

– Mówisz to na serio?

Sylvie skwapliwie pokiwała głową.

– Oczywiście! Zastanów się nad tym. Przecież ona z tymi jasnymi włoskami i niebieskimi oczami absolutnie nie może tu być, kiedy wkroczy Viet Minh.

– Przecież wiem. I dlatego lecimy z Celeste do Sajgonu.

– Do Sajgonu? Jakim cudem?

– Dziś w klubie poznałam oficera, który obiecał mi, że to zorganizuje.

– I ty mu wierzysz? – prychnęła Sylvie. – Ja bym jednak była bardzo ostrożna. Ale teraz nie ma co się nad tym zastanawiać. Czas nagli. Nicole, co z Celeste? Decyduj się, bo taksówka nie będzie czekać w nieskończoność.

Serce Nicole waliło teraz jak młot.

– Nie wiem... sama nie wiem... Przecież ona ma gorączkę!

– Ale tak będzie dla niej najlepiej. Będzie bezpieczna. Ty wyglądasz jak Wietnamka, poradzisz sobie. A ona nie ma żadnych szans!

Sylvie drżącą ręką poprawiła kocyk.

– Nicole, powtarzałaś bez przerwy, że chcesz ją stąd wywieźć. I teraz jest taka możliwość. Ale nie ma ani minuty do stracenia. Decyduj się. Proszę, błagam, zgódź się, Nicole.

Nicole zerknęła na André. Kiedy zobaczyła, że podnosi walizkę z ziemi, poczuła, że niemal nie może oddychać.

– Ale jakże to tak? Mamy się rozdzielić? Przecież jesteś moją siostrą...

– Oczywiście, choć zdarzyło ci się o tym zapomnieć, kiedy nakłamałaś o moim liście i kiedy spałaś z Markiem!

Nicole nie wierzyła własnym uszom.

– Co? I dlatego chcesz mi teraz zabrać moje dziecko?

– Przestań, Nicole. Wiadomo, że chodzi mi jedynie o jej bezpieczeństwo. Naprawdę zdobyłam tylko jeden bilet.

– A po co ta taksówka? Przecież można pojechać naszym samochodem, ja też bym się zmieściła.

Sylvie powoli pokręciła głową i piórko zdobiące jej kapelusz zadrżało.

– Nie mamy benzyny. Właścicielom prywatnych samochodów nie przysługuje. Można jechać tylko taksówką.

Nicole jeszcze raz błyskawicznie wszystko przemyślała. Może Sylvie ma rację. Kto wie, czy ten oficer faktycznie nie kłamał i nie polecą do żadnego Sajgonu. Będą zmuszone tu zostać. I co wtedy stanie się z Celeste?

Sylvie odwróciła się do André.

– Daj jej, proszę, tę kopertę.

André zrobił, co mu kazała, a Sylvie mówiła dalej:

– Dom w Hué zapisany jest teraz na ciebie. Możesz ukryć się tam na jakiś czas i kiedy tylko trochę tu się uspokoi, przyjedziesz do nas. Będę u ojca, w Paryżu. A ten dom przekazałam wojsku, choć, niestety, nie sądzę, by mieli okazję z niego skorzystać. Chciałam go sprzedać, ale nie zdążyłam. A teraz to już właściwie nie jest nic wart.

– Niech się pani nie upiera – wtrącił się André. – Dla dziecka tak będzie najlepiej. Viet Minh nie pozwoli mu żyć. Pani zresztą też nie będzie bezpieczna.

Powiedział prawdę i to już było ponad jej siły. Rozplakała się. Bo co ma zrobić? Komu zaufać? Kompletnie obcemu oficerowi, który obiecał, że zdobędzie bilety na samolot do Sajgonu, czy też siostrze i powierzyć jej dziecko? W obu przypadkach było wielkie ryzyko, ale najważniejsze to chronić

Celeste. Sylvie wyjeżdża już teraz. Co będzie jutro? Nie wiadomo. Być może nie będzie żadnych biletów do Sajgonu. I co wtedy?

Z ciężkim sercem podjęła decyzję. Chyba słuszną. Ocierając łzy, Nicole podeszła do córeczki i obsypała pocałunkami jej puciołowatą buzię.

– Bądź spokojna o dziecko, Nicole – powiedziała Sylvie. – Będę jej strzec jak źrenicy oka.

Spojrzała siostrze prosto w oczy, pokiwała głową i jeszcze raz pogłaskała najukochańszy aksamitny policzek.

Dopiero po chwili udało jej się wydobyć z siebie głos.

– W holu jest torba z jej rzeczami.

Sylvie odwróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi. André poszedł za nią.

Nicole czuła, jak wszystko w niej zamiera.

– Ona jest chora, pamiętaj! – zawołała załamującym się głosem, a potem pojawiła się myśl, a raczej pytanie: czy ja oszalałam, godząc się na coś takiego?

Pytanie, na które nie ma odpowiedzi.

A jeśli nigdy więcej nie zobaczy swego dziecka?! O Boże, Boże! Trzeba było wyjechać wcześniej, a nie czekać jak głupia. Zrobiła to dla dobra siostry...

– Tak – szepnęła – trzeba było wyjechać wcześniej.

Mark nalegał, ale ona posłuchała Sylvie. W gardle ścisnęło ją tak, że nie mogła przełknąć. Prawie się dusiła, ale kiedy poczuła na twarzy powiew zimnego wiatru i gdzieś w oddali znów zagrzmiało, raptem odzyskała siły.

Wyprostowała się i pobiegła za nimi do drzwi wejściowych, które zostawili otwarte. Widziała taksówkę przed domem. André właśnie zamknął tylne drzwi otwierał te z przodu, by usiąść obok kierowcy. Sylvie z Celeste oczywiście

siedziały już z tyłu. Nicole wydawało się, że niebieskie oczy córeczki są pełne łez.

Samochód ruszył. Pobiegnęła za nim, prawie nic nie widząc przez łzy. Co chwilę potykała się albo wpadała na kogoś, a kiedy taksówka była już bardzo daleko, zabrakło jej tchu. Musiała przystanąć. Co będzie? Przecież Sylvie od wielu tygodni zachowywała się dziwnie. Czasami sprawiała wrażenie osoby kompletnie niezrównoważonej. Czy potrafi zaopiekować się malutkim dzieckiem?

Nie mogła złapać powietrza. Przechodnie gapili się na nią, a ona charczała, dyszała. Po chwili ludzie, samochody, riksze, w ogóle wszystko zrobiło się niewyraźne, zamazane i zlało się w jedną czarną masę. I wszędzie było ciemno. To na pewno noc, ona zwykle przychodzi tak nagle...

Usiadła na ziemi, w tych ciemnościach, i rozpłakała się. Nie, nie płakała. Wyła i skomlała jak śmiertelnie zranione dzikie zwierzę.

Kiedy przestała płakać, brakowało jej tchu, jakby niewidzialna obręcz ścisnęła jej klatkę piersiową. Wreszcie obręcz znikła, a ona skuliła się i objąwszy kolana rękoma, zaczęła się kołysać, siedząc dalej na chodniku. Ludzie mijali ją, nikt się nie zatrzymał. Po chwili wstała, popatrzyła na zatłoczoną ulicę, nie widząc nikogo, i ruszyła z powrotem do domu. Stała przed drzwiami, oparła się o nie i całkowicie poddała tęsknocie za małą Celeste, która powinna być teraz w jej ramionach, ramionach matki.

Spojrzała w górę, na ołowiane chmury przesłaniające niebo, a potem na ulicę. Zauważyła jakąś parę – starszy pan i starsza pani, oboje z walizkami. Ona parła do przodu, on nie nadążał i wciąż był karcony. Z tych pokrzykiwań wynikało, że uciekają przed Viet Minhem. Nicole odruchowo zrobiła krok do przodu. Może podbiec do nich, rzucić im się do nóg i błagać, by powiedzieli, gdzie czeka konwój? Sylvie przecież jej nie powiedziała.

O nie... Cofnęła się, oparła plecami o drzwi i położyła rękę na gardle, bo znowu brakowało jej powietrza. Dopiero po chwili była w stanie nacisnąć klamkę. Weszła do holu. Spojrzała na cztery ściany, szklaną kopułę, podłogę i już podłączony telefon, który stał na stoliku obok drzwi do salonu.

Otarła twarz, skupiła się i zadzwoniła na policję. Surowy męski głos poinformował ją, że policja ma ważniejsze sprawy na głowie, takie jak rozboje na ulicy, o wojnie nie wspominając.

– Proszę, pomóżcie mi, panowie. Moją córkę wywieziono do Hajfongu.

– Powiedziała pani, że zabrała ją pani siostra.

– Tak, ale ja też muszę jechać do Hajfongu.
– Pani pozwoliła siostrze zabrać dziecko?
– Pozwoliłam. Ale moja córeczka jest chora.
– To już są sprawy rodzinne.
– Rozumiem. Ale czy nie możecie, panowie, pomóc mi dostać się do Hajfongu? Przynajmniej powiedziec mi, skąd wyrusza ten konwój.

– Tego rodzaju informacji nie udzielamy.

Rzuciła słuchawkę i usiadła na schodach, obejmując głowę rękami. Była na dnie rozpacz. Każda komórka jej ciała przeraźliwie krzyczała, nie godząc się ze stratą. Kto mógłby jej pomóc dostać się do Hajfongu? Kto? Przecież ktoś taki musi istnieć na tym świecie!

Wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem, czepiając się teraz myśli, że Sylvie może przecież zmienić zdanie. I wrócić.

W całym domu panowała cisza. W tej ciszy słyszała dobiegający z ulicy zgrzyt zardzewiałego łańcucha roweru, matkę wołającą dziecko i klaksony samochodów. Kiedy nagle zahukała sowa, wróciła do rzeczywistości. Inni ludzie poruszają się, każdy coś tam robi. Dlaczego więc ona ma siedzieć z założonymi rękami? Włączyła radio i wysłuchiwała wiadomości. A więc to prawda. Klęska Francuzów była możliwa. Owszem, nadal w ich rękach pozostawało Hanoi i Hajfong, a także droga łącząca oba te miasta, ale już niebawem na ulicach tych właśnie miast pojawią się żołnierze Viet Minhu. Po wiadomościach puszczono *Marsyliankę*. Nicole w dzieciństwie nieraz słuchała francuskiego hymnu i natychmiast ożyły wspomnienia z Hué, piękne, jak to o srebrzystym niebie, które wisiało tak nisko nad niebieską rzeką, że chciało się go dotknąć. Wspominała przez całą długą noc, a gdy niebo widoczne przez szklaną kopułę poszarzało, patrzyła na nadchodzący świt.

Kiedy zrobiło się jasno, poczuła się pewniej. W końcu musi być jakiś sposób, by dostać się do Hajfongu. Nie ma co się łudzić, że polecą do Sajgonu. Całe szczęście, że nie zapłaciła za bilety z góry i te pieniądze może wykorzystać teraz, podążając za Sylvie. Weźmie samochód. Na pewno ktoś sprzeda jej benzynę. Tak, tylko samochód, bo jazda pociągiem jest wykluczona. Pociągi co prawda kursują, ale wszyscy wiedzą, że tory potrafią być zaminowane.

Wyszła do ogrodu i od razu zauważyła leżącą na trawie kopertę, wilgotną od rosy. Kopertę, którą dała jej Sylvie. Podniosła ją i rozerwała. Nie czuła się dobrze, było jej okropnie gorąco. Otarła ręką czoło i zaczęła czytać. A więc to prawda, dom w Hué należy do niej. Tak, ale po co jej ten dom? Po co, skoro nie ma przy sobie dziecka?

Znów popłynęły łzy, wróciły najczarniejsze myśli. Miała wrażenie, że coś się w niej załamało. Mark może już nie żyje. (Jego ostatni list był z marca, a przecież jest maj. Gdyby żył, na pewno by w tym czasie napisał. Chyba że Sylvie przechwyciła także ten list i schowała). Córeczka jest daleko stąd. Tęskniła za nimi tak bardzo, że bolało ją nie tylko serce, ale całe ciało. Najgorsze było poczucie winy, że jednak nie przemyślała wszystkiego do końca. Powinna była się zastanowić nad stanem Sylvie, nad jej kruchą psychiką. Bo może już wtedy, a nie dopiero teraz, zaświtałaby w jej głowie myśl, że Sylvie na pewno jest poważnie chora.

Nicole popatrzyła na zioła i dziko rosnące kwiatki, których nie brakowało w ich ogrodzie. Przez chwilę posłuchała śpiewu ptaków uwijających się wśród gałęzi drzew i wolnym krokiem weszła z powrotem do domu. Tuż za progiem pochyliła się, by podnieść z podłogi sweterek Celeste. Wtuliła twarz w mięciutką wełnę; pachniała najpiękniej na świecie, bo jej córeczką. Ścisnęło ją w gardle, ale natychmiast wzięła się w garść. Nie pora na płacz, trzeba działać, skoro uznała, że ten pomysł, który dziś przyszedł jej do głowy, należy zrealizować.

Szybko wyciągnęła z szafy wietnamskie ubranie. Przebrała się i wezwała taksówkę; jechała szybciej niż riksza, ale było w niej potwornie gorąco. Mimo opuszczonej szyby i tak musiała co chwilę ocierać pot z czoła. W głowie jak zwykle kłębiły się niespokojne myśli. Kto wie, co przyjdzie Sylvie do głowy. Może wcale nie będzie jej w mieszkaniu papy?

Taksówka zatrzymała się przed jej sklepem. Zapłaciła, szybko wysiadła i wbiegła po schodkach. Otworzyła drzwi i musiała postać chwilę w progu, opierając się o framugę. Brakowało jej sił. Trzeba napić się wody, to zawsze pomaga. A poza tym tego dnia nie miała jeszcze niczego w ustach. Po prostu nie chciało jej się jeść.

O-Lan musiała wypatrzeć ją przez okno, bo wybiegła ze swego sklepu, wołając z daleka:

– Nicole, wieki cię nie widziałam! Słyszałam, że masz córeczkę! Tak się cieszę!

Podbiegła bliżej i od razu spoważniała.

– Nicole, wyglądasz strasznie.

– Wiem. Koniecznie muszę się napić wody.

– Lepiej kawy. Zaraz zrobię.

– Dziękuję... dziękuję – wykrztusiła z trudem Nicole, dygocząc i szcękając zębami. – Muszę jechać do Hajfongu. Jak najszybciej.

– W takim stanie nie możesz tego zrobić.

– Dam radę. – W oczach Nicole zakręciły się łzy. Otarła je szybko, nie wolno jej się teraz rozklejać. – Ona zabrała moje dziecko, O-Lan. A Celeste jest chora. Sylvie też. Muszę za nimi jechać.

– Ależ, Nicole, nie słuchałaś ostatnich wiadomości? Dien Bien Phu padło. Francuzi się wycofują. Ponieśli ogromne straty. Zginęły tysiące, tyle samo mają rannych. Tych, co mogą iść, przenoszą w bezpieczne miejsce, na drogach panuje więc chaos. Lepiej jedź do Sajgonu.

– Nie. Sylvie pojechała do Hajfongu. Ma zarezerwowaną koję na liniowcu, który płynie do Francji. Mam trochę pieniędzy, ale to nie wystarczy. Potrzebuję o wiele więcej.

– Ale przecież Amerykanie ewakuują swoich i Francuzów bez żadnych opłat. Tak przynajmniej słyszałam. A ty, Nicole, przede wszystkim musisz teraz odpocząć.

– Szkoda mi czasu. A do ciebie mam wielką prośbę. Czy mogłabym wziąć motocykl twojego kuzyna? Nie prosiłabym o to, gdybym nie była tak zdesperowana. Tylko w ten sposób uda mi się dotrzeć do Hajfongu.

– Nie ma problemu, Nicole – uśmiechnęła się O-Lan. – Wyobraź sobie, że bak jest pełny. Skoro to jedyny sposób, żeby dojechać do Hajfongu, bierz go.

– Naprawdę? O-Lan, może się zdarzyć, że już tu nie wrócę, przyślę wtedy pieniądze za motocykl. Przyrzekam.

– Och, daj spokój. Najważniejsze, żeby ci się powiodło.

– Dziękuję, O-Lan. I przepraszam, że nie przywiozłam tu

Celeste, żeby ci ją pokazać. Ale bałam się, że zastanę Tràna.

Nicole zamknęła oczy, bo nagle zakręciło jej się w głowie. Czowała, jak O-Lan kładzie dłoń na jej czole, potem karku.

– Jesteś rozpalona. Idziemy do mnie.

Wzięła ją pod ramię. Nicole, bardzo teraz słaba, oparła się o przyjaciółkę i powoli, krok za krokiem, ruszyły w stronę domu O-Lan.

– A jak czuje się twoja matka, O-Lan?

– Moja matka umarła.

– Och, bardzo ci współczuję!

O-Lan nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Jest teraz wśród naszych przodków. Szczęśliwa.

A wracając do Tràna, to masz rację. Kiedy tu się zjawi, na pewno będzie cię szukał. Musisz być bardzo ostrożna.

Nicole szła z coraz większym trudem. Głowę miała niesamowicie ciężką, a nogi jak z waty. Gorączka rosła. O-Lan powiedziała, że na pewno dopadła ją choroba, która teraz panuje w mieście. Umęczy człowieka, ale na szczęście trwa bardzo krótko. Mimo że każda minuta rozłąki z dzieckiem była dla Nicole tragedią, z bólem serca zdecydowała, że o jeździe motocyklem nie ma teraz mowy. Została u przyjaciółki. Przez resztę dnia miała dreszcze, a w nocy całkiem zaniemogła. Przede wszystkim było jej okropnie niedobrze. O-Lan przyniosła miskę i trzymała Nicole za głowę, kiedy wymiotowała. W przebłysku świadomości z przerażeniem pomyślała, że jej maleńka, bezbronna córeczka mogła zapaść na tę samą chorobę. Czy Sylvie będzie umiała zaopiekować się chorym dzieckiem? Jej maleństwo, teraz bez matki, może przecież umrzeć. Była cała roztrzęsiona. Drżała przez wiele godzin, a kiedy dreszcze minęły, miała wrażenie, że cała w środku wyschła na wiór.

Po jakimś czasie usłyszała O-Lan.

– Zaniosę jej koc. Nadal ma wysoką gorączkę i dreszcze.
A ty, proszę, zrób jej coś gorącego do picia.

Potem odezwał się jakiś mężczyzna. Głosy dochodziły jak przez mgłę. Była półprzytomna z gorączki, zrozpaczona, załamana. Słyszała, że na ulicy coś się dzieje. Było głośno jak nigdy, nie miała jednak siły spytać o to O-Lan. Tak minęła noc. Rankiem gorączka opadła, ale Nicole nadal czuła się dziwnie, jakby była po prostu nierzeczywista. Ten stan ducha minął w chwili, gdy usłyszała czyjeś kroki tuż za drzwiami, i tknięta złym przeczuciem cała zeszywniała.

Najpierw zapachniało pieprzem. Potem go zobaczyła.
I poczuła paniczny strach.

Trần podszedł do łóżka.

– Otworzę okiennice – powiedział, stawiając na stoliczku szklankę z wodą.

– Nie, proszę, nie rób tego, bo światło okropnie mnie razi.

To było prawdą, ale nie do końca. Nie chciała go widzieć, a on, niestety, był tutaj, w tym niewielkim pokoju. Po chwili zerknęła na niego. Wojna go nie oszczędziła. Kiedyś tak pewny siebie, teraz sprawiał wrażenie człowieka pokonanego, a już na pewno rozczarowanego.

Usiadła na łóżku, sięgnęła po szklankę i wypila parę łyków.

– Jak długo tu jesteś, Trần?

– Przyjechałem wczoraj wieczorem.

– O-Lan powiedziała ci o mnie?

– Nie chciała mówić, ale nie dało się ukryć.

Wydawał się skrepowany, widząc ją w takim stanie. Bez przerwy nerwowo poprawiał szalik na szyi. I milczał. Tylko raz prześlizgnął się spojrzeniem po jej twarzy i natychmiast odwrócił głowę.

Nicole wypila całą wodę.

– Gdzie jest O-Lan?

– W twoim sklepie. Prosiła mnie, bym posiedział przy tobie.

– Jesteś moim aniołem stróżem?

– Można to tak ująć. Coś ci przyniosłem.

Wsunął rękę do niewielkiej torby i wyjął z niej małą, staromodną torebkę Nicole.

– Dziękuję – powiedziała z uśmiechem. – Znalazłeś ją w namiocie?

– Tak. Uratowałem ją przed zagładą, czyli faktycznie w pewnym sensie jestem twoim aniołem stróżem.

– Dziękuję – powtórzyła, biorąc od niego torebkę. Korciło ją, żeby zajrzeć do środka, czy jest tam zdjęcie Marka, ale jakoś nie miała odwagi tego zrobić.

A Trần chyba się odprężył, bo jego spojrzenie nie było już takie twarde.

– Twoja ucieczka to było wielkie ryzyko. Dla mnie też – powiedział.

– Wiem. Pomagając mi, ryzykowałeś wszystko. Jestem ci bardzo wdzięczna, Trần.

Znów zaczął skubać szalik, potrząsając głową, i Nicole poczuła się nieswojo; w tym momencie pragnęła z całego serca, by O-Lan wróciła jak najprędzej do domu.

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

– Nasza partia nie patrzy już przychylnie na metysów. Ale ja mam ugruntowaną pozycję, poza tym ty wcale nie wyglądasz jak Francuzka. Kiedy wyzdrowiejesz, możemy się pobrać.

Nicole, przerażona, aż krzyknęła.

Czegoś takiego na pewno się nie spodziewała. Przecież ona prawie zapomniała, że kiedyś coś ich łączyło! A on występuje z taką propozycją!

Trần bardzo się zmienił, był już innym człowiekiem. Jego oczy straciły blask, w głosie nie było dawnej żarliwości. Prawdopodobnie jego idealizm należał już do przeszłości. Koniec uniesień, dawny wizjoner zajął się teraz praktyczną stroną życia.

– Ale ja mam dziecko, Trần. Córeczkę, która jest teraz pod opieką mojej siostry.

Musiał być bardzo poruszony, bo natychmiast zerwał się z krzesła.

– Francuska dziwka! – krzyknął z odrazą.

Nie chciała rozstawać się z nim w gniewie, dlatego uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę.

– Bardzo mi przykro, Trần, ale nie możemy być razem.

– To nie – warknął, wcale nie próbując ukryć gniewu. – W takim razie mam obowiązek poinformować władze, że tu jesteś.

– Jakie władze? Bo o ile wiem, Viet Minh jeszcze tu nie rządzi.

– Ale władza Francuzów wisi na włosku! Masz niewiele czasu, by się zastanowić i zmienić zdanie.

Teraz wyraźnie złagodniał. Wyglądał jak dawny Trần.

– Moglibyśmy żyć długo i szczęśliwie w mieszkaniu nad tym twoim sklepem – powiedział spokojnym głosem.

Nicole potrząsnęła głową.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Powiedziałam ci, że mam dziecko. A teraz dodam, że nie zamierzam być wietnamską kurą domową.

Wtedy podszedł do okna. Otworzył je i do pokoju wdarły się odgłosy ulicy: łoskot, huk, gniewne krzyki. Nicole najpierw odruchowo zatkała uszy, potem potarła oczy i osłoniła je ręką przed rażącym światłem.

Trần odwrócił się od okna.

– Najlepiej będzie, jak mi dasz ten swój sklep.

– I co ci z tego przyjdzie, kiedy komunistyczny rząd odbierze ludziom wszystko. Ale skoro chcesz... Dobrze. Kiedy będę wyjeżdżać, zostawię tutaj klucze i akt własności.

– Mam nadzieję, że nigdzie stąd nie wyjedziesz – powiedział i uśmiechnął się. – Po co? Przecież to nie będzie trwało wiecznie i znów będzie po staremu. A ja nigdy dotąd nie byłem właścicielem. Najlepiej, żebyśmy razem prowadzili ten sklep.

Nicole, bojąc się, że Trần po jej minie może się zorientować, co teraz czuje, starała się za wszelką cenę opanować. Ale serce biło jak szalone; była przecież świadoma, że igra z ogniem. Nie wolno jej zgadzać się na wszystko, ale też nie może być agresywna.

– Nicole, czujesz się już lepiej?

Pokiwała głową i teraz ona spytała:

– A teraz tak serio powiedz, czy będzie można prowadzić dalej ten sklep?

– Oczywiście. Na początku będą chcieli, żeby wszyscy pracowali na wsi albo w wielkich państwowych fabrykach. Nie będzie prywatnego handlu.

– Aha. Czekaj, niech no się nad tym zastanowię.

Oparła się o poduszkę i przymknęła oczy. Chciała, żeby wreszcie sobie stąd poszedł, a wtedy ona też będzie mogła zniknąć. Czyli trzeba czekać do powrotu O-Lan...

– Nicole...

Nie otworzyła oczu, ale wyczuła, że teraz ukląkł obok niej.

– Nicole, przecież ja wróciłem tu po ciebie.

Poczuła, że znów zaczyna kręcić jej się w głowie.

– Trần, proszę. To, co nas łączyło, było wieki temu...

– Ale mówiłem ci, że wrócę. Wrócę po ciebie.

– Jesteś szalony, naprawdę. Przecież to nie ma sensu. Ale zastanowię się, tylko później, bo teraz okropnie chce mi się spać.

I odwróciła się do ściany. Smutna, zniechęcona, zamknęła oczy i po chwili wreszcie usłyszała ciche kroki. Trần szedł do drzwi.

Tej nocy znów śniło jej się, że topi się w rzece w Hué, ale mimo że się obudziła, nadal nie mogła zaczerpnąć powietrza. Ktoś ją z całej siły ścisnął. Była przerażona, bała się otworzyć oczy, ale kiedy wreszcie uniosła powieki, odetchnęła z ulgą. W świetle małej lampki stojącej w kącie ujrzała twarz O-Lan. Przyjaciółka położyła palec na ustach, więc Nicole kiwnęła głową na znak, że pojęła. Ma być cicho. Wtedy O-Lan zwolniła uścisk.

– Rzucaliśmy się we śnie – szepnęła. – Bałam się, że zaczniesz krzyczeć.

– Co się dzieje?

– Musisz natychmiast stąd uciekać.

– Agenci Viet Minhu? Są tutaj?

– Nie. Ale Hanoi po prostu się wali. Przez dezertersów.

Wietnamczyków, którzy przeszli na stronę Francuzów i razem z nimi walczyli z Viet Minhem.

Nicole usiadła. Zza okna znów dochodziły hałasy. Jakby ktoś wyrzucał na ulicę garnki i patelnie.

– A to co?

– Ludzie starają się zwrócić uwagę policji, żeby im pomogła, ale to nie działa.

W tym momencie tak grzmotnęło, że obie podskoczyły i przypadły do siebie, trwając tak długą chwilę.

– Banda zbirów! Nicole, jeśli cię tutaj znajdą, nigdy stąd nie wyjedziesz. Oni są wściekli, że Francja przegrała tę wojnę i teraz Viet Minh dobierze się do nich.

Nicole, przerażona, wlepiała oczy w przyjaciółkę.

– Już są w twoim sklepie, Nicole. A dwie osoby trzymają

na muszce na ulicy.

– Francuzów?

– Wietnamczyków, którzy wspierali francuski reżim.

Nicole, jak tylko stąd pójda, pobiegiesz do swojego sklepu. Oni na pewno tam nie wrócą. Idą cały czas do przodu, grabiąc po drodze, co się da.

– Mogą teraz przyjść do ciebie!

O-Lan pokręciła głową.

– Nie. Już tu byli, kiedy spałaś. Wiedzą, że jestem kuzynką Tràn, i mnie nie tkną. Nie ośmielą się. Ale ty musisz stąd odejść, zanim pojawi się Tràn. Wyszedł na chwilę, ma wrócić po północy.

– On chce, żebym dała mu klucze do mojego sklepu i akt własności.

– Możesz zostawić je u mnie. Tràn, jak powiedziałam, wróci po północy. Do tego czasu oboje musicie zniknąć.

– Oboje? Nie rozumiem.

– Ty i Mark.

– Mark?! On żyje?! Jest tutaj?!

Serce Nicole waliło jak oszalałe. Rozejrzała się, jakby spodziewała się, że Mark zaraz wyłoni się z jakiegoś ciemnego kąta jak duch.

– Nie, tutaj go nie ma – odpowiedziała O-Lan z uśmiechem.

– Kiedy dowiedział się, że nie wyjechałaś do Francji, poszedł do waszej willi, a ponieważ ciebie tam nie było, przyszedł tutaj. Powiedziałam mu co i jak. Wróci później.

Nicole jeszcze nie wierzyła własnemu szczęściu.

– O Boże! Mark żyje! Naprawdę?

– Tak. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Nicole, czując nagły przypływ energii, zerwała się na równe nogi. Ileż ona się modliła, by los oszczędził Marka!

I wymodliła, bo Mark żyje!

Radość ją rozsadzała, czuła się zdrowa, silna, rwała się do życia. Żeby nie pogrążyć się w rozpacz, tłumiała w sobie uczucia, teraz jednak mogła dać im upust. Teraz, kiedy krew w jej żyłach krążyła z zawrotną szybkością, kiedy miała przed oczami kochaną twarz Marka, jego ręce, jego jasnoniebieskie oczy, mogła się cieszyć.

Uśmiechnęła się.

– Jakie to szczęście, że natrafił na ciebie, a nie na Trâna.

– Tak, całe szczęście. Przecież wie, że jestem twoją przyjaciółką. Powiedziałam mu, że Sylvie zabrała waszą córkę. Teraz pojedziecie po nią razem. Weźmiecie motocykl. Proszę, tu są pieniądze, które udało mi się wygospodarować.

Nicole odebrała kopertę i serdecznie uściskała przyjaciółkę, po czym obie znów podskoczyły, bo teraz słysząc było taki łomot, jakby ktoś z sąsiedniego domu wyrzucał na ulicę meble.

– Spokojnie, Nicole, niebawem będziesz to miała za sobą. O świcie powinniście już być w Hajfongu.

– Czy na drogach jest bezpiecznie?

O-Lan się skrzywiła.

– Jest różnie. Ale musicie zaryzykować.

Czekając, aż łomot w sąsiednim domu ucichnie, Nicole znów dała się ponieść emocjom. Nadzieja, że wszystko będzie dobrze, była ogromna. Trzeba tylko wyruszyć w drogę już tej nocy. Razem z Markiem na pewno odnajdą Sylvie i Celeste. Miała ochotę krzyczeć z radości, ale radość przesłaniała jednak pewna wątpliwość: a może Sylvie wcale nie pojechała do Francji?

O-Lan, jakby wyczuwając jej obawy, lekko uścisnęła rękę przyjaciółki, dając sygnał: będzie dobrze, bo inaczej być nie może.

Kiedy uznały, że już się uspokoiło, wyszły przez tylne drzwi i przemknęły alejką na tyły sklepu Nicole. Widok podwórka od razu jej przypominał miłe chwile spędzone tu z O-Lan. Ileż to razy siadały na tym podwórku, grzejąc się w słońcu i zajadając coś pysznego. Śmiały się, gadały. Tak, tyle dobrych wspomnień, choć trudnych też nie brakowało. Jaka szkoda, że musi się rozstać z O-Lan...

Nagle obie spojrzały na sklep O-Lan. Coś tam stuknęło.

– Trần?!

– Nie, to niemożliwe. Ale pójdę sprawdzić, bo chyba nie zamknęłam drzwi na klucz. Aha, i jeszcze coś. Mark ma kluczyki do motocykla. Może go wziąć o każdej porze. Szopa jest otwarta.

– Dzięki. Czy Trần będzie bardzo zły?

– Oczywiście. Powiem, że ukradł motocykl.

Uśmiechnęły się obie, potem Nicole zamknęła w dłoniach obie ręce O-Lan.

– Dziękuję ci, dziękuję za wszystko.

– Nie dziękuj. Jestem przecież twoją przyjaciółką.

– Najlepszą. Takiej przyjaciółki jak ty nigdy nie miałam.

Nicole bardzo chciała powiedzieć jeszcze kilka ciepłych słów – przecież może się tak zdarzyć, że już nigdy się nie zobaczą – ale po co mówić, skoro ich spojrzenia mówiły wszystko.

O-Lan kiwnęła głową.

– Ja też takiej nie miałam. Nicole, czekaj tutaj. Mark przyjdzie zaraz po zapadnięciu zmroku. Od razu bierzcie motocykl i ruszajcie w drogę. Pamiętaj, przed północą ma was już tu nie być.

– Dobrze. Wiesz, jeszcze nie mogę uwierzyć, że to koniec.

– Coś się kończy, a coś zaczyna. Tak już jest. Mam

nadzieję, że uda wam się szybko odnaleźć twoją siostrę. Ucałuj ode mnie maleństwo.

Na wspomnienie o dziecku w oczach Nicole zakręciły się łzy. Jeszcze raz serdecznie uściskała przyjaciółkę i O-Lan przemknęła alejką z powrotem do swego domu. Nicole odprowadzała ją wzrokiem, potem O-Lan, stojąc już przed drzwiami, pomachała na pożegnanie. Nicole z uśmiechem, ale i z ciężkim sercem, też jej pomachała i drżącą ręką przekręciła w zamku klucz.

W sklepie był ogromny bałagan. Wszystkie bele cennego jedwabiu zrzucono z półek. Wszystkie. Nicole, potykając się w ciemnościach, odruchowo zaczęła podnosi je z podłogi, ale po chwili zrezygnowała. Trudno, niech leżą, chociaż przykro, że praca, w którą włożyła tyle serca, poszła na marne.

Nie miała już gorączki, nogi jednak nadal odmawiały posłuszeństwa, poszła więc na górę, żeby się położyć. W pokoju był ziąb i wilgoć, ale zamknęła oczy i czekając na Marka, słuchała odgłosów nocy: pohukiwania sowy, trzepotu skrzydeł, płaczu dziecka przez sen. Słuchała ze ściśniętym sercem, przecież były to ostatnie chwile, jakie spędzała w swoim sklepie z jedwabiem. W miejscu, które pokochała.

Kiedy usłyszała w półmroku sklepu kroki, w pierwszej chwili zastygła. Mark, zwinny jak kot, bezszelestnie pokonał schody, ale ona przecież nie spała. Oczy miała szeroko otwarte i czekała. Po chwili poderwała się z łóżka, czując się lekka jak piórko, i kiedy ciemna postać pojawiła się na szczycie schodów, rozłożyła ramiona i rzuciła się w jego objęcia, ciepłe, mocne, najdroższe. Wtulona w pierś mężczyzny, rozplakała się z nadmiaru szczęścia i rozżalenia, że tak długo czekała, że tyle było wątpliwości, nadziei, strachu.

Mark, nie wypuszczając jej z objęć, położył się na łóżku. Kiedy płacz ucichł, odsunął ją trochę od siebie, by spojrzeć w jej oczy.

– Nicole...

– Och, Mark! Myślałam, że nie żyjesz!

– Jak widzisz, żyję, ale dopiero teraz to wszystko się skończyło. Wybacz, że trwało tak długo.

Opowiedział, że kiedy wrócił z Rosji, spodziewał się, że Nicole jest we Francji. Zadzwoił do Lisy i okazało się, że kucharka nie widziała Nicole na oczy, tylko dostała od niej list. Poszedł więc do willi Duvalów, a ponieważ furka była zamknięta na klucz, wspiął się na mur.

– Drzwi do szklarni zastałem szeroko otwarte, a kiedy wszedłem do środka, zobaczyłem nieludzki bałagan. Wiem, kochanie, że pedantką nie jesteś, ale to przekraczało jednak pewne granice.

– No cóż... Wyjeżdżałam w pośpiechu – zaśmiała się. Mark spoważniał.

– Byłem przerażony, pewny, że już cię straciłem. Ktoś mi

jednak poradził, bym poszukał cię tutaj.

– Mark, a co z twoją pracą?

– Nie martw się. Uzgodniliśmy to i owo.

Najwyraźniej Mark nie chciał teraz o tym mówić.

– Pogadamy o tym później. Lepiej przygotujmy się do naszej podróży życia na motocyklu. Najważniejsze to wymknąć się stąd przed przyjściem Trâna. Nicole, myślisz, że dasz radę?

– Naturalnie. Miałam tylko gorączkę. Czuję się już dobrze i gdybyś się nie pojawił, wyruszyłabym w drogę sama.

– Ale jesteś blada.

– Niemożliwe. Chyba tylko w tym świetle.

Mark wyjął z kieszeni papierową torebkę.

– Proszę, zjedz – powiedział, podając jej wygniecioną bułkę zapiekaną z serem.

– Ale nie jestem głodna.

– Kiedy ostatni raz miałaś coś w ustach?

Cisza.

– I tak też myślałem. Masz zjeść tę bułkę. Musisz nabrać sił. Poza tym masz coś ciepłego na grzbiet? Jedziemy przecież motocyklem.

– Coś tam mam, czego nie zdążyłam sprzedać albo mi nie ukradli.

Spędzili na łóżku jeszcze kilka cudownych minut. Mark głaskał Nicole po głowie, ona rozkoszowała się jego dotykiem i słono-cytrynowym zapachem. I myślała o ich córeczce.

Wiedziała, że ta chwila szczęścia jest ulotna, a to, co ich czeka, bardzo niebezpieczne, ale nad tym nie chciała się zastanawiać. Mark tulił ją do siebie bardzo mocno i czuła, że on też tęsknił, tak samo jak ona.

Nicole wrzuciła do plecaka Marka trochę swoich ubrań i wyszli ze sklepu tylnymi drzwiami, od strony podwórka.

Szybko pokonali kawałek drogi między domami i podeszli do szopy na podwórku O-Lan.

Drzwi niewielkiego budynku zgodnie z zapowiedzią nie były zamknięte na klucz. Okazało się, że sprytna O-Lan pomajstrowała nawet przy zamku i rzeczywiście wyglądało to tak, jakby ktoś się włamał. Spisała się więc na medal, choć Nicole, szczerze mówiąc, nie była tym zachwycona. Po prostu bała się, że Trần wyładuje złość na jej przyjaciółce.

Mark objął ją ramieniem, przytulił i szepnął:

– Gotowa?

O, tak. Gotowa, zniecierpliwiona, teraz miała tylko jedno pragnienie: znów zobaczyć swoje najukochańsze maleństwo.

– Mark, wiesz, ona jest do ciebie bardzo podobna. Oczy, włosy, a kiedy się uśmiecha, też ma w oczkach takie iskierki jak ty.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę.

Mark po cichu wyprowadził motor z szopy i ruszyli zupełnie pustą ulicą. Wyglądało na to, że szczęście im sprzyja. Niestety, sprzyjało tylko do czasu, bo po przejechaniu mniej więcej pół kilometra usłyszeli głośne i kategoryczne:

– Stój!

To był francuski patrol.

– Bierz motor i plecak i idź dalej tą aleją – szepnął Mark. – Postaram się jakoś odwrócić ich uwagę. Mam nadzieję, że oni tylko nas słyszeli, ale nie widzieli.

Nicole natychmiast ruszyła, co jakiś czas zerkając w tył. Widziała, że Mark idzie w przeciwną stronę, udając pijanego. Pogwizdywał, coś mamrotał pod nosem, nawet się zataczał. Po chwili skręcił za róg i znikł z pola widzenia, ale wszystko dokładnie słyszała.

– O, pan oficer! – wybełkotał Mark. – Piękny wieczór,

prawda?

– Ciszej. Jest godzina policyjna. Jeden z moich ludzi odprowadzi pana do domu.

– Po co? Sam trafię.

– A skąd pan się wziął tutaj, w tym rejonie miasta? I nie sam, słyszeliśmy przecież, że z kimś pan rozmawiał. Kto to był?

– Ja...

Mark zamilkł, nie było więc na co czekać. Nicole błyskawicznie wprowadziła motocykl w gęste krzaki i ściągnęła z siebie narzutkę. Rozpięła sukienkę, potargała włosy i popędziła za róg. Chichocząc jak głupia, podbiegła do Marka. Uwiesiła się na jego ramieniu i wlepiając oczy w oficera, wybuchła potokiem słów, naturalnie po francusku.

– Och, panie oficerze, proszę się na nas nie gniewać, proszę! Ja i mój chłopak wypiliśmy trochę za dużo. Nie czułam się potem zbyt dobrze i mój chłopak uznał, że świeże powietrze dobrze mi robi. Zdecydowaliśmy się więc na mały spacer. On jest Amerykaninem, to widać, prawda? Wyjeżdża z Wietnamu, chcieliśmy więc jeszcze trochę ze sobą побыć. Przyszliśmy nad jezioro, bo myśleliśmy, że nikogo tu nie będzie. Cisza, spokój, będziemy sami... Pan rozumie, o co mi chodzi? No i, niestety, straciliśmy poczucie czasu. Nie zauważyliśmy, że już godzina policyjna. Ale teraz wracamy do domu. Na pewno. Przysięgam! Ja...

Oficer podniósł rękę, nakazując jej zamknąć usta, i przez moment patrzył na nich podejrzliwie. Potem ziewnął.

– No dobrze, zejdzcie mi z oczu. Przypominam, że francuska dzielnica jest tam... – Ziewnął jeszcze raz i wskazał ręką kierunek. – Wracajcie do domu jak najszybciej, bo za chwilę w Hanoi rozpęta się piekło.

Nicole posłała mu promienny uśmiech i razem z Markiem

poszli we wskazanym kierunku, obejmując się wpół, jak na zakochaną parę przystało.

– Mark, a jeśli oni znajdą motocykl? – spytała Nicole, zniżając głos.

– Ukryłaś go?

– Tak. Leży w krzakach.

– Oczekamy chwilę i wracamy po motor. Te patrole kręcą się po całym mieście. Mam nadzieję, że zaraz sobie stąd pójda.

Po kwadransie ruszyli, kryjąc się za drzewami, z powrotem do miejsca, gdzie Nicole ukryła motocykl. Przy najcichszym szmerze dziewczyna zamierała, a ponieważ mimo późnej pory wcale nie panował tu idealny spokój, miała wrażenie, jakby większość mieszkańców miasta skradała się teraz między drzewami, szukając drogi ucieczki.

– Mark, to tam!

– Tam? Niczego nie widzę.

– Koło tamtego sklepu, w krzakach.

Mark poszedł sprawdzić, ona czekała z duszą na ramieniu – przecież wszystko mogło się zdarzyć, także to, że ktoś przywłaszczył sobie motocykl Trâna. Na szczęście po chwili dostrzegła Marka prowadzącego motocykl. Mogli wreszcie dalej jechać!

– Mark, lepiej jeszcze nie wsiadajmy – szepnęła. – Moim zdaniem ten patrol może nas jednak usłyszeć.

– Dobrze. Podejdziemy jeszcze kawałek, ale tylko kawałek, i wsiadamy. Trudno, Nicole. Patrole są teraz wszędzie. Proszę, twoja narzutka. Możesz włożyć plecak?

– Oczywiście.

Kiedy po kilku minutach minęli spowitą w ciemności pagodę, Mark spytał:

– Może już tutaj?

Nicole skinęła głową. Cmoknęła go w policzek, on ją też i wsiadł na motocykl. Nicole zajęła miejsce za nim, objęła go w pasie i przywarła do jego pleców.

– Nicole, trzymaj się mocno!

Motocykl zaryczał i pognał w kierunku drogi do Hajfongu. Nicole z każdą minutą była coraz bardziej zdenerwowana. Żeby zająć czymś głowę, myślała o swoich najbliższych, o Lisie i O-Lan, a także o Hanoi, mieście, z którym rozstawała się na zawsze. Chociaż motocykl wzbijał tumany kurzu, nie zamykała oczu. Chciała popatrzeć na miasto, które przez tak długi czas było przecież jej miastem.

Kiedy dojechali do drogi, Mark wydał z siebie zwycięski okrzyk. Jak wojownik wkraczający na pole bitwy, pomyślała Nicole i roześmiała się. Potem po raz kolejny obejrzała się na znikające w oddali miasto. Sentymentalny nastrój minął, teraz była podekscytowana, że wreszcie tak naprawdę ruszają w drogę.

– *Adieu*, Hanoi – szepnęła. – *Adieu*.

Słowa uleciały z wiatrem, a ona wbiła wzrok w pustą drogę przed nimi.

Motor warczał, gnał, podskakiwał na wybojach, dlatego do Hajfongu dojechali zmęczeni, ale i zadowoleni, bo podróż minęła spokojnie. Nie natrafili na żadną minę, na rogatekach też nikt ich nie zatrzymał. Po wjechaniu do miasta Nicole poczuła jednak niepokój na widok namiotów. Stały wszędzie, jak okiem sięgnąć. Mark powiedział, że jednostki specjalne amerykańskiej marynarki wojennej zostały zmobilizowane do pomocy przy ewakuacji tysięcy uchodźców.

– Uchodźcy... Mark, ja też jestem teraz uchodźcą?

– Zgadza się. A ta operacja tutaj nosi nazwę „Przejście do wolności”. Tej wolności zapragnęło bardzo wielu ludzi, dlatego

Francuzi poprosili Waszyngton o pomoc i amerykańskie Ministerstwo Obrony przysłało te jednostki specjalne.

– Ale jak znajdziemy statek, na który wsiadła Sylvie?

– Trzeba pogadać z którymś z amerykańskich oficerów kierujących tu ruchem.

Weszli w tłum apatycznych, bladych ze zmęczenia uchodźców i przez cały ranek pytali, czy ktoś nie widział kobiety o rysopisie odpowiadającym Sylvie. Niestety, nikt jej nie zauważył. Dla wielu ludzi zabrakło miejsca w namiotach. Siedzieli na dworze, przytuleni do siebie, a właśnie zaczęło kropić; to oczywiste, że nie zwracali uwagi na obce kobiety.

Nicole przeżyła chwilę wielkiej radości, kiedy zauważyła przed sobą kobietę z dzieckiem na ręku. Zaczęła do niej wołać, ale kobieta nie reagowała. A gdy Nicole ją dogoniła, okazało się, że to obca kobieta, o wiele starsza od Sylvie. Zrozpaczona Nicole wybuchła płaczem. Mark tulił ją, uspokajał, ale ona traciła już nadzieję.

– Nigdy ich nie odnajdziemy. Nigdy!

– Nie poddawaj się. Dalej szukamy. Niemożliwe przecież, żeby nikt jej nie widział.

– Ale może ona już odpłynęła!

– Przecież my też płyniemy do Francji.

Nicole pokiwała głową. Bardzo starała się wierzyć Markowi, jednak widok gigantycznego miasta namiotów stojących w błocie, przesiąkniętych wilgocią i zapachem choroby oraz snujących się między nimi wymęczonych ludzi o ponurych twarzach nie napawał jej optymizmem. Kiedy zawyła syrena okrętowa, rozległy się gniewne okrzyki i przekleństwa, a gdzieś tam płacz dziecka. Nicole poczuła, że serce jej się ściska. Mogła sobie wyobrazić, co dzieje się podczas wchodzenia na pokład. Ludzie tłoczą się, przepychają;

w takim ścisku łatwo zrobić dziecku krzywdę albo je zgubić, dlatego postanowili z Markiem, że nie będą oddalać się od siebie nawet na krok.

W końcu udało im się odszukać oficera kierującego tym tłumem.

– To dopiero początek – powiedział. – Macie szczęście, że przyjechaliście tak wcześnie, bo teraz przeprowadzamy ewakuację ludności cywilnej do Sajgonu, ale niebawem pojawią się tu także żołnierze, między innymi armii francuskiej z Wietnamu Północnego.

Nicole spojrzała na Marka.

– Sylvie mówiła, że ewakuują tylko wojsko i urzędników.

– Niestety, mamy za mało statków – mówił dalej oficer.

– Czyli wszyscy się nie zmieszczą? – upewniła się Nicole.

– Co się dzieje z tymi, dla których zabrakło miejsca?

– Czekają dalej w tych namiotach. Niestety, część z nich umiera. Ale staramy się zorganizować inne środki transportu. Ściągamy frachtowce i transportowce, które płynąc tutaj, zatrzymują się w naszych bazach na Filipinach i tam robi się przegląd i ewentualne naprawy.

– Jak długo płynie się stąd do Sajgonu?

– Prawie trzy dni.

– A co ze statkami płynącymi do Francji? – spytał Mark. Oficer sposepniał.

– Tu sytuacja jest o wiele trudniejsza, ale doszły mnie słuchy, że masową emigrację do Francji wezmą na siebie francuskie siły powietrzne, a marynarka wojenna będzie ich tylko wspierać. Teraz, o ile mi wiadomo, do Francji płyną linie z Sajgonu. Stąd chyba też jeden czy dwa, ale nie mam na ten temat dokładnych informacji. Proszę spytać francuskich urzędników.

Nicole spojrzała na Marka.

– Może więc Sylvie wcale nie popłynęła do Francji, tylko najpierw do Sajgonu! Może nawet jeszcze jest tutaj! Co o tym sądzisz?

– Wszystko jest możliwe – odparł i zwrócił się do oficera: – Czy robicie listę pasażerów?

– Staramy się ją zrobić, ale wielu uchodźców nie zostaje wciągniętych na listę. Nie mamy też listy pasażerów francuskiego statku, nie mogę więc wam powiedzieć, czy kobieta, o którą pytacie, płynie tym statkiem.

– Jest z nią niemowlę. Dziecko jest chore.

– Niestety, mamy tu wiele kobiet z chorymi dziećmi.

– Ale może jednak mógłby pan nam jakoś pomóc? – Nicole patrzyła błagalnie na oficera, on jednak potrząsnął głową.

– Niestety, nie mogę. Proszę rozejrzeć się. Już niebawem będą tu czekać dziesiątki tysięcy ludzi. Ta liczba wzrośnie do setek tysięcy. A cholera szaleje. Mamy tu na szczęście katolicki szpital i krematorium. Kobieta, której szukacie, jest Francuzką, może więc tam o nią spytajcie.

Krematorium. To złowrogie słowo długo jeszcze dźwięczało w uszach Nicole.

Oficer powiedział im, jak dojść do szpitala. Szli tam wąską ścieżką, brnąc w błocie i czując coraz bardziej intensywny smród ścieków. Nicole z przerażeniem myślała o tym, że Celeste była chora i mogła umrzeć w tym strasznym miejscu...

Mark wyczuł jej rozpacz, bo wziął ją za rękę.

– Bądź silna, Nicole. Nie wolno ci teraz zwątpić.

Szpital tworzyły długie szeregi namiotów połączonych sznurem i oświetlonych lampami naftowymi. Jakiś mężczyzna w szarym fartuchu właśnie je gasił i wszędzie unosił się zapach palonej nafty. Mark podszedł do niego i w kilku słowach

przedstawił sprawę. Mężczyzna podrapał się po głowie.

– Nie mogę wam pomóc, bo jestem tu od niedawna. Lepiej zwróćcie się z tym do pielęgniarki.

Pomachał do jakiejś wysokiej kobiety. Podeszła i wyciągnęła rękę do Marka.

– Jest pan Francuzem?

– Ja jestem Francuzką – wtrąciła się Nicole. – Mam francuski paszport.

– Ale wygląda pani...

– Tak, bo moja matka była Wietnamką. Proszę, to mój paszport. Szukam siostry, Sylvie Duval. Ona...

– Przyjechała tu kilka dni temu – przerwał jej Mark. – Jest z nią niemowlę.

– To Celeste, nasza córeczka. Jest chora – dodała Nicole. Pielęgniarka zmarszczyła brwi.

– Niestety, nie przypominam sobie nikogo o takim nazwisku. Chorych dzieci jest tu mnóstwo. Bez przerwy wybuchają epidemie, ponieważ warunki sanitarne nie są dobre. Tak samo woda do picia.

Odwróciła się, aby odejść, ale Nicole wyciągnęła rękę, by jeszcze poczekała.

– Proszę pani, moja córeczka ma rude włoski. I niebieskie oczy!

– Niestety, nie pamiętam – powiedziała pielęgniarka, ale przystanęła.

Nicole spuściła głowę, wpatrując się w ziemię. Czowała się tak, jakby ta ziemia miała ją zaraz pochłonąć.

– Ale zaraz... Tak! – zawołała pielęgniarka. – Teraz sobie przypominam. Rude włosy i niebieskie oczy to przecież tutaj rzadkość.

– Czy dziecko... żyje? – spytała cicho Nicole.

– Żyje, mimo że jej stan był ciężki. Matka chciała wsiąść na statek zaraz po przyjeździe tutaj, ale powiedziałam jej, że bez odpowiedniej opieki medycznej dziecko umrze. Było odwodnione, trzymaliśmy je pod kroplówką.

– Sylvie Duval nie jest jej...

Mark dotknął ramienia Nicole.

– Proszę nam powiedzieć, czy wsiadła już na statek? Jeśli tak, to kiedy?

– Francuski statek odpływa dzisiaj do Sajgonu, a ona miała wielką nadzieję, że uda jej się nim popłynąć. Jeśli państwo się pospieszą, powinniście zdążyć na ten statek.

– A jak można zdobyć bilety?

– Wystarczy francuski paszport. Jeśli będą wolne miejsca, na pewno wejdą państwo na pokład.

Zanim znaleźli statek, Nicole już ledwie powłóczyła nogami i miała silne zawroty głowy – gorączka dokonała większego spustoszenia, niż przypuszczała. W porcie zebrał się już tłum ludzi i pasażerów ciągle przybywało. W takim tłumie łatwo się zgubić, dlatego mocno trzymała Marka za rękę, dopóki nie doszli do namiotu, gdzie można się było zarejestrować. Pokazała paszport i powiedziano jej, że ma się pospieszyć, bo statek już niebawem odpłynie. Markowi natomiast poradzono, by wsiadł na statek amerykański. Nie zważając na protesty Nicole, Mark wypchnął ją z namiotu i krzyknął:

– Wsiadaj na statek! Pospiesz się!

Jeszcze się wahała, ale już napaarli na nią ludzie stojący w gigantycznej kolejce i zaczęli popychać do przodu. Zdążyła tylko zawołać:

– Mark! Jeśli się rozdzielimy, pamiętaj, będę w Paryżu u ojca, w Le Marais, Rue des Archives. Albo jedź do Lisy!

Ludzie napierali, rozpychali się, a Nicole posuwała się

razem z tłumem, bardzo teraz nieszczęśliwa. Znow została sama jak palec. Zauważyła, że nie tylko ona jest bliska łez. Bo chociaż ludzie mieli powód do radości, skoro prawdopodobnie uda im się wyrwać z tego piekła, dla wielu z nich ten wyjazd oznaczał także rozłąkę z kimś bliskim i okropne uczucie, że cały dotychczasowy świat legł w gruzach.

Szła, połykając łzy. Nie miała pojęcia, co się wydarzy, z czym będzie musiała się zmierzyć. Sama. Ale trudno, zrobi wszystko z miłości do dziecka.

Było coraz głośniejsze, coraz bardziej nerwowo. Ludzie zbijali się w małe grupki, nawoływali, wydawali polecenia, liczyli, by upewnić się, że cała rodzina jest w komplecie. Byli przerażeni tym nagłym porzuceniem dotychczasowego życia, a poszarzałe twarze i podkrążone oczy świadczyły o niehumanicznym zmęczeniu. Nieśli dzieci, taszczyli walizki, tłumoki, mieli nawet garnki i patelnie.

Nicole zobaczyła tuż przed sobą trap i głęboko odetchnęła.
– Nicole!

Czyżby?! Wyciągnęła szyję i poczuła niewysłowioną ulgę na widok Marka, który przepychał się między ludźmi bardzo głośno dającymi wyraz swego niezadowolenia. Po chwili już był przy niej.

– Spotkałem typowego Francuza! – pochwalił się. – Przepuścił mnie, kiedy powiedziałem, że za dwa tygodnie się żenię. Co ty na to?

Co ona na to? Poczuła tak wielką radość, że aż krzyknęła. I nadzieja wróciła.

Po godzinie liniowiec ruszył z miejsca. Nicole stała na pokładzie przytulona do Marka i patrzyła, jak statek powoli oddala się od wietnamskiego brzegu. Była świadoma, że nigdy już nie wróci do kraju, który przecież kochała. Ale ważniejsi są

ludzie: jej córeczka, jej siostra, ten mężczyzna obok, który będzie jej mężem. Z O-Lan, najwierniejszą przyjaciółką, musiała pożegnać się na zawsze, ale dziewczyna, również na zawsze, pozostanie w jej sercu.

Na pokładzie było mnóstwo ludzi. Jak dowiedzieli się potem, około dwóch tysięcy. Mimo to jeśli Sylvie istotnie jest na tym statku, na pewno ją znajdą. Postanowili poszukać jakiegoś urzędnika, który mógłby im pomóc. Chodzili więc po pokładzie, rozglądali się, no i rozmawiali.

– Pisałem do ciebie, Nicole, ale nigdy nie odpisałaś.

– Bo Sylvie przechwyciła twoje listy. Znalazłam je przypadkiem. W jednej kopercie były też pieniądze.

– Naprawdę to zrobiła? Dlaczego? A ja bałem się, że te listy do ciebie nie dotarły. Do głowy by mi nie przyszło, że Sylvie mogłaby je schować. Poza tym dzwoniłem do ciebie, ale bez skutku.

– Bo telefon był uszkodzony. Podejrzewam, że Sylvie też maczała w tym palce.

Mark potrząsnął głową.

– Niepojęte... Bardzo martwiłem się o ciebie i dziecko. A tego naszego agenta odnalazłem w Moskwie. Był ciężko ranny, dlatego trochę to trwało, zanim udało nam się go stamtąd wywieźć.

Na pewno było bardzo niebezpiecznie w tej Rosji. Mark mógł w każdej chwili pożegnać się z życiem. Nicole, bardzo poruszona, chwyciła go kurczowo za ramię, jakby już nigdy nie miała go puścić.

Kiedy w końcu dotarli do francuskiego urzędnika, usłyszeli, że lista pasażerów została sporządzona, kiedy ludzie wchodzili na pokład, ale za jej dokładność on nie bierze odpowiedzialności. Powiedział jeszcze, że tylko osoby

z francuskimi paszportami oraz te, które uzyskały zezwolenie, mogą płynąć dalej, z Sajgonu do Francji.

– Czyli ten statek płynie potem do Francji? – spytała Nicole.

– Tak, proszę pani. Może przejdziemy teraz do mojego biura.

Zeszli po śliskich żelaznych schodkach na dolny pokład i urzędnik zaprosił ich do sporej kajuty ze ścianami pomalowanymi na ponury zielony kolor. Wyjął skoroszyt i otworzył w miejscu, gdzie była lista.

– Szukam swojej siostry, Sylvie Duval.

– Tak... Już sprawdzamy.

Trwało to dobre dziesięć minut. W tym czasie nikt nie odezwał się ani słowem, a Nicole miała nerwy napięte do ostateczności.

– Tak. Jest. Tutaj – powiedział urzędnik, stukając palcem w listę. – Sylvie Duval z córką Celeste.

– Z córką?! Powiedziała, że to jej dziecko?

– Tak. Widać tu czarno na białym.

Nicole bez słowa podała mu swój paszport i metrykę Celeste, w której jako ojciec widniał Mark.

Urzędnik uniósł brwi.

– O! Czyli faktycznie to nie jej dziecko?

– Nie. Jej siostrzenica. Czy pan wie, gdzie one mogą teraz być?

– Nie mam pojęcia. Na statku nie ma policjantów ani ochroniarzy, ale są opiekunki do dzieci. One wiedzą wszystko, dlatego warto je podpytać.

Nicole miała nogi ciężkie jak z ołowiu, ale była gotowa już teraz pytać każdego, kto znajduje się na tym statku. Mark jednak zarządził przerwę w poszukiwaniach i zmusił ją, by przełknęła

zupę i kawałek chleba – skromny posiłek, który pasażerowie dostawali gratis. Potem szukali aż do wieczora i następnego dnia od samego rana. I wreszcie koło południa pewna bardzo młoda Francuzka powiedziała Nicole, że odpowiadająca opisowi pani z dzieckiem poszła na górny pokład, bo dziecko było blade i potrzebowało świeżego powietrza.

Kiedy weszli na górny pokład, Nicole, słysząc krzyki morskich ptaków i skrzypienie desek w poszyciu statku, poczuła się nieswojo. Bo to morze takie bezkresne, taka czarna głębia. Dno daleko, jeszcze dalej niż dno rzeki w Hué. A niebo w górze ołowiane...

– Może ja pójde pierwszy? – zaproponował Mark.

Zgodziła się bez wahania, nie wiadomo przecież, jak zareaguje Sylvie. Ruszyła w sporej odległości za nim, walcząc z lodowatym, porywistym wiatrem. Widziała, jak dwóch marynarzy próbuje ustawić jakieś skrzynie i obwiązać je sznurem. Jeden z nich zachwiał się tak, że omal nie upadł. Oprócz tych dwóch nie było widać więcej marynarzy. Niewątpliwie zostali na dolnym pokładzie, dokąd wiatr nie docierał i panowała cisza i spokój. A tu, na górnym pokładzie, słycać było głuchy łoskot fal bijących o kadłub statku. Widać było, jak woda przelewa się przez barierę. Dostrzegli Sylvie niemal jednocześnie. Mark od razu ruszył do niej. Nicole na widok dziecka w ramionach siostry poczuła niewysłowioną ulgę, jednak zgodnie z umową zatrzymała się, choć najchętniej poleciałaby tam jak na skrzydłach.

Sylvie, tuląc do siebie Celeste, stała plecami do nich, oparta o barierę. Wpatrzona w morze.

– Sylvie Duval?

Nicole cicho krzyknęła, kiedy siostra odwróciła się i mogła zobaczyć jej wychudzoną, poszarzałą twarz. Ubranie, zawsze tak

eleganckie, było przybrudzone, wymięte. Włosy w nieładzie, chyba nie czesała się już od kilku dni. Ten widok był bardzo przykry i bardzo niepokojący.

– Jak się miewasz, Sylvie? – spytał Mark.

Sylvie wlepiała w niego oczy.

– Mark?! A skąd ty się tu wzięłeś?

– Płynę do Sajgonu, potem do Francji. Tak jak ty.

Sylvie cofnęła się i znów oparła o barierę, a kiedy Mark zrobił krok w jej stronę, szybko odwróciła się z powrotem w stronę morza. I wtedy przed oczyma Nicole pojawił się przerażający obraz: Sylvie wrzucająca malutką Celeste do morza. Omal nie krzyknęła.

Mark podszedł jeszcze bliżej.

– Czy mógłbym potrzymać Celeste?

Wtedy Sylvie rozejrzała się i Nicole dostrzegła, że z jej siostrą naprawdę jest bardzo niedobrze. Twarz nieruchoma, spojrzenie puste. Patrzyła tak, jakby niczego nie widziała.

– Proszę, Sylvie. Na pewno nic złego jej się nie stanie.

Jeszcze raz spojrzała na morze i podała Markowi dziecko.

– Dziękuję – powiedział i zaczął odchodzić od bariery.

Sylvie szła za nim.

– Mała była chora, ale jej stan już się poprawił.

– Cieszę się. Ale ty nie wyglądasz najlepiej.

Nicole, czując, że dłużej nie wytrzyma, ruszyła w ich stronę. Sylvie musiała ją usłyszeć, bo natychmiast się odwróciła.

– Nicole? Opiekowałam się nią. Przysięgam.

– Przecież ci wierzę, Sylvie – powiedziała bardzo łagodnie Nicole, podchodząc bliżej. – Wiem, że tak było. I proszę, nie denerwuj się, jesteśmy już razem z tobą.

Chodź ze mną. Proszę. Wszystko w porządku, uwierz mi.

Sylvie spojrzała w bok, potem na Nicole i nie ruszając się

z miejsca, powtórzyła tym swoim bezbarwnym głosem:

– Opiekowałam się nią.

– Wiem, Sylvie.

W orzechowych oczach Sylvie była teraz rozpacz i tego Nicole nie mogła już znieść. Gdzieś w oddali zagrzmiało, odruchowo spojrzała więc w górę, na chmury. Miotana sprzecznymi uczuciami, których kompletnie nie pojmowała, wiedziała jedno: kocha swoją siostrę i jest przerażona tym, co się z nią dzieje.

Podeszła do Marka, który rozpromieniony tulił do siebie córeczkę.

– Nie spodziewałem się, że jest taka śliczna – powiedział wzruszonym głosem. – Może ty chcesz ją teraz potrzymać.

– Przecież wiesz, że o niczym innym nie marzę. Ale ręce mi drżą i boję się, że ją upuszczę.

Mark objął drugą ręką Nicole i oboje spojrzeli w górę, na pociemniałe niebo, z którego spadły pierwsze ciężkie krople zimnego deszczu.

– Idziemy stąd – powiedział Mark. – Znajdziemy na dole jakieś zaciszne miejsce i tam posiedzisz z małą.

– Dobrze. Tylko jeszcze coś...

Odwróciła się i podeszła do Sylvie stojącej nieruchomo dokładnie w tym samym miejscu.

– Chodź – powiedziała miękko, wyciągając do niej rękę. – Nie możesz tu zostać. Przeziębisz się. Chodź z nami, proszę.

EPILOG

Osiemnaście miesięcy później – listopad 1955, Paryż

Ojciec Nicole mieszkał na najwyższym piętrze starej, walącej się kamienicy w paryskiej dzielnicy Le Marais. Kupił to mieszkanie podobno dlatego, że zachwycił się widokiem z okien. Z tej wysokości widać było duży fragment przepięknego miasta. Mężczyzna był w zaskakująco dobrej kondycji, mimo to Nicole ucieszyła się, widząc, że stara, sfatygowana winda nadal działa. Wyszła na balkon i popatrzyła na ulicę. Po drugiej stronie, na rogu, był fryzjer, poza tym kręciło się tu wiele prostytutek, ale jej uwagę przykuwał bardzo jasny kolor włosów kobiet wchodzących do domu i wychodzących z niego. Ojca to jednak nie obchodziło. Z paryskiego życia był bardzo zadowolony. Rano chodził na gorącą czekoladę do pobliskiej kawiarni, poza tym miał w zasięgu ręki rynek, piekarnię i rzeźnika. Niczego mu nie brakowało, stąd więc to zadowolenie, lecz dla Nicole było to jednak trochę dziwne, skoro jeszcze niedawno był bardzo przywiązany do Wietnamu. Ale to proste, skromne życie chyba mu odpowiadało.

Nicole dzięki znakomitemu paryskiemu lekarzowi całkowicie odzyskała siły. Co prawda trwało to trochę dłużej, niż się spodziewała, ale Mark wciąż powtarzał, że nie zdawała sobie sprawy, na jak poważną chorobę zapadła po długiej, niebezpiecznej i wyczerpującej wędrówce z północy na południe oraz pobycie w więzieniu.

Stała na balkonie, oparta o piękną balustradę z kutego żelaza, i patrzyła na słynne dachy Paryża, pragnąc ten urzekający widok na zawsze zachować w pamięci.

– Mamo!

Do pokoju wbiegła Celeste. Piękne jasne loki były rozwiane, błękitne oczy błyszcząły.

– Celeste, znowu bawiłaś się piłką na dworze? Nie pamiętasz już, co ci mówiłam?

Oczywiście, że jej cudna, słodka, radosna córeczka nie pamiętała, bo i po co, tym bardziej że bieganie z piłką uwielbiała. Rozczulona Nicole chwyciła dziewczynkę i zakręciła się z nią, co Celeste również uwielbiała, dlatego poprosiła, by zrobiła to jeszcze raz.

Niestety, czas naglił.

– Idź, kochanie, pobawić się teraz z dziadkiem. Ja muszę skończyć pakowanie.

Celeste pobiegła do saloniku, a Nicole, mimo że pakowanie rzeczywiście czekało, poszła za nią. Dziewczynka wdrapała się dziadkowi na kolana, dziadek zaś pocałował wnusię w policzek.

– Będę za tobą bardzo tęsknić, skarbie.

– Mam nadzieję, że nas wkrótce odwiedzisz, papo – powiedziała Nicole, uśmiechając się do ojca. O nic go już nie obwiniała. Było, minęło. Kilka razy poważnie porozmawiali – nie obyło się bez łez – i wszystko sobie wyjaśnili.

– Za tobą też będę tęsknić, Nicole.

– *Moi aussi, papa.*

– Nicole, rozmawiasz z Celeste po francusku, nie tylko po angielsku?

– Naturalnie, papo.

Spojrzała na zegarek. Mark miał wrócić dziś wcześniej, ponieważ wybierali się z wizytą do Lisy. Nicole nie mogła się doczekać, kiedy znowu zobaczy swoją starą przyjaciółkę.

Wkrótce lecieli do Londynu, potem do Waszyngtonu, gdzie Mark pracował w ochronie, na szczęście już nie jako agent CIA.

Zarabiał nieźle i mógł wesprzeć biznes Nicole, który wyraźnie się rozkręcał. Nawiązała już nawet współpracę z paryskim domem mody, któremu miała dostarczać jedwab.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Ojciec poszedł otworzyć, a ona zaczęła się zastanawiać, czy po wizycie u Lisy nie warto wpaść do Sylvie, żeby pokazać jej Celeste. Sylvie i ta ich straszna podróż do Francji... Już na samym początku siostra pogrążyła się w swoim mrocznym wewnętrznym świecie i mimo ich starań była w nim do końca podróży. Teraz przebywała w szpitalu psychiatrycznym, gdzie leczono zaburzenia emocjonalne, które miała od dziecka. Nicole trudno było pogodzić się z faktem, że jej siostra musi przebywać w szpitalu i wyjdzie stamtąd nieprędko. I ona, i Mark modlili się, by jak najszybciej wróciła do zdrowia.

Szpital mieścił się w pobliżu Saint-Cloud, jakieś piętnaście kilometrów od centrum Paryża, w starym, urokliwym zamku. Wyczuwało się w nim atmosferę dawnych lat. Nie było tu zbyt czysto i pokoje można by zdecydowanie częściej wietrzyć, ale Nicole wiedziała, że to nie przeszkadza jej siostrze. Najważniejsze, że odnalazła tu spokój.

Nicole uzgodniła wcześniej z personelem, że spotkają się z Sylvie na tyłach zamku, gdzie był wielki taras z widokiem na trawniki i rabaty, niestety w nie najlepszym stanie. Mijani po drodze pacjenci siedzieli przy stolikach zajęci lekturą albo drzemali na słońcu. Sylvie na tarasie nie było. Siedziała kawałek dalej, na ławce nad jeziorkiem. Sama.

Nicole stanęła na chwilę, walcząc z emocjami; z jednej strony była pełna lęku, jak Sylvie zareaguje na jej widok, z drugiej czuła niewysłowioną ulgę, że siostra nadal jest tutaj, jak najbardziej realna.

Nie słyszała, jak podchodzili do niej, i dobrze, bo to miała

być niespodzianka. Celeste skradała się prawie bezszelestnie, a jej błękitne oczy błyszcząły – nie mogła się doczekać, kiedy pobiegnie prosto w objęcia cioci. Kiedy od Sylvii dzieliło ich już tylko kilka kroków, Nicole puściła rękę córeczki, skinęła głową i Celeste popędziła co sił w nogach. Ciocia chwyciła ją na ręce, przytuliła i wycalowała. Potem skinęła głową siostrze i Markowi i postawiła dziewczynkę na ziemi.

– Spójrz, Celeste. W tej torebce mam chlebek dla kaczek. Może je pokarmisz razem z tatusiem, a ja w tym czasie porozmawiam z twoją mamusią.

Zachwycona Celeste chwyciła torebkę, podała rączkę tacie i razem poszli nad brzeg jeziora, gdzie było mnóstwo tłustych kaczek.

– Jak się czujesz, Sylvie? – spytała Nicole, wyciągając ręce do siostry. Była mizerna, smutna i sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej.

Uściskały się i usiadły na ławce. Po drugiej stronie jeziora wiatr bawił się zeschniętymi liśćmi, które spadły już z rozłożystego dębu. Mark i Celeste śmiali się głośno, Nicole popatrywała na nich z czułością.

– Czyli lecicie już do Ameryki? – zagaiła Sylvie, opuszczając wzrok na złożone na podołku ręce. Spokojne, posłuszne dłonie, które przeczyły temu, co działo się w środku. Paznokcie były krótko obcięte, tak samo włosy.

– Tak. Wracamy. Mam nadzieję, że kiedy wyzdrowiejesz, przyjedziesz do nas na stałe. Bardzo bym tego chciała, Sylvie.

– Może... – mruknęła, a Nicole poczuła, że siostra chyba nie jest już taka spięta.

– Nie powiedziałaś mi, jak się czujesz.

Sylvie potrząsnęła głową, jakby wracała do rzeczywistości.

– Ja? Sama nie wiem. Czasami jestem bardzo niespokojna,

tak roztrzęsiona, że tracę poczucie rzeczywistości. A czasami jest na odwrót, czuję się szczęśliwa jak nigdy przedtem. W ogóle to uważam, że dobrze, że tu jestem.

– Ale chyba nie jest ci łatwo.

– Niełatwo jest spojrzeć na samego siebie i zobaczyć prawdę!

– Tak...

Nicole miała wrażenie, jakby spoglądając siostrze w oczy, zaglądała w głąb jej duszy.

Odwróciła wzrok.

– Lubisz tu przesiadywać, Sylvie? Patrzeć na wodę?

– Tak. Przecież wiesz, że kocham wodę. – Sylvie, teraz chyba jeszcze bardziej posępna, odpędziła namolną muchę. – Nicole, czy nadal ci się śni, jak topiłaś się w rzece?

Nicole poczuła przebiegający po plecach dreszcz.

– Tak... choć już znacznie rzadziej.

– To dobrze. To znaczy, że jesteś szczęśliwa.

Sylvie wyraźnie się ożywiła.

– Wiesz, muszę ci coś koniecznie powiedzieć. O tym, co wydarzyło się w Hué. To był mój pomysł, żeby wziąć łódkę. Oczywiście, że tak. A powiedziałam im, że ty to wymyśliłaś. Skłamałam. Bardzo cię przepraszam, Nicole.

– Nie musisz przepraszać, to nie ma już żadnego znaczenia.

– Oczywiście, że ma! – Sylvie była wzburzona. – Pewne rzeczy trzeba sobie powiedzieć. Szczerze. Tego mnie między innymi tutaj uczą. Wszystko jest ważne. Dlatego jeszcze raz cię przepraszam.

Zapanowała krępująca cisza.

– I to również ja wpadłam na pomysł, byś wskoczyła do wody.

Czyżby Sylvie po tylu latach miała zamiar przyznać się, że

chciała, aby jej siostra się utopiła? O nie, tego Nicole by nie zniosła.

– Wiedziałam, że tam jest bardzo głęboko.

– Sylvie, proszę. Czy koniecznie musimy do tego wracać?

– Musimy. A więc... chodziło mi o to, by wszyscy myśleli, że to ty stwarzasz ciągle problemy.

Przez chwilę obie patrzyły na przelatującą tuż nad wodą mewę.

– Prawda, że jak się na nie patrzy, to zaraz przypomina się Hué? – spytała Sylvie.

O tak. I ten dzień. Nicole już miała przed oczami słońce zasłaniające cały horyzont i srebrzyste bąbelki powietrza z jej płuc. Topiła się. Nie ma chyba niczego bardziej przerażającego niż to, kiedy idziesz na dno. Czegoś takiego nigdy nie wymaże się z pamięci.

Nicole miała oczy pełne łez.

– Sylvie, ty... ty chciałaś mnie utopić?

Sylvie, wyraźnie zszokowana, gwałtownie potrasnęła głową.

– Ja?! Nigdy w życiu! Dlaczego tak myślisz? Dlaczego płaczesz, Nicole?

Wzięła siostrę za rękę.

– Przecież próbowałam cię ratować. Jak tylko zobaczyłam, że masz problemy, wskoczyłam do wody. Trzymałam linę, a jej drugi koniec popychałam w twoją stronę, żebyś go chwyciła! Przecież ja tam byłam, cały czas z tobą byłam!

– W tym śnie zawsze widzę twoją twarz. I myślałam...

Znowu zapadła cisza. Słyszeć tylko było radosne piski i pokrzykiwania Celeste, nadal zajętej karmieniem kaczek.

– ...że wpychasz mnie pod wodę.

Sylvie drgnęła i skuliła się.

– Sylvie? Dobrze się czujesz?

Pokiwała głową.

– Tak... Nicole, posłuchaj, to było tak. Nie mogłam cię dosięgnąć i zaczęłam wołać o pomoc. Na szczęście w pobliżu był rybak. To on zanurkował i wyciągnął cię z wody. Potem naciskał na twoją klatkę, aż zaczęłaś charczeć i woda wylała ci się z ust. A więc żyłaś. Chwała Bogu. Ale kiedy pomyślę, że byłaś o krok... Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

– A ja... ja myślałam, że chciałaś, by tak się stało.

– Nicole! Owszem, byłam czasami na ciebie zła, ale żeby coś takiego... Nigdy w życiu! Oczywiście, zdawałam sobie sprawę, że to moja wina, bo to ja wpadłam na pomysł z tą łodzią, dlatego skłamałam, żeby ratować swoją skórę. Powiedziałam papie, że to był twój pomysł i że ja nie chciałam skakać do wody. Przepraszam, Nicole.

Nicole wzięła Sylvie za rękę i przykryła ją drugą dłonią. Była lodowata.

– Sylvie, bardzo dobrze, że mi to wszystko opowiedziałaś, ale dajmy już temu spokój. Było, minęło. Koniec. Zgoda?

– Zgoda... A wiesz, bardzo tęsknię za Hué, za naszym dawnym życiem.

– Ja też. Bardzo.

Twarz Sylvie złagodniała, oczy zalśniły. Przez moment wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać. Ale nie, dawna dzielna Sylvie zwyciężyła.

– Trzeba dalej żyć, prawda?

– Jasne!

Nicole złapała ją za drugą rękę i Sylvie uśmiechnęła się smutno.

– Chciałam jakoś utrwalić to nasze życie. I dlatego... – Wysunęła rękę z dłoni Nicole i sięgnęła po leżący obok

oprawiony w brązową skórę bardzo gruby zeszyt. – Mój pamiętnik, Nicole. Weź go. Kiedy go przeczytasz, dowiesz się wszystkiego o sobie, o mnie, o naszym dzieciństwie. Jak to było, kiedy nasza mama żyła. Nigdy nie opowiadałam ci o tym, bo to zbyt bolesne. A ten pamiętnik powie ci wszystko.

– Naprawdę chcesz mi go dać?

– Tak. Chcę, żeby był u ciebie.

Drżącą ręką podała jej pamiętnik. W tym momencie do ławki podszedł Mark z Celeste i obie siostry wstały.

– Chyba będziemy już jechać. Celeste zmęczyła się tym karmieniem – powiedział Mark. Uśmiechnął się do Sylvie i uścisnął jej dłoń.

– Chodź z nami. Pomachasz nam na pożegnanie – poprosiła Nicole.

– Nie. Nie lubię pożegnań. Bardzo je przeżywam.

Siostry uściskały się, potem Sylvie wzięła Celeste na ręce i wycałowała. Jej oczy znów podejrzenie lśniły.

Kiedy dochodzili już do zamku, Nicole się obejrzała. Sylvie stała dokładnie w tym samym miejscu, w tej samej pozie. Teraz poruszyła się, podniosła rękę i pomachała. Nigdy dotąd nie wydawała się Nicole tak samotna, tak przeraźliwie samotna jak teraz, przy tej ławce nad jeziorkiem.

Z wielkim trudem powstrzymała się, by nie podbiec do niej i nie przytulić jej bardzo, bardzo mocno.

Kiedy zamek został już daleko w tyle, Nicole usiadła wygodniej i zaczęła rozmyślać o tym, co się ostatnio działo w Wietnamie. Po klęsce Francuzów pod Dien Bien Phu ósmego maja 1954 roku podpisano w lipcu układ genewski. W Paryżu wiele osób pytało później Nicole i Marka, jak mogli tam żyć ze świadomością, że w każdej chwili grozi im śmierć. Nicole odpowiadała wtedy, że po prostu robili to, co powinni zrobić.

Paryżanie byli przecież w podobnej sytuacji podczas okupacji niemieckiej.

Kiedy zgodnie z układem genewskim Wietnam podzielono na Północny i Południowy, zdecydowali razem z Markiem, że do Sajgonu nie wracają. Nie było sensu, skoro na północy rządził Viet Minh, znany teraz jako Vietcong, a na południu nadal wrzało. Byli pewni, że niebawem wybuchnie wojna komunistów z północy z Amerykanami, i uznali, że należy pożegnać się z Wietnamem. Pożegnać tak, ale nie zapomnieć. Nicole wiedziała, że zawsze będzie miała sentyment dla kraju, w którym spędziła dzieciństwo i młodość, i była zdruzgotana, że wkrótce znów poleje się tam krew.

Często myślała o ich pięknym domu w Hué, niedaleko rzeki Perfumowej, której wody w jej pamięci zawsze były ciemniejsze niż w rzeczywistości. We wspomnieniach o rzece widziała mnóstwo ptaków wzbijających się w powietrze i pikujących, a także Lisę siedzącą na schodkach na tyłach domu i palącą gauloise'a. Tak, Hué to najpiękniejszy i zarazem najsmutniejszy okres w życiu Nicole, ale dla niej i tak będzie to zawsze najwspanialsze miejsce na ziemi.

A w Wietnamie, niezależnie od tego, co się jeszcze wydarzy, kiedyś zapanuje spokój. Nie może być inaczej, jeśli ten kraj ma dalej istnieć. Ci, co tam zostali, nie mieli łatwo. Do Nicole docierały smutne opowieści o tym, jak ludzie uczą się teraz, co to znaczy żyć pod jarzmem okrutnych komunistów. Modliła się wtedy żarliwie, prosząc Boga, by miał w swej opiece O-Lan.

A kim ona teraz była?

Panią Nicole Duval Jenson, pół Wietnamką, pół Francuzką, która wyszła za mąż za pół Amerykanina, pół Rosjanina. Kiedyś zastanawiała się, które pół jest ważniejsze, teraz jednak nie

zawracała sobie tym głowy. Miała nadzieję, że jej córeczka, w której żyłach płynie krew dwóch ras, będzie spokojnie żyć w Ameryce i nigdy nie stanie przed tego rodzaju wyborem.

A zatem to już koniec. A może początek? A może, jak powiedziała kiedyś bardzo mądrze O-Lan, jedno i drugie? W każdym razie życie toczy się dalej. Oby okazało się równie łaskawe dla Sylvie.

Sylvie... W pamięci Nicole ożyło wspomnienie z dzieciństwa. Ona i Sylvie są nad rzeką. Trzymają się za ręce i ostrożnie zanurzają stopy w zimnej wodzie. Miała wtedy pięć lat, Sylvie dziesięć. Nicole zawsze czuła się inna, a z powodu tej inności samotna. Teraz okazało się, że Sylvie na swój sposób też była samotna, rozpaczliwie samotna. Nicole widziała to potworne udręczenie w jej oczach, kiedy płynęli statkiem...

Mark zaparkował samochód przy jednej z paryskich ulic – przed wyjazdem mieli zrobić drobne zakupy – i razem z Celeste wszedł do piekarni. Nicole została na ulicy i wyjęła z torby pamiętnik siostry. Otworzyła go i z bijącym sercem przeczytała pierwsze zdanie.

Jestem Sylvie Duval. To historia o mnie i mojej młodszej siostrze Nicole.

To wystarczyło, by wzruszyła się do łez i zamknęła pamiętnik, odkładając czytanie na później, chociaż była ogromnie ciekawa, jak te same wydarzenia z ich wspólnego życia wyglądały w oczach Sylvie.

Sylvie, z którą zawsze, do końca życia, łączyć ją będzie silna siostrzana więź. Co do tego Nicole nie miała żadnych wątpliwości.

Podziękowania

Pragnę jeszcze raz bardzo serdecznie podziękować mojej agentce, Caroline Hardman. Swoją przygodę z pisaniem zawdzięczam jej błyskotliwości, mądrym sugestiom odnośnie redagowania tekstu oraz wsparciu we wszystkich sprawach, i tych mało ważnych, i tych bardzo istotnych. To ona przedstawiła mnie mojej wspaniałej redaktorce i wydawcy, Venetii Butterfield. Nie mogłam trafić w lepsze ręce. Venetia od samego początku wierzyła we mnie, za co jestem jej bardzo wdzięczna, tak jak całemu zespołowi Penguina, który zawsze jest fantastyczny. Anna Ridley, specjalistka od reklamy, towarzyszy mi podczas wycieczek do BBC i dzięki niej to, co wydaje się straszne, staje się zabawne. Celeste Ward-Best i Stephenie Naulls wskazują mi drogę do mediów społecznościowych, a dzięki Lee Motley okładki moich książek są po prostu piękne. Dziękuję też całemu zespołowi do spraw sprzedaży, dystrybucji i praw autorskich, który pracował tak niestrudzenie. Po swoich doświadczeniach uzmysłowiłam sobie, że wydanie książki to owoc pracy całego sztabu ludzi. Jestem bardzo zobowiązana każdemu, kto brał w tym udział, także wszystkim blogerom, którzy robią coś naprawdę fantastycznego. Nie mogę też nie wspomnieć o tych, którzy kupili moje książki. Bardzo Wam dziękuję. Także Nickowi Clarkowi, bo to za jego sprawą doszło do wspaniałej wyprawy badawczej do Wietnamu, znakomicie zorganizowanej przez Experience Travel. A na koniec słowa największego uznania dla Richarda, mego męża, który jest przy mnie podczas wszystkich wlotów i upadków, nieuniknionych, kiedy pisze się powieść. Richard poi mnie herbatą, zapewnia wsparcie technologiczne, podsuwa dobre

pomysły i wspaniałe jedzenie. Już przygotowuje mnie do następnej przygody – w Indiach! – podając duże ilości chili. Jestem bardzo szczęśliwa, że mnie wspiera wraz z resztą mojej kochanej Rodziny.

Wybrane książki, które podczas przygotowań do pisania powieści uznałam za przydatne:

Norman Lewis, *A Dragon Apparent*, Jonathan Cape, 1951

Uyen Nicole Duong, *Daughters of the River Huong*, Ravensyard Publishing, 2005

Tim Page, *Derailed in Uncle Ho's Victory Garden*, Touchstone, 1995

William S. Logan, *Hanoi: Biography of a City*, University of New South Wales Press, 2000

Hanoi: Traces of the Old Days, Phuong Dong Publishing House, 2010

Barbara Walker, *Indochine Style*, Marshall Cavendish International (Asia), 2011

Duong Thu Huong, *Paradise of the Blind*, US edition, William Morrow & Co., 1993

Duong Van Mai Elliott, *The Sacred Willow*, Oxford University Press, 1999

James Edward Goodman, *Uniquely Vietnamese*, The Gioi Publishers, 2005

Jak napisałam *Córkę handlarza jedwabiem*

Kiedy zamierzam napisać nową powieść, najpierw wybieram miejsce akcji. Jest to bardzo istotne nie tylko dlatego, że uwielbiam upajać się pięknym krajobrazem, przenosić czytelników do innego świata i przemieszczać ich w czasie. Także dlatego, że samo miejsce warunkuje przecież zarys postaci.

Urodziłam się na Dalekim Wschodzie, dlatego zawsze z wielką chęcią penetruję tamtą część świata, czyli Półwysep Indyjski, Azję Południowo-Wschodnią i Daleki Wschód. Ciągnie mnie tam bardzo, może także dlatego, że pierwsze dziewięć lat spędziłam na Malajach, a potem przenieśliśmy się do Anglii i bardzo tęskniłam za domem swego dzieciństwa. Do tej pory napisałam umiejscowioną w Malezji powieść *Rozłąka* i *Żonę plantatora herbaty*, której akcja dzieje się na Sri Lance (kiedy był to jeszcze Cejlon).

W *Córcie handlarza jedwabiem* na miejsce akcji wybrałam Wietnam skolonizowany przez Francuzów, ponieważ chciałam napisać o problemach głównej bohaterki, pochodzącej z mieszanej rodziny, która próbuje określić swoją tożsamość. Chciałam też zbadać kolonializm inny niż brytyjski. Na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia w Wietnamie doszło do starć zbrojnych między Francuzami, zdecydowanymi utrzymać nadzwyczaj dochodową dzięki surowcom i produktom rolnym kolonię, i równie zdeterminowanym do odzyskania niepodległości Viet Minhem. Francuzi swoją obecność w Indochinach tłumaczyli wypełnianiem misji cywilizacyjnej i podobnie jak Brytyjczycy czy inni kolonizatorzy budowali szkoły, szpitale i drogi, niemniej jednak, o ile mi wiadomo, ich

działalność przede wszystkim przynosiła spore profity. Nicole, moja główna bohaterka, jest pół Francuzką, pół Wietnamką, związaną z obiema stronami konfliktu. Konfliktu, który omal nie zniszczy Nicole i w którym wbrew wszelkim przewidywaniom zwycięży Viet Minh.

Pisanie *Córki handlarza jedwabiem* nie było łatwe, gdyż historia Wietnamu w okresie, który wybrałam, była wyjątkowo skomplikowana, ale właśnie to pozwoliło mi lepiej przedstawić rozterki Nicole. W latach od zakończenia drugiej wojny światowej do 1954 roku, kiedy Francuzi ponieśli sromotną klęskę w bitwie pod Dien Bien Phu, mieszanie ras rzadko było akceptowane.

Po wybraniu miejsca akcji przystępuję do lektury materiałów historycznych i robię wyczerpujące notatki. Bardzo mi się podobało to zapoznawanie się z nieznanym okresem historii Wietnamu, ale prawdziwym wyzwaniem było jego ożywienie, czyli nie tylko oddanie ówczesnej atmosfery i wzbogacenie wiedzy czytelnika, lecz także wymyślenie ciekawej fabuły. Każda, nawet drobna informacja, może przyczynić się do tego, że książka staje się bardziej autentyczna, dlatego z zapalem starałam się znaleźć jak najwięcej szczegółów o wydarzeniach historycznych i kulturalnych, jedzeniu, modzie, architekturze.

Wreszcie mogę już zacząć obmyślać zarys fabuły. Zwykle na tym etapie nie wchodzę jeszcze w szczegóły, ale zaczynam pracować nad cechami charakteru bohaterki. W miarę pisania chciałam coraz więcej wiedzieć o Nicole: co czuje, czego się boi, co kocha i co budzi w niej nadzieję. Nicole nie potrafi określić, która narodowość jest jej bliższa. Ze mną po przyjeździe do Anglii było podobnie, dlatego bardzo łatwo mogłam wczuć się w jej położenie. Kiedy miałam już pomysł na

główną bohaterkę, mogłam zająć się jej otoczeniem. Przede wszystkim najbliższą rodziną i niezbyt dobrymi relacjami między Duwałami, a także ówczesną rzeczywistością, kiedy Indochiny wymykały się już Francuzom z rąk.

Bardzo lubię, kiedy pojawia się możliwość odwiedzenia miejsc, o których właśnie piszę, i tak było z Wietnamem. Kiedy wsiadałam do samolotu, nie miałam jeszcze gotowego planu powieści. Czułam jednak, że kiedy lepiej poznam ten kraj, mnóstwo pomysłów przyjdzie mi do głowy.

Okazało się to wcale nie takie proste. Zaczęliśmy od Hanoi, gdzie było wtedy nieludzko zimno. Specjalnie wybrałam ten termin, żeby uniknąć upałów, ale nie spodziewałam się, że będzie tu tak przejmujący ziąb i okropna wilgoć. Po pierwszej, prawie bezsennej nocy postanowiłam zapoznać się z pozostałościami francuskiego kolonializmu. Popatrzeć na domy o pięknej architekturze, szerokie aleje i eleganckie hotele. Niestety, większość Hanoi została tak dalece zmodernizowana, że wszelkie ślady po kolonializmie zostały zatarte. Zabudowa miasta jest bardzo chaotyczna. Na początku naturalnie gubiłam się, ale z każdym dniem było coraz lepiej i wreszcie zaczęłam wszędzie dostrzegać ślady przeszłości. Odkryłam aleję, przy której stały przepiękne francuskie wille w nienaruszonym stanie, teraz zamieszkane przez przywódców partii komunistycznej. To dlatego nie wolno się tu zatrzymywać ani robić zdjęć. Ja oczywiście zrobiłam kilka z okna samochodu. Mnóstwo zdjęć zrobiłam za to w Muzeum Rewolucji, między innymi narzędzia tortur, jakich używał francuski reżim. Niestety, kiedy jakiś czas później wdrapałam się na ogrodzenie, by sfotografować zrujnowaną piękną francuską willę, aparat spadł po drugiej stronie parkanu. Mój mąż udał się na poszukiwanie aparatu, ja natomiast stałam na warcie. Komunistyczna partia jest wszędzie,

jak twierdzą jej członkowie, kiedy więc mąż wrócił, dowiedziałam się, że aparat uległ zniszczeniu, a wraz z nim wszystkie zdjęcia.

Z Hanoi pojechaliśmy do Hoi An – miasta wpisanego na listę światowego dziedzictwa UNESCO i całkowicie opanowanego przez turystów. Poczułam się bardzo rozczarowana widokiem tłumów, bo to właśnie miasto wybrałam na miejsce akcji mojej książki.

Kiedy znaleźliśmy się w Huê i spojrzałam na wspaniale odrestaurowany hotel nad rzeką Perfumową, natychmiast podjęłam decyzję, że to stąd będą pochodzić Duwalowie. Z tego urokliwego, przepięknego, niemal mistycznego miasta. Potem wsiedliśmy do łódki i popłynęliśmy na drugą stronę rzeki, żeby zwiedzić Zakazane Purpurowe Miasto, gdzie mieszkał cesarz ze swoim dworem. W 1945 roku miasto spłonęło, obecnie jest w trakcie remontu. Potem pojeździliśmy samochodem po górach, zaglądając do maleńkich, urokliwych wiosek i zachwycając się pięknem wietnamskiej prowincji. To wtedy uznałam, że widziałam wystarczająco dużo, by móc już zacząć pisać, i zrobiłam to zaraz po powrocie do domu. Głowę miałam pełną wrażeń, zapachów i widoków Wietnamu – na szczęście, bo fotografie przepadły.

Skończyłam pisać powieść. Francuskie panowanie w Wietnamie dawno się skończyło. Francuzi nie wierzyli, że mogą przegrać z Viet Minhem, tak jak potem Amerykanie. Kiedy spoglądam wstecz, myślę, że Indochiny – podobnie jak Indie, Cejlon i Malezja – musiały odzyskać niepodległość. I ta myśl prowadzi mnie do miejsca, w którym będzie się rozgrywać akcja mojej następnej powieści: do Indii.

Kiedy ukończę powieść, a potem widzę, jak książka wędruje na półki w księgarni, jest to dla mnie chwila

największej satysfakcji. Mam nadzieję, że z przyjemnością będziecie czytać o losach Nicole Duval, córki handlarza jedwabiem.

Tytuł oryginału: *The Silk Merchant's Daughter*

Pierwsze wydanie: Penguin Books Ltd, Londyn, 2016

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Małgorzata Pogoda

Opracowanie redakcyjne: Sylwia Sandowska-Dobija

Korekta: Jolanta Rososińska

© 2016 by Dinah Jefferies

The author has asserted her moral rights. All rights reserved.

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o.
Warszawa, 2016

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: 123RF.com.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-2186-3

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.

